

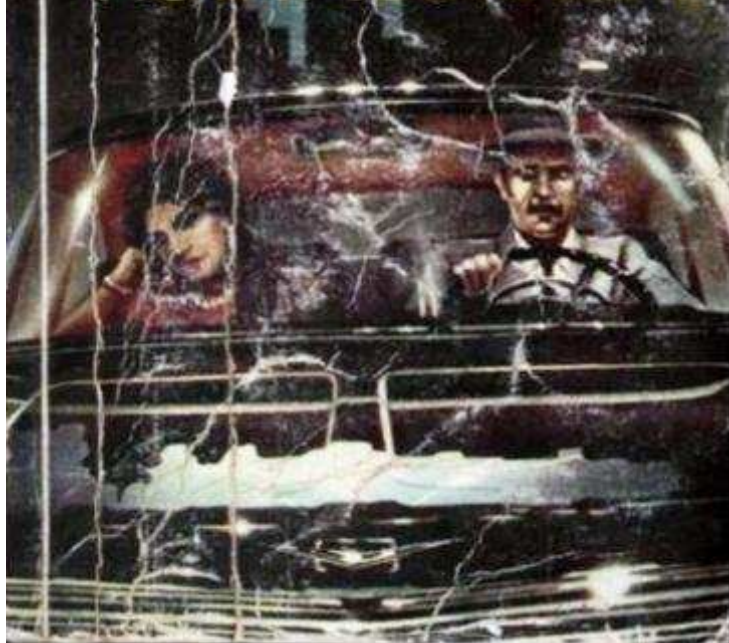
8

Zbrodnia na starej fotografii,
zuchot, miłość, śmierć



Antoni
Marczyński

BURZA
NAD
NOWYM JORKIEM



Wydawnictwa
ALFA

Antoni
Marczyński
BURZA
NAD NOWYM JORKIEM



SERIA Z BLUSZCZEM



Antoni
Marczyński

BURZA
NAD
NOWYM JORKIEM



Wydawnictwa ALFA
Warszawa 1991

Redaktor

Hanna Rychlik

Redaktor techniczny

Leszek Kaczyński

WYDAWNICTWA „ALFA” — WARSZAWA 1991

Wydanie pierwsze powojenne

Skład, druk i oprawa:

Olsztyńskie Zakłady Graficzne

im. Seweryna Pieniężnego

10-417 Olsztyn, ul. Towarowa 2

Zam. 76/91

Projekt typograficzny serii

Janusz Obłucki

Ilustracja na okładce

Jerzy Kurczak

This edition

Copyright © 1991 by Wydawnictwa ALFA

ISBN 83-7001-450-X

ROZDZIAŁ I

W ostatnią niedzielę czerwca, po pięciu upalnych dniach i parnych nocach, Nowy Jork pocił się od rana tak, że pesymiści przepowiadali już na najbliższe godziny gwałtowne opady atmosferyczne i bóle reumatyczne.

Na podobną nutę zawodziła kruczowłosa Ampara, wróżka niezawodna, choć niezawodowa, z zawodu modelka malarza Ramona Pereza, z amatorstwa zaś wnikliwa obserwatorka życia prywatnego sąsiadów, zwłaszcza pięknej swej przyjaciółki Ireny, także modelki z konieczności.

— Okropna burza wisi na włosku! — powtarzała pulchna Ampara przez ostatnie trzy dni, oczywiście z przerwami, lecz coraz dramatyczniej.

Jak wiadomo, od czasów dwuznacznych wróżb wyroczni delfickiej, opiewanych w przysłowiu „na dwoje babka wróżyła”, prawdziwie przewidujący jasnowidze pozwalają światu interpretować co najmniej dwojako ich nieomyłne proroctwa. Dlatego też „okropna burza” w natchnionych i namiętnych ustach Ampary mogła

oznaczać albo pioruny pospolite z deszczem, albo gromy domowe z powodu złego świadectwa w szkole jej faworyta, Pedrita, albo wreszcie... w związku z Ireną... nieszczęście lokalne najgrubszego kalibru, z gościnnym występem policji i pogotowia ratunkowego.

A nieszczęsny pechowiec, lokalny meteorolog, oznajmił przez radio i telewizję z tradycyjnym swym zamięłowaniem do elastyczności terminów, że porywiste wichry i gwałtowne deszcze zaczną chłostać Nowy Jork i jego okolice albo po południu, albo wieczorem, albo koło północy, lecz zaczną na pewno! Wobec tego zaleca się, aby amatorzy żeglugi na własną rękę po zatokach oceanu i zwolennicy piknikowania w górach nad strumykami, które tak niebezpiecznie szybko wzbierają w razie ulewy, mieli się na baczności lub wręcz pozostali tej niedzieli w domu.

Pomimo tych ostrzeżeń i przypomnień katastrofalnych skutków ostatniej nagłej powodzi, miliony nowojorkyków uciekły w niedzielę rano z betonowych wąwozów dusznej metropolii na pobliskie plaże, wysepki i w lasy, szydząc z meteorologa, że pewnie znowu pomylił się o parę dób i że jego szkwały nie nadciągną tu wcześniej jak we wtorek; zatem na razie można śmiało odpoczywać na chłodnym łonie natury wraz z czterema milionami dzieci i tych dorosłych szczęśliwców, którzy nie pracują także w soboty i przez to wylegują się co tydzień dwa razy dłużej na owym obszernym łonie. W przeciwnym kierunku podążali jedynie okoliczni farmerzy, którzy lubią rozrywki wielkomiejskie, a mają na nie czas tylko w niedzielę.

W tę samą feralną niedzielę kilkuset największych nowojorskich optymistów, to jest artystów-malarzy, znowu wyniosło z mieszkań i pracowni wszystkie swoje

dotychczas niesprzedane dzieła i dołączyło je do licznych innych eksponatów trwającej od miesiąca wystawy pod nazwą „Outdoor Art Exhibit”. Ta „wystawa sztuki pod gołym niebem”, bezpłatna i dla oglądających ją i dla wystawiających, odbywa się teraz w Nowym Jorku dwa razy do roku, zwykle od 20 maja do 28 czerwca i od 9 września do 2 października, rozumie się tylko w dni pogodne.

Stałym terenem tej wystawy są ulice dokoła Skweru Waszyngtona, najładniej zadrzewionego placu w Greenwich Village, ulubionej dzielnicy amerykańskiej cyganerii, studenterii, zgasłych gwiazd Hollywoodu, wschodzących gwiazdek Broadwayu, komet literatury, meteorów telewizji, jak również politycznych i filozoficznych eunuchów, snobizujących pięknoduchów, alkoholików, narkomanów, amatorów wszelkich perwersji, pijawek żerujących wyłącznie na artystach i cwaniaków naciągających na drobne sumki lub na poczęstunek poczciwców z innych dzielnic miasta i zamieszcowych turystów, których niczym ćmę do lampy ciągnie tutaj chytra reklama, że Greenwich Village to nowoczesna Sodomia i Gomora.

— Prawie każdy tu żyje z naciągania naiwniaków i snobów, tylko ty jedna jeszcze tego nie umiesz, tępą idiotką — grzmiał w swym studiu na piątym piętrze starej rudery przy Thompson Street rudowłosy dryblas, który cukierkami nagradzał dzieci sąsiadów za tytułowanie go kapitanem. — Przerwij to pranie, Ireno, pókim dobry! Teraz masz znieść obrazy do wózka i jazda z nim do stoiska Pereza! A siedząc tam uśmiechnij się zalotnie do przechodniów zamiast odstraszać ich swą pogrzebową miną!

— Odstraszają ich, Maksie, tematy twoich kompozycji — odcięła się Irena, bardzo szczupła szatynka z

greckim profilem, a powiedziała to tak cicho, że jej słowa utonęły w szumie wody, którą właśnie wylewała do zlewu z dużej miednicy, gdzie leżały już wyprane męskie koszule sportowe, kalesony i piżamy. — Poproszę Amparę, by rozwiesiła to na dachu razem ze swoją bielizną. Ona też dziś coś pierze, choć... to przecież niedziela! Jedyny dzień w którym my, zaharowane panie domu, a raczej pracownice domowe, powinnyśmy mieć trochę wytchnienia... choćby tylko podczas letnich upałów...

Reklamację Ireney, skarżącej się na swój los płaczliwie i monotonicznie, bez najmniejszego podnoszenia głosu, raczył jej rudy pan i władca dosłyszeć i szorstko załatwić od ręki.

— Milcz! Nie cierpię babskich skomleń! — warknął. — Ja też ciężko haruję, nawet w święta!

Na dowód swej pracowitości zepchnął na podłogę przyniesione mu rano przez Irenę i grube jak książka niedzielne wydanie dziennika „New York Times”, dźwignął się z pościeli i usiadł pośrodku dużego tapczanu w kontemplacyjnej pozie Buddy.

— Choć ostatnio więcej leżę niż chodzę, stale myślę, tworzę i komponuję, a to jest niewątpliwie najtrudniejszą pracą! Łatwe zdobywanie dolarów to twój resort, Ireno.

— Wciąż tylko mój? — gorycz malująca się w jej szafirowych oczach mówiła więcej od słów. — Twoja angielszczyzna jest już całkiem płynna.

— Ale mój akcent, moja wymowa zdradza cudzoziemca. Amerykanie zaś... z wyjątkiem snobów... bojkotują obcokrajowca, który chce zarabiać w Ameryce inaczej niż ciężką pracą fizyczną...

— Powiedz raczej, iż boisz się wychodzić za dnia na ulicę, odkąd ujrzałeś kogoś z Europy; kogoś, kto widać zna twoją przeszłość lepiej niż ja — wymamrotała pod

nosem, wyciskając resztki wody z opłukanej bielizny.

— Zresztą moje realistyczne obrazy są tylko w guście mężczyzn. A ci targują się mniej i grymaszą słabiej, jeśli sprzedawcą towaru jest kobieta, oczywiście ładna i uśmiechnięta, a nie taka ponura płaczka jak ty — znów opadł na poduszki, ziewnął, ale łaskawie dookończył wykładu. — Dlatego w USA najpiękniejsze twarze i najzgrabniejsze ciała zatrudnia nie film ani telewizja, lecz kilka agencji graficznej reklamy wszelkich artykułów...

— Wszelakich, oprócz trumien i nagrobków; może my w takiej dziedzinie zrobimy początek? — mruknęła pośpiesznie i nadal cicho.

— Nie kracz, Ireno, bo nuż śmierć nagłą sobie wykraczesz, jak twój brat — zarechotał rudowłosy, przeciągając się leniwie. Nagle podniósł głowę i zaczął rzucać krótkie rozkazy tonem koszarowej komendy: — Dość tej gadaniny! Bacność! Broda do góry! Uśmiech! Zęby wyszczerz! Bardziej! Taką minę masz mieć tam, przy stoisku! I wara mi tu wracać przed nocą lub bez dolarów! Zrozumiano? Więc w tył zwrot i biegiem marsz na posterunek!

— Burza wisi na włosku! — wróżyła w swym mieszkaniu Ampara, podbiegając do okna, by zobaczyć pierwsze gromy. — Irka pewnie chluśnie mu w twarz tylko resztką swej niedopitej, wystudzonej kawy, zamiast pełnym wiadrem wrzątku! Za to Maks skatuje ją znów szpicrózgą. *Ay qué pena!* Cóż za ból... dostać takim biczem! Irka nie skarży się przede mną, lecz widziałam jej pręgi — mówiła do Ramona, już ubranego i kończącego jeść śniadanie.

Wbrew tym przepowiedniom, zahukana Irena nie oblała swego wylegującego się tyrana żadną cieczą. Ba, jeszcze zatroskała się o jego brzuch.

— Mnie nasycą owoce, ale kto tobie obiad ugotuje?
— rzekła. — A ty chcesz mieć ciepłe potrawy aż trzy razy na dzień... nawet w południe!

W południe już i najleniwszi spośród malarzy wystawiali wszystkie swoje nowsze, jak również niesprzedane w ubiegłych latach dzieła, a stoiska ozdobili kuszącymi napisami: „Jedynie dziś ceny niższe o 25 do 75 procent!” „Tylko do obrazu zakupionego dzisiaj dodam gratis wspaniałą ramę!” Cały długi obwód prostokątnego Skweru Waszyngtona i „mankiety” jego 12 „ramion”, z których najdłuższe to słynna 5 Avenue, pokryła najjaskrawsza mozaika niezłych obrazów i znacznie liczniejszych bohomazów.

Obejrzenie jednym ciągiem kilkuset długich stoisk na rozgrzanych ulicach Nowego Jorku byłoby wyczerpującym równie męczącym jak wdrapanie się bez użycia windy na 102 piętro Empire State Building, najwyższego z drapaczy chmur. Dlatego zarówno platoniczni wielbiciele sztuki malarskiej jak i jej producenci, ekscentryczni w stroju i owłosieniu, raz po raz odwiedzali okoliczne lodziarnie, kawiarnie i piwiarnie, po czym pocili się jeszcze mocniej. Roztropniejsi nie tykali żadnych płynów, tylko szli odpocząć na parkowych ławkach pod rozłożystymi drzewami Skweru Waszyngtona, którego południowo-zachodni róg jest dodatkową atrakcją dla szachistów i ich kibiców: na świeżym powietrzu i w głębokim cieniu stuletnie! i drzew podwójna podkowa ław, a między nimi 18 kamiennych stołów z wymalowanymi na nich dużymi szachownicami!

W tym właśnie uroczym zakątku, na wiosnę, gdy Ramon i Maks usiłowali nauczyć Amparę gry w szachy, a Irenę gry w warcaby, jedno z nich czworga powzięło w duchu niezłomny zamiar wydatnego przyspieszenia

zgonu... oczywiście nie własnego i przyspieszenia go w taki sposób, iżby na nieszczęśliwy wypadek wyglądało wobec wszystkich to na zimno obmyślane morderstwo.

ROZDZIAŁ II

Środek Skweru Waszyngtona zajmuje duża kolistą sadzawka z wodotryskiem, który często strajkuje ku zadowoleniu turystów wołających bez otrzymania przyswiznicu sfotografować wylot 5 Avenue poprzez marmurową bramę Łuku Triumfalnego. Stałą frekwencją cieszą się ławki w południowo-wschodniej części skweru, tam bowiem znajduje się końcowy lub raczej początkowy przystanek wielkich, zielonych autobusów z linii obsługujących całą 5 Avenue z przyległościami.

Gdy około godziny 1, po południu opróżniła się jedna ławka stojąca najbliżej niezgrabnego pomnika, jaki wystawili Garibaldiemu w parę lat po jego śmierci Amerykanie włoskiego pochodzenia, zaraz też podążyli ku niej nowi amatorzy odpoczynku w cieniu.

Pierwszy dopadł jej barczysty blondyn z okazałym wąsem, z pewnością nie nowojorczyk, gdyż wyekwipowany był jak zamiejscowi turyści i niósł pod pachą trudny cło zmieszczania w kieszeni „Guide to New York City”, przewodnik z mapami miasta i okolicy, wydawany co rok przez miejscowy Klub Automobilowy. Usiadłszy na lewym krańcu ławy, wąsał odsapnął, rozłożył sobie na kolanach mapkę Manhattanu, jeździł po niej palcem, a gdy znalazł na planiku to, co w naturze miał przed sobą, to jest wysoki Łuk Triumfalny, uśmiechnął się zadowolony.

Równocześnie od strony uniwersytetu docierał już do tej samej ławki brunatnoskóry, drobny brunecik o nachmurzonej twarzy, z bokobrodami wystrzyżonymi misternie jak u arenowych bykobójców hiszpańskich; jego czterobarwny strój, także plamy na dłoniach i pędelek, wetknięty poziomo w gęstą i kędzierzawą jak u Murzynów czuprynę, zdradzały malarza. Tuż obok dreptał jego żywy autoportret, tylko o połowę niższy, nieco czystszy i jeszcze bez śladów zarostu na dziecinnej buzi, trochę zaniepokojonej z powodu jakiejś burzy wiszącej na włosku.

— Muszę z tobą pogadać jak mężczyzna z mężczyzną. Usiądź więc, Pedrito, i staraj się skupić bez dłubania w nosie — zaczął uroczyście wirtuoz pędzla, siadając w prawym końcu ławki i wskazując malcowi miejsce pośrodku. — Uważaj teraz: masz lat dziewięć, wyglądasz na sześć, choć jesz za trzech, nie wymawiając ci wilczego apetytu, i oto nie tylko w szkole spisałeś się marnie, lecz na dobitkę zrobiłeś coś, czym nie splamił się za młodu żaden Perez! Zaatakowałeś czynnie kobietę! I to brzydka!

— Wprost przeciwnie, tato. Ja bronilem się a pani Klapperstorch atakowała mnie... trzepaczką. Bez powodu! — W przeciwieństwie do ojca, mały Pedrito mówił po angielsku bez hiszpańskiego akcentu i szybko. — Bo ja chciałem trafić jej kochliwego kocura w plecy, a niechący postrzeliłem go... trochę niżej.

— Jakaż hańba! Postrzeliłeś bezbronne zwierzę tak, że jego pani o tym wie? Zgroza! Oddaj mi tę broń palną natychmiast!

Pedrito zaczął z flegmą rozkładać na ławce swój przenośny arsenał. Prawie każdy mały chłopiec w Ameryce ma dwie do sześciu hałaśliwych imitacji rewolwerów, które uroczo obciążają mu pasek i porciężta ku piętom. Biedny Perez-junior posiadał tylko jedną

pukawkę w kształcie brauninga, jedno lasso z matczy- nego sznura do suszenia bielizny, jeden blaszany to- mahawk i takiż nóż „do zdzierania skalpów z głów In- dian”. Z ceratowej pochwy u niby — kowbojskiego pasa wyjął garść grubego śrutu i zwyczajną procę.

— To jest także zabawka, tato, a nie żadna broń palna — orzekł głośno, zerkając przymilnie na rosnącego blondyna. Wiedział urwis, że w Ameryce publiczność zawsze staje w obronie małoletniego winowajcy i nie pozwala przetrzepać mu skóry, choćby już używał prawdziwych rewolwerów i co dopiero zakatrupił parę osób. — Señor! Sir! To jest tylko niewinna, dziecinna zabawka, prawda proszę pana?

— Z takiej zabawki, jak święta Biblia nas uczy — malarz Perez z naciskiem powołał się na ten autorytet — Izraelita Dawid zabił boksera najcięższej wagi, Fa- ruka!... Hę? Nie Faruk mu było? Ale imię miał bardzo podobne...

— Goliat — odpowiedział blondyn. — Co prawda, ówczesna proca była całkiem inna. Z tej tutaj nie moż- na by nikogo zabić ani nawet trafić...

— O, ja potrafię trafić wróbla! — pochwalił się chło- piec.

Zaraz też zaczął czarnymi oczkami szukać spokoj- niejszego celu wśród podskakujących tu i ówdzie wró- bli.

— Wróbel to słabe stworzenie, wybierz, synku, ra- czej jakiś martwy cel, na przykład spodnie Garibaldie- go.

Wtem wszystkie wróble i gołębie zerwały się z jezd- ni, chodników i trawników, spłoszone nagłą wrzawą wojenną, jaka wybuchła tuż pod pomnikiem oswobo- dziciela Włoch. Właśnie rozgorzała pod latarnią strasz- liwa bitwa pomiędzy dystyngowanym jak lord z

operetki chartem, niewątpliwie rezydentem jednego z okolicznych pałaczków, a wątpliwie czystym foxterierem żółtej maści.

Elegancko ubrana dama, towarzysząca chartowi, usiłowała go słowem i smyczą przekonać, że nie wypada mu zadawać się z byle kim. Podrażniony upałem psi arystokrata korzystał jednak ze swej wielkiej przewagi fizycznej i boleśnie karał żółtego wagabundę za brak obroży, smyczy, rasy i damskiej eskorty.

— Czyż nikt nie rozdzieli walczących? — lamentowała dama.

— Proca ich w mig rozdzieli, ale, tato, w którego strzelić?

— W silniejszego — odparł malarz równie cicho. — Choć w interesach to się źle kalkuluje, zawsze, synku, stawaj po stronie słabszych i...

Zanim papa Perez skończył swój wykład, Pedrito podniósł widelki procy i strzelił. Wykwintny chart kwiknął jak zarzynane prosię, dał takiego szczupaka, że obalił swą bonę czy właścicielkę, wyrwał jej smycz i rzucił się do panicznej ucieczki w stronę wylotu 5 Avenue, wciąż skomląc piskliwie.

Wątpliwy foxterier, otrząsnąwszy się z ulicznego prochu, w jakim go tarzano, szczekaniem obwieścił światu swe nagłe a niespodziewane zwycięstwo.

— Brawo, chłopcze! Trafić z procy na taką odległość — to sztuka, jakiej jeszcze nie widziałem — pochwalił malca blondyn, nie przeczuwając, iż wkrótce ujrzy w Greenwich Village coś stokroć bardziej zdumiewającego i wstrząsającego dlań osobiście.

— Ja prawie nigdy nie pudłuję, odkąd dano mi ten gruby śrut. Tym rozbiję każdą latarnię, którą kapitan wybierze. Żeby on tylko zapłacił tyle, ile mi za to obiecał...

Na skutek tej przechwałki Pedrito dostał się w ogień

krzyżowych pytań ojcowskich i wnet wyśpiewał, od kogo otrzymał śrut oraz w jakim celu. Rewelacje chłopca wywołały u wąsatego blondyna uśmiech niedowierzania i pobłażania dla dziecinnej fantazji, lecz Ramon uwierzył synowi i nie ukrywał oburzenia.

— Pedrito, jeśli cię jeszcze raz przyłapię na kon-szachtach z tym rudym łotr... z Maksem, to... krew się poleje, jakem Perez! — rzekł z zaciśniętymi pięściami i ze złymi błyskami w oczach. — Por diez! Caramba! Damned son of a gun! — klął, a przypomniawszy sobie, że zakazał dzieciom słuchać, gdy jakiś gbur przeklina, dodał ostro: na co czekasz, smarkaczu, na lanie? Marsz do matki!

Pedrito ulotnił się żwawo wraz z procą, mrugnawszy filuternie na wąsala. Ten zaś, słysząc soczyste epitety hiszpańskie i angielskie, miotane pod adresem jakiegoś sąsiada czy ekskapitana Maksa, próbował uspokoić krewkiego malarza rozsądną perswazją.

— Przejmuję się pan niepotrzebnie, bo pański miły synek z pewnością buja, przesadza — zaczął łagodnie. — Czyż można uwierzyć, że jakiś oficer, ba, kapitan, więc chyba nie młokos, obiecał dziecku nagrodę za wandalizm i...

— Ten łajdak zdolny jest nawet do morderstwa!

— Teraz nie synek, ale pan sam przesadza. Gdzież dowody, że ów...

— Są! — znów wtrącił popędliwy Ramon. — Na własne oczy widziałem, jak Maks usiłował zamordować... mniejsza z tym, kogo. Przeszkodzono mu w tym, ale nie wątpię ani chwili, że on swą próbę ponowi! A jeśli mu się raz uda, to moja rodzina... to trzy niewinne osoby — poprawił się szybko — popadną w skrajną nędzę. Nędza w tropikach, skąd pochodzę, jest do zniesienia, bo owoców tam w bród, a odzież zbyteczna. Lecz brak pieniędzy w tak drogim i bogatym mieście

jak Nowy Jork — to piekło udręczeń i ponizeń!

ROZDZIAŁ III

Powiedziawszy aż tyle, Ramon Perez przypomniał sobie nareszcie, że mówi do człeka zupełnie mu obcego i spojrzał nań podejrzliwie.

— Nie, pan mi nie wygląda na tajniaka ani na reportera węszącego za sensacjami — orzekł z ulgą, kiedy już obejrzał go sobie dokładnie od stóp. Nieznajomy miał ciężkie skórzane trzewiki, których nowojorczyk nie przywdziałby na taki upał, a głowę okrył europejską cyklistówką, jakiej w Ameryce nawet cykliści nie noszą już od wielu lat. — Pan na milę pachnie farmą — stwierdził Ramon.

— Czyżbym w co wdepnął? — zaniepokoił się tamten i z dokładnością pedanta obejrzał podeszwy swego obuwia.

— Niemniej jednak — mówił dalej malarz, rozkładając jak do przeglądania zwinięty w rolkę kolorowy dodatek do New York Daily News, najpopularniejszego z miejscowych brukowców — nie mam prawa zanudzać pana swoimi...

— Ależ pan mnie wcale nie nudzi! — wtrącił wąsal żywo i szczerze. — To właśnie ja nudzę się co niedzielę gorzej niż mój pies na łańcuchu. Od chwili osiedlenia się w Ameryce żyję na farmie jak samotnik. Cieszę się więc, gdy zdarzy mi się rzadka okazja do pogawędki z kimś, kto nie spieszy się po wariacku jak większość tubylców, ale ma czas posiedzieć trochę na ławce w parku.

Mówiąc to poprawną gramatycznie, lecz słowiańską w wymowie angielszczyzną, przysuwał się barczysty blondyn do drobnego brunecika coraz bliżej, wreszcie

wstał, wyprostował się w całej swej okazałości i wyciągnął swą szeroką, spracowaną dłoń do kordialnego uścisku.

— Poznajmy się, jeśli pan nie ma nic przeciw temu, i pogadajmy sobie; jestem Józef Lubor rodem z Polski, rolnik, a dawniej żeglarz.

Jeszcze nie skończył ostatniego zdania, gdy mały malarz zerwał się na równe nogi i złożył mu ukłon żywcem wzięty z filmu o muszkietierach.

— Senior, nie tylko nie mam nic przeciw temu, ale cała przyjemność jest po mojej stronie — odparł dwornie potrząsając oburącz podaną mu dłonią. — Ja pochodzę z Puerto Rico, a nazywam się skromnie, bez szlacheckich ozdóbek: Ramon Aloysius Bustamente Velasco Perez.

— Bardzo mi miło, a ponieważ tu jest niemile gorąco, proponuję, abyśmy poszli na kwadransik do jednej z tych knajp, w których powietrze jest chłodniejsze. Oczywiście ja pana zapraszam i płacę. Zgoda?

— Don José, przyjmuję pańskie zaproszenie, a dowód mej wdzięczności za pański gest przetrwa wieki i będzie zdobił główną ścianę w salonie pańskich potomków, tak jak dziś zdobi muzea Rubens, którego płótna do moich ktoś przyrównał i...

I trafiła kosa na kamień... na niwie gadulstwa. Wprawdzie Ramon Perez nie był spragnionym pogawędek samotnikiem jak Józef Lubor i mógł z rodziną czy z sąsiadami nagadać się do syta, lecz pewnego tematu wołał przy nich nie poruszać. A właśnie ten temat... zbyt ryzykowny, żeby go omawiać z jakimś stałym mieszkańcem Greenwich Village albo Bowery... najgorzej łaskotał język, niepokoił umysł i burzył krew Ramona. Natomiast „don José” czyli pan Józef, dość świeży przybysz do Ameryki, farmer nieznający zapewne nikogo w Nowym Jorku, już przy drugim piwie

wydał się Ramonowi idealnym kandydatem na spowiednika czy powiernika najskrytszych tajemnic osobistych. A potrzeba wyładowania ich, zrzucenia głazu z serca i ulżenia sobie na duszy od paru już tygodni wręcz rozsadzała małego malarza. Toteż Lubor rad nierad musiał swoje bólczki i zwierzenia odłożyć na później, na razie zaś słuchać cudzych.

— Pan napomknął przedtem, drogi don José, że chyba przesadzam, uważając jednego z moich sąsiadów za łotra zdolnego do wszystkiego, nawet do popełnienia morderstwa — zaczął Ramon. — Niech pan przeto posłucha, jak ja to... to odkryłem i w samą porę unicestwiłem. Słucha pan?

— Słucham z prawdziwą przyjemnością — odparł Józef Lubor.

— Zaczynam — oznajmił Ramon, kończąc drugie piwo — zaczynam streszczać tę historię. W środku maja, jak pan może pamiętać, było parę bardzo ciepłych nocy, a jedna nieznośnie parna, tak jakby to był lipiec, a nie maj. Uchwaliliśmy więc z Maksem spędzić tę duszną noc na płaskim dachu kamienicy, w której mieszkamy na tym samym piętrze. Ja przyniosłem sobie stary materac, a Maks leżak i ze sześć butelek zimnego piwa z lodówki. We dnie alkohol rzadko mnie zmoże, lecz jeśli go sobie łyknę na noc, to potem śpię twardo, jak sumienie lichwiarzy z niektórych lombardów przy 3 Avenue. Maks o tym wie i właśnie dlatego tak mnie zachęcał do picia w ową noc majową. Zasnąwszy nie poczułem nic a nic, gdy on dźwignął mnie z materaca, ani, też gdy na rękach niósł mnie przez pół szerokości tego dużego dachowego tarasu, a z niego jest jeszcze większy drab niż z pana...

— Że co? Ze mnie jest drab, pan uważa?

— Boże mój, co ja wyplatam! Wybacz mi, señor;

chciałem rzec, iż mój zły sąsiad ekskapitan Maks Blink jest jeszcze wyższy niż pan. Ja zaś sięgam mu głową ledwie do pół torsu i ważę ze sto funtów mniej niż on; mógł więc nieść mnie na rękach jak cielę... powiedzmy ładniej, jak jagnię. Nie wiem co mnie nagle przebudziło... na moje szczęście... czy blask pobliskiej latarni ulicznej, czy wrzask kotów. Wiem tylko, że gdy się ocknałem Maks już był ze mną przy niskim parapecie dachu, już, że tak powiem... przesuwał mnie na zewnątrz, nad przepaść. Gdybym obudził się o parę sekund później, byłbym właśnie leciał z szóstego piętra na betonowy bruk!

— Niesłychane! Ten Maks to chyba wariat!

— Zbyt roztropny na wariata. Bo gdy go kurczowo objąłem rękami i nogami, tak że zrzucając mnie musiałby zlecieć w dół razem ze mną, Maks od razu złągodniał. Odnosił mnie na materac z grzecznymi przeprosinami za swój „żart”, za chęć „nastraszenia” mnie tylko. Mimo to zwaiałem zaraz do mieszkania...

— I zatelefonował pan po policję?

— Nnnie... Policja nic o tym nie wie do dzisiaj ani nikt w naszym domu. Maks zagroził mi, że jeżeli pisnę słówko, to on nawzajem... No cóż każdy z nas ma jakieś sekrety, których ujawnienia boi się jak wojny atomowej...

— Cherchez la femme albo urząd podatkowy, co? Rozumiem. Skoro jednak ten szantażujący pana sąsiad miewa tak mordercze zachcianki i skoro wywiera demoralizujący wpływ na pańskiego synka jak okazało się dzisiaj, to powinien by pan jakoś zabezpieczyć członków swej rodziny przed chodzeniem na dach w pojedynkę.

— Słusznie, słusznie. Synowi zakazę tam chodzić pod groźbą straszliwego lania, lecz czym zagrozić dziewczynie? A moja córeczka Jacinta, to tak samo

słabe chuchro jak Pedrito. Słowem, mogę być spokojny jedynie o moją kobietę, bo Ampara suszy bieliznę na dachu tylko wówczas, gdy sąsiadki robią to samo by móc im powróżyć i wysłuchać ich plotek. Jak to kobiety lubią gadać!

— My też, lecz niektórzy mężczyźni nie dopuszczają do słowa innych i sami wygłaszają długie monologi, uważając snadź swój głos za najbardziej melodyjny — rzekł Józef Lubor z uśmiechem tak niemal macierzyńskiej pobłażliwości, że sparzyła ona Ramona gorzej niż pokrzywy najzjadliwszych przytyków.

— Ma pan rację — przyznał ze skrucą. — Teraz ja będę milczał jak grób, a pan zechce mówić. O czym tylko pan pragnie. Na przykład, jak się panu podoba nasza wystawa.

— Hm, jest kalejdoskopowo barwna, niczym niebo o wschodzie słońca koło Rio de Janeiro. Lecz prawdę mówiąc, zdążyłem na razie obejrzeć tylko stoiska na północ od Łuku Waszyngtona. Przyjechałem tu z dużym opóźnieniem przez to, że wybrałem się do Nowego Jorku samochodem, zamiast pociągiem, zapomniawszy o niedzielnym tłoku na autostradach i drogach. Potem z mostu Triboro zapędziłem się omyłkowo na Harlem i Bronx, zamiast skręcić na południe. A tutaj znów przyhamował mnie na kwadrans jakiś malarz wyglądający potężnie niczym Ursus z Quo Vadis; tak mu się spodobały moje jasne wąsy, że chciał koniecznie zrobić mi portret na poczekaniu...

— Za pięć dolarów en face, a pół taniej za profil, co?

— Tak. Inni też tyle żądali. To właściwie bardzo tanio.

— Oleodruki z podobiznami bohaterów i papiery są jeszcze tańsze, lecz to nie dzieła sztuki! Chyba nie dał się pan nabrać.

— Jeszcze nie. Krępowaloby mnie takie, jak to dziś widziałem co kilkadziesiąt kroków, pozowanie do portretu na chodniku, z tuzinem gapiów za plecami artysty, uśmiechających się głupawo. Co innego pozować w domu, w studiu, w cztery oczy, lecz robić z siebie widowisko publiczne?

— Miliony ludzi przepadają za tym!

— Wiem. Zwłaszcza politycy, demagodzy, aktorzy i sportowcy. Ja jednak, ani jako żeglarz, ani jako rolnik nie potrzebowałem reklamy, oklasków, popularności i nadal wolę żyć sobie skromnie na uboczu. Drapnąłem więc skwapliwie, gdy niedoszęłego portrecistę mych wąsów obskoczyło pół tuzina dziewcząt z jakiejś snadź szkolnej wycieczki do Nowego Jorku i...

— Aż sześć zamówień na portrety dostał na raz? — wtrącił Ramon, nie tając konkurencyjnej zawiści w głosie i w mimice wyrazistej swej twarzy.

— Wątpię. Dziewczątka przede wszystkim chciały sfotografować się z nim, czy też na jego tle, boć takich olbrzymów, jak on, nie spotyka się często.

— Nie cierpię olbrzymów, odkąd wiem, że Maks bije swą kobietę i chce ją zmusić do... Ech, mniejsza z tym, pan przecież nie zna tych osób. Grunt, przyjacielu, że nie dałeś się nabrać na portretowanie jakiemuś tam patalachowi. Ja panu gratis zrobię portret pastelowy, za jaki tutaj płaci się dziesięć dolarów! I w studiu pan będzie mi pozował, nie na ulicy.

— Ślicznie dziękuję, lecz z jakiej racji gratis?

— Z tej, że pan nie zadziera nosa, nie patrzy na mnie pogardliwie, jak Maks albo ci tutaj z południowych Stanów, którzy brzydzą się Murzynami i zaliczają do nich także nas, przybyszów z Puerto Rico. — Ramon Perez, choć obiecał milczeć jak grób, znowu rozpętał swój obrotny język. — Zarozumiali fanatycy białej rasy! Jeśli który z nich ma choć najmniejszą domieszkę

krwi Indian, zapomina o tym, że ten z Puerto Rico ma tej szlachetnej krwi najwięcej! I gdzież tu logika?

— Oczywiście, że ani logiki ani sensu nie ma za grosz w rasistycznych uprzedzeniach — rzekł Lubor, zdziwiony, że Perez też uważa krew Indian za lepszą od krwi ludzi czarnych i białych. — Moje polskie prapraprababki, jeśli nawet były cnotliwe jak rzymska Lukrecja przed tym, co ją spotkało, z pewnością musiały nieraz ulec przemocy najeźdźców tatarskich, tureckich, kozackich, szwedzkich, niemieckich albo jeszcze innych. Kto wie, czy w moich żyłach płynie choć dziesięć procent rdzennie sarmackiej krwi, ale to mnie obchodzi mniej niż zeszłoroczny śnieg; ten bowiem mógł zaszkodzić albo pomóc moim krzewom i drzewom owocowym, natomiast bez wpływu na moje finanse i humor jest to, z kim prapraprababunie nocowały i obcowały. Proszę mi wierzyć, panie Ramonie, że nie uważam żadnej na świecie rasy i narodowości za gorszą od mojej ani żadnej za lepszą. Moje hasło to „Vive l'egalite!” Niech żyje równość!

— Poznałem to po pańskim szczerym uścisku dłoni i po przyjaznej nucie, z jaką odniósł się pan do mnie i do mojego synka od pierwszych słów naszej rozmowy. Zaprosił mnie pan do lepszej tawerny i nie wstydzi się pan siedzieć tu przy piwie ze mną, choć przez swe przekłete skołtunione włosy i ciemną cerę mogę wyglądać na Murzyna... Z tych właśnie powodów postanowiłem sportretować pańską szlachetną twarz za darmo.

— Doprawdy ja mogę lekko zapłacić dziesiątkę i...

— Ale ja jej nie przyjmę! — wtrącił Ramon stanowczo, choć nieraz smażył się w słońcu albo przydreptał w chłodzie dla rozgrzewki pół dnia, zanim upolował piątkę lub jeszcze mniej za „uwiecznienie” na

papierze czyjeś twarzy. — Boję się tylko, czy pan nie sądzi, że moje dzieła to na całej wystawie najgorsze kicz, knoty i bohomyzy?

— Nie, nie! Z pewnością są jeszcze gorsze od nich!

Komplement Lubora nie wypadł najzgrabniej, ale Perez tego nie zauważył. Pochłonęła go bowiem już kompletnie chęć popisania się przed Polakiem swymi obrazami, a przed Amparą tak rzadkim dla nich *amigo*. Rosły blondyn z jasnym jak konopie wąsem, przy tym liberał bez uprzedzeń rasowych i w dodatku ogładzony facet, to jakby jakiś powieściowy *caballero*.

— Aby pana przekonać naocznie, że nie jestem jakimś tam bazgraczem, jak Hitler, ale nowoczesnym Rubensem — rzekł niski malarz ze skromnością proporcjonalną do swego wzrostu — zapraszam pana do swego stoiska w celu obejrzenia moich tegorocznych prac. Pośród nich „Kamienowanie jawnogrzecznicy Magdaleny” zdobyłoby niewątpliwie pierwszą nagrodę już w tym roku, gdybym był to arcydzieło wykończył w drugiej połowie maja, gdy rozdawano tu nagrody, ale wtedy byłem zbyt wstrząśnięty moją przygodą z Maksem...

Płacąc przed wyjściem z baru za wszystkie wypite tu piwa, odpędzał od siebie Lubor myśl lubą, a krępującą i natrętną jak mucha w sierpniu, że niebawem tanio kupił sobie portret pastelowy i towarzystwo sympatycznego gaduły na resztę niedzieli i jakby wstęp do przyjaźni z jednym z dożywotnich członków cyganerii, która interesowała go ogromnie, odkąd widział w kinie filmową wersję opery Pucciniego „La Bohème”.

— Wypada mi chyba zaprosić tego odpowiednika Marcella na obiad do najlepszej tu restauracji — mruzczał i sapał z gorąca, bo przez nagły kontrast

z lodówkową temperaturą wnętrza tawerny powietrze na rozpalonej słońcem ulicy wydawało się mu akurat takie samo jak w rozgrzanym piecu chlebowym. A cóż za diabelski upał!

Podobnie jak Józef Lubor, narzekali na upał i wachlowali się choćby gazetami wszyscy mniej lub więcej spoceni malarze i przechodnie. Z wyjątkiem jednego: ten tęgi łysoń szedł bez szemrania i wachlowania się, za to z twarzą odrażająco wykrzywioną przez ból i strach przedśmiertny. Szedł naprzeciw Pereza i Lubora, nagle skręcił na jezdnię, zamierzając snadź dotrzeć do drugiego chodnika, a może do widocznej po tamtej stronie apteki, lecz w połowie tej krótkiej drogi chwycił się za piersi i runął jak długi na beton. Nadjeżdżające właśnie auto zdążyło zahamować tuż przed nim i bluznęło nań gniewnym rykiem klaksonu... daremnie, tłuszcioch ani mrugnął i wybałuszonymi oczyma patrzył nieruchomo w chorobliwie błękitne niebo, gdzie jeszcze nie było ani jednej chmurki, choć oprócz Ampary i pesymistów także meteorolog wyczuwał nadciągającą burzę.

— Jaka szkoda, że Maks tego na jezdni nie widzi — zamruczał Perez, a potem błyski nienawiści zamigotały w jego czarnych jak heban oczach.

ROZDZIAŁ IV

Trup czy zemdlony leżał jeszcze na środku jezdni, bo drogę doń odcinały z obu stron strumienie samochodów, wprawdzie omijających go z respektem, ale spieszących się po nowojorsku jak zawsze.

— Przywołajcie policjanta! — zawołał jeden automobilista.

— Zatelefonujcie po ambulans, niech go stąd sprzątnie!

— Przenieścież go choć na chodnik! — radził trzeci.

Żaden z nich jednak nie przystanął z obawy, żeby mu nie podrzucono, kto wie czy nie rannego i krwawiącego lub pijanego bliźniego, który nie tylko mógł zanieczyścić auto, ale także umrzeć w drodze do szpitala.

— Rzeczywiście należy nieboraka przenieść na chodnik, zanim samochody rozważkują go na marmoladę — mruknął Ramon Perez, a Lubor już zszedł na jezdnię i odważnie przedzierał się wśród aut.

Gapie wzięli ich z pewnością za polujących na klienta bezrobotnych adwokatów, ale ich inicjatywa rozbudziła aktywność u innych. Osiem kobiet, ująwszy się za ręce, utworzyło w poprzek jezdni żywy łańcuch, który zaraz zatrzymał cały ruch kołowy w obie strony. Paru mężczyzn pomogło dźwignąć bezwładnego a ciężkiego tłuściocha. Ułożono go pod murem najbliższej kamienicy, której front także dziś zdobiła mozaika eksponatów wystawy. Zbiegiem okoliczności akurat tutaj znajdowało się stoisko karykatur, których komizm podkreślały satyryczne cytaty i wesołe napisy okolicznościowe. Mała karykatura z dużym napisem „FINITA LA COMMEDIA” wróżyła finansowo kiepskie dla malarzy zakończenie wystawy i zbiegiem okoliczności właśnie pod tym napisem ułożono świeżutkiego nieboszczyka.

— Nader symbolicznie — mruknął sardonicznie Józef Lubor.

— Czy zmarł na udar słoneczny? — spytał Ramon młodego medyka z ambulansu pogotowia, który przyjechał z dużym opóźnieniem, bo upał dał dziś mnóstwo zajęcia szpitalom i ich automobilowym karetkom.

— Nie udar. Wiem, bo przecie pierwsza go ratowałam — odezwała się masywna blondynka w kapelusiku

formatu i kształtu filiżanki pełnej stokrotek. Była rozżalona, że nikt nie zwraca się z pytaniami do niej, choć ona podtrzymywała głowę nieboszczyka, kiedy przenoszono go z jezdni. — Nieboraczka szlag trafił z powodu atomowej radioaktywności, a nie z powodu upału czy...

— Nonsens. Pacjent, do którego zostałem wezwany zbyt późno, bo już po jego zgonie, zmarł na najczęstszą w dzisiejszych czasach chorobę — orzekł z miną dziecka medycyny 20-letni medyk, uszczęśliwiony, że może się popisać przed tak licznym audytorium gapiów. — Choroba ta zabija li tylko w naszym kraju ponad tysiąc pięćset osób dziennie. D z i e n n i e, proszę państwa! Czyli znacznie więcej niż rak, polio i gruźlica razem wzięte!

— Aż tyłu? Co to za nowa epidemia, panie doktorze?

— Wcale nie nowa i nie epidemia. Po prostu atak serca. Ten smutny fakt powinni także malarze przypominać narodowi...

Ramon Perez uznał po namyśle, że młody student medycyny miał rację. Skoro około 550.000 ludzi umiera w USA rocznie na serce, to dla wstrzymania czy choćby tylko wydatnego zmniejszenia takiej rzezi nawet mistrz palety mógłby ofiarować nieco cennego czasu i farb. Obmyślając temat afisza propagandowego pt. „Ratuj serce, póki puka”, prowadził malarz Józefa Lubora do swego stoiska.

Stoisko Ramona Pereza, wraz z dwoma cudzymi przyklepionymi do niego po bokach, znajdowało się na siatkowym płocie, odgradzającym od chodnika jeden z dużych placów do parkowania samochodów, oczywiście po wschodniej stronie alei, po zachodniej przeważają bowiem kościoły, tawerny i sklepiki.

Północny sąsiad Pereza, chudy brodac z osepim nosie

i szpakowatej czuprynie, wystawiał wyłącznie portrety, i to jakich znakomitości! Barwne te pastele były snadź dla urozmaicenia pokazu zawieszane na płócie tak, ażeby każda męska twarz miała po bokach dwie żeńskie i na odwrót. Jedną przeplataną tworzyły więc podobizny czterech sławnych rozwódek z Hollywood, dwóch ostatnich prezydentów Stanów Zjednoczonych i dyrygenta Toscaniniego. W drugim przekładańcu, oprócz dwóch bokserów ciężkiej wagi, cztery lekkiego autoramentu diwy kabaretowe, roześmiane od ucha do ucha, otaczały smutnego Einsteina.

Tego rodzaju kolekcja miała snadź przekonać łatwowiernych naiwniaków, że jej twórca, Raphaelo de Klapperstorch to ulubiony lub zgoła wyłączny portrecista tych wybitnych osobistości.

— Ależ to wykapana Rita Wartasiana, to jest Hayworth — chciałem rzec! A tu bokser Marciano! A to nieboszczyk Einstein jak żywy! Dalipan świetnie uchwycono podobieństwo na tych portretach, znakomicie!

Józef Lubor, który zresztą nie miał zielonego pojęcia o malarstwie, mówił to głośno z dobroci serca, by pocieszyć strapionego Klapperstorcha, przy którego galerii nie było gapiów ani na lekarstwo. Natomiast więcej niż 10 osób podziwiała stoisko środkowe, co widząc Ramon Perez napuszył się dumnie.

— To jeszcze nic, amigo, bo dziś upał wypłoszył ludzi z ulic — rzekł. — Za to w chłodne dni istne tłumy tłoczą się przed moimi dziełami!

— Pornografia i golizna zawsze pociągają — rzekł Raphaelo niby to do siebie, lecz wystarczająco głośno, by jego słów nie zagłuszył szum aut z jezdni. — A niektóre stoiska wyglądają tutaj jak jatki ludzkiego mięsa!

Rzecz prosta, że riposta Ramona Pereza była jeszcze głośniejsza, gdy odciągał Lubora od klapperstorchowskich malowideł ku własnoręcznym.

— Podobieństwo zewnętrzne może być kolosalne, don José, jeżeli jakiś bazgracz kupi lub skradnie gotową fotografię znanej osobistości i napacykuje na tej fotce barwne rumieńce, oczy, włosy i tym podobne detale. Ale ta jarmarczna super-duper-tandeta różni się minimalnie od oleodruków i nie powinna wisieć nawet w wygódkach — perorował. — Malarz prawdziwy stara się utrwalić w portrecie przede wszystkim obraz duszy pozującego.

— Duuduszy... pan powiada? — zdumiał się wąsal. — Niewidzialnej duszy?

— Mam na myśli jego wady i zalety, jego pożądanias i awersje, jego nastroje obecne i plany na przyszłość, jego...

— A skądże portrecista może wiedzieć to wszystko, jeżeli na przykład pierwszy raz w życiu widzi nowego klienta, jak pan mnie? — wtrącił Lubor.

Zanim jednak dostał choćby minimalnego oświecenia w tej dziedzinie, z grupki gapiów wynurzyła się opiekunka tego stoiska, ładna acz nieco zbyt pulchna brunetka, i z groźną miną podsunęła Ramonowi zegarek pod sam nos.

— Burza wisi na włosku — mruknął malarz z rezygnacją pantoflarzy.

— Czy widzisz, która to godzina? — spytała ona normalnym tonem matrony witającej powrót taty, spóźniony ponad normę i cokolwiek chwiejny.

— Widzę, Amparo; blisko trzecia, lecz ja miałem ważną konferencję...

— Po której cuchniesz piwskim. Cóż za przykład dla Pedrita! Biada mi, że nie słuchała matuli, gdy ostrzegęła mnie przed malarzami...

— Ha, należało jej słuchać. Ja też nie doceniałem mądrości twej mamy — Ramon bąknął cicho, podczas gdy Ampara trajkotała dość głośno.

— Włóczysz się po knajpach w ostatnim dniu wystawy! A ja tu sama musiałam obsługiwać klientów i obliczać dzisiejszy upust od tylu różnych cen!

— Cóż z twych obliczeń, skoro niczego nie sprzedałaś — Perez snadź już zdążył przeliczyć swe dzieła na płocie i stwierdzić, że żadnego nie brakuje.

— Niczego? A to to nic? — rzekła, jakby wskazując swój obfity biust, a wyciągnąwszy spod bluzki banknot 20-dolarowy, podsunęła go malarzowi tak blisko jak przedtem zegarek. — To jest zadatek na twoje „Kamienowanie jawnogrzesznicy”! Tak je zachwalałam wikaremu i organiście naszego proboszcza, że uznali je za najstosowniejszy prezent na jakiś tam jubileusz ich księżej gospodyni. I kupili obraz za siedemdziesiąt dolarów.

— A to ci mi wspaniały wyczyn — szydził Ramon zaambarasowany, że Lubor to słyszy. — Czyż nie postanowiliśmy jeszcze w maju, Amparo, że świętej Magdaleny nie sprzedamy taniej, jak za setkę?

— I czekała na amatora przeszło miesiąc daremnie. A dziś, w ostatnim dniu wystawy, każdy chętnie sprzedaje za pół ceny. I komorne za lipiec musimy płacić w przyszłym tygodniu. Miałam więc podwójne prawo sprzedać Magdzie za pięćdziesiąt.

— Hę? Za siedemdziesiąt, mówiłaś przedtem, Amparo.

— Tobie należy się tylko pięćdziesiąt i tyle sobie jeszcze dziś zainkasujesz od wikarego, abyś miał czym nasze komorne i elektrykę zapłacić. A dwadzieścia dolarów, jakie wytargowałam nadwyżkowo, to mój zysk osobisty i tego „zieloniaka” już nie ujrzysz— odparła z

uśmiechem, chowając zielony banknot na powrót za pazuchę.

— Roztrwonisz go głupio na kosmetyki lub słodycze, co?

— Może tak, a może na odzież dla Pedrita, który chodziłby z gołym tyłkiem, gdybym ja tak dbała o dzieci, jak ty dbasz o mnie — dogryzła Ramonowi, lecz gorzej jeszcze zaboląły go dalsze jej słowa.

— Ach, prawda; musiałam przystać na żądanie nabywców, abyś bez dopłaty domalował jakieś draperie dla przykrycia nóg i reszty ciała kamienowanej jawno-grzesznicy, prócz twarzy i dłoni.

— Co takiego! — oburzył się mistrz pędzla. — Jakiś profan śmie żądać, bym zmienił autentyczny strój Marii z Magdali przed jej nawróceniem się?

— Prawdę mówiąc, Ramonie, dałeś jej strój bardziej kusy niż obecne kostiumy kąpielowe, a czyż wypada świętych pańskich tak pokazywać?

— Jestem pewny, że nie chodzili w krynolinach i frakach.

— A ja jestem pewna, że księża znają lepiej od ciebie mody damskie, jakie panowały za czasów świętej Magdaleny. Zresztą klient zawsze ma rację, to ci powie w Ameryce każdy kupiec! Jeśli klient zażąda, byś Ewie z Raju domalował samochód, to musisz to zrobić lub stracisz klienta. A nasz wikary żąda tylko...

— Tylko kotary, by ukryć piękno Ampary — w momentach rozpachy czepiały się Ramona ponure myśli i rymy. — Przecież ty, jako moja chroniczna i jedyna modelka, wiesz chyba dobrze, że pożyczyłem świętej Magdalenie najpiękniejsze partie twego ciała...

Józef Lubor, który mimo woli słyszał znaczną część tej sprzeczki, a równocześnie oglądał eksponaty stoiska środkowego, zauważył przed chwilą, że Perez „pożyczył”

sobie wdzięków śniadej Ampary do wszystkich swoich kompozycji, jakie tutaj wystawiał. Bez względu na to, czy występowały w nich szacowne postacie biblijne, czy rozpustne boginie i nimfy z mitologii greckiej, czy swawolne nowoczesne syreny na tle aut, plaży albo nocnych lokali.

Ponieważ Ramon nie chciał zakrywać tego, co uważał za najpiękniejsze dzieło przyrody, naprodukował w rezultacie taką masę nagości, że matki odpędzały dzieci od jego „ludzkich jatek” i... wracały po zapatrzonych mężów.

Natomiast oprócz jednego inwalidy nikt nie oglądał ekspozycji stoiska przylegającego do Ramonowego od południa. Składało się ono z kilkudziesięciu obrazów, których wspólnym tematem była wojna, jej okrucieństwa i tragiczne skutki, a najczęściej poszarpane trupy. Łypnąwszy okiem na nie, przechodnie odwracali głowy lub przyspieszali kroku. Chromy inwalida zresztą też wkrótce odszedł i odsłonił Luborowi widok na szczupłą kobietę, która pilnowała tego stoiska czytając książkę i siedząc na krześle ustawionym w pośrodku szerokiego tu na kilka metrów chodnika.

Nie mógł na razie zobaczyć jej twarzy, gdyż całą jej głowę zakrywał pseudochiński, stożkowy kapelusz ze słomki, chroniący przed słońcem. Lecz obnażone z powodu gorąca ramiona i nogi z sandałkami na gołych stopach były tak kształtne, że każdy esteta płci męskiej powinien był dla ich obejrzenia przystanąć na chwilę, jak ów inwalida, który udawał, że ogląda z ukosa obrazy najniżej wiszące na płocie. Lubiący akuratność Lubor zrobił i to i jeszcze więcej, aby złożyć hołd pięknu; przedefilował powolutku przed zaczytaną właścicielką tak foremnych nóżek, a potem zawrócił, ażeby podobną defiladę i inspekcję jej urody odbyć poza jej plecami.

I właśnie w końcowej fazie swych manewrów okrążających stanął jak wryty, a bezgraniczne zdumienie podniosło mu w górę jasne brwi i rozchyliło usta. Na oparciu krzesła czytającej kobiety wisiał obraz olejny, którego treść prosta i całkiem odmienna od wojennych tematów, dominujących na tym stoisku zafrapowała go momentalnie i zmusiła jego myśli do błyskawicznej podróży w czasie i przestrzeni. Długo tak stał wpatrzony, wzruszony, wstrząśnięty, wreszcie przetaił sobie oczy kulakami i podszedł bliżej.

— Czyż mnie pamięć albo wzrok nie myli? — rzekł do siebie głośno po polsku. — Toć to jest jak wykapana nasza „Mazurka”!... Do licha, mnie ani marna fotka nie została po niej na pamiątkę, a tu ktoś ma taki jej świetny portret!

ROZDZIAŁ V

Smukłonoga opiekunka ostatniego przy tym chodniku stoiska przerwała uważną lekturę swej pasjonującej książki, odwróciła głowę i spojrzała pytająco na obcego, który tak donośnie zagadał za jej plecami.

— I beg your pardon — rzekła, zmuszając się do zalotnego uśmiechu i założyła nogę na nogę tak wysoko, jak jej nakazywano czynić, gdy wśród tysiąca obojętnych gapiów na wystawie trafi się ktoś zadający pytania, czyli reflektant na kupno obrazu. — Przepraszam, czy nie zechciałby pan powtórzyć swoich słów? Byłam tak zaczytana, że nie zrozumiałam, niestety, o co pan mnie zapytał.

— Ja? Panią? — zdziwił się szczerze, lecz zaraz przyszło mu do głowy, że nie powinien zmarnować nadarzającej się sposobności do rozmowy z osobą, za której plecami wisiała niemal fotograficzna podobizna „Mazurki”. — Ano tak, chciałem panią zapytać o... o

parę rzeczy, a najpierw o cenę jednego z tych tutaj... malowideł — zaczął trochę sękaty, gdyż jeszcze nie ochłonął po wstrząsie, jakiego doznał przed chwilą.

— Dzisiaj, jak zawsze w ostatnim dniu takich wystaw, dajemy duże zniżki — brzeżek jej spódnicy znowu „zwyżkował” o cal na ślicznych nogach. — Dajemy do 50 procent rabatu od cen normalnych, wypisanych na kartkach, które tkwią w rogu każdego obrazu.

— Nie każdego, pozwolę sobie zauważyć. Na przykład przy tym, który wisi za oparciem pani krzesła, nie widzę żadnej kartki z ceną. Akurat zaś ten obrazek spodobał mi się z pewnych względów najbardziej.

— Naprawdę? Właśnie ten? — spytała jakby z niedowierzaniem, lecz jej zmizerowana apatyczna twarz ożywiła się i zarumieniła nagle. — Przecież tamte kompozycje na płócie z pewnością są znacznie oryginalniejsze i bardziej artystycznie wykonane.

— Wierzę pani. Ja nie znam się na sztuce i chociaż mój gust może kogoś śmieszyć, mnie zaciekawia jedynie ten obraz! Ale dlaczego to, kiedy go pochwaliłem, pani zaczerwieniła się po uszy? — spytał Lubor podejrzliwie.

— Bo ja go malowałam, podczas gdy tamte prace są dziełem...

— Tamte nie interesują mnie wcale! — wtrącił trochę szorstko, gdyż wytrącał go z równowagi ducha kontrast między jej jakby wyzywającym uśmiechem i pokazem nóg aż poza kolana, niemal dziecięcą naiwnością i staropanieńską cnotliwością malującą się w jej ciemnoniebieskich oczach.

— Skoro pani sama przyznała, że tamte obrazy są lepsze, to ten tutaj powinien być najtańszy z nich. Jakż zatem jest jego ostateczna cena?

— Bo ja wiem — bąknęła, zerkając na ceny tamtych prac. — Zapytam o radę sąsiadów. Proszę tymczasem odpocząć na moim krześle.

Powstała i odeszła do środkowego stoiska, a Józef Lubor mógł teraz ocenić smukłość jej sylwetki i harmonijną płynność jej ruchów. Mając niezłe ucho, dosłyszał też część życzliwych rad, jakich jej udzielała wymowna Ampara.

— Ireno, jeśli chcesz dostać ćwierć setki, bo tyle ci brak do komornego, to musisz mu najpierw zaśpiewać ze czterdzieści dolarów, abyś miała z czego opuszczać. On z pewnością będzie targował się aż hej! Choćby dlatego, by przedłużyć rozmowę z tak ładną kobietą jak ty... Albo zażądaj za obraz równą pięćdziesiątkę, by mu wypadło fundnąć ci cocktail, skoro dasz mu od niby starej ceny dzisiejszy duży rabat...

Pomimo tak fachowych wskazówek, szczupła szatynka po powrocie na swój posterunek spytała Lubora bardzo nieśmiało: — Czy mógłby pan zapłacić za mój obrazek dwadzieścia pięć dolarów?

— Acha, to jest cena normalna. A mówiła pani przedtem, iż w ostatnim dniu wystawy dajecie pięćdziesiąt procent upustu. Jeśli więc zapłacę dwanaście i pół dolara, stanę się właścicielem tego obrazu, tak?

— Tttak — przystała z ciężkim sercem, starając się ukryć swoje wielkie rozczarowanie, że otrzyma tak małą sumkę, choć tyle ma starych długów i nowych potrzeb.

— Żartowałem tylko, by naszą rozmowę przedłużyć zgodnie z przepowiednią pani sąsiadki. Bardzo nie lubię, jeśli ktoś chciwy czy skąpy próbuje wytargować cenę za moje produkty grubo niższą od tej, jakiej ja zażądałem, a „nie czyń drugiemu co tobie niemiło” mawiają w moim kraju.

— Czy to znaczy, że pan nie chce tego kupić? — teraz zmartwiła się jeszcze widoczniej niż przed chwilą.

— Chcę i to bez wyzysku. Ponieważ pani wyceniła swój obraz na ćwierć setki, zapłacę tyle natychmiast. A może i dołożę coś ekstra, ale wszystko to pod jednym warunkiem!... Nie, nie, pod takim: proszę nie posądzać solidnego farmera o jakieś płóche donżuańskie zachcianki — dodał z naciskiem, spostrzegłszy w mig, że na jej twarzy wyraz radości i wdzięczności zniknął równie szybko jak się pojawił i że jego miejsce zajęło wstydlive zakłopotanie gęsto przetykane strachem. — Mój jedyny warunek dotyczy tylko pani obrazka i jego, że tak powiem, genezy. Co skłoniło panią do wyboru właśnie takiego, a nie innego tematu? Wśród jakich okoliczności to nastąpiło? I kiedy? Jak dawno temu?

— Dlaczego pan chce to wiedzieć? — spytała jakby z niechęcią czy z nową nieufnością. — O co panu idzie właściwie?

— O zaspokojenie mej nader usprawiedliwionej ciekawości. Ja... znałem dom, który pani tak ładnie i wiernie uwieczniła farbami na płótnie. Czy wobec tego zechce pani odpowiedzieć szczerze na kilka moich pytań?

— To zależy j a k i e będą pańskie pytania.

— Proste. Na przykład takie jak to: czy pani urodziła się w Polsce lub gdzieś blisko Polski?

— Nie. Tylko moi rodzice pochodzili z Europy, skąd wyemigrowali rychło po swoim ślubie. Ponieważ ja urodziłam się już tutaj, podobnie jak całe moje nie-szczęsne rodzeństwo, jestem formalnie i faktycznie Amerykanką...

— Ale może spędziła pani jakiś czas w Polsce, co? — ciągnął dalej Lubor.

— Nie — odparła stanowczo. — Podczas jedynej mej bytności w Europie mieszkałam krótko we Francji i długo, bo kilka lat, w Niemczech. Nigdzie indziej, jeśli nie liczyć krótkich wycieczek stamtąd do Austrii, Szwajcarii i do północnych Włoch.

— Jakim więc cudem zdołała pani sportretować czy odtworzyć tak dokładnie dom, który stał w Polsce, dopóki nie spłonął doszczętnie?

— Skąd pan wie, że to ten sam dom? Może tylko podobny?

— Masz rację, Irko — wtrąciła Ampara, która przed chwilą dotarła do nich i słyszała całą rozmowę. — Każdy dom jest podobny do wielu innych domów. Także w Ameryce budynki są na jedno kopyto, z wyjątkiem drapaczy chmur i gmachów publicznych. Często w nowych dzielnicach wszystkie domki są bliźniaczo jednakowe, tak że kochankom trudno wieczór trafić do gniazdka, jeśli tam je mają.

— Słyszałem o tych pomyłkach w adresie kilka wesołych anegdot — rzekł Lubor, znów ścierając pot z czoła i dziwiąc się, czemu wypite piwo tamtędy zeń paruje. — Również w Europie zdarzają się architektoniczne podobieństwa budynków w krajach o tym samym klimacie. Jednakże ten dom...

Ale Ampara wolała mówić niż słuchać; odebrała mu więc głos w pół zdania, osładzając ten nietakt najbardziej czarującym uśmiechem.

— Zatem Irenka mogła w Niemczech wybrać sobie na temat do swego pejzażu obiekt, który przypadkowo miał duplikat albo nawet wiele odpowiedników w krajach sąsiednich — rzekła, trzepocąc małym wachlarzykiem tak misternie, by przyciągał błękitne oczy blondyna ku jej kuszącym ustom i pełnemu biustowi, a zakrywał czarną brodawkę pod brodą.

— Skoro nawet najponętniejsza kobieta miewa

naśladowczyni i rywalki, czyż zwykły dom nie mógł mieć duplikatu?

— Mógł. Ale różniłyby się na pewno jakimś szczegółem budowy albo kolorami, albo tłem. A tutaj... okna, balkony, facjatki, kominy, wysoki dach z małym tarasem przy maszcie na flagę, stare drzewa po bokach, ozdobne drzwi w środku, przed nimi kamienny chodnik... wszystko, absolutnie wszystko zgadza się co do joty z oryginałem, z pierwowzorem, który utknął mi w pamięci na zawsze... Ten dom miał swoją nazwę wyrytą nad drzwiami, prawda? — Nie panując już nad wzruszeniem, Lubor schwycił obie dłonie Ireny i silnie potrząsnął nimi — Mów pani! Miał?

— Tak. Były tam dwa wyrazy. „Willa” i nazwa której nie pamiętam.

— Czy nie „Mazurka”? — podpowiedział skwapliwie.

— Jakkolwiek się to wymawia — powiedziała Irena po namyśle — właśnie tak był napisany ten drugi wyraz nad bramą. Na pewno tak! Przypomniałam sobie narzeczcie, że zaciekawił mnie ów napis, tak maleńki, że nieczytelny gołym okiem. Wzięłam więc silnie powiększające szkło i przez nie odczytałam go w końcu.

— Odczytała to pani, na czym?

— Oczywiście na fotografii. Zresztą nie tylko ta fotka służyła mi niejako za model do szkicowania krajobrazu, którego w naturze nigdy nie widziałam. Skoro zaś nawet znani portreciści pomagają sobie w pracy fotografiami, czemuż by początkująca pejzażystka nie miała tego zrobić od czasu do czasu?

— Oczywiście. Lecz w jaki sposób fotografia willi «Mazurka», zbudowanej i podczas wojny zburzonej w Polsce, dotarła do Ameryki i znalazła się w pani

posiadaniu? Gdzie ją pani dostała lub od kogo pożyczyla? I kiedy?

Coś ubodło ładną szatynkę, może natarczywość jego tonu i spojrzeń, albo zbyt mocne ściskanie jej chudych rąk, gdyż nagle uwolniła je stanowczym ruchem i zrobiła minę najbardziej oziębłą, jaką potrafiła.

— Powiem panu szczerze, że dość mam tej indagacji wyglądającej na śledztwo — wycodziła, usiłując mówić wyniośle, co jej też nie wychodziło. — Panu widocznie wcale nie zależało na kupnie mego obrazu?

— Burza wisi na włosku — bąknęła Ampara, zadarłszy głowę do góry, a spojrzenia jej zielonych oczu oscylowały zręcznie pomiędzy jeszcze gładkim niebem a już zwichrzoną jasną czupryną, z której Józef Lubor narreszcie zdjął cyklistówkę, żeby używać jej jako wachlarza. Czyż można oprzeć się człękowi, który ma tak prześliczne blond włosy i to własnego chowu, niefarbowane? — zapytała niezawodną swą intuicję, oczywiście szeptem.

— Ależ wręcz przeciwnie, czyli owszem, a nawet ogromnie — blondyn zapewniał Irenę uroczyście, acz stylem nieco zawyłym. — Na dowód zaś, jak bardzo mi zależy na tym pejzażu, już płacę zań gotówką! Skoro w Ameryce sprzedają na raty auta, domy i meble, to obrazki chyba też, co? No a ja wyczuwam, iż łaskawej pani wściekle potrzebna gotóweczka, więc takową niniejszym kładę na stół...

Stół zastąpiło krzesło, na którego oparciu zawiesił swą cyklistówkę, by mieć ręce wolne. Potem wyjął z kieszeni portfel pękato wypchany zielonymi banknotami, co prawda tylko jedynekami i piątkami, ale wyglądał on okazale, jak nabita setkami kabza gangstera. Wcisnąwszy w dłoń Ireny 4 piątki i 5 jedynek, zażądał dla swojej księgowości kwitu na tych dol. 25, co ją znów uraziło.

— Kwit z kiermaszu? Pierwsze słyszę! — syknęła. — W takim razie ja proszę o pański adres dla naszej buchalterii.

— Ufff, mam cudacznie sylabizować po angielsku? Przy tym upale? To już wolę stracić jedną z moich najnowszych wizytówek tutejszych.

Wręczył jej olbrzymią kupiecką wizytówkę, która oprócz jego nazwiska, adresu i telefonu zawierała spis głównych produktów rolnych i ogrodniczych, jakie jego farma na Long Island w odpowiednich sezonach sprzedawała „po cenach hurtowych”. Zarówno ta jego drukowana autoreklama, jak i cyklistówka znalazły się wnet w pulchnych łapkach Ampary, które bardzo rzadko zdołały oprzeć się pokusie dotknięcia, obmacania, zważenia i zbadania materiału każdego interesującego przedmiotu w ich zasięgu. Tylko konwenans jeszcze obronił przed tymi ciekawymi palcami jasne wąsy i włosy Józefa Lubora.

Podczas gdy Ampara oglądała podszewkę cyklistówki, a Irena wypisywała kwit, Ramon podszedł do swego najświeższego amigo z miną niezahartowanego jeszcze męczennika. Zaraz też zaczął narzekać na „obłudę profanów i świętoszków”, którzy jakoby spośród podobizn wszystkich świętych pańskich najczęściej nabywają obrazy ze św. Magdaleną, zapewne dlatego, że „frymarczyła swym ciałem tyle lat”; ale gdy on, Ramon Perez, tak artystycznie i realistycznie uwiecznił scenę kamienowania i nawrócenia się jerozolimskiej kurtyzany, ci sami profani dokonują „wandalskiego zamachu na sztukę”. Czyli każą mu zakryć jakimisź zasłonami najpiękniejsze fragmenty arcydzieła, które kupili za cenę wprawdzie haniebnie niską, lecz mogącą mu zapłacić komorne, gaz i elektrykę za cały miesiąc. Cóż zatem ma począć on, spadkobierca talentu Rubensa?

— Ano, czyń pan tak, żeby wilk obłudy był syty i owca pańskiego realistycznego malarstwa niepożarta — odparł Polak, mrużąc oko filuternie. — Czyli domaluj pan biblijnej jawnogrzesznicy biustonosz i dessous albo kieckę i wszelką inną garderobę, jakiej nabywca obrazu zażądał, ale zrób pan wszystkie te szaty dość... przeźroczyste, ot jakby z woalu czy z tiulu.

— Salomonie! Studnio praktycznej mądrości! — wrzasnął ucieszony Ramon tak głośno, że prócz przechodniów obejrzał się w tę stronę nawet obrażony nań rywal Klapperstorch, choć bardzo był właśnie zajęty przekonywaniem paru podpitych majtków, że powinni kajuty na swym okręcie ozdobić barwnymi podobiznami gwiazd ekranu i Einsteina.

W podzięcie za tak genialny pomysł, amigo mio, portret ci zrobię, nie pod grdykę, jak planowałem, ale po pępek! Mało? Do kolan! Aż do pięt! Jeszcze mało? Jeszcze wciąż chwiejesz głową?

— A czym mam chwiać skoro znów nie dajecie mi gadać? Mam do pana całkiem inną prośbę...

— Jaka, don José? Dam ci nawet pół królestwa, jak zdaje się krzyzczyć król Herod w mojej wersji tańca Salome bez siedmiu szali. Krótko mówiąc, uczynię wszystko czego pan zażąda. Tylko forsy nie pożyczę, bo sam jej nie mam.

— Słuchaj pan — Lubor ujął małego malarza pod pachę i odciągnął go trochę na bok, a z drugiej ręki już nie wypuszczał kupionego za 25 dolarów obrazu. — Chcę fundnąć wam obojgu obiad pierwszej klasy, lecz zróbcie tak, aby pani Irena też poszła z nami. Koniecznie! Ja muszę wycisnąć z niej prawdę o genezie tego tu płótna.

— Dlaczego, człeczko? Ono nie zniknęło z Luwru, ani z Prado, ani z żadnego innego muzeum w Europie.

Irenka malowała go własnoręcznie, ja rękę, ja, drugi Rubens! A temat? No cóż, dom, zwykły ładny dom albo raczej willa.

— Tak, tak, ale w tej willi została cała moja rodzina, gdy wybuch wojny zaskoczył mnie, wówczas żeglarza, hen, daleko od ojczyzny — odparł Józef Lubor posepnie. — Kiedy zaś po wojnie... służąc już na trzecim statku, bo pierwsze dwa pode mną naziści utopili... dotarłem do polskich wybrzeży, z willi „Mazurka” ani nawet zgliszcza nie zostały, a po mojej rodzinie słuch wszelki zaginął... Oto dlaczego interesuje mnie ogromnie przeszłość tego tutaj obrazka i jego małomówniej twórczyni!

ROZDZIAŁ VI

Wobec naprężenia stosunków towarzyskich pomiędzy Klapperstorchami a Perezami, których synek Pedrito tak boleśnie z procy postrzelił czworonożnego ulubieńca tych pierwszych, wprost nie wypadało prosić mistrza Raphaela, ażeby prócz swojej galerii znakomitości pilnował aż dwóch sąsiednich stoisk. Ktoś zatem musiał pozostać przy nich, czyli poświęcić się i zrezygnować z zaproszenia szczodrego Polaka, Józefa Lubora. Ale kto?

Ampara rozstrzygnęła wielkodusznie, że zaszczytną rolę altruisty, poświęcającego się dla wygody innych, odegra za nią ojciec rodziny, Ramon. Także i dlatego, że tylko on może dokonać zmian i poprawek we własnym arcydziele. A ponieważ nabywcy tegoż mają zjawić się przy stoisku jeszcze dzisiaj, między nieszporama a zachodem słońca, powinien by on wziąć się do roboty natychmiast! I nie wypuszczać z dłoni pędzla ani palety, dopóki nie zawoaluje świętej Magdalenie wszystkiego,

co młody ksiądz wikary i stary organista uznali za zdrożne dla wstydlivych oczu proboszcza i jego gospodyni.

Tak zdecydowała Ampara, od której wyroków nie było apelacji dla członków rodu Perezów. Rad nierad musiał więc Ramon tkwić na posterunku przy stoiskach, podczas gdy tamci troje poszli sobie na dobry obiad, który miał być silnie zakrapiany dla oblania komercyjnalnych sukcesów dwojga malarzy i ich świeżej znajomości z polskim farmerem.

Lubor sądził, że panie zaprowadzą go do najbardziej luksusowej restauracji w ich dzielnicy, Greenwich Village, sam poniekąd upoważnił je do tego.

Tymczasem jednak wybrana przez Amparę włoska jadłodajnia, będąca w symbiozie z barem po jednej stronie, a ze sklepem delikatesów po drugiej, wyglądała skromnie jak lokale gastronomiczne 3, klasy, choć zwykle Pizzeria, Rôtisserie, Brauhaus i Chinese Restaurant zaliczane są do 2, klasy. Proporcjonalnie też do kraciastych obrusów, papierowych serwetek i starych wentylatorów elektrycznych zamiast aparatów oziębiających powietrze, nader przystępne były ceny potraw, podobnie jak i ceny trunków o długich i francuszczyzną upstrzonych nazwach, wydrukowanych na ośmiu kartach w oprawie tak ciężkiej, że jedno dobre palnięcie nią w głowę mogłoby wytrzeźwić zalanego w drobny mak klienta.

W żeglarskim okresie swego żywota żądny wiedzy Józef Lubor badał restauracyjne życie tubylców w każdym porcie, do jakiego jego statek zawinął. Miał więc sporo doświadczenia w tej dziedzinie i paroma dyskretnymi rzutami oka we właściwych kierunkach dobrze ocenił umiarkowanie tej jadłodajni. I umiarkowanie Ampary! Apatycznej Irenie było obojętne, gdzie zjedzą obiad i zadecydowała o tym Ampara. Skoro zaś

przyprowadziła go tutaj, musiała chyba być żywym przeciwieństwem amerykańskiej „kopaczki złota”, która nie wypuści ze swych szponów mężczyzny, póki nie „wykopie” z jego kieszeni, szuflad czy kont w bankach ostatniego dolara.

— Jakaś wyjątkowo niechciwa i pocziwa modelka — zamruczał po polsku, patrząc rzewnie na niskie tu ceny cocktaili.

Widząc, że wszyscy tutaj witają Amparę jak dobrą znajomą, a właściciel lokalu poklepuje ją przyjaźnie, spytał Lubor, czy bywają tu często.

— Irenka bardzo rzadko, ale ja chyba więcej niż dwieście razy na rok — odparła pulchna brunetka, znów demonstrując w uśmiechu zęby olśniewająco białe i równe, choć zdaje się jeszcze własne. — Ilekroć u Ramona krucho z pieniędzmi, ja spędzam wieczory tutaj... w celach zarobkowych... Nie!

Senor już nie zdoła chyba podnieść brwi wyżej ze zdumienia czy zgorzzenia, zwawo więc wyjaśniam, że pracuję tu głównie w barze, jako pomocnica barmana, lub zastępuję szefa przy kasie. Ale teraz jest lato, zastój w interesie, wakacje, czyli dwa razy więcej roboty mam u siebie w domu i w studiu.

— Ach, tak — Lubor odsapnął z ulgą i zamówił cocktail.

— Całkiem miły i chłodny lokalik, prawda? — zwrócił się do zamyślanej Ireny.

— Bardzo miły, a jedzenie znakomite! — Ampara znów ofiarnie wyręczyła innych w mówieniu. — Toteż ilekroć señor będzie nudził się bez towarzystwa albo będzie chciał przyjaciół uraczyć smacznym obiadem, proszę przybyć tutaj, do restauracji mego szefa, pana Cavatappi. Ja już osobiście dopilnuję, żeby pan został doskonale obsłużony pod każdym względem. Pod każdym!

Pan Cavatappi, wbrew swemu nazwisku wcale nie do korkociąga podobny, lecz raczej do beczki z melonem na górnym jej denku, przytakiwał entuzjastycznie tym wywodom i z czcią i szacunkiem zapisywał na bloczku papieru wybrane przez gości potrawy, z miną tak słodką jak doradzany przezeń deser, czyli lody tutti frutti, oblane czekoladowym syropem i bitą śmietaną. Wręczywszy Luborowi reklamową wizytówkę swoich trzech pod wspólnym dachem przedsiębiorstw, upoważnił Amparę, by „w największej tajemnicy” wyjawiała swoim przyjaciółom, jakie asy cyganerii i mecenaszy sztuki miewają tutaj schadzki, oczywiście w sezonie, a nie teraz, latem.

Oglądając otrzymaną właśnie wizytówkę, na której wymienione były też takie specjały pana Cavatappi jak lasagna, pizza, ravioli e spaghetti... koniecznie al burro e Parmigiano, na maśle i z parmezanem — zastanawiał się Lubor, czy wygadana Ampara wybrała tę jadłodajnię tylko dla ujęcia tym sobie sezonowego pracodawcy, czy też z innej przyczyny.

— Może ona przyprowadziła mnie tu głównie dla tego, abym wiedział, gdzie mógłbym widywać ją w przyszłości samą, bez udziału jej kibiców rodzinnych czy sąsiedzkich? Ej, Amparo, Amparo, nie bądź Putyfarą dlatego, że mnie także Józef na imię — rzekł do siebie z humorem, gdy panie wyszły umyć sobie ręczki i przypudrować noski.

Kiedy odświeżone wracały do stolika przy oknie, mężczyźni obecni na sali spojrzeli na nie wzrokiem myśliwych zelektryzowanych widokiem wyłaniającej się z dżungli zwierzyny, barman za otwartymi bocznymi drzwiami baru gwizdnął szelmowsko, a Józef Lubor, grzecznie powstawszy orzekł w duchu nieomylnie, że obie warte są grzechu, choć tak bardzo różnią się wzrostem, typem urody i usposobieniem.

Najmniej różniły się wiekiem, gdyż jedna i druga wyglądała na 30 lat przedtem, na 25 teraz, po odświeżeniu makijażu.

On sam, choć był już po czterdzieście, lecz wyglądał znacznie młodziej, czuł się „stuletnim staruszkiem” odkąd ujrzał podobiznę „Mazurki” przypominającą mu, jak wiele stracił na skutek wojny. Czytał gdzieś, że nic tak nie odmładza mężczyzny, jak nowy flirt, ale z którą grzechu wartą kobietą miał poplirtować tutaj?. Niewątpliwie łatwiej poszłoby mu z rozmowną i zalotną Amparą, lecz tylko Irena знаła lub mogła znać pasjonującą go zagadkę „Mazurki”. Dlatego postanowił dziś emablować wyłącznie tę małomówną szatynkę.

Szło mu to opornie, choć po trzech kolejkach cocktailu osuszyli przy obiedzie jeszcze butelkę czerwonego wina Chianti, a koniakiem „ilustrowali” picie kawy. Jednak ani alkohol, ani komplementy męskie, ani dowcipy recytowane przez Amparę, ani arie operowe z doskonałego patefonu, gdzie płyty wybierał sam Fortunato Cavatappi, muzykalny jak 90 proc. Włochów, nie zdołały wyrwać Ireny z apatii. Nie zanosilo się na to, aby zaczęła w trakcie tego krótkiego nowojorskiego obiadu paplać jak jej przyjaciółka.

Gorączkowy pośpiech nowojorczyków kwitnie bowiem także w ich restauracjach, zwłaszcza w dni powszednie, koło Wall Street i w okolicy dworców.

Fortunato Cavatappi wyrozumiały dla swoich klientów, nie pozwalał obsłudze ponaglać ich do pośpiechu, jeśli jedli nie na sucho, lecz zamawiali także trunki. Pomimo to, choć kelnerka Henrietta chwilowo nie miała w swym rejonie innych gości, nie upłynęło ani 45 minut gdy biesiada zafundowana przez polskiego farmera była kompletnie skończona i, zdaniem doświadczonej w tych sprawach Ampary, nie

wypadało im nadal wygrzewać krzesel, które następni klienci z pewnością woleliby zastać chłodne przy dzisiejszym upale.

Upał zaś, jak świadczył termometr umieszczony na zewnątrz szczelnie zamkniętego okna, wzmógł się po południu jeszcze o 3 stopnie i doszedł do 96! Oczywiście tylko według skali Fahrenheita, z którego przestarała podziałka konserwatywnym Anglosasom tak samo trudno rozstać się do dzisiaj, jak z calem, stopą, łokciem, jardem, sążniem, milą, funtem, uncją, pintą, galonem i tym podobnymi przedpotopowymi miarami i wagami.

— Cierpię na myśl, jak gorąco jest na ulicy i jak będę pocił się po tyłu trunkach — westchnął Lubor, gasząc pragnienie już trzecią szklanicą wody z lodem. — A może by ochłodziła nas krótka wycieczka nad morze? Moje auto stoi zaparkowane o dwa bloki domów stąd... o ile go jaki smarkacz nie ukradł, tfu, na psa urok! Gdyby więc panie reflektowały na parogodzinną przejażdżkę ze mną, to...

— Z największą przyjemnością! — wtrąciła Irena; nareszcie ożywiła się i rozpromieniła.

— Moja nagła i niepoważna radość dziwi pana zapewne. Jej powód jest bardzo prosty; od kilku lat nie mam auta, nigdy nie wyjeżdżam za miasto, dawniej zaś miałam swój samochód.

— To świetnie. Biegnę po wóz i za chwilę przyjadę tu po panie.

Gdy Lubor wyszedł, zapłaciwszy przy kasie należność, Ampara Perez spojrzała na zegarek i stwierdziła że dochodzi czwarta i zaczęła obliczać półgłosem, ile czasu jej pozostało. Ramon latem lubił jeść główny posiłek bardzo późno, dopiero koło dziewiątej wieczór, podczas gdy inni Amerykanie zasiadają do obiadu zwykle między piątą a siódmą.

Jeżeli głód przyparł go wcześniej, co zdarzało się mu zwłaszcza podczas ulicznych wystaw malarskich, „oszukiwał brzuch” porcją lodów albo butelką równie lodowatego napoju.

O Ramonka mogę nie troszczyć się jeszcze parę godzin — uznała Ampara — ale z naszymi dziećmi sprawa nie jest tak prosta.

Pozwoliła dzieciom pojechać kolejką podziemną do swej kuzynki Guadelupy, która mieszkając w południowej części murzyńskiego Harlemu, miała blisko Central Park, a w parkach miejskich potomstwo proletariatu czuje się najlepiej w soboty, niedziele i święta, gdy postrojone paniczki bawią z rodzicami za miastem. W dni wolne od szkoły Pedrito i Jacinta wracali od ciotki Guadelupy dopiero wieczorem i już najedzeni jak tuczone gęsi.

Ale tej niedzieli wszyscy „prorocy” z Amparą na czele krakali, że burza wisi na włosku. Jeżeli choć raz zażrmi lub nagły podmuch wiatru zaszumi wśród liści, taka typowa kwoka jak Guadelupa natychmiast wypędzi dzieci, wsadzi je do podziemnego expressu i za niecały kwadrans będą z powrotem w Greenwich Village.

Krótko mówiąc, Jacinta i Pedrito mogą dziś wrócić do domu znacznie wcześniej niż zwykle. Ba, mogą powrócić każdej chwili, choć ten wściekły upał dzisiejszy musi wywołać już wkrótce choćby jeden szkwał. A jeśli dzieci przyjadą prosto z parku, to będą głodne, zatem usposobione do płatania figli i psot sąsiadom, zwłaszcza zgryźliwej Klapperstorchowej, która jest prawą ręką kamienicznika, jeśli nie czymś więcej...

— Ze względu na dzieci, ja muszę wrócić do domu zaraz — zdecydowała Ampara, ale ty, Irko, skorzystaj z rzadkiej okazji i przejedź się autem koniecznie. Nie marszcz czoła, kochanie: wiem, że wolałabyś, abym ja

była z wami i ja też wolałabym ochłodzić się nad oceanem. Niestety, ta przyjemność jest dla mnie niedostępna dzisiaj, a temu pocziwemu Polakowi nie możemy zrobić obie zawodu! Bądź co bądź fundnął nam wspaniały obiad i obraz kupił bez targów... od ciebie.

— Racja, racja. Czyż jednak to... bezpiecznie pojechać sam na sam z nieznanym mężczyzną, który...

— Nie jest nam już nieznan, mamy przecież jego nazwisko, adres i telefon tutaj — Ampara triumfalnie potrząsnęła dużą wizytówką Lubora.

— Nazwisko, jeśli nawet prawdziwe, niewiele nam mówi.

— Za to jego pocziwa facjata mówi, woła, krzyczy, że to człek uczciwy, spokojny i przy tym rycerski caballero, który nawet nie wyciągnie kobiety bez jej zgody. Może pozwolenia na piśmie zażąda, jak kwitu za obraz? Słowem, safandula, z którym nie ma co liczyć na romantyczną przygodę.

— Nie szukam przygód nigdy.

— Szkoda, że nie, Irenko. Twój Maks nie poniewierałby tobą tak okropnie, gdyby czuł, że masz wielbiciele...

— Nic podobnego. On nieraz mówił, że gdybym uciekła od niego albo kark skręciła, znalazłby sobie inną kobietę, którą ujarzmiłby w mig i przerobiłby na niewolnicę jeszcze potulniejszą niż ja.

— Wszystko zależy od kobiety. Mnie by tam nikt nie ujarzmił, choćby mu diabeł pomagał! — przechwalała się Ampara, trochę lekkomyślnie prowokując szacownego diabła czy los. — I wygarnę Maksowi coś do słuchu, jeśli on zapyta o ciebie!

— Nie, nic mu nie mów o mnie. Piekliłby się z tydzień nie o to, że z kimś pojechałam na spacer, ale o to, że nie stałam przy jego obrazach.

— Masz rację, Irenko. Zresztą wątpię, żeby w ogóle musiała z nim rozmawiać. Przecież Maks maluje tylko przed południem, potem zawsze śpi do późnego wieczora, a wymyka się na miasto dopiero nocą... To wszyscy sąsiedzi już wiedzą — dodała, skromnie przemilczając, iż wiedzą dzięki jej pracowitemu językowi.

— Wszyscy już o tym wiedzą? — Irena starała się uśmiechem zdziwienia pokryć nowy przyływ starego swego rozgoryczenia, którego głównym sprawcą był Maks. — No proszę, wszyscy wiedzą, a ten optymista sądzi, że nawet ja śpiam tak twardo, iż nie słyszę, jak on po ciemku wymyka się ze studia. Albo jak chyłkiem wraca dopiero nad ranem...

— A ty jeszcze nie wiesz skąd? Nie wiesz naprawdę? Ach, jaka szkoda! — wyrwało się Amparze, rozumującej zapewne, że powinni wiedzieć sąsiedzi, gdzie kto siedzi po nocach. — A czym Maks pachnie, gdy wraca? Cygarami czy kosmetykami, opium, czy jeszcze czymś innym? Po zapachu można by rozpoznać, czy on całe noce spędza przy kartach, czy...

— Nie wiem, jak spędza noce i nie będę tego dochodziła, skoro on sam tego nie wyjaśnia, kobieca duma nie pozwala mi pytać go o to.

— A pruderia radzi ci udawać, iż w ogóle nie wiesz o jego tajemniczym wymykaniu się z domu co drugą noc...

— Gdyby nie ta pruderia, miałabym teraz poważne skrupuły, czy ja mogę cokolwiek zataić przed Maksem. Ponieważ zaś uszanowałam jego sekret tyłu całonocnych eskapad, wolno mi nawzajem, sądzę, zachować przed nim w tajemnicy tę dwugodzinną przejażdżkę autem w biały dzień z panem Luborem. Wolno mi, prawda?

— Oczywiście, Irenko! Wolno ci znacznie więcej w

odwet za postępowanie Maksa. Toteż jeśli po przejażdżce wyłoni się dancing lub romantyczna sielanka, nie przerywaj sobie zabawy. Ja zdejmę ze sznurów na dachu twoją bieliznę wraz z moją, a Ramon przywiezie do domu wasze obrazy razem ze swoimi. W razie potrzeby, oboje poświadczymy wobec Maksa, żeś poszła na ostatni program do kina z moją kuzynką Guadelupą, że jej zrobiło się słabo z gorąca i uprosiła cię, byś została u niej na noc. Zatem możesz wrócić późno, nawet jutro...

Ponieważ za oknem ujrzały nadjeżdżającego Lubora, powstały od stolika i skierowały się ku głównym drzwiom restauracji.

— Dziękuję ci za dobre chęci — by nie urazić przyjaciółki, Irena udawała, że bierze jej rady na serio. — Może takie alibi przyda mi się kiedyś. Ale na razie późny powrót nie grozi mi na pewno; ten wąsaty Polak mówił, że jest farmerem, a rolnicy podobno chodzą spać z kurami.

— A sądzę — Ampara frywolnie wskazała swoje i Irene odbicie w lustrzanej ścianie — że przy czułym sam na sam z tobą albo ze mną nawet najgorszy śpioch wśród farmerów nie zasnąłby aż do wschodu słońca!

— Mogę zapewnić cię uroczyście, że wrócę dzisiaj, i to jeszcze na długo przed zachodem słońca!

Zwyczajem ludzi uczciwych i solidnych Irena zawsze dotrzymywała przyrzeczeń, nawet danych tylko sobie. Co prawda, także uczciwi i słowni mogą się czasem spóźnić, choć na ogół niepunktualność jest jedną z rozpoznawczych cech egoistów i zarozumiałców płci obojga, potrzebujących bez liku czasu na zabiegi o swój wygląd zewnętrzny, którym chcą zasłonić swój brak mózgu lub serca. Nie będąc ani egoistką, ani próżną lalką, odznaczała się Irena punktualnością niezwykłą jak na mieszkańca dzielnicy cyganerii. Skoro zatem

obiecała wrócić dziś przed zachodem słońca, każdy, kto ją znał w Greenwich Village, byłby założył się o pięć dolarów, że i tym razem dotrzyma słowa.

No i nieborak przegrałby dziś taki zakład. Nie z winy Ireny oczywiście, lecz wyłącznie przez nieuczciwą interwencję kibicujących przy zakładzie żywiołów, o których potężnych możliwościach zapomniano.

ROZDZIAŁ VII

Józef Lubor ucieszył się tak, że omal nie krzyknął z radości nietaktownie, kiedy modelki oznajmiły mu, że tylko jedna z nim pojedzie i że tą jedną będzie właśnie Irena. Z wdzięczności za nieoczekiwaną dezercję szarmancko ucałował dłoń Ampary, co w oczach przechodniów zdemaskowało go natychmiast jako Europejczyka. Obiecał odwiedzić w sezonie lokal, w którym ona wówczas pracuje, a teraz chciał ją odwiedzić do stoiska Pereza albo do jej mieszkania.

— Nie, nie, dziękuję — odparła — zanim wrócę do domu, muszę załatwić coś ważnego, a to opóźniłoby wasz odjazd.

Irena już siedziała w aucie, obok miejsca kierowcy. Zbadawszy, czy prawe drzwiczki dobrze za sobą zamknęła, Lubor obszedł wóz, wsiadł z lewej strony i jeszcze wychylił się z okna, by pozdrowić miłą towarzyszkę.

— Adiós, dona Ampara!

Tą wersją pożegnania oczarował ją prawie tak jak pocałunkiem w rękę, toteż odpowiedziała mu jak umiała wyrazem twarzy i zalotnych zielonych oczu, że z

wdzięczności pocałowały go w same usta, gdyby to wypadło zrobić na ulicy, w dzielnicy, gdzie wszyscy wiedzą, kto jest kim, a ona cieszy się przecież opinią cnotliwej matrony.

— Adios, don Jose! Hasta la vista! Do zobaczenia się! — rzekła śpiewnie, uczuciowo, a potem mrugnęła filuternie na przyjaciółkę. — Pa, Iruś! Baw się dobrze. Do jutra...

— Żadne jutro! Do widzenia dzisiaj! Przed zachodem słońca — syknęła Irena, poirytowana nie tyle przekornością Ampary, ile tym, że Polak słyszał to jej życzenie długiej zabawy. — Możesz nie zbierać mej bielizny, ja sama to zrobię za parę godzin! — podkreśliła. Chciała jeszcze coś mówić, ale samochód już ruszył.

Ilekoć auto po jakimś postoju przy chodniku rusza z miejsca w amerykańskim mieście, roztropny kierowca zerka do lusterka nad swą frontową szybą, żeby zobaczyć zawczasu, czy nie pozostawił na jezdni czegoś, co mu własny wóz przedtem zasłaniał. Pół biedy, gdy zobaczy tylko rozbite jajka i butelki z mlekiem, które właśnie wyleciały mu ze źle zamkniętego bagażnika. Większy kłopot i koszt wynika, jeśli ujrzy tam zmiążdżonego kota lub szczeniaka; niestety, pod stojące przy chodniku auta lubią też sięgać małe dzieci, by odzyskać piłkę czy inną zabawkę, która się tam przypadkiem dostała.

Józef Lubor zerknąwszy do górnego lusterka, nie dostrzegł jednak niczego, nawet starej zabawki umyślnie podstawionej przez małych wymusicieli okupu, natomiast zauważył coś zgoła innego i parsknął śmiechem tak głośnym, że Irena spojrzała nań podejrzliwie.

— Mr Lubor, co pana tak z miejsca rozbawiło? — spytała zimno, choć zrobiło jej się podwójnie gorąco

po wyjściu z chłodnego lokalu na ulicę.

— Roztargnienie kobiet. Pani przyjaciółka zawróciła i weszła do restauracji, w której byliśmy tak długo... Widocznie zapomniała tam czegoś...

W jego ostatnim zdaniu wyczuła nutkę ironii. Czyżby on również domyślił się zaraz, że Ampara wróciła tam po swoją cichą prowizję od tego, co zapłacił Cavatappiemu za obiad i trunki trojga osób? Irena zastanawiała się z zażenowaniem także i nad tym, czemu Ampara krępowala się zainkasować komisowe w obecności swojej najlepszej przyjaciółki. Czy może... podobnie jak Maks... uważała ją za „tępą idiotkę”? Za niepraktyczną idealistkę, „nadziewaną” altruistycznymi i etycznymi skrupułami, które tutaj wyszły z obiegu dawniej, niż banknoty dwudolarowe?

— Nadłożę drogi, byśmy mieli ładniejszy widok i lepsze powietrze — zdecydował Lubor.

Zgodnie z takim programem, nie podążył ku plażom na przelaj przez rozgrzane ulice Manhattanu i zawył labirynt uliczny Brooklynu, lecz wybrał marszrutę okrężną, wzdłuż rzeki Hudson aż do jej ujścia, a potem wzdłuż górnej i dolnej Zatoki Nowojorskiej i południowych wybrzeży wyspy słusznie zwanej Long Island.

Musiał też trochę nadłożyć drogi, by dotrzeć do najbliższej z ramp, jakie łączą zwykły poziom ulic z wysokim wiaduktem, którego przedłużeniem jest Henry Hudson Parkway malowniczy bulwar nadrzeczny, wiodący na północ poza Washington Bridge.

Wiadukt, zwany West Express Highway, biegnie wzdłuż lewego brzegu rzeki Hudson, ponad składami towarów, placami parkingowymi i wylotami przeszło stu spośród poprzecznych ulic Manhattanu oraz stu

dojazdami do portowych basenów i magazynów, krótkim profilem zwróconych do wybrzeża, a długimi globami wdzierających się w rzekę szeroką tu na milę.

Ponieważ Lubor z Ireną jechali w kierunku południowym, tak jak płynie Hudson tworząc tam naturalną granicę między stanami New York i New Jersey, po ich lewej stronie defilowały masywne bryły wielopiętrowych składów towarowych i strzeliste iglice niebotyków Manhattanu, a po prawej zaś olbrzymie i średnie statki pasażerskie, wszystkie dziobami zwrócone do wiaduktu.

— Po jednej ręce najwyższe budynki, po drugiej największe statki świata; jedziemy wśród kolosów, prawda? — Polak znów próbował rozpocząć rozmowę, lecz jego nadobna pasażerka jeszcze wciąż wolała rozglądać się w milczeniu albo sięgać po tematy posępne.

— Kolosy także giną marnie. Od Hannibala do Hitlera! Zagłada spotkała nawet waszych bożków! — wypaliła niespodziewanie tak wojowniczym tonem, jak gdyby ktoś powtarzał w kółko coś wręcz przeciwnego i wyczerpał do dna jej cierpliwość. — Precz z kolosami!

— Ta mała piła dziś i jest wstawiona — zanucił Józef po polsku, a jednak Irena, choć twierdziła przedtem, że nie zna języka polskiego ani w ząb, zreflektowała się zaraz, iż palnęła coś ni przypiął, ni przyłatał.

— Przepraszam za moje roztargnienie — rzekła. Pan mówił przecież o olbrzymich statkach, a nie o tak zwanych nadludziach.

— Ja gawędzę chętnie na każdy temat — przyznał się samotnik.

— Powiedziałam, że kolosy giną. Dotyczy to również

statków. Nie tylko tych hen, na oceanach, jak *Titanic* i *Lusitania*, lecz także tych w bezpiecznym porcie. Przecież właśnie tutaj, choć przycumowany do mołu i ratowany przez setki motopomp nowojorskiej straży ogniowej, spłonął doszczętnie największy kolos francuskiej marynarki handlowej, *Normandie*... Dodała potem jeszcze tyle szczegółów tej dawnej katastrofy i jej wpływu na ówczesny przebieg kampanii wojennej, gdyż *Normandie* podobnie jak *Queen Mary*, mogła przewieźć naraz całą dywizję piechoty, że Lubor nie mógł powstrzymać się od wyrażenia swego zdziwienia.

— Jak na kobietę, która wtedy była podlotkiem, pamięta pani z tej dziedziny zdumiewająco dużo — rzekł. Skąd pani to wie?

— Stąd, że powtarzam jak papuga co setne zdanie z tego, czego musiałam się nasłuchać od mego... od kogoś, kto lubi studiować dzieje słynnych pożarów.

— Takie upodobania miewają najbardziej ambitni członkowie straży pożarnej albo ludzie o wandalskich skłonnościach piromaniaka, podpalacza, Nerona. Ów pani znajomy należy z pewnością do tej pierwszej grupy, co?

Najmniej 999 998 osób na milion odpowiedziałoby na to zdawkowe pytanie twierdząco, by nie przyznawać się do bliskiej znajomości z wandalami czy wariatami. Natomiast Irena, jakby pod wpływem alkoholu, zapomniała o purytańskim obowiązku upiększania brzydkiej prawdy i zaprzeczyła!

— Nie. On należy do drugiej grupy, niestety, lecz nie mówmy o tym — powiedziała ponuro przez zaciśnięte zęby. Chwilę później inna przystań przypomniała jej własną tragedię rodzinną.

— A stąd odpływałam do Europy z Rysiem, z ostatnim bratem, który jeden pozostał przy życiu z całego

mego rodzeństwa. I już biedny Ryś nie wrócił tu... Po-
dążył w zaświaty za młodszymi braćmi i rodzicami —
dokończyła łzawo.

— Taki mój pech — westchnął Józef Lubor, myśląc
równocześnie, że Irena należy do tego typu ludzi, któ-
rzy po wypiciu trunków nieco ponad normę stają się
tragicznie smutni. — Taki mój pech, że z całego serca
pragnąłem panią czymś rozerwać, rozweselić, a tu wy-
brałem na sam początek przejazdki bulwar, którego
widok budzi w pani różne bolesne wspomnienia. Ucie-
kajmy stąd co żywo!

ROZDZIAŁ VIII

Skreślił z prawej bieżni wiaduktu przeznaczonej dla
automobilistów, którzy wolą jechać wolniej, na środ-
kową bieżnię, a potem na lewą, dla „wyścigowców” i
dodał gazu. Koło rampy wiodącej w dół wiadukt zwęża
się z sześciu bieżni do czterech, po dwie w każdym kie-
runku, co w dni powszednie i wieczorem w święta po-
woduje zatory aut. Ale dzisiaj 90 proc. samochodów
bawiło za miastem. Lubor miał zatem dość miejsca, by
gładko wymijać ospałych niedzielnych kierowców.

Jadąc żwawo do śródmieścia, znalazł się wnet na
wysokości jedynej tutaj parceli niezabudowanej, a roz-
ległej tak, że można by na niej zbudować z tuzin niebo-
tyków podobnych do tych, które ją zewsząd otaczają.

Każdy metr kwadratowy parceli wart jest tutaj kil-
kanaście tysięcy dolarów, bo to teraz jeden z najdroż-
szych na świecie. Tu zaczyna się słynna Wall Street,
ulica banków, giełd, maklerów i milionerów, kierują-
cych losami nie tylko własnych okazałych fortun, lecz
również interesami milionów ciułaczy, akcjonariuszy

i jeszcze innych swoich klientów poza Nowym Jorkiem, ba, i za granicą, w kilkudziesięciu krajach.

— I taka bezcenna parcela wciąż jeszcze leży odłogiem, bo na niej leżą pod starymi nagrobkami jacyś zasłużeni snadź wobec Wall Street nieboszczycy.

W królującym nad tym osobliwym cmentarzem kościele Św. Trójcy, którego front zdobi zachodni wylot Wall Street, wyryto wśród innych złotych myśli także i znane *memento mori*.

Teraz Lubor zbliżył się do Battery Place, wspaniałego miejsca za paciorki i wódkę wycyganionego od Indian przez Holendrów i nazwanego przez nich Nowym Amsterdamem, który później Anglicy zagrabili i przechrzcili na Nowy Jork. Po forcie z armatkami różne rzeczy budowano na placu Baterii, a do drugiej wojny światowej stało tu okrągłe akwarium i brzydki dworzec czterech linii hałaśliwych kolejek nadzieimnych, dziś już kompletnie wyrzuconych z Manhattanu dzięki Bogu i burmistrzowi La Guardia.

Ostatnio ten piękny południowy cypel manhattańskiej wyspy, wciąż jeszcze zwany placem Baterii wyposażono w promenady nad wodą, park z licznymi ławkami, altanę dla kapeli i nowe przystanie dla promów i małych statków wycieczkowych. Lecz automobilista, który się spieszy, nic z tego nie widzi, bo dla skrócenia sobie drogi zjeżdża tutaj pod ziemię a później i pod wodę. Po pierwszym krótkim tunelu ma się do wyboru trzy drogi i Lubor wybrał środkową.

— Podziwiam inżynierów, gdy uświadamiam sobie, że tam, nad naszymi głowami, jest dno morskiej cieśniny! I chyba uczciwie głębokiej, skoro przecież najcięższe pancerniki i lotniskowce przepływają tamtędy do Navy Yord!

Irena potakiwała mu nieco sennie, gdyż powietrze w tunelu było duszne i przesycone wyziewami z aut.

Dziwiła się, jak mogą tu wytrzymać policjanci miejscy, tkwiący w oszklonych wykuszach lub spacerujący po wąskim ganku przylepionym do ściany tuby. Każda tuba tunelu ma tylko dwie bieżnie dla aut, jej ściany są od wewnątrz wykładane jasnymi kafelkami, liczne zaś żarówki elektryczne, ukryte w górze ścian, tak aby nie raziły kierowców, rzucają światło na sufit tuby.

— Ten tunel jest ładniejszy od tamtych starych, musi być dłuższy — zauważyła Irena, gdy po drugim zgięciu ukazał się zamiast oczekiwanego przez nią wylotu jeszcze jeden długi, prosty odcinek z łagodnym spadkiem. Z dawnego nawyku automobilistów, spojrziała na licznik milomierza, kiedy opuszczali plac Baterii, oraz ponownie skontrolowała go, gdy trzy minuty później wynurzyli się z tunelu na powierzchnię ziemi. — Tak, jest dłuższy niż Holland i Lincoln Tunnel, ma prawie równe dwie mile.

— Czyli niecałe trzy i pół kilometra — obliczył Lubor i zażartował: — zatem żądają od nas aż centa za każde głupie sto metrów jazdy!

Zrobił tę aluzję do napisów ostrzegawczych, że za jednorazowy przejazd przez tunel auto osobowe płaci 35 centów, a towarowe i omnibus oczywiście więcej.

Opłatę w tę czy w tamtą stronę uiszczą się przy wspólnej roгатce, zbudowanej po stronie brooklyńskiej, gdzie jest więcej miejsca. Przy roгатce złożonej z kilkunastu bramek i oszklonych budek dla poborców w ciemnogramatowych mundurach policji miejskiej, betonowa jezdnia rozszerza się kolosalnie. A za roгатką, dla jadących do Manhattanu, rozchodzi się ona w różne strony nie tyle świata, ile Brooklynu, zwanego popularnie sypialnią Nowego Jorku, oczywiście sypialnią tylko robotników obojga płci, a nie ich zamożnych pracodawców, mających wille zamiejskie w snobistycznym

powiecie Westchester, hen powyżej murzyńskiego Harlemu i żydowskiego Bronxu.

Pędząc z kolei głównym wiaduktem brooklyńskim, znów mieli po prawej stronie okrętowe baseny, doki i magazyny. Lecz domy dookoła były niższe niż na Manhattanie... Brooklyn ma tylko kilka niebotyków... składy na starsze towary, ulice węższe, a statki i mniejsze, i brudniejsze, wiadomo — frachtowce. Pomimo niedzieli przy kilku z nich praca wrzała i Irena zdołała dostrzec, jak wehikuły oliwkowej barwy tam się ładuje.

— Ohyda! Wstrętne! — wybuchnęła znów tak, jak przedtem z powodu wzmianki o kolosach w rodzaju Hitlera.

— A cóż tam tak wstrętnego dojrzała moja ładna pasażerka? — spytał Lubor z wyrozumiałością znawcy wpływów alkoholu na humory kobiet; prowadząc wóz dość ostro po wysokim wiadukcie, ogrodzonym niskimi poręczami, wolał nie odrywać wzroku od jezdni przed sobą. — No co, droga pani?

— To, czego nienawidzę, a czym zachwyca się mój... ktoś, kogo dobrze znam: sterty sprzętu wojennego, broni, narzędzi mordu!

— Broń może służyć i do obrony przed napastnikiem. Gdyby Polska była ongiś lepiej uzbrojona, hordy Hitlera nie zajęłyby jej za miesiąc.

— Tylko za ile? Za pół roku? Za rok? Mała różnica i pociecha. Lecz gdyby wielkie mocarstwa od początku przeszkadzały Hitlerowi w zbrojeniu Niemców, nie mógłby zaatakować ani Polski, ani żadnego innego kraju. Beczka z prochem zawsze i wszędzie może eksplodować; bezpieczna jest tylko pusta beczka — perorowała, zapalając się coraz więcej, choć przedtem była tak małowólna i spokojna. Najwidoczniej podniecał

ją temat, którego większość Amerykanek nie cierpi i unika. — Moim zdaniem, wojen nie będzie dopiero wówczas, gdy wszelka broń i nienawiść zostanie wszędzie wyklęta, zabroniona i wypłeniona.

— Czy pani jest pacyfistką z przekonania, czy może...

— Tak — przerwała mu popędliwie. — Nienawidzę wojowniczości nawet w jej powijakach, w dziecinnych strzelbach i rewolwerach. Zabawy z tymi pukawkami są zresztą jakby przedszkolem dla olbrzymiej zbrodniczości młodzieży w mej ojczyźnie. Brzydzą się więc każdą pukawką tak, że nie dotknęłabym jej ręką... A tu... taki już nasz pech dzisiaj... zobaczyłam ładowanie kilku statków czołgami, armatami i inną bronią! — mówiła coraz namiętniej i gwałtowniej. — Bronią przeznaczoną z pewnością znów dla neonazistów w Bonn, którzy marzą o nowej wojnie, o podboju zarówno Europy, jak i mej krótkowzrocznej politycznie Ameryki!!! Wiem to, bom wśród nich niedawno jeszcze mieszkała, bom jednego z nich... — urwała w pół zdania i zamilkła.

— Widzę, że pewne rzeczy mogą panią łatwo przygnębić albo wzburzyć. Czy ta impulsywność nie jest przypadkiem następstwem cocktailu i koniaku?...

— Zgadł pan — wyznała i po raptownym *decrecendo* wróciła do swego zwykłego sposobu mówienia, cichego, łagodnego i trochę monotonnego.

— Przepraszam za nudną tyradę, ale jeśli mamy uniknąć następnej, jeżeli pan rzeczywiście chce mieć we mnie dobrego kompana i chce mi dać radość, jakiej nie zaznałam od paru lat...

— Chcę! — wtrącił skwapliwie. — Jasne, że chcę!

— To proszę pozwolić mi prowadzić wóz! Nie rozbiję go na pewno! Mam za sobą ponad sto pięćdziesiąt

tysięcy mil samodzielnego prowadzenia różnych aut. Nabrałam więc chyba sporo wprawy w tym sporcie.

— O tym nie wątpię, lecz jak tam z zamroczeniem po cocktailu?

— Zniknie, gdy będę czuła się odpowiedzialna za pańskie i swoje bezpieczeństwo. Drogi panie Lubor, pożycz mi pan swego miejsca na pół godzinki?

— Przysłowie mówi: nie pożyczaj auta, strzelby ani żony.

— A pan dziś do obiadu wypożyczył sobie towarzystwo aż dwu cudzych żon! I jednej z nich dotychczas pan nie zwrócił...

Dorzuciła dwa stosowne dowcipy, pamiętając jak on śmiał się do rozpuku w restauracji przy pikantnych żartach Ampary. Jego opór łagodniał stopniowo.

— Nawet taki bojaźliwy hipochondryk jak mój braciszek Ryś nie lękał się jeździć po alpejskich drogach tylko wtedy, gdy ja wóz prowadziłam... Niechże pan nareszcie stanie, bo tylko cyrkowcy potrafią zmieniać się przy kierownicy podczas jazdy!

— Otóż to! — Józef ucieszył się, że znalazł nową wymówkę. — Na wiadukcie stawać nie wolno: Jeśli staniemy, natychmiast zjawi się policjant, spyta o powód i każe sobie pokazać licencję. Nawiasem mówiąc, to wasza przesada, ażeby kierowcę auta i obsługującego windę zaraz „operatorem” nazywać. Ja swoją licencję niedawno odnowiłem na dalsze trzy lata, ale pani chyba dawno wygasła. Lepiej więc nie kuśmy licha i zaczekajmy, aż trafi się stacja benzynowa albo jakaś inna okazja do zatrzymania się legalnie, bez ryzyka zwabienia policjanta.

Lubor dobrze wiedział, iż takich miejsc jest mało przy amerykańskich autostradach ekspresowych, chyba że przecinają one jakąś malowniczą okolicę, gdzie turyści chcieliby bezpiecznie przystanąć, wysiąść,

podziwiać panoramę, sfotografować się na jej tle i oczywiście coś zjeść lub wypić z okazałych zapasów, jakie z sobą wożą, choć większość aut jeszcze nie ma elektrycznych lodówek, a bez nich żywność psuje się szybko w ciepłym klimacie. W takich miejscach, wymarzonych na przystanki dla żarłoków, turystów, filmowców i wędkarzy, twórcy prawie każdej autostrady ogrodzili kamieniami place postojowe. Jeden z nich, o czym Lubor snadź zapomniał znajdował się właśnie w pobliżu.

Koło Owl's Head Park i przystani promów, kursujących między Brooklynem a wyspą Staten Island wiadukt zniżył się niemal do poziomu morza i, zatoczywszy większy łuk w lewo niż przedtem w prawo przekształcił się zgrabnie w Shore Parkway, nadbrzeżny bulwar.

— Proszę zwolnić koniecznie! — zawołała Irena tak alarmującym tonem, jakby coś cennego wypadło jej na drogę. Widzi pan ten rząd aut zwróconych do nas bokiem, a frontem do morza? Tam jest plac parkingowy dla wędkarzy. Niech pan tam skręci w prawo, usilnie o to proszę!

Zrobił to sądząc, iż może nawiedziła ją nieposkromiona żądza nakarmienia rybek własnym obiadem i wypitymi trunkami, no cóż, więcej ludzi ulega morskiej chorobie na lądzie niż podczas żeglugi po morzach. Ale kiedy stanął tuż obok zaparkowanych aut i okrążył swój wóz, aby Irenie grzecznie drzwi otworzyć, ze zdziwieniem stwierdził, że ona tymczasem przesunęła się w aucie z prawej strony na lewą i objęła w posiadanie kierownicę! Wyglądała teraz jak uosobienie zdrowia, radości i trzeźwości.

— Siadaj pan albo sama drapnę tym smokiem — rzekła, a jej szafirowe oczy, przedtem tak poważne, skrzyły się nagłą wesołością.

— Czyżby rozbawiła ją moja zbaraniała mina? — zatrwożył się w duchu i na gwałt przybrał pozę filozofa, którego nic zdziwić nie zdoła. — Tu coś leży — zauważył obojętnie, wsiadając do swego auta tym razem z prawej strony — zdaje się, że to damska torebka.

Teraz dopiero Irena spostrzegła, że jej ulubiona letnia torba słomkowa leży na podłodze samochodu; musiała tam spaść już dość dawno, skoro prawie w całości zdążyła wsunąć się pod przednie siedzenie.

Schyliła się, by podnieść swoją własność, ale grzeczny Polak uprzedził ją i pierwszy schwycił skraj torby, wyciągnął ją, dźwignął i... znowu zbaraniał; ba, osłupiał znacznie mocniej tym razem. Albowiem torba upleciona z rafii czy innej tropikalnej słomki powinna być lekka, nawet z takim ładunkiem wewnątrz, jak puderniczka, pomadka do ust, grzebień, lusterko i parę podobnych drobiazgów.

Tymczasem zaś torba Ireny, brzydzącej się każdą pukawką, nawet dziecinną, była tak podpadająco ciężka, jak gdyby kryła w sobie prawdziwy pistolet czy rewolwer, prawdziwą broń palną, prawdziwe narzędzie mordu!

ROZDZIAŁ IX

Irena szybko odebrała swą ciężką torbę i, podziękowawszy zdawkowo, wcisnęła ją w szparę pomiędzy lewą ściankę limuzyny a swoim lewym bokiem, skąd Luborowi byłoby najtrudniej ją wydostać. Zaraz mu to przyszło do głowy; przecież gdyby miała czyste sumienie, rzuciłaby torebkę na tylne siedzenie auta lub położyłaby ją na przednim po swej prawej ręce, między nim a sobą. Błahy ten epizod, rozpatrywany jednak zbyt drobiazgowo i tendencyjnie wyźłobił w jego zaufaniu

i życzliwym stosunku do Ireny bruzdę, którą wnet zaczęła sączyć się struga nowych podejrzeń.

Czyż kobiecie, tak jak ona skromnie ubranej i niemającej na sobie żadnej cennej biżuterii, groziłby tutaj rabunek podczas przejażdżki w biały dzień? Oczywiście, że nie, zatem rewolwer był jej potrzebny do napadu, a nie do samoobrony!

Po co przechwała się swą odrazą do wojowniczości i do wszelkiej broni palnej? Oczywiście po to, by uspić czujność poczciwego Polaka!

Dlaczego uparła się prowadzić auto, kiedy dotarli do obwodu Brooklynu, dzielnicy ongiś najbardziej osławionej, w której wszystko zdarzyć się może? Oczywiście dlatego, żeby móc nagle skręcić w dobrze znany zaułek, gdzie czekają jej wspólnicy!

Czy tacy rabusie zadowoliliby się zabraniami mu tylko auta, pieniędzy i ubrania? Oczywiście, że nie, gdyż stary gangsterski zwyczaj każe przestępcom zabezpieczyć się przed konfrontacją i ewidencją; osiąga się to najskuteczniej przez zanurzenie stóp związanej i obnażonej ofiary w cebrzyku ze świeżym cementem, który stwardnieje na cokół przed nocą, gdy nastąpi wywiezienie tego żywego pomnika łodzią i zrzućcie go na dno morza!

Czy rybacka sieć może kiedyś wyłowić ten cebrzyk i cokół? Oczywiście, ale ryby nieboszczyka tak oskubią, że własna żona go nie pozna i szkielet pozostanie niezidentyfikowany na wieki wieków.

W ten sposób wszystko stało się oczywiste, skoro Lubor nastroił się na nutę skrajnej nieufności i podejrzliwości, a o to łatwo w Ameryce. Nie dlatego, że jej mieszkańcy popełniają rocznie ponad dwa miliony poważniejszych przestępstw, lecz dlatego, że prasa poświęca za dużo miejsca ilustrowanym opisom

zbrodni i życiorysom ich sprawców, a za mało ich ukaraniu.

Prócz codziennej reklamy najświeższych morderstw, napadów, zhańbień, rabunków, oszustw i wielu innych pogwałceń kodeksu karnego, przypomina się w detalicznych opisach z pikantnymi ilustracjami najśłynniejsze zbrodnie, zwłaszcza te z tłem seksualnym, często zmyślonym.

Wynika stąd, że ludziska przepadają za taką krwawą lekturą, lecz niektórzy, konsumując ją stale od lat, zaczynają węszyć przyszlých lub obecnych — tylko jeszcze nie zdemaskowanych — zbrodniarzy we wszystkich nieznanym i wśród znajomych, ba, krewnych! Taki kompleks podejrzliwości prowadzi do zabawnych omyłek albo do wcale niezabawnej manii prześladowczej.

Józef Lubor, zapracowany w dni powszednie, a nudzący się często w niedziele, uległ owczemu pędowi sąsiadów i, jak oni, raz na tydzień rozczytywał się w drobiazgowych opisach najśłynniejszych zbrodni. Był rad, że w olbrzymiej galerii tutejszych zbrodniarzy stosunkowo najrzadziej trafiały się nazwiska polskie, najczęściej zaś włoskie, niemieckie, żydowskie, a ostatnio też portorykańskie. Ale jeżeli już natknął się na przestępstwo rodaka, zapamiętywał je.

I właśnie teraz, gdy siedział w aucie, które opanowała Irena, uzbrojona w jakąś ciężką „spluwę”, przypomniał sobie historię młodej Polki, o której po jej uwięzieniu w Kalifornii tak dużo tu pisano. Jako podlotka wywieźli ją naziści na roboty do Niemiec, gdzie po wojnie poślubił ją amerykański żołnierz i pokonawszy opory biurokracji przywiózł do Stanów Zjednoczonych. Tutaj jednak, zamiast wieść spokojne życie rodzinne, lekkomyślna kobieta zeszła wnet na bezdroża. Zbiegłszy mężowi, wałęsała się po kraju z różnymi

niebieskimi ptakami, aż w końcu przyłączyła się do dwóch bandytów, których specjalnością było mordowanie i obrabowywanie samotnych automobilistów.

Gdy komiwojazer, inspektor, inżynier, kupiec czy turysta jedzie autem sam przez szereg godzin, a nawet kilka dni, nudzi się tak, że chętnie i lekkomyślnie zabiera do swego wozu pierwszego lepszego amatora gratisowej jazdy, bez względu na to, czy jest nim student, czy żołnierz, czy też nawet brudny włóczęga. Cóż dopiero, gdy na jazdę reflektuje młoda, ładna kobieta! Owa Polka grała właśnie rolę takiej przynęty. Zalotna, pikantna, łatwo zgadzała się na wszelkie romantyczne propozycje, byle tylko naiwniak zawiózł ją najpierw do uroczonego ustronia w pobliskim lesie.

Pełne trzy kolumny poświęciły brukowce opisom ohydnych zbrodni tej małej szajki, często podkreślając, że jej prawdziwym hersztem była młoda polska uchodźczyni. To ona przytrzymywała ręce swym ofiarom, gdy je z tyłu mordowano. Nie dodano tylko prostego wyjaśnienia, że jej bestialstwo było następstwem wojny, następstwem porwania podlotka z domu rodzicielskiego i następstwem osadzenia młodej dziewczyny wśród zbrodniczych nazistów, którzy byli jej demoralizującymi wychowawcami.

Nagle przypomniał sobie Lubor, że Irena także spędziła dłuższy czas wśród nazistów czy neonazistów, sama przecież o tym napomknęła. Z pewnością więc u tych arcymistrzów zbrodniczości i perfidii przeszła takie samo przeszkolenie, jak owa polska uchodźczyni, której karę śmierci miano w Kalifornii zamienić na długoterminowe więzienie. Brukowce najchętniej przezywały ją „pajęczycą” z powodu podobieństwa pomiędzy metodą obezwładniania i likwidowania ofiar

a smutnym epilogiem nocy poślubnej u niektórych gatunków pajaków.

Może zatem modelka i malarka Irena... jakże brzmi jej nazwisko?... ta ładna szatynka siedząca tu obok i świetnie prowadząca jego wóz... to taka sama „pajęczyca”? Albo członkini bandy w rodzaju zlikwidowanej po wojnie broklyńskiej „Murder Incorporated”, która zamordowała przeszło sto osób, niepłacących miejscowym gangsterom regularnie haraczu za ochronę swego lokalu przed innymi gangsterami? Ileż naczytał się o gangsterach w brukowcach i ich niedzielnych dodatkach! A sądząc po wprawie, z jaką Irena opanowała jego samochód i odebrała mu torbę, on, Józef Lubor, z pewnością nie byłby pierwszą ofiarą tej rutynowanej bandytki!

— Ale na pewno już ostatnią! Bo ja cię krwiożerca pantero, rozbiję, nim zdążysz mnie wywieźć w jakieś podmiejskie zaułki czy leśne ustronia! — zamruczał po polsku cicho, za to bardzo wojowniczo.

— Czy pan coś mówił do mnie? — spytała.

— Nic — odburknął, nie odwracając głowy.

Wolał czujnie patrzeć przed siebie, choć powinien był pamiętać, że ani leśnych ustroni, ani w ogóle lasu już nie ma ani na lekarstwo w południowo-zachodniej części Long Island. Z prawej strony ciągnęło się morze, z lewej grupy nowych kamienic, a dopiero hen, poza nimi, można by znaleźć te brooklyńskie zaułki, zresztą niegroźne za dnia.

Niebawem po prawej ręce przedefilowały tyły budynków i drzewa na wąskiej, a ledwie cztery mile długiej Coney Island, wyspie pełnej knajp, jadłodajni, karuzel, flobertowych strzelnic, tuneli, miłości, diabelskich kół i tym podobnych jarmarcznych bud, których tylko część zdołała docisnąć się frontem do długiego

pomostu spacerowego, jaki oddziela to wesołe miasteczko od dość szerokiej plaży.

Plaża w Coney Island jest chyba najgęściej zaludniona na świecie, skoro gniecie się na niej w upalne dni do dwóch milionów ludzi!

— Panie Lubor — rzekła cicho Irena, gdy zbliżali się do podkopu pod szeroki Woodhaven Boulevard, czy pan się zdrzemnął?

— O, nie! — zaprzeczył energicznie, bo choć już prawie zasypiał, teraz ożywił się swą podejrzliwością. — Wciąż czuwam czujnie jak czapla!

Później uświadomił sobie, że śliczne czaple z mokradła Everglades na Florydzie, rzadko przelatujące na północ, tu, nad hałaśliwym Nowym Jorkiem, przestały być czujne, odkąd przestano je tępić, bo ich pióra wyszły z mody. Ale nawet najśmielsza czapla z ogrodu zoologicznego jeszcze się nie zmotoryzowała i nie jeździ autem jak on. Zatem jego porównanie literackie było podwójnie spudłowane i nadobna malarka czy bandytka zapewne śmiała się z niego w duchu. Najświeższe to podejrzenie oczywiście zwiększyło urazę do niej i szorstkość jego głosu.

— A dlaczego to zapytała pani, czy ja drzemię, hę?

— Dlatego, że przedtem był pan przyjemnie rozmowny, a teraz... chyba próbuje pan pobić mój rekord mrukliwości... Czy pan jeszcze nie nabrał przekonania, że ja umiem prowadzić samochód?

— Owszem, umie pani.

Zauważył już po ujechaniu pierwszych kilku mil, że z niej jest lepszy szofer niż z niego, ale czyż mógł wyznać to głośno w Ameryce, gdzie rzekome omyłki, zagapienie się i roztargnienie kobiet przy kierownicy są ulubionym tematem męskich dowcipów? W Europie nawet teściowa i profesor z parasolem nie są tak często kozłami ofiarnymi satyry i humoru jak nieszczęsna

amerykańska lady-driver, choć ona już rzadko teraz zatrzymuje swe auto na latarni ulicznej, gdyż woli zrobić to z wdziękiem i z dźwiękiem w oknie wystawowym sklepu z porcelaną.

— Nawet nieźle pani jedzie — dodał Lubor z wrodzonej hojności.

— Pański ton głosu zmienił się także — zauważyła. — Wyczuwam w nim jak gdyby nutę urazy do mnie, jeżeli mnie ucho nie myli.

— Nie myli pani istotnie.

— Jak to ładnie, że nie poczęstował mnie pan banalnym: Nic podobnego! Przywidziało się pani! Szanuję pańską szczerość, ale proszę o ciąg dalszy. O co powziął pan do mnie urazę, niechęć czy żal?

Lubor już miał na języku: o twoją dwulicowość, chytra wampirzyco! Piękne hasła deklamujesz, a w torebce nosisz rewolwer! Wiadomo zaś, do czego to służy; czyż nie czytam tutejszych gazet?!

Czytając je pilnie, miał w pamięci również i takie dwa świeże wypadki: własną matkę, ojca i brata kolejno z premedytacją zastrzelił w Mansfield (Connecticut) niejaki Robert A. Curgenven, chłopiec zaledwie 11-letni! Podobny zamach na rodziców uplanował z braciškami Richard Parker w Norwalk (Kalifornia), dzieciak 7-letni, ale zdążył zabić tylko ojca. — Jeśli tu tacy smarkacze często mordują swoich najbliższych krewnych — rozumował Józef Lubor — to czyż dorosła kobieta, która nosi przy sobie rewolwer, miałaby jakies skrupuły palnąć w łeb mnie, obcemu mężczyźnie?

ROZDZIAŁ X

Zreflektował się jednak w porę, że tak brutalnie szczere zagranie w otwarte karty spowodowałyby

natychmiastowe zerwanie stosunków dyplomatycznych, a potem już ani rusz nie rozwiązałyby zdumiewającej go zagadki, jakim cudem nieznaną mu fotografia „Mazurki” dotarła do rąk malarki czy awanturnicy amerykańskiej, która twierdziła, że nigdy w życiu nie była w Polsce. Tak rozumując postanowił zabawić się w chytrego dyplomatę i dla zdobycia potrzebnej mu wiadomości zarzucić Irenie swój własny grzech.

— Mam do pani głęboki żal o przykrą i wręcz obraźliwą nieufność, z jaką pani odnosi się do mnie! — wypalił.

— Nie rozumiem — bąknęła zdziwiona. — Ja okazałam panu brak zaufania? A czyż czegoś wręcz przeciwnego nie dowodzi fakt, że z panem, z mężczyzną dopiero co poznanym, odważyłam się wyjechać autem za miasto?

— Pani ryzyko przy tym nie jest większe od mojego, biorąc pod uwagę, że już dość dawno temu wynaleziono rewolwery! — odparł robiąc silny nacisk na ostatnim wyrazie i dziwiąc się, że ona ani nie drgnęła. — Ale ja miałem na myśli całkiem coś innego. Czy minąłem wasze stoisko obojętnie, jak większość zwiedzających wystawę, albo czy targowałem się z panią o cenę jej obrazu?

— Nie, nie targował się pan, choć miał pan prawo żądać rabatu, bo to ostatni dzień wystawy. I obiad zafundował pan mnie i mej przyjaciółce, i na przejażdżkę pan nas zaprosił, i zgodził się pan, kiedy wyraziłam chęć prowadzenia pańskiego auta...

— Tak, ale gdy nawzajem ja czegoś chciałem, gdy ja prosiłem o taką drobnostkę, jak o wyjaśnienie mi genezy kupionego obrazka, do czego nabywca ma chyba prawo, pani nie raczyła okazać mi tyle zaufania, by zaspokoić moją ciekawość. Uzasadnioną ciekawość!

— Zaszło chyba nieporozumienie albo wypite trunki osłabiły nam pamięć... Bo wydaje mi się, że jeszcze w Greenwich Village powiedziałam panu, iż tematu do obrazka dostarczyła mi fotografia...

— Jaka fotografia? Gdzie ona? Kto ją pani dał?

— Nikt mi jej nie dał. Należała ona do dużej kolekcji fotografii, które właściwie niepotrzebnie zabrano i przyniesiono do biura mego brata po rewizji dokonanej u kilku podejrzanych o tajną działalność wywrotową eksnazistów czy neonazistów.

— Nazistów, to zrozumiałe! Naziści bowiem byli w Polsce, okupowali ją i dręczyli przez długich sześć lat. Grasując wszędzie, nie pominęli żadnego zakątka na wąskim wówczas polskim wybrzeżu — mówił Lubor ze wzrastającym podnieceniem. — Ale tam mieli znacznie ciekawsze obiekty do fotografowania niż samotnie w lesie stojący drewniany dom mieszkalny. Mieli stare zabytki historyczne w Gdańsku i Oliwie, kasyno gry w Sopocie, nowoczesny port w Gdyni, Półwysep Helski, latarnie morskie, rozpięte sieci rybaków, kutry, statki, okręty, pomosty i morze, morze! Czemu tedy ów nazista poświęcił na zdjęcie skromnej „Mazurki” ceną swoją kliszę czy błonę filmową?

— Niejedną! Ta trzypiętrowa willa z dziwnym tarasem czy platformą na wysokim dachu była sfotografowana z różnych stron... o ile dobrze jeszcze pamiętam... więcej niż dziesięć razy.

— Co pani mówi! To bardzo charakterystyczne! To upoważnia do wniosku, że fotografującego musiały łączyć z kimś w tym domu... nieprzeciętne rozkoszne przeżycia! — Tyle samczej zazdrości i wściekłości zasyzczało w końcowych wyrazach tego zdania, że każdy byłby się był domyślił, iż w „Mazurce” mieszkała kobieta szczególnie droga sercu tego Polaka.

— Może ów Niemiec tylko przejeżdżał tamtędy i

spodobała mu się architektura tej willi? — bąknęła Irena pojednawczo, czując zresztą małe prawdopodobieństwo takiej hipotezy.

— Proszę pani, gdyby jakiś hitlerowski zbój chciał fotografować każdy dom, obok którego przejeżdżał podczas sześcioletniej wojny obejmującej tyle krajów na trzech lądach, musiałby sam zużyć więcej rolek filmowych niż mógł ich nabyć cały korpus oficerski afrykańskiej armii Rómmla przy ówczesnych brakach i ograniczeniach w Niemczech. Na taki luksus mógłby sobie pozwolić chyba tylko brat albo kuzyn kochanki Hitlera, jak jej tam było?

— Ewa Braun. Ile się o niej nasłuchałam w Europie!

Nawet możliwość usłyszenia porcji historycznej pikanterii nie odciągnęła uwagi Józefa Lubora od „Mazurki”.

— Czy dużo było podobizn domów mieszkalnych, takich jak „Mazurka”, w owej kolekcji fotografii skonfiskowanych u kogoś przez podwładnych pani brata? — spytał.

— Nie. Przeważały w niej zdjęcia takich budynków, jak miejskie ratusze, kościoły, pałace, zamki, baszty, wieże, mosty i krany portowe podczas lądowania statków. Zwyczajnych kamienic zauważyłam zaledwie kilkanaście w tym zbiorze.

— Czy każda kamienica była fotografowana wielokrotnie?

— Zwykle tylko raz, jeśli sobie dobrze przypominam. Dziesięć czy więcej fotografii przedstawiało jedynie tę, jak ją pan nazywa, „Mazurkę” i jej smutny koniec.

Ostatnie cztery wyrazy wyrwały się Irenie wbrew jej chęciom, wbrew niedawnemu postanowieniu, że przemilczy tragiczny epilog „Mazurki”, by nie przygnębić

pocziwego Polaka, który tak mocno interesował się tą willą.

— I jej smutny koniec? Czy to znaczy, że ci nazi-stowscy wandalę zburzyli „Mazurkę”? Zbombardowali ją? Zdynamitowali? Benzyną oblali i podpalili?

— Nie wiem, co wywołało pożar. Nawet błahe krótkie spięcie może spalić drewniany dom — odparła spokojnie, choć wcale nie była spokojna wewnątrz, widząc brawurowe wstawania i wychylania się zmotoryzowanych młokosów, z których jeden szczególnie łatwo mógł wypaść z auta na jej bieżnię, a przejechanie go lub nagłe zahamowanie przy jej obecnym pędzie wróżyło kosztowny pogrzeb i korowody z władzami. — Pamiętam tylko dwa zdjęcia pożaru owej „Mazurki”.

— Proszę mi je opisać dokładnie. Błagam panią o to!

— Na jednej fotografii dym i ogień buchał z dolnych okien willi. Na drugiej ona cała aż po dach stała w płomieniach na ciemnym tle...

— Czyli spłonęła w nocy — wywnioskował Lubor i machinalnie załamał dłonie w geście bezsilnej rozpacz, pojmując jak mało szans ocalenia mieli mieszkańcy stojącej samotnie „Mazurki”, jeżeli pożar zaskoczył ich nocą, pogrążonych w głębokim śnie...

Irena odetchnęła z ulgą, gdy udało jej się przemknąć obok dwu wciąż równolegle jadących aut młodziaków bez sprowokowania ich niebezpiecznych figli i wyścigów.

— Nie ręczę za to, że to była noc i że dlatego tło wyszło ciemne. Pożar „Mazurki” mógł wybuchnąć za dnia przy niebie silnie zachmurzonym jak przed burzą — powiedziała, dziwiąc się w duchu, czemu teraz nie ma na nieboskłonie żadnych chmur, choć Ampara wciąż burzę wróżyła.

— Przypominam sobie teraz, że na jednej z tych dwu smutnych fotografii widać było zygzak błyskawicy nad dachem domu. Ha, może więc ta willa zapaliła się od pioruna?

— Wątpię, bo miała gromochron... A mieszkańcy „Mazurki”? — spytał Lubor głucho po chwili. — Czy na żadnym z tych zdjęć nie widziała pani ludzi? Ludzi, a nie bestii w nazistowskich mundurach!

— Nnnie jestem tego pewna — odpowiedziała Irena z wahaniem, jak człowiek, który nie cierpi fałszu, ale któremu nagle wypadnie skłamać z litości albo z grzeczności. — Jeśli nieduża fotografia obejmuje spory trzypiętrowy budynek, to jego okna wypadną maleńkie, tak że trudno rozpoznać, co w nich mający: twarz ludzka czy doniczka kwiatu, prawda?

— Prawda — powtórzył niczym echo, lecz tylko część jej słów dotarła do jego świadomości. — Pełno kwiatów bywało w „Mazurce”, ilekroć przyjeżdżałem tam z Gdyni albo z Gdańska na kilka dni między jednym a drugim rejsem mego statku.

— Czy w tej willi mieszkały osoby panu... bliskie?

— Najbliższe! Moja stara matka i moja młoda żona, a prócz tego rodzina mego zmarłego brata... Po wojnie szukałem ich na próżno. „Mazurka” stała w uroczym pustkowiu pośród drzew, jak dawne leśniczówki; nie miała sąsiadów, którzy by ratowali ją lub śledzili jej ostatnie chwile. W najbliższych wsiach i letniskach, gdzie rozmawiałem chyba z każdym, kto przeżył tam wojnę i okupację, nikt nie wiedział, co stało się z moją żoną i z moimi krewnymi. To wie tylko jakiś przeklęty hitlerowiec, który został gdzieś hen, w Niemczech, a może już kopyta wyciągnął...

— Nie — wyrwało się znowu Irenie.

— Co nie? Czy chce pani przez to powiedzieć, że on żyje?

— Żyje — przyznała.

— Dzięki Bogu, że ten kłokol nie szczeł! Niech on sobie żyje w zdrowiu, póki prawdy nie wyśpiewa. A nawiasem mówiąc, jest to chyba jedyny na świecie nazista, któremu życzę czerstwego zdrowia, a nie chroicznej padaczki... Czy tylko droga pani zdoła skądś wystraszyć jego adres albo wskazać mi kogoś, kto...

— Bez trudu — wtrąciła, zwalniając biegu, bo daleko pod drzewem obok autostrady dojrzała zielonkawę z białym daszkiem auto policji drogowej, którą — jak ostrzegały napisy przydrożne — wyposażono i w tym powiecie w aparaty radarowe do sprawdzania szybkości śmigających automobilistów. — Bez trudu mógłby pan dostać ten adres, ale napotka pan na gorsze trudności...

— Pokonam je wszystkie! — rzekł Lubor z nagłą otuchą. — Zdobę się nawet na napisanie doń listu poprawną niemczyzną, bo taki hitlerowski szowinista z pewnością nie uznaje i nie używa żadnego innego języka.

— Czy nie sądzi pan, że osobiście można by prędzej i pewniej dowiedzieć się czegoś o wydarzeniach sprzed tylu lat niż w drodze korespondencji?

— Ma pani rację. Lecz ja nie mógłbym opuścić swej farmy wcześniej jak zimą, nie mówiąc już o tym, że taka wycieczka stąd do Niemiec byłaby dość kosztowna dla mojej kieszeni.

— A po co miałby pan aż tam pożeglować?

— Jak to po co? Po to, żeby odszukać i odwiedzić tego Niemca, który tyle razy sfotografował „Mazurkę”, ba, nawet jej pożar, on jeden powinien wiedzieć, co

stało się z jej mieszkańcami, z moją żoną i matką. Czyż nie mówiliśmy...

— Tak, panie Lubor, ale po to nie potrzebuje pan jeździć do Europy — rzekła Irena po chwili wahania. — Ten Niemiec przebywa obecnie w Ameryce!

ROZDZIAŁ XI

Za lotniskiem w Idlewild autostrada, zmieniawszy już uprzednio nazwę na Southern Parkway, skręciła ostro w lewo, na północ, w stronę Floral Park, gdzie znajduje się Belmont, najnowszy z nowojorskich torów wyścigowych. Nie dotarła tam jednak, zostawiła tę przyjemność swej odnodze — Cross Island Parkway. Okrążając łukiem miasteczka, przecinała bez litości mniejsze osiedla, łącząc ich połówki mostami, z których psotne dzieci lubią zrzucać papierowe torby z wodą na pędzące samochody, oczywiście tylko na otwarte, a nie na zamknięte limuzyny.

Przecięła też na ukos po grobli jezioro Hempstead, zabezpieczone siatkowym ogrodzeniem przed amatorami kąpiel, gdyż dostarcza ono słodkiej wody okolicznym miejscowościom.

Gdyby autostradą jechać wciąż na wschód około 100 mil, dotarłoby się do wydmy piaszczystych i latarni morskiej w Montauk Point na południowo-wschodnim cyplu długiej Long Island. A cypel ten jest pierwszym skrawkiem Ameryki, jaki widzi podróżnik płynący z Europy do Nowego Jorku, jeśli oczywiście statek nie zbiecził wpierrw do Halifaxu w Kanadzie, jak zwykle czyniły to przed wojną polskie motorowce pasażerskie „Batory” i „Piłsudski”, a przed nimi zapewne „Polonia”, „Kościuszko” i „Pułaski”, później pływające do portów Ameryki Południowej i Bliskiego Wschodu.

Na końcowym odcinku Long Island nie brak romantycznych ustroni wśród zakrzewionych wydm i osłoniętych zatoczek, gdzie można kogoś dyskretnie pocałować i uwieść albo złupić i zakatrupić z szybkim pochówkiem w piasku lub bez. Ale takich samych zacisznych zakątków jest znacznie więcej w okazałych resztkach dawnego leśnego gąszczu, porastających tu i ówdzie środek i północne wybrzeże Long Island.

Zresztą, jeżeli ktoś ma rewolwer tudzież silną wolę szybkiego wzbogacenia się kosztem życia bliźniego swego, nie potrzebuje szukać miejsca zacisznego dla realizacji takich zamiarów. Może to uskutecznić bowiem wszędzie, zaczynając od mieszkania i auta. Natomiast powinien zastanowić się zawczasu, w którym stanie kogoś zechce pozbawić życia, bo to różne stany nagradzają: Nowy Jork krzesłem elektrycznym, które nieprzyjemnie parzy i stąd zwie się w gwarze gorącym krzesłem, natomiast Kalifornia, gdzie często jest za ciepło, lokuje morderców w mile chłodnej komorze gazowej. W stanie Utah skazaniec ma do wyboru rozstrzelanie lub szubienicę i zwykle wybiera to drugie, bo tamtejsi cowboye, konni pasterze bydła, choć świetni strzelcy, przy egzekucjach z litości pudłują i salwę wypada powtarzać aż do skutku, co wrażliwszych na huk skazańców może w końcu zdenerwować.

Takie oto złote myśli wirowały w mózgu Józefa Lubora pod zbiorowym wpływem kilkuletniej lektury i dziś wypitych koniaków oraz upału o kilka uczciwych stopni Celsjusza za silnego, no i tego, że Irena ma przy sobie rewolwer. Zdawał sobie sprawę z jej niewątpliwie rabunkowych zamiarów, znał sprzyjającą im topografię Long Island, lecz starał się chwilowo uspić swoją podejrzliwość, skoro dokonał tak arcyważnego odkrycia

i natrafił na pierwszy ślad swej zaginionej rodziny.

Bez względu na to, czy Irena jest początkująca i zadowolona się paroma banknotami, czy też morderczą pajęczycą jak tamta polska „dipistka” za Oceanem Spokojnym, oddała ona przed chwilą Luborowi ogromną przysługę. A może mu oddać jeszcze większą, największą! Jedyne bowiem człowiek, który widział co stało się podczas inwazji Hitlera z mieszkańcami „Mazurki”, żyje i przebywa w Ameryce, Irena zaś zna jego adres! I wymieni go chyba, byle by jej znów czymś nie spłoszyć, nie zniechęcić, nie urazić, jak to przydarzyło się niechcący dzisiaj w Greenwich Village.

— Trzeba by ją ująć sobie, udobruchać, ugłaskać... ale czym? Skoro tak wielką przyjemność sprawia jej prowadzenie samochodu, niechże go prowadzi, dopóki się nie znuży albo nie wyczerpie paliwa — planował Lubor, mrużąc po polsku pod nosem. Wehikuł ma dosyć żarcia, nic mu na razie dodawać nie trzeba. Za to może by szatynce dorzucić z tuzin komplementów? Każda leci na to jak na suche lato — zawyrokował.

Ażeby znaleźć temat, przestał wpatrywać się w brudnoszarą jezdnię, przedzieloną dwoma równoległymi jasnymi liniami na trzy jednakowo szerokie bieżnie, a zaczął obserwować z boku swą towarzyszkę. Była bardzo ładna, tylko za szczupłą; zauważył to już wówczas, gdy kupował od niej obraz, który wiózł teraz w bagażniku auta. Lecz ładnych kobiet jest w obu Amerykach wiele.

Irena z pewnością nie pociągała tych licznych mężczyzn, dla których piękną i ponętną jest jedynie kobieta wybitnie zaokrąglona i zmysłowa, za to esteta zachwyciłby się zarówno jej smukłą sylwetką, jak i jej

twarzą, zwłaszcza z profilu. Prosty nos tworzył równą linię z czołem, w doskonałej z nim harmonii pozostawało ucho, małe i cudnie wyrzeźbione, cienka brew, długie rzęsy, blady policzek, kształtna broda i ślicznie wykrojony łuk ust, co prawda mniej kuszący niż polne usta Ampary.

Dziwiło to trochę Lubora, że z niemal klasyczną urodą jego sąsiadki nie kłócił się wcale nowoczesny fason jej skromnej wielobarwnej sukienki z króciutkimi rękawkami ani równie pstre sandały, ani też wynaleziona dopiero parę lat temu ulubiona fryzura dziewcząt amerykańskich — koński ogon.

Tak ujarzmiony snop włosów podnosi się trochę nad karkiem, opada w tył, niczym ogon cyrkowego rumaka podczas galowego przedstawienia. Kobiety w Ameryce chwalą sobie tę damską fryzurę jako chłodną na upały, odmładzającą i niewymagającą zabiegów w salonach piękności. Wobec tego każdy damski fryzjer krytykuje i wyszydza pożyczanie wzoru od koni, które dawno tu wyszły z mody, i radzi im... to jest paniom, nie koniom... szukać fryzur u stworzeń doskonalszych, na przykład u pudli.

— Pani ma taki śliczny grecki profil, jak boginie i nimfy na ilustracjach w mitologii helleńskiej, wiem co mówię, bo raz tu oglądałem taką książkę przez pół niedzieli w głównej Bibliotece Miejskiej.

— Oh, dziękuję panu bardzo!

Amerykanki dziękują za każdą pochwałę wypowiedzianą na cześć ich strojów, fryzur, mebli, psów, kotów, papug i mężów, a także proszonych obiadów, przy których gość powinien każdą potrawę z zachwytem nazwać *delicious*, choćby mu właśnie uszkodziła świeży garnitur porcelanowych zębów.

Irena także więc podziękowała Józefowi Luborowi za pochwalenie jej greckiego profilu, lecz pomyślała

sobie równocześnie, że komplementy i pochlebstwa to zwykle rekonesans dla zbadania terenu przed rozpoczęciem ataku na cnotę. Ale nie przypuszczała, że w tym spokojnym, zażywnym zdawałoby się ociężałym Polaku także pospolity uwodziciel drzemie.

— Nie ma o czym mówić — odrzekł Lubor, uszczęśliwiony, że z preeliminowanego dla Ireny tuzina komplementów tak łatwo i bez spudłowania ustrzelił pierwszy, ten helleńsko-profilowy. Na oślep więc wypalił z drugiej lufki dubeltówki: — Pani ma nie tylko profil prześliczny, ale także... hm... rączki.... i nóżki.... i w ogóle wszystko.

— Oh, dziękuję bardzo — rzekła bardzo zimno tym razem.

On zaś nawymyślał sobie w duchu od tumanów, że za jednym zamachem pochwalił u niej tak wiele naraz, zamiast rozłożyć sobie na raty szczegóły jej urody. I co teraz? W tej dziedzinie okropnie wyszedł z wprawy, odkąd rozstał się z zawodem żeglarza, który przecież dla dogodzenia tradycji powinien mieć zastępczynię żony w każdym porcie, a zatem musi umieć oczarować płeć piękną prawie tak, jak zawodowe lwy salonowe, ongiś liczne, dziś rzadsze niż wieloryby w północnej połaci Atlantyku.

Tymczasem zbliżyli się do miejsca, gdzie autostrada Southern State Parkway wypuszcza w południowym kierunku czterobieżniową odnogę zwaną Meadowbrock, a wiodącą do Jones Beach i do oceanu. Dziś rano i przed południem z pewnością tysiące aut opuszczały tutaj lewą bieżnię, potem i środkową, żeby móc później, bez zwalniania, skręcić w prawo, lecz teraz, około 5 po południu, nikt już tam się nie kwapił; na plażowanie byłoby przecież za późno, a na nocną operetkę w Marine Theatre i na dancing pod gołym niebem o wiele za wcześnie.

W przestronnym Parku Jones Beach nie tylko boiska do wszelkich sportów, gier i zabaw, ale także lokale rozrywkowe i gastronomiczne — z wyjątkiem jedynie dwóch restauracji — znajdują się całkowicie pod gołym niebem!

Jest to rozkoszne podczas letnich upałów nowojorskich — dopóki nie lunie zniecka tropikalny deszcz, a nagły podmuch wiatru nie sypnie piaskiem na pełne półmiski.

— Zbliżamy się do rozdroży — rzekła Irena zwalnając biegu. — Dokąd mam jechać: prosto czy ku plażom?

— Pani to pozostawiam do wyboru; życzenie pięknej kobiety jest dla mnie rozkazem — Lubor nie pamiętał, gdzie słyszał ten frazes, ale uznał go teraz za niezłą namiastkę swego trzeciego komplementu; już tylko dziewięć brakowało mu do tuzina.

— Gdyby pani wybrała Jones Beach, moglibyśmy popływać sobie w Atlantyku — chciał chytrze połączyć miłe z pożytecznym, kąpiel morską z unieszkodliwieniem rewolweru w jej torebce, którą ona chyba musiałaby spuścić z oka na plaży. — Ja zawsze wożę w bagażniku auta swój kostium i płaszcz kąpielowy. A dla pani wypożyczymy przybory kąpielowe w łazienkach.

— Czyż warto na tak krótko? Łazienki w Jones Beach zamykają o szóstej czy o siódmej — mówiła, myśląc równocześnie, że Polak chce najwidoczniej obejrzeć ją sobie w stroju kąpielowym, zanim przypuści srogi szturm do fortecy jej cnoty.

Słowem, podejrzewali się wzajemnie o brzydkie zamiary, co gorliwym czytelnikom brukowców zdarza się często, a rzeczywistość miała obojgu spletać figla.

— Warto po stokroć! — stwierdził Józef Lubor z wilczym zapalem. — Po dzisiejszym całodziennym

skwarze opłaci się nawet na krótko wskoczyć w chłodne morskie fale.

— Ha, może pan ma rację — rzekła i skrzyła z głównej autostrady w boczną, która biegnie najpierw wśród stawów i drzew, a potem groblą po niskich wysypkach.

— Po kąpieli możemy pójść nad zatokę, pojeździć na wodnych rowerach i wziąć bilety na operetkę w amfiteatrze. Albo możemy potańczyć... Możemy też pogodzić jedno z drugim; jak się bawić, to się bawić! A w powrotnej drodze do Nowego Jorku znów pozwolę pani prowadzić wóz, skoro pani to tak lubi — obwieścił.

— Cudnie. Oh, dziękuję bardzo! Ale... bezinteresowność umarła tak dawno, że mogę chyba spytać prosto z mostu, czego pan spodziewa się ode mnie w zamian za tyle szlachetnych gestów?

— Czego? Przede wszystkim szczerości — odparł. — Spodziewam się opowiedzenia mi ze szczegółami wśród jakich okoliczności poznała pani nazistę, który fotografował moją „Mazurkę” i jej pożar. Jakie on zrobił wrażenie na pani? Czy to nieuleczalny fanatyk, czy może taki wyjątkowy hitlerowiec, który wstydzi się zbrodniczej przeszłości własnej i swego narodu? W ogóle co pani o nim wie? Jak można by z niego...

— Oh, ile pytań! Wystarczy, dziękuję — wtrąciła, zwiększając szybkość auta tak wydatnie, jak gdyby nagle zapragnęła dotrzeć do Jones Beach w mig i co prędzej skończyć rozmowę na ten temat. — To długa historia. Nie wiem, czy zdążyłabym ją panu opowiedzieć w ciągu godziny. Odlóżmy więc ją sobie na powrotną jazdę do miasta, zgoda?

— Zgoda, lecz proszę teraz zaspokoić moją uzasadnioną ciekawość choć co do jednego szczegółu; czy

pani jest absolutnie pewna tego, że ów nazista przyjechał do Stanów Zjednoczonych?

— Tak.

— Czy pani o tym tylko słyszała od kogoś i...

— Nie — wtrąciła znów krótko.

Z jej raptem skwaszonej miny trudno było Luborowi odgadnąć, czy jego pytania nudzą ją, czy też irytują. Pomimo to jeszcze nie zmienił tematu, jeszcze raz zapuścił sondę, choć teraz czuł, iż do dna prawdy nie dotrze tak łatwo, jak mu to się wydawało kilkanaście minut temu.

— Jeśli nie słyszała pani o tym od kogoś, to... czyżby pani na własne oczy widziała tego nazistę wysiadającego tu w porcie?

— Tak, tak, po trzykroć tak! Widziałam go i wsiadającego w Bremen i wysiadającego w Nowym Jorku — odparła z nietajonym zniecierpliwieniem, co zaraz spróbowała naprawić łagodnym i grzecznym tonem następnych słów. — Musiałam go widzieć, proszę pana, skoro on i ja płynęliśmy tym samym statkiem, tą samą klasą i... urwała w pół zdania, bo już miała na języku „i w tej samej kabinie”. Zamiast tego powiedziała? — I w jadalni okrętowej siedzieliśmy przy tym samym stole. Czy to wystarczy panu na razie?

— Najzupełniej. Teraz już jestem spokojny, że dzięki pani odzyskam w Ameryce tego nazistowskiego nadczołwieka — ucieszył się Lubor. I wyjął portmonetkę, gdyż w oddali zamajaczyła zachodnia rogatka parkowa, znajdująca się na wysepce zwanej zabawnie Zachodnia Wrona! — Odnajdę go przy pani pomocy! Pani będzie moją sojuszniczką, prawda?

— W miarę moich możliwości — powiedziała to z taką rezerwą, jak gdyby wołała nie mieszać się do cudzych spraw i zachować ścisłą neutralność w „polsko--

niemieckim” konflikcie dwóch mężczyzn. Tak to przynajmniej Lubor sobie wytłumaczył i, nieco urażony, nastroił się na nutę wyniosłości.

— Rozumiem. I wystarczy, jeśli pani raczy podać mi jego adres. Skąd go dostałem albo jak wpadłem na trop pobytu tego Niemca w mej „Mazurce”, tego nikt nie dowie się ode mnie za żadne skarby! Może więc pani być spokojna, że nie narażę jej na żadne ryzyko ani wymówki! — tu wytworny ton głosu Polaka stał się gniewny i groźny. — Za to z tym szwabem cackać się nie będę! Wycisnę z niego całą prawdę o losach mojej rodziny, choćbym za to miał resztę życia spędzić za kratami w Sing-Sing!

ROZDZIAŁ XII

Wstęp do parku Jones Beach kosztował przed wojną tylko 25 centów, później 50 centów, obecnie już 75 centów od każdego auta, bez względu na to, czy to jest cadillac wyrobu General Motors, czy równie luksusowy chryslerowski imperial 1956 za 6000 z „ogonkiem”, czy też niezniszczalny ford sprzed 30 lat i przeto nie wart dla firm asekuracyjnych ani 150 dolarów, acz nadal cenny dla swego posiadacza.

Również liczba osób w aucie nie wpływa na wysokość ceny biletu. Czy w samochodzie samotnie przyjedzie sobek albo nie lubiąca świadków czuła parka, czy w pakownym wozie podmiejskiego ogrodnika stłoczy się sześcioro Portorykanów wraz z pełnym tuzinem ich dzieci, opłata od auta wynosi tak samo 75 centów.

W zamian za to wolno tutaj zostawić swój wóz od rana do północy na jednym z olbrzymich betonowych placów do parkowania, co już kosztowałoby na

Manhattanie 2 do 4 razy więcej. Dalej, wszyscy przyby-
sze do Jones Beach mogą bez dopłaty korzystać ze
ślicznej plaży, kąpać się w falach oceanu lub w spokoj-
nej zatoce Zachs Bay, mogą przyglądać się na stadionie
rozgrywkom słabszych drużyn w baseball lub raczej
jego odmianę — softball, mogą pogapić się na inne gry
i zabawy, posłuchać muzyki nadawanej przez megafo-
ny umieszczone na latarniach i mogą wieczorem tań-
czyć na cementowej posadzce.

Za wszelkie inne przyjemności, nawet za pływanie w
basenie z trampoliną, trzeba już dopłacać.

Pomimo to, chociaż woda jest najczystsza, a plaża
najdłuższa — w Jones Beach przebywa w upalne nie-
dziele zaledwie od 130.000 do 200.000 ludzi, bowiem
poza niewygodną komunikacją kolejowo-autobusową
przez stację w Wantagh, można dostać się z Nowego.
Jorku do Jones Beach tylko autem; tych 35 mil powin-
no się przebyć w ciągu 45 minut, ale w praktyce zawsze
jakieś wypadki samochodowe zakorkują autostradę i
jazda trwa kilka godzin. Takiej zwłoki żaden niecier-
pliwy nowojorczanin nie zniesie bez nabawienia się
paru nowych wrzodów w żołądku, toteż bojkotuje Jo-
nes Beach i wybiera się tam dopiero wówczas, gdy
wszystkie bliższe plaże są już przepełnione.

Przebywszy ostatni most grobli zachodniej Irena
skrzyła w lewo, podczas gdy amatorzy rybołówstwa
skracają w tym miejscu na prawo, dla nich bowiem
zarezerwowano zachodni cypel wyspy, przy wąskim
wjeździe do zatoki. Przy tym cyplu kąpać się i pływać
nie wolno snadź z obawy, żeby haczyki wędkarzy nie
wyłuskały kogoś z kostiumu kąpielowego; Ligę Moral-
ności oburzyłoby takie wyłuskanie niczym kiedyś wy-
cieczka paru nudystów z ich rezerwatu bez krawatów i
bez reszty zwykłego ubioru, o którym roztargnione

golaski po prostu zapomniały wsiadając do auta.

Szoseę asfaltową, prostą jak strzała na przestrzeni kilkunastu mil, a zwaną Ocean Parkway, obramowano tu niskimi żywopłotami.

— Niech pani zwalnia przy wjazdach na place — radził Lubor — może jakiś wóz będzie wyjeżdżał, to zajmujemy jego miejsce.

Jednakże nikt jeszcze nie kwapił się wracać do rozgranego miasta albo może dyżurny policjant poszedł na lody i zapomniał zdjąć rozpięty w poprzek wjazdu na plac nr 1 łańcuszek, na którym wisiała tablica z pięknie wydrukowanym napisem: „Nie ma wolnych miejsc, próbuj na następnym placu”.

Zupełnie taką samą sytuację zastali przy następnych trzech placach, choć plac nr 4, jeden z największych tutaj, z pewnością pomieści około 5000 samochodów. Dopiero kiedy defilowali wzdłuż żywopłotu ogradzającego front placu nr 5, pilnujący tam wjazdu policjant wyszedł z cienia swej oszklonej wartowni, dał im znać na migi, że ma parę wolnych miejsc i pokazał siedzącą przy kierownicy Irenie, za którym klombem będzie mogła bezpiecznie wykonać zakręt w kształcie litery „U”.

— Trzy auta odjechały stąd niedawno, więc trzy wolne dziury muszą być gdzieś tam z tyłu — poinformował Lubora, gdy wjeżdżali do jego „królestwa” na placu parkingowym nr 5

Jadąc powoli główną drogą przecinającą plac i ponumerowane drogi poprzeczne, dopiero we wschodniej połowie 17 dwurzędu zaparkowanych aut zauważyli pierwszą lukę między tyłami wozów, lukę żałośnie wąską i z przodu oczywiście też zaszpuntowaną wozem z dwurzędu nr 16. Na dodatek miejsca na manewrowanie samochodem tam i z powrotem było nader skąpo

i Lubor czuł, że nie wciśnie się tu swym starym, długim chryslerem bez licznych zadrapań lakieru na własnym wehikule i na maszynach sąsiadów, którzy mogą zapisać sobie numer jego żółto-czarnej tabliczki rejestracyjnej i później za pośrednictwem utrapionych podrzędnych adwokatów żądać przesadnie wysokiego odszkodowania pod grozą procesu, który w Ameryce jest okropnie kosztowny.

— Poszukajmy szerszej szpary na moją landarę — rzekł wobec tego i dodał żartobliwie: — bo słyszałem, iż kobiety, jeśli parkują w takim tłoku, demoluja prócz swego wozu także sześć innych. Czy to prawda?

— Podobno tak. Dlatego ja, ilekroć mijam czyjś samochód na zakręcie albo parkuję w takich okolicznościach jak obecnie, zamykam oczy, daję pełny gaz i dopiero znacznie później podnoszę powieki — odparła w tym samym stylu i zgrabnie wjechała jego czarnym smokiem w tę wąską szczelinę bez zadrażnienia którejkolwiek maszyny. — No, czy już umiem jeździć i parkować? — spytała, podkreślając w górę szyby w oknach po swojej stronie.

Teraz ona prosiła o komplement i można go było łatwo skomponować w paru skromnych słowach, np. „jeździ pani — już prawie tak dobrze, jak my, mężczyźni pod gazem i z zawiązanymi oczami”, jednakże Lubor przegapił tę okazję. Spiesząc się do kąpieli morskiej, pozamykał po swej stronie okna już gdy jechali przez plac, a teraz chciał wysiąść natychmiast, ale drzwiczki zdołał otworzyć tylko na kilka cali; na więcej nie pozwalała lewa ścianka cudzego auta, zaparkowanego z prawej strony jego chryslera.

— Czy pani siebie urządziła tak samo? — spytał z ironią.

Na szczęście nie, inaczej musieliby wycofać wóz i

szukać szerszego miejsca. Po lewej stronie drzwiczki jednak pozwoliły otworzyć się na tyle, że szczupła Irena przesunęła się tamtędy z łatwością, a Józef Lubor precyzyjnie się z trudem, choć przezornie zdjął marynarkę przed tym wyczynem. Po namyśle zostawił na tylnym siedzeniu auta i marynarkę i czapkę, a widok leżącego tam damskiego kapelusika ze słomki natchnął go pomysłem, który z miejsca uznał za świetny.

— Niechże pani zostawi tu także swoje duże torbisko, zamiast dźwigać je z sobą — rzekł z głupia frant, wyciągając do niej rękę po torebkę. — Ja zawsze zamykam wóz na klucz. Zresztą, jeśli pani ma ze sobą grubszą gotówkę, to tę można zabrać, ale po co obciążać się niepotrzebnym balastem?

— O, nie podźwigam się z pewnością — odparła, waząc torbę na dłoni i odsuwając się od niego.

— Znacznie cięższe rzeczy nosiłam w życiu. —

— Cięższe niż rewolwer? Ręczne granaty czy bomby zegarowe? — zrzędził pod nosem, otwierając z gniewnym hałasem pokrywę bagażnika.

Gdy wyjmował stamtąd swoje przybory kąpielowe, nie mógł nie spojrzeć na obraz, jaki kupił dziś od Ireny. Dlaczego ona wybrała akurat ten temat? Tutaj, w Ameryce, i w Niemczech, i we Francji widziała z pewnością tysiące budynków ładniejszych niż skromna moja „Mazurka”, którą jakoby znała tylko z fotografii. Czemu akurat ją uwieczniła na płótnie? I jak odgadła prawdziwe kolory ścian, framug okiennych i kominów „Mazurki”? — głowił się znowu, zamykając bagażnik z powrotem.

Zanim odeszli od auta, przypomnieli sobie słowa policjanta, który skierował ich na plac nr 5 i który snadź często miewał do czynienia z kierowcami roztagonionymi, zapominającymi, gdzie zostawili swój

wehikuł: „proszę zapamiętać sobie numer swej nawy, gdy parkujecie”. Ich nawa, czyli dwuszereg samochodów, do którego wcisnęli swego chryslera, była na obu końcach oznaczona okrągłą metalową tabliczką z napisem East 17-th, co wbili sobie w pamięć, ażeby potem nie szukać igły w stogu siana.

Strzałki i napisy na obwodzie każdego placu parkingowego wskazywały drogę do najbliższego przejścia dla pieszych; w tym szerokim a niskim i wybetonowanym tunelu pod szosą było im po raz pierwszy nieco chłodniej. Odkąd przestali pędzić, zaczęli znów odczuwać dzisiejszy upał, którego żaden podmuch wietrzyka jeszcze nie zaczął studzić, nawet tutaj, o kilkaset kroków zaledwie od oceanu!

Przy obu wylotach tunelików posadzono krzaki i sporo barwnych acz bezwonnych kwiatów, które towarzyszą każdej asfaltowej dróżce do Łazienek, a tych jest kilka w półmilowych odstępach, wszystkie w budynkach murowanych, podczas gdy przy innych plażach, nie wyłączając Atlantic City, gdzie co rok odbywa się korso i wybór Miss America, nie brak drewnianych bud obok nowoczesnych hoteli.

Ponieważ Irena i Józef zostawili auto na placu nr 5, tuż obok Zachs Bay, najbliższej było do Łazienek Wschodnich. Wolą je ludzie starsi i niełubiący straszliwego wrzasku, jaki panuje w West Bath-House, dlatego że tam są w środku dwa baseny. Większy z kilkupiętrową skocznią, wieczorem oświetlony zewsząd reflektorami, wabi hałaśliwą młodzież, a mniejszy basen, nie głębszy chyba niż na 80 centymetrów, jest rajem licznej dzieciarni, odżywianej tu nadmiernie i stąd mającej zapas energii do psich figli i kolosalne możliwości wokalne.

Pozbawione basenów Łazienki Wschodnie mają trochę niższy cennik wynajmu szafek z kluczem na

rzeczy albo całych kabin, jak również przyborów kąpielowych. Rano, a niekiedy i koło południa zdarzają się przed kasami i szatniami Łazienek ogonki ludzi czekających na swą kolejkę. Teraz jednak nie było tu żywego ducha, oprócz jednej kasjerki, ładnej blondynki, i jednej łazienkowej, też ładnie utlenionej, ale z trudnym do ukrycia zezem.

Obydwie te dyżurne niewiasty, znudzone kilkugodzinną beczynnością, spojrzały ze zdumieniem na Irenę i jej wąsatego towarzysza. Któż widział przychodzić do Łazienek tak późno! A jeżeli już ktoś nie mógł przybyć do Jones Beach wcześniej, czemuż nie przyjechał w kostiumie kąpielowym nakrytym pizamą lub spodniami tenisowymi i koszulką sportową? Tak właśnie robi olbrzymia większość nowojorczyków, gdy wybierają się na którąś ze swoich plaż.

Ale w Ameryce „klient zawsze ma rację”, dopóki ma pieniądze i zbożną chęć płacić. Ponieważ z portfelu, który wyjął Józef Lubor, wychyliły się zalotnie zielone grzbiety pieniędzy zwanych pospolicie dolarami, ładna kasjerka sprzedała mu gładko dwa bilety upoważniające posiadaczy do korzystania z wszelkich komfortowych urządzeń Łazienek, takich jak kabiny, szafki, prysznice zimne, letnie i gorące, wyżymaczki do osuszania mokrych kostiumów, wagi, leżaki, a poza tym na dachu budynku zasłonięte ze wszystkich boków solaria, gdzie wolno opalać się w stroju absolutnie rajskim, tylko nie razem jak w koloniach nudystów, ale kobiety osobno i mężczyźni osobno.

Nad tymi solariami lubią przelatywać młodzi adeptci lotnictwa, których hangary i pole ćwiczeń znajdują się o kilkanaście mil od Jones Beach. Natomiast wręcz odmienny gust objawiają tak zwani moralisci przyjeżdżający tutaj jakoby tylko dla świeżego powietrza, zawsze ubrani kompletnie, zapięci aż po szyję i tak

brzydzący się widokiem golizny, że gdy kąpią się u siebie w domu, o ile kąpią się w ogóle, gaszą światło w łazience, by nie zgorszyć oczu widokiem własnego ciała. Dla moralistów zarezerwowano w Jones Beach kilkadziesiąt leżaków na specjalnych tarasach i tam osobom nieubranym wstęp jest wzbroniony; nawet przejść tamtędy nie wolno w kostiumie kąpielowym. Nowoczesny dwuczęściowy kostium kąpielowy, choćby nie był tak kusy, jak „Bikini” lub „Riviera” źle wygląda na kobiecie otyłej, ale szczupłej Irenie nic podobnego nie groziło, toteż łaźiebna namawiała ją na „bikińczyka”, lecz bez skutku, i zdumiała się, gdy ta ładna i chyba dobrze zbudowana klientka poprosiła ją cicho o taki kostium kąpielowy, który by jej zakrył całe plecy lub choćby ich większą część.

— Czy pani ma tam jakąś wysypkę lub brodawki? — bąknęła.

— Gorzej. Mam nad pasem brzydkie blizny po niedawnym wypadku — odparła Irena szeptem i niepewnie.

— Teraz rozumiem i współczuję — łaźiebna szybko wyszukała kostium najmniej wycięty i dobrała doń gumową czapkę również granatowego koloru. Jestem pewna, że ta imitacja wełnianego *Jantzena* zasłoni pani wszystko to, co pani pragnie ukryć — dodała cicho i życzliwie.

Niestety, to życzenie spełnić się nie dało; prawda, jak zwykle, wyszła na jaw w nader ambarasującym momencie i naraziła na przykrość Bogu ducha winnego Polaka, zamiast prawdziwego winowajcę.

ROZDZIAŁ XIII

Ładna kasjerka oderwała wzrok od erotycznej *love-story*, jaką czytała w najświeższym numerze *Modern*

Flirts and Romances, skoro tylko Irena i Józef, rozłączywszy się tutaj, podążyli ku szatniom i wypowiedziała o obojgu swoją hipotezę:

— Przyjechali tu tak późno po prostu dlatego, że sobie zaspali. A spali twardo całe popołudnie po prostu dlatego, że przedtem kochali się za wiele — orzekła z dużą wyrozumiałością, jaką darzy się romans osób zupełnie obcych, ale nigdy znajomych, sąsiadów albo własnego męża.

— Wątpię. Mój mąż mówi, że przy takich upałach, jak obecne, uprawianie miłości jest zabójcze — nadmieniła zezowata łaźiebna, ocierając kroplisty pot z czoła. — Strach pomyśleć, że takie gorąco mają w tropikalnych krajach przez cały rok!

— Pomimo to, tamtejsze narody mnożą się liczniej niż my. — Nadobna blondynka lubiła błysnąć erudycją, żeby zazdrosne koleżanki nie mówiły, że ona została kasjerką tylko z powodu swej urody i biustu á la Marilyn Monroe. — Czyli na przekór temu, co ci twój mąż nagadał, upał pomaga, a nie przeszkadza w miłości.

Olśnione wiekopomnym odkryciem, uchwałyły zażądać od mężów naśladowania miłych zwyczajów tropikalnych bez względu na stan pogody w Nowym Jorku. Potem łaźiebna powtórzyła z własnymi dodatkami usłyszaną przed chwilą historyjkę o bliznach i zaczęły zastanawiać się gruntownie, jaki to wypadek samochodowy czy inny mógł oszpecić ładną kobietę.

Lubor, przebrawszy się szybciej, pierwszy stanął przy południowej bramie Łazienek, gdzie łączą się wyjścia z męskiej i damskiej garderoby.

Irena spóźniła się nieco, gdyż w szatni przed lustrem poprawiała jeszcze makijaż uszkodzony podczas jazdy autem. Była przekonana, że swą budową ciała, słynną wśród modelek w dzielnicy cyganerii, olśni

polskiego farmera; że będzie ją „pożerał wzrokiem” i błagał, by co prędzej zdjęła duży wypożyczony tu ręcznik, który umyślnie zarzuciła sobie na plecy jak pele-rynkę. Wszystko to nie wywarło na wąsalu, przynajmniej na razie, żadnego wrażenia!

— No, nareszcie wyguzdrała się pani — rzekł rubasznie, dodatkowo niezadowolony z tego, że nie miała już z sobą torebki i wołała zostawić ją zamkniętą w swojej blaszanej szafce na rzeczy w szatni.

— Proszę teraz dreptać za mną i nie zgubić się w tłoku — ja będę pani torował drogę.

— To nie wilk, to pospolity niedźwiedź! — mruzczała Irena, dotknięta do żywego obojętnością na jej piękne kształty. Ażeby móc je dojrzeć choć z daleka przez okno, Ramon Perez Raphael Klapperstorch i inni malarze wykręcali sobie szyje i oczy narażali na podbicie przez Maksa, a ten tutaj wąsal, choć miał dziś taką okazję, ani nie spojrział! A może jednak spojrział, dojrzał, ocenił wielkość pokusy i dlatego zmyka przed nią?

— Panie Lubor, ja z trudem nadażam za panem — użaliła się w pewnej chwili. — Czy nie możemy iść obok siebie?

— I nadepnąć na kogoś? Nie, nie, tu wygodniej iść gęsiego — odparł, prawie nie odwracając głowy.

Cóż za niedźwiedź! Ale poniekąd miał rację. Zarówno przedtem na przepelnionym chodniku betonowym między trawnikami, jak i na plaży znacznie łatwiej było kroczyć gęsiego, szczególnie jeśli ktoś się spieszył.

Nie można też było iść po linii prostej, lecz zygzakami, okrążając składane stoliki piknikujących tu cały dzień żarłoków i leżaki leniwców oraz przenośne radiogłośniki amatorów wiecznego hałasu, którzy śpią przy nim i budzą się dopiero, gdy ktoś z żartów zakręci

im radio. Nawet parasole plażowe, które swą pstroka-cizną usiłują zrobić konkurencję bogactwu barw ko-stiumów kąpielowych i plażowych strojów, tworzyły miejscami jeszcze bardzo gęste kępy, choć o tej porze zwykle zaczyna się już odnoszenie parasoli i leżaków do wypożyczalni mieszczących się w okrągłych beto-nowych kioskach przed Łazienkami; rozleniwiający upał obrzydzał dziś myśl o tak drobnym wysiłku, cóż dopiero o rozstaniu się z plażą i oceanem!

Ponad tę cizbę zagłuszającą szum fal wystrzelały w stumetrowych odstępach drewniane „ambony”, wy-ekwipowane w koła ratunkowe, linki, pływak i w pu-dła z lekarstwami dla tych, którym mógł zaszkodzić nadmiar słońca albo... wody morskiej w brzuchu. Na szczycie każdej takiej wartowni siedział z gwizdkiem w zębach albo już stał i wymachiwał rękami dyżurny strażnik, mający chronić kiepskich pływaków przed powiększeniem grona topielców.

Największe przepelnienie w Jones Beach panuje na tych skrawkach plaży, które sąsiadują z Łazienkami lub placami parkingowymi; większość bowiem nowo-jorczyków tak nie lubi chodzić pieszo, że woli cierpieć przez cały dzień niemiłe skutki ścisku niż odbyć niedu-ży spacer w lewo lub w prawo. Lubora nigdy jednak nie przestraszała perspektywa przechadzki; dlatego skoro zauważył, jak wielka cizba panuje przed East Bath-House, skręcił na lewo ku tak zwanym wydmom pol-sko-murzyńskim, gdyż w tej części plaży dawniej spo-tykało się najwięcej Polaków, a teraz Murzynów. Prze-dłużywszy sobie tak drogę, dotarł do oceanu o kilka minut później, ale za to w miejscu już znacznie słabiej zagęszczonym przez pluskających się amatorów kąpieli morskiej. Wśród tych największą grupę stanowili

dorośli tchórze, nie wchodzący do morza nigdy głębiej niż po kolana, i zgiełkliwe dzieci, pragnące iść dalej, ale bez przerwy straszone przez dorosłych, że utoną.

— Im dalej od brzegu, tym mniej cielsk i wrzawy. Czy pani pływa? — spytał Lubor, kładąc swój płaszcz kąpielowy koło czerwonego jak krew pledu, na którym czterech Murzynów grało w karty.

Chwilowo tylko trzech licytowało jeszcze, czwarty zaś, najroślejszy z nich, który spasował, bo swoje karty odłożył, popijał teraz piwo wprost z butelki i przychylnie spoglądał na spóźnionych przybyszów. Spodobały mu się jasne wąsy Polaka, a jeszcze bardziej smukła sylwetka jego towarzyszki, która właśnie odpowiadała na zadane jej pytania.

— Kiedyś potrafiłam płynąć milę bez odpoczynku, lecz wówczas byłam jeszcze młoda, silna i... podobno nadobna — odparła; stojąc blisko szkarłatnego pledu czterech Murzynów, zsunęła z siebie zaimprovizowaną pelerynkę z dużego ręcznika, rzuciła ją na płaszcz kąpielowy Lubora i pobiegła za tym bardzo widać spragnionym kąpielu wąsalem, który już wkraczał do wody.

— Czy i tu każe mi pan dreptać za sobą, jak tresowanemu psiakowi? — spytała przekornie.

Ale dziesięć sekund wcześniej, gdy po odrzuceniu swego ręcznika odwróciła się tyłem do brzegu, Murzyn pijący piwo wybałuszył oczy, opuścił flaszkę i wnet zaklął tak dosadnie, że jego trzej koledzy spojrzeli nań ze zdziwieniem.

— Co się stało, Dżim? Kogo ujrzałeś? Co tam? — pytali jeden przez drugiego, a potem zwrócili głowy w stronę morza, bowiem Dżim wskazywał im kogoś czy coś wyciągniętą ręką potężną jak maczuga.

— Spójrzcie na jej plecy — rzekł i znów zaklął siarczyście.

Spojrzeni, jednakże smukła szatynka już precyzyjnie się przez dziurawy trójszereg tchórzy stojących na płyciźnie.

— Wstańcie, to zobaczycie — rzekł Dżim, zrywając się sprężyste, a gdy stanął prosto, wyglądał na przeszło dwumetrowego olbrzyma o torsie i mięśniach zawodowego zapaśnika.

Trzej inni powstałi także z ciekawości, lecz odrzucili jego następną propozycję, by iść do wody i z bliska obejrzeć sobie to, co on pierwszy zauważył. Po co się fatygować i znowu moczyc kostiumy? Przecież ta ładna „biała lalka” i jej „brutalny kat” zostawili swoje kąpielowe płaszcze i ręczniki tutaj, wróć więc po nie i wówczas będzie można zrobić dokładne oględziny.

— Co tam oględziny — rzekł Dżim zapalczywie, zaciskając potężne swe pięści — mordobicie zrobimy! Gnaty połamię! I mnie samemu tę robotę zostawcie, jeśli się boicie; wy macie tylko pilnować, żeby mi ktoś nie przerwał mojej zabawy za wcześnie!

— Może burza ci ją przerwie!

— O, nie! Choćby lunęło i lało jak z cebra, ja zawinę się w pled i tutaj zaczekam.

Powiedziawszy to, czarny olbrzym bardzo ostentacyjnie otworzył nową butelkę piwa, zaczął z niej pić i z dumą wskazywać sąsiadom swój koszyk pustych flaszek; z przezornością awanturnika, który już miewał do czynienia z sąsiadami, przygotowywał sobie z wczasu dowody i świadków, że pił dużo, że był kompletnie pijany, gdy doszło do konfliktu, że przeto nie może być odpowiedzialny za to, co zrobił po pijanemu, a tylko za nadużycie piwa w dzień upalny.

— Ech, tę burzę obiecują od tyłu dni — rzekł inny Murzyn tasując karty — że przestałem w nią wierzyć. Możemy grać tu aż do nocy.

Tymczasem pierwsze obłoczki już się pokazały na południowej stronie horyzontu; burza nadciągała tak szybko, jak gdyby próbowała odrobić swe parodniowe spóźnienie. Lecz tutaj, na brzegu, przy pledzie szkarłatnym jak krew, nad głowami Ireny i jej polskiego kompana zbierały się innego rodzaju chmury.

ROZDZIAŁ XIV

Tam, gdzie mniej więcej stały poziom wody sięgał dorosłym nieco poza kolana, trudno było ustać w miejscu, ilekroć fala uderzała w człowieka. Nawet mężczyźni krzepkich, tak jak Józef Lubor, każda z nich odrzucała wstecz na dwa czy trzy kroki, a słabeuszów i kobiety niekiedy ciągnęła po piaszczystym dnie, zostawiając piekące zadrapania naskórka. Aby się na to nie narażać, pływacy rzucali się płasko na wodę naprzeciw nadlatującym bałwanom i przesywali je na wylot jak delfin, co jest jedną z większych rozkoszy kąpieli w oceanie.

— Oprócz małej bryzy, zwyczajnej nad morzem, nie ma żadnego wiatru, a fale są prawie tak olbrzymie, jakby po wrześnieowych huraganach. Jak mi to wyjaśni były wilk morski? — spytała Irena, odwróciwszy się na grzbiet po przebiciu szczególnie wysokiego bałwanu.

— To jest martwa fala, następstwo sztormu, który szalał może setki mil stąd, lecz bałwany, spiętrzone tam dawno temu, docierają tu dopiero ter... baczość! Grzywacz!

— Już znowu? — odwróciła twarz i w porę dała nurka. — Rzeczywiście! Już dziesiąty! I tego też nie rozumiem — ciągnęła dalej, gdy wynurzyli się po południowej stronie szumiącego grzywacza, który jej omal nie zaskoczył. — Przedtem — naliczyłam dziewięć

solidnych bałwanów, a po dziewiątej fali powinna być tradycyjna chwila ciszy i wodnej równiny, prawda?

— Tak bywa w egzotycznych powieściach. W szarej rzeczywistości jednak wszystkie oceany mylą się w rachubach, czasem nie umieją liczyć nawet do dziewięciu, jak to tutaj możemy... uwaga! Pędzi numer jedenasty!

Po trzynastym uznali, że jeśli chcą popływać sobie i pogadać spokojnie, muszą wpieryw wydostać się poza linię przyboju; tam bowiem dopiero spokojne wały martwej fali „potykają się” na progu płytszego dna, załamują, narowią i zmieniają w syczące grzywacze i w bałwany spienione z bezsilnej wściekłości, że co krok maleją i wnet zginą u stóp płaskiej plaży.

Za przybojem, gdzie nielicznych kąpiących się zdołaliby już na palcach policzyć, rzeczywiście można było spokojnie pływać każdym stylem albo odpoczywać leżąc na wznak z dłońmi splecionymi na karku lub z rękoma rozkrzyżowanymi szeroko. Zamiast tego zachciało się Irenie igraszek, koziółków, nurkowania, brykania i opryskiwania Polaka, który dość zabawnie wyglądał teraz, po zamoczeniu sobie wąsów i bujnej blond czupryny.

— Wiem, że zachowuję się okropnie, jak smarkula, a nie jak przeszło trzydziestoletnia kobieta — rzekła, podpłynąwszy doń z frontu tak, że ich twarze znalazły się tuż naprzeciw siebie — i zgaduję, że pana to gorszy, ale...

— Bynajmniej — wtrącił żywo i wyjaśnił ciszej po smutnym westchnieniu, które utonęło w szumie fal — moja żona dokazywała tak samo w Bałtyku i w Wiśle; pływała świetnie, a jej specjalnością były skoki z trampoliny...

— ...ale tyle lat nie byłam w Jones Beach, że radość mnie roznosi i o dziesięć lat odmładza — szczebiotała

dalej Irena, nie dosłyszawszy jego wzmianki o żonie, bo właśnie przeleciał nisko nad nimi staroświecki dwupłatowy samolot, wlokący za sobą na długiej, niewidocznej z ziemi siatce gigantyczny napis sławiący maść przeciw słonecznym oparzeniom skóry; choć nie słyszała słów, milczała, dopóki Lubor poruszał ustami, a potem powiedziała mu o „odmładzających” skutkach ich wycieczki. — Pamiętając zaś, komu zawdzięczam dziś tyle przyjemności i wspólny przyjazd tutaj, wyrażam panu swe podziękowanie według naszego zwyczaju...

Według tego miłego zwyczaju Amerykanka w wieku od lat 12 wzwyż dziękuje chłopcu, który jej zafundował rozrywkę, obojętnie jaką, karuzelę, kino, przejażdżkę czy bal. Dziękuje mu nie tylko słowami, ale i pocałunkiem w usta. Tylko jednym, jeśli jest roztropna, i ofiarowanym zwykle dopiero przy pożegnaniu przed jej mieszkaniem.

Zwyczaj ten podoba się cudzoziemcom przybyłym z innych lądów, ale jeśli który z nich chce żenić się z Amerykanką, woli ceremonię ślubną odbyć za granicą. W razie bowiem ślubu na gościnnej ziemi Waszyngtona wszyscy goście weselni według miejscowego zwyczaju mogą pocałować pannę młodą w usta. A młody mąż musi z gościnnym uśmiechem spoglądać na falangi nieznanych mu gości, którzy okropnie szachrują, ustawiając się po raz drugi i trzeci w ogonku czekających na tradycyjnego całusa. Nawet rozwódki, wychodzące za mąż po raz piąty i przeto dosyć otrzaskane z ceremonią ślubną, uważają ten zwyczaj za przestarzały. Niemniej jednak większość młodzieży amerykańskiej odrzuciła kompromisowy projekt europejski, żeby po ślubie całować w usta nie tylko pannę młodą, ile bardziej tego zapewne spragnioną jej babkę.

Irena postąpiła zatem ściśle według narodowego konwenansu, gdy w podzięcie za swój dzisiejszy *good time* nagle objęła Lubora za szyję i pocałowała go w usta, mocno, długo, serdecznie. On zaś postąpił dokładnie według męskich obyczajów i całującą go ładną kobietę przygarnął do siebie oburącz, jak się patrzy, od stóp do głów. Ponieważ wszakże działo się to nie na solidnej opoce, tylko na głębinie morskiej, niebawem znaleźli się pod wodą i powiewnie opadali na dno, wobec czego musieli przerwać ten kontakt niezupełnie duchowy i ratować się przed wyzionieniem ducha.

Wypłynawszy na powierzchnię oceanu, spojrzeli na siebie rozweselonym wzrokiem i wnet oddychali już tak normalnie, że mogli parsknąć serdecznym śmiechem. Wydawało im się zrazu, że są rozbawieni, tylko rozbawieni tym swoim wspólnym zanurzeniem się głęboko w kulminacyjnym momencie ich sielanki.

Niemniej jednak ten pierwszy pocałunek, choć mokry, słony i przerwany brakiem oddechu pod wodą, zadzierzgnął między nimi nic jakiegoś uczucia trudnego do określenia na razie, w każdym razie cieplejszego niż sympatia. Kiedy wkrótce potem położyli się oboje obok siebie na wznak, z rozkrzyżowanymi rękami, dając się kołysać martwej fali, Lubor delikatnie ujął swą wyciągniętą prawą dłoń jej szczupłą dłoń, uściśnął ją, przytrzymał i stwierdził z przyjemnością, że jej palce nie próbują uwolnić się z tej przyjaznej niewoli, ba, oddają mu każdy uścisk z nawiązką.

Miarowy ruch morza odwrócił ich w końcu tak, że stopami byli zwróceny na północny zachód; ilekroć podjeżdżał nowy zwal martwej fali, podnosząc im najpierw głowy i tułów, widzieli przelotnie słońce staczające się już z nowojorskiego nieba, ale jeszcze wysoko

stojące hen, nad Kalifornią, o przeszło 3000 mil stąd odległą.

Nie mówili od dłuższej chwili nic, jak gdyby każde z nich bało się przerwać zadumę drugiemu, od czasu do czasu uścisnęli sobie dłoń i za obopólną milczącą zgodą przedłużali tę dziwną sjęstę, na zdradliwym oceanie.

— Hej, wy tam! Czyście zasnęli na wodzie? Jeden, co tak zasnął, zbudził się bez głowy, którą mu rekin odciął — ktoś zawołał widać w pobliżu, skoro dosłyszeli każde słowo.

Był to jeden z plażowych strażaków, którzy w małych czółnach pływają tam i z powrotem wzdłuż brzegu za przybojem fali, żeby ratować zmęczonych pływaków.

Irena i Józef stwierdzili teraz ze zdziwieniem, że ich także prąd zniósł nieco i obecnie byli oddaleni od brzegu dobre ćwierć kilometra!

— Czy dopłyniecie do plaży własnym przemyśłem — spytał młody strażak, patrząc sceptycznie na krągłe, raczej cienkie niż muskularne ramiona zdybanej tu pływaczki — czy mam was podwieźć do przyboju fal?

— Ja dopłynę — osądził Polak — ale może pani jest znudzona?

— Kobiety są słabsze, za to znacznie wytrzymalsze od was — brawurowała Irena — dlatego w Ameryce wdów jest siedem razy więcej niż wdowców. Ja nie tylko dopłynę do plaży bez niczyjej pomocy, ale jeszcze mam zamiar poleżeć tutaj na wodzie czas dłuższy.

— Żałuję, to jest niemożliwe — odparł strażak przysuwając się do nich bliżej swoim czółnem. — Po pierwsze, mój dyżur kończy się za kwadrans i nikt już po mnie patrolować dzisiaj nie będzie. Po drugie, nadchodzi szkwał! O, stamtąd, spójrzcie tylko...

Spojrzeni w kierunku południowym i południowo-wschodnim, tak jak wskazał im swoim wiosłem. I zobaczyli na ciemniejącym tam skraju nieba kilka obłoczków, wyglądających nader niewinnie, zdaniem Ireny, która obecnie zabierała głos znacznie częściej niż przedtem lub jakby chciała odrobić zaległości z okresu swej małomówności.

— Nie w mówicie we mnie, że to tajfun albo tornado — szczebiotała teraz, używając zbyt egzotycznych nazw dla pospolitego huraganu i trąby powietrznej.

— Mój ojciec był doświadczonym rybakim, a jednak dał się raz zaskoczyć nagłemu cyklonowi i zginął — rzekł młody strażak, patrząc nieufnie na pęczniejące na horyzoncie chmurki. — Za nic ręczyć nie można, gdy ma się do czynienia z takim nieobliczalnym łotrem jak Atlantyck.

— Ja ręczę za solidny deszcz dzisiejszej nocy, a tego właśnie ogromnie brakowało nam, farmerom i ogrodnikom.

— A ja przepadam za kąpielą morską podczas deszczu.

— Kąpiel w deszczu, proszę pani, byłaby niebezpieczna tak daleko od brzegu. Gdy bowiem lunie ulewa, widzialność tutaj zmaleje do tego stopnia, że z poziomu morza nie dostrzeże się niskiej plaży i, zmęczony się, popłynie w złym kierunku na swoją zgubę — perswadował im wioślarz zrazu grzecznie, potem bardziej stanowczo. — Proszę wracać natychmiast ku plaży albo... wrzepię wam mandat i zapłacicie po pięć dolarów kary!

— Hm, a do czego przywiąże mi pan kwit? — droczyła się jeszcze, robiąc aluzję do tego, że policjanci przywiązują zwykle sznurkiem swój tekturowy mandat karny do klamki lub do anteny auta pozostawionego

w miejscu, gdzie parkować nie wolno. — Niech pan nie marszczy brwi, ja tylko żartowałam, bo mi teraz wyjątkowo wesoło na duszy! — dodała rozbijając nadąsanego przymilnym spojrzeniem swoich ślicznych oczu. — Już wracamy na ląd... Niech pan płynie pierwszy, proszę.

— Ja? — zdziwił się Lubor. Jakoś jeszcze nie zauważył, że ona w wodzie nigdy nie odwróciła się doń plecami. — Dlaczego ja, silniejszy miałbym...

— Bo pan umie zachować stale jednakowe tempo ruchów co mniej męczy na dłuższą metę — wtrąciła niezbyt przekonywająco, płynąc znowu na wznak. — Jeśli pan nie chce, żebym zasnęła i utonąła, proszę mnie usłuchać.

Usłuchał przeto, lecz płynąc pierwszy oglądał się za siebie raz po raz i dopytywał troskliwie, czy ma zwolnić albo holować ją trochę. Jego pomoc okazała się dość potrzebna na linii przyboju fal, gdzie Irenę parę razy odrzucało wstecz, to znów ciągnęło w wir. Za to potem udało jej się „wskoczyć na koń”, czyli przodem swego pochylonego korpusu położyć się na grzbiecie załamującego się grzywacza, i nie dać się zrzucić, a jechać na tej spienionej fali aż do miejsca, gdzie woda nie sięgała ani do kolan.

Potem musiał mozolnie brnąć po mieliźnie do dalekiego brzegu, atakowany z tyłu przez doganiające go bałwany, a spodem szarpany w przeciwnym kierunku przez mocniejszy teraz dolny prąd, zamiatający dno morskie na płytkich wodach.

Zmęczony potężnie wyszedł na brzeg, rozglądając się za Ireną, i dostrzegł ją nie opodal szkarłatnego pledu, na którym przedtem grało w pokera czterech Murzynów. Tam też zostawił na piasku swój płaszcz kąpielowy, skrojony jak szlafrok, a po niedawnym wypraniu chemicznym niepokalanie biały jak kitel początkującego

lekarza. Kiedy jednak schylił się po swoją własność ujrzał na jej jasnym tle czarną stopę, i to tak dużą, że musiała należeć chyba do jakiegoś olbrzyma. Dotknął jej mokrym palcem raczej lekko, jak nakazywała prze-zorność.

— Proszę usunąć nogę z mego płaszcza — rzekł równocześnie.

— A jeśli jej nie usunę, to będziesz mnie bił? — warknął tuż nad nim basowy głos. — Bij! Właśnie tego chcę, żebyś choć raz mnie uderzył!

Zanim jeszcze ociekający wodą Polak podniósł głowę, dostrzegł na prawo od pary potężnych czarnych nóg koszyk, w którym leżało bezładnie kilkanaście brunatnych butelek, w jakich sprzedaje się piwo. Wszystkie były już puste, więc zaczepiający go Murzyn był zapewne także pijany, a nie tylko skutkiem upału podrażniony i spragniony kłótni.

Tak rozumując, skrzywił się Lubor niemiłosiernie, gdyż z dwojga złego wołał nawet obrzydliwy zapach czosnku niż sprzeczkę z ludźmi pijanymi, a takich często spotykał dawniej, za swoich żeglarskich czasów.

— Widzę, że pan szuka zwady. Ale dlaczego ze mną? — spytał spokojnie, wyprostowawszy się w całej swej okazałości, która to okazałość okazała się jednak więcej niż o połowę niższa i w barach o dziesięć cali węższa od atletycznej postaci Murzyna, co dla Polaka nie było pociesającym odkryciem. — Ja was tu nie zaczepiałem ani...

— To jasne — roześmiał się ciemnoskóry szyderczo, przystępując bliżej, tak że odór piwa i jakiegoś z czosnkiem wypitraszonego mięsiwa buchnął w nozdrza Józefowi, niecierpiącemu właśnie tych zapachów.

— Ty byś nie zaczepił nawet mego starego dziadka! Tyś jest zuch tylko ze słabą kobieciną. Ją to odważnie bijesz aż hej i to nie gołą ręką, nieee! Batem i...

— Czyś ty oszalał człowieku! — zachnął się Lubor, przerywając tamtemu wartki potok krzywdzących zarzutów. — Jaką kobietę ja...

— No, swoją... — wtrącił Murzyn. — Tę tutaj! — wyciągnął długą rękę tak, jak gdyby chciał wskazać Irenę i nagłym ruchem zerwał z niej ręcznik, który zarzuciła sobie na ramiona zaraz po wyjściu z kąpieli.

— Patrzcie na jej plecy! Ladies and gentlemen, zobaczcie na własne oczy, jak białą kobietę traktuje jej biały mąż czy kochanek! — Olbrzym wykrzyknął ostatnie zdanie tak sugestywnie, że nawet niesłusznie posądzony spojrział z ciekawością na plecy swej rzekomej ofiary i ujrzał wychylające się z wycięcia kostiumu kąpielowego liczne pręgi, niewątpliwie ślady silnych uderzeń; tu i ówdzie skóra Ireny była przecięta i pokryta podłużnymi strupkami.

— Miałeś rację, Dżimie. Nie wierzyliśmy ci przedtem. Myśleliśmy, że bujasz. Ale ty masz bystre oczy, ona była naprawdę biczowana! — mówili teraz trzej towarzysze Dżima i inni Murzyni, którym on widocznie opowiedział o swym nagłym spostrzeżeniu, podczas gdy Irena kąpała się w morzu.

Widok jej poznaczonych pręgami pleców uprzedził do niewinnie oskarżonego Polaka nawet tych spośród białoskórych gapiów, którzy dotychczas sympatyzowali z nim li tylko dlatego, że jego przeciwnikiem był Murzyn; w stanach północnych oficjalnej dyskryminacji rasowej już nie ma, lecz biały nie ożeni się z Murzynką ani nie będzie mieszkał w kamienicy zamieszkałej przez czarnych, a w razie sporu, którego przyczyna jest na razie nieznaną, biali zawsze trzymają z białym, a czarni z czarnym.

— No, skoro z tego wásala taki brutal, skoro on swoją kobietę tak katuje, to niechże go nawzajem spiorą

nawet Negrzy — orzekł głośno jakiś szpakowaty jego-
mość i pociągnął za sobą ku Łazienkom sporą grupkę
białych gapiów, przypominając im gadkę o trzech
małpkach i regułę, że bezpieczniej jest, jeśli człek „nic
nie widzi, nic nie słyszy i nic nie mówi, tylko zmyka,
żeby przypadkiem nie został świadkiem”. Świadek bo-
wiem nie tylko traci moc cennego czasu w sądach, ale
— co gorsza — prokurator albo obrońca prawie zawsze
wynajdzie mu kilka ciemnych plamek z przeszłości,
które prasa brukowa z rozkoszą rozmazuje na szpal-
tach.

Jedni odchodzili, drudzy pogrubiali pierścień ga-
piów, w środku którego Irena daremnie próbowała
przegadać trzy Murzynki i dwa razy więcej Murzynów,
mówiących naraz. Lubor próbował oświadczyć, iż on
ani tej ani żadnej innej kobiety nie bił nigdy nawet
kwiatem, cóż dopiero batem. Dżim przerwał mu jed-
nak sarkastyczną uwagą, że tchórze zawsze wypierają
się winy, by uniknąć kary. Stale odbierał głos Polakowi
i prowokował go do rękoczynu, gdyż kto pierwszy ude-
rzy, ten ma sprawę przegraną u władz i nie może liczyć
na odszkodowanie za cięgi, jakie uderzony przezeń
sprawił mu „we własnej obronie”.

Dżim pragnął bitki, ilekroć sobie podpił, dzisiaj zaś
dodatkowo upajał się rolą, jaka mu się przypadkowo
nadarzyła, gdyż była biegunowym odwróceniem
dziennikarskiego szablonu. Według oklepanego sza-
blonu bowiem czarnoskóry bywa zawsze czarnym cha-
rakterem, który skrzywdził białą kobietę.

Tutaj zaś „po raz pierwszy w dziejach świata”, jak od
jutra powinny pisać miejscowe gazety, obrońcą białej
kobiety, skrzywdzonej przez białego mężczyznę, stał
się Murzyn, „rycerski, szlachetny odważny, potężny,
ważący 225 funtów Dżim Hariman”. Już ze względu na

tę spodziewaną reklamę czarny Dżim nie zamierzał wypuścić z rąk wąsatego blondyna, chociaż ów nie wyglądał ani trochę na brutala katującego kobiety i chociaż „ubiczowana” szatynka zaklinała się na czyjeś tam świetlane dusze, że to całkiem ktoś inny tak jej plecy ozdobił.

— Ale się urządziłem przez tę niepotrzebną przejażdżkę dzisiejszą! Alem ja się ubrał, no — mruczał Polak.

Czuł się fizycznie wyczerpany po długim pływaniu przy silnej fali i przez to niezdolny do dłuższych zapasów z przeciwnikiem. Równocześnie zaś, czy to skutkiem upału czy wypitych przedtem trunków, miał umysł ociężały, rozleniwiony i apatyczny, tak, że ani rusz nie mógł wykombinować sobie żadnego wyjścia z sytuacji zarówno głupiej, jak i paskudnie przykrej. Jego, który nie ubliżył żadnej kobiecie ani nawet zaczepiającym go na *Times Square* natrętnie kokotom, oskarżono tutaj wobec tłumów o sadystyczne katowanie „własnej żony”, wyglądającej na słabowite, niedożywione i zaharowane biedactwo. Potępiano go spojrzieniami pełnymi pogardy i wyzwiskami, lecz na tym chyba nie miało się skończyć, gdyż czarny wielkolud, główny bohater i aranżer widowiska, palił się wprost, by od słów przejść do czynów.

— Stulcie paszcze! — nakazał właśnie swym współplemieńcom obojga płci tak donośnym głosem, że uci-chli od razu, po czym zwrócił się do wąsatego Polaka, który stał z rękami założonymi na piersiach prawie po napoleońsku. — Ty, który bijesz słabe kobiety, na jaką broń chcesz bić się ze mną? Na gołe pięści czy na ubite flaszki? — spytał najgłośniej, grając dla galerii.

— Jakie flaszki? — bąknął Lubor jakby w zupełnym roztargnieniu.

Dżim schylił się nad koszykiem, wyciągnął jedną z butelek po piwie i trzasnął nią w drugą tak zgrabnie, że tylko spód wraz z dnem odleciał. Górna część flaszki była teraz najeżona u dołu ostrymi jak brzytwy szpicami nadtłuczonego szkła. Tego rodzaju postrzępiony kikut butelki w dłoni awanturnika lub pijaka może łatwo poderżnąć gardło i potwornie zmasakrować niejedną twarz!

— Takie flaszki! — odparł Dżim w odpowiedzi na niefortunne pytanie. — No, jaką broń wybierasz, kacie bezbronnych kobiet? — coraz bardziej upojony swoją bohaterską rolą, szarżował już niemilosiernie. — Czy ludzisz się, że unikniesz walki ze mną i kary?

Tym razem nie dostał żadnej odpowiedzi, a wzgardliwa bierność jasnowłosego przeciwnika rozwścieczała go i jednocześnie trochę onieśmielała. Wreszcie przebrała się miarka cierpliwości widzów oczekujących na gratisowy spektakl.

— Zaczynaj, Dżim! Wkrótce lunie deszcz! Wal go w pysk! — wołali jedni przez drugich, aż nieodpartym bodźcem dla czarnego Don Kiszota stał się kpiący okrzyk jego eksprzyjaciółki.

— Dżim, czy ty się go bardzo boisz?

— Ja? — wrzasnął. — No, to patrzcie wszyscy, jak się boję tego wymokłego babobijcy! — Po tej pogróżce Dżim przybrał pozę napastnika przygotowującego się do stanowczego ataku i przełożył prymitywną a straszliwą broń do drugiej ręki. — Liczę do trzech, a potem...

— „Zabij łobuza” — hasło zabrzmiało chóralnie niczym podczas zapasów miejscowego ulubieńca tłumów z obcym brutalą.

Zakotłowało się w środku koliska gapiów Irena krzyknęła przerażająco.

ROZDZIAŁ XV

Ampara Perez zaraz po rozstaniu się z Ireną i Józefem Luborem powróciła tam, gdzie dziś zjedli razem wczesny a wystawny obiad. Szczodry Polak zapłacił zań 17.51 dol., a ponieważ ona go tam przyprowadziła, chciała otrzymać od tej sumy 10% tytułem prowizji zwyczajowej, która w lokalach nocnych bywa wyższa i sięga aż do 25%. Wydatek ten z nadwyżką odbija sobie restaurator w stosownie wykalkulowanych cenach potraw i trunków, czyli cały koszt ponosi konsument, klient, który zawsze ma rację, ale zawsze beknie i zapłaci.

Dlaczego Ampara nie zainkasowała tej drobnostki wówczas, kiedy rycerski, całujący kobiety w rękę don José poszedł po swój stary samochód zaparkowany gdzieś w pobliżu? Dlatego, że krępowała ją obecność Ireny, przesadnie skrupulatnej w sprawach pieniężnych i potępiającej zarabianie na wszelkich pośrednictwach.

Jednym z przykładów, jakie Irena często przytaczała w sąsiedzkich dyskusjach o coraz cięższych warunkach życia codziennego, był „dramat mleczny”. Farmer, który mozolnie hoduje w oborze i kosztownie karmi krowy, zamiast tanio trzymać je na pastwisku przez cały rok i z zyskiem sprzedać je na rzeź, dostaje za litr mleka tylko 7 centów od milionerskiej kompanii, pośredniczącej w przewozie sterylizacji i sprzedaży produktów mlecznych. A w miastach płaci się za litr mleka aż 24 centy plus kilka centów tytułem kaucji za każdą litrową kompanijną butelkę, rozbitą przez kogoś z domowników co najmniej raz na tydzień, przez co znów kaucja za nią przepada. Słowem, pośrednicy dostają pieniędzy kilka razy więcej niż rolnik-producent, nawet przy takim artykule jak mleko!

— Ty, droga Amparo, która masz dzieci i dwa razy więcej osób do wyżywienia niż ja, powinnaś zacieklej ode mnie zwalczać wszelkich pośredniczących pasożytów — mawiała Irena przy każdej sposobności.

Nie wypada się więc zdradzić przed nią z „pasożytniczych” zamiarów, jakie Ampara — choć w duchu przyznawała rację przyjaciółce — stale żywiła wobec takiego arcy pasożyta jak signor Fortunato Cavatappi. Dlatego poszła doń dopiero po uwolnieniu się od towarzysztwa skrupulatnej Ireny, lecz nie zastała go ani w sali restauracyjnej, ani w kuchni, do której często zaglądał, aby osobiście skosztować każdej potrawy przygotowywanej przez jego uczniów, co rok nowych, bowiem im mógł płacić grubo mniej niż żądaliby kucharze zawodowi.

Henrietta, fertyczna kelnerka, która usługiwała przy obiedzie gościom Lubora, wyjawiała Amparze parę sekretów lokalnych, a wśród nich i ten, czemu tłuszcioch, jak słusznie przezywali beczkowatego szefa, schował się niedawno do swego kantoru na piętrze.

— Telefonowała jego ekszona, Karen, że znów jest w skrajnej nędzy i przyjdzie tu zaraz po jakiś zasiłek, więc oczywiście szef woli się z nią nie spotkać. Kazał jej wydać trochę wiktuałów ze sklepu, lecz żadnej gotówki. I słusznie, bo czyż nie wiemy wszyscy, na co ona wydałaby każdego dolara?

Wejście do prywatnej klatki schodowej wiodącej na piętro do biur znajdowało się obok kasy w sklepie, delikatesów, który przylegał do restauracji z jednej strony tak jak bar z drugiej. Klientów w sklepie nie było, gdyż lato, niedziela i upał utworzyły dziś koalicję wrogą obrotom handlowym. Funkcję kasjerki spełniała tam Gerti, załgana przybłąda z Europy, jak przed chwilą

wyraziła się Henrietta, powtarzając zresztą ogólną opinię personelu.

Gerti, czyli Gertruda, co kilka miesięcy zmieniała swój życiorys, miejsce urodzenia, ojczyznę, religię, zawód zmarłych rodziców i własny kolor włosów. Obecnie była płomiennie ruda, ładnie ubrana i ufryzowana, a starszym od siebie pracownikom wydawała zbędne rozkazy tonem bardziej władczy niż to czynił sam Cavatappi! Skąd się wzięła u osoby najmłodszej z całego personelu ta nagła pewność siebie i zegarek wysadzany brylancikami na przegubie dłoni, której brzydkie, krótkie paznokcie błyszcząły złocistym lakierem, dobranym barwą do najnowszego koloru jej włosów? Nad tym głowiła się Ampara podchodząc do kasy, podczas gdy Gerti udawała, że jest zbyt zajęta, by mogła spojrzeć w tę stronę i zauważyć, kto to wszedł do sklepu bocznym wejściem.

— Czym możemy służyć? — spytała ponaglona chrząknięciem przybyłej. — Zgaduję, że pani podziwia nasze półki przepelnione wyborowym towarem — teraz naśladowała swego pracodawcę. — Tak, nasza chluba: oprócz artykułów made in USA mamy też importowane z Europy wina, koniaki, kawior, sery...

— Spylajcie je bogatym gangsterom — wtrąciła Ampara. — Ja tu kupię jedynie żytni chleb, bo wczorajszego może mi nie wystarczyć.

— Tylko chleb? Oh! Za mniejszy bochenek liczymy teraz dwadzieścia trzy centy, za większy czterdzieści pięć.

— Ładne rzeczy! To już o całe pięć centów więcej niż w piekarniach... Oczywiście rozumiem, że w sklepie z delikatesami ceny pieczywa, nabiału i wędlin muszą być wyższe, gdyż towar jest znacznie lepszy — tym po-chlebstwem próbowała zatrzeć wrażenie swego

szczerego oburzenia, że Cavatappi podniósł cenę nawet najtańszego gatunku chleba tak dużo w stosunku do jego detalicznej ceny w pobliskiej piekarni, gdzie przecież nabywał pieczywo po cenie hurtowej! — Ale mając dość liczną rodzinę, a zarobki dorywcze, muszę kupować żywność tam, gdzie ona jest lichtsza i tańsza.

— To znaczy w sklepikach chińskiej dzielnicy czy na straganach przy Bowery Street? — spytała Gerti niby to z głupia frant, lecz pogardliwe szyderstwo świeżobogackiej malowało się dobitnie na jej lisiej twarzy. — Tyle już nasłuchałam się o brudach i nędzy zaułków Bowery, podobno gorszych niż w Whitechapel mojego Londynu, że radabym zobaczyć tę turystyczną atrakcję, lecz nikt dotąd nie zawiózł mnie tam autem... Gdzie to leży właściwie? — Gerti zgrywała się naiwnie ze względu na paru obecnych teraz w sklepie klientów.

— Bowery to tak bliżutko stąd, że nie warto brać auta, jeśli ktoś nie ma nagniotków — rzekła Ampara z arsenikową słodyczą uśmiechu. Nieszczęścia i bankructwo zapędziły tam pieszo nawet bankierów i wielkich artystów. Tym bardziej nie brak w Bowery szumowin, ufarbowanych czupiradeł, kokot i zagranicznych przybłęd, które zamiast uczciwie pracować w naszej Ameryce szukają łatwego chleba i, po krótkim powodzeniu, kończą w rynsztokach Bowery...

Czuła, że niepotrzebnie wygłasza tę przepowiednię czy swoje pobożne życzenie w odniesieniu do Gerti, że wbrew swoim interesom robi sobie śmiertelnego wroga w zauszniczy Cavatappiego, że stanowczo zbyt ostro rewanżuje się jej za te „stragany w Bowery”, lecz ani rusz nie mogła zahamować swego języka i rozdrażnienia, wywołanego zapewne upałem. W sklepie wszyscy pojęli w lot, kogo miała na myśli używając takich

określeń, jak ufarbowana, zagraniczna przybłąda, bo cisza się nagle zrobiła jak przed burzą i wszystkie spojrzenia przyłgnęły do wymalowanej przesadnie twarzy młodej kasjerki.

— Wiem, wiem, kogo pani ma na myśli, droga Mrs Ramon Perez — rzekła z udanym współczuciem. — lekkomyślna Karen rzeczywiście mieszka teraz w Bowersy, zapewne w jakimś zapchlonym przytułku. I ma tu przyjść dzisiaj żebrać o wsparcie, którego nasz szlachetny chlebobawca nie odmawia nawet takiej dezercerke i złodziejce, jak ona! Czy odwiedza ją pani? Ona panią czule wspomina... Czy pani życzy sobie czegoś więcej oprócz najtańszego bochenka chleba?

— Tak. Należy mi się gotówką prowizja od...

— Gotówką? Nie w towarze? Szef nie dał mi w ogóle żadnej asygnaty ani nawet ustnego polecenia, by pani coś wypłacić gotówką.

— Widocznie zapomniał. Jest w kantorze, więc pójdę doń i...

— O, nie! — wtrąciła znów Gerti. — Tylko nasi stali pracownicy mają tam wstęp wolny w każdej chwili. Inne osoby jedynie wówczas, gdy pan Cavatappi wyrazi na to zgodę. Takie jest jego nowe zarządzenie.

Ampara podporządkowała się temu zarządzeniu i czekała na powrót subiekta, którego Gerti wysłała do szefa po odpowiednią instrukcję.

Jak wiele Portorikanek, Meksykanek i Hiszpanek, miała Ampara od zamążpójścia skłonność do tycia nawet przy najlichszej żywności. Natomiast jej dzieci, Jacinta i Pedrito, jak gdyby wdały się kompletnie w chudego i drobnego ojca, były chuchrami aż żal patrzeć. Z pewnością przydałoby się ich organizmom, włąłym i marnie odżywionym, choć trochę z tych nader

pożywnych przysmaków, jakich olbrzymiej masy nie mogły tu pomieścić liczne półki w sklepie i drugie pod nim w dużej piwnicy, dobrze znanej Amparze. — Niestety, na kupowanie takich artykułów mogą pozwolić sobie jedynie ci, którzy urodzili się w Stanach i odziedziczyli tu po rodzicach choćby tylko domek, przez co odpada im płacenie komornego — tłumaczyła sobie dotychczas.

Teraz jednak, czekając na „audiencję” u Cavatapięgo, słyszała na własne uszy, jak Gerti dyktowała drugiemu subiekтови spis najdroższych wiktuałów i trunków, jakie przed 1 lipca mają być odesłane jej do domu na „oblanie” nowego mieszkania. Potem zaczęła głośno opisywać jakiejś klientce różne luksusowe urządzenia swego „gniazdka” z własnym telefonem, dwoma lodówkami, aparatem do oziębiania powietrza podczas upałów, gorącą wodą bieżącą przez 24 godziny na dobę i aparatem telewizyjnym z ekranem na 21 cali.

Jeśli Gerti mówiła prawdę, to już samo komorne za jej nowe mieszkanie z pewnością kosztowało więcej niż wynosiły tu zawsze pobory kasjerki. Zatem sprytna dziewczoja musiała mieć pokaźne dochody uboczne, na co zresztą wskazywał jej zegarek z brylancikami i jej strój, zbyt kosztowny przy pracy. A przecież Gerti nie urodziła się w Ameryce i nie miała tu żadnych krewnych, jak wynikało z jej dokumentów osobistych i odpisu obszernego podania o stałą pobytową wizę amerykańską. Kiedy prosiła o zajęcie zmywaczki tłustych garnków i talerzy w kuchni restauracyjnej, o najgorsze, ale jedyne zajęcie, jakie tu wtedy było wolne, przedłożyła te swoje papiery. Oczywiście niepotrzebnie, i tylko jedna Ampara przejrzała je z ciekawości, bowiem nawet dyplomy doktorskie, profesorskie, inżynierskie nie

robią żadnego wrażenia na przedsiębiorcach amerykańskich. Gdyby sam Albert Einstein przyszedł tu z prośbą o jakąś posadę lub z propozycją założenia spółki dla eksploatacji jego teorii względności... w gastronomii, wierny swym zasadom Fortunato Cavatappi byłby mu najpierw cisnął w dłoń miotłę, mówiąc: „Pokaż mi, czy umiesz zamiatać, reszty ja cię już wyuczę”.

Wszyscy bez wyjątku odcierpieli tu ten „fakultet” zamiatania sklepu i całkiem inną technikę zamiatania sali restauracyjnej, a jeszcze inną w kuchni. Najpóźniej z całego personelu stałego i sezonowego zaczęła swe tutejsze „studia” miotły i szczotki świeża emigrantka z Europy, panna Gertruda Ley, czyli Gerti. Lecz ona awansowała najszybciej. A jak wynikało z jej dzisiejszych przechwałek, zarówno w dochodach jak i w stopie życia prześcignęła Perezów kolosalnie!

Powrócił wreszcie wysłany do szefa subiekt i mruwnąwszy porozumiewawczo na Amparę, poszedł złożyć władczej kasjerce raport ze swej misji.

— Skłął mnie pan Cavatappi, bo niechący przerwałem mu drzemkę — zaczął. — Potem huknął, że nie przyjmuje żadnych kwestarzy w niedzielę i święta. I że nie zna żadnej Mrs. Perez. Zgodził się ją przyjąć dopiero, gdy mu wyjaśniłem, że to jest nasza zacna Ampara...

— Kto cię o to prosił, ośle — syknęła Gerti, sztyletując go wzrokiem.

— Dziękuję ci, zacny kolego — powiedziała Portorykanka z naciskiem i zwycięsko wkroczyła na wąskie i ciemnawe schody wiodące do nieczynnych dziś z powodu niedzieli biur trzech przedsiębiorstw Cavatappiego.

Tłuścioch chciał zapewne kontynuować swą poobiednią drzemkę, gdyż leżał nadal na tapczanie bez

swej lekkiej alpakowej marynarki. Leżał przy obu oknach zasłoniętych weneckimi storami i przy mdłym świetle lampy stojącej obok, a nakrytej prócz abażuru jakąś batikową chustą, która falowała, choć dość daleko od niej pracował duży a cicho szumiący elektryczny wentylator.

— Czy mogę wejść? — spytała, jak każe zwyczaj, aczkolwiek już weszła. I zapragnęła wyjść natychmiast, stwierdziwszy poniewczasie, że dawna pracownia szefa wygląda teraz raczej jak garsoniera uwodziciela.

— Oczywiście, że można. Buon giorno albo raczej buona sera, signorina... Och, przepraszam, już signora, nie signorina, ale pani wygląda tak młodo, że stale biorę ją za niezamężną... — Wygłosiwszy jednym tchem ten swój często w handlu stosowany komplement, wyciągnął tłuste łapska do kordialnego powitania. — Wybacz, droga Ampi, że nie wstaję, lecz ten okropny upał... Czyż nie podasz mi rączki? Chcę ją ucisnąć w podziękę za przyprowadzenie do mnie tego Polaka...

Ponieważ nie ruszył się z miejsca, wypadło jej podejść doń, aby potrząsnąć jego dłonią, okropnie owłosioną i często tak spoconą, iż jej dotyk przejmował ją wstrętem, a Fortunato lubił niby w roztargnieniu opierać dłonie na obnażonych ramionach, karkach lub plecach swoich pracownic. Choć Ampara знаła jego „roztargnienie” i miała się na baczności, zdążył schwycić mocno jej prawą dłoń, potem lewą i zaczął ją przyciągać do siebie, pomimo jej stanowczego oporu.

— Signor Cavatappi, upał nas wszystkich podnieca, aleja tu przyszłam tylko w sprawie handlowej! — zaznaczyła z godnością.

— Właśnie dlatego powinnaś mnie dobrze usposobić,

przekupić! To leży w twoim interesie, który jest stokroć ważniejszy niż ta drobna prowizja dzisiejsza. Chcesz mieć znowu robotę w moim przedsiębiorstwie, prawda? — na tym ostatnim zdaniu położył duży nacisk, potem znów trajkotał i bełkotał jak przeciętny roznamiętniony południowiec. Do licha, nie targuj się o drobnostkę, Ampi. Twój malutki mężulek nie musi wiedzieć o tym, że dasz swojemu dobremu chlebodawcy kilka całusów... No, niechby już był tylko jeden całus, byle długi. A potem zaraz możemy pogadać o interesach...

Dla świętej zgody z pracodawcą zdecydowała się spełnić jego życzenie, jakże częste i pospolite tam gdzie da się bezkarnie wykorzystywać zależność swoich podwładnych. Kiedy jednak pochyliła się nad leżącym na wznak grubasem, aby jego okrągłą facjatę musnąć wargami lekko, krótko, przelotnie, ów złapał jej głowę oburącz jak kleszczami i pocałował ją w usta tak żarłocznie i soczyście, że z największą rozkoszą byłaby wytrzaskała go po papie. Czyż jednak mogła wypoliczkować i zrazić sobie pracodawcę, który zatrudniał ją w sklepie lub w barze, a czasem w restauracji przez około 200 dni na rok? Przecież mógł nie zatrudnić jej ani razu. Nie, nie mogła z nim zadzierać. Musiała usiąść na krawędzi tapczanu jak żądał, musiała tolerować bez objawów fizycznego wstrętu miętoszenie jej dłoni w jego spoconych łapach i słuchać z uprzejmym uśmiechem jego zwierzeń.

Fortunato Cavatappi zaś najpierw mlaskał, cmokał i oblizywał się obrzydliwie, gdy wychwalał skradzionego jej całusa. Ach, ten długi *bacio* był *delizioso*, a może nawet *deliziosissimo*, tak jak sosy przyrządzane przez niego w kuchni osobiście, ilekroć zamożniejsi klienci wynajmują jego usługi i lokal na wesela, chrzciny, jubileusze czy jeszcze inne stypy.

Potem westchnął i zaczął się żalić, że bywają kobiety bardzo ponętnie zbudowane i lubiące męską pieśczo-
tę, lecz usta miewają tak najeżone krzywymi i wystają-
cymi zębiskami, że można sobie wargi skaleczyć.

— Skoro tak, czemuż Gerti została pańską... prawą
ręką tudzież kierowniczką sklepu? — palnęła Ampara,
zgadłszy łatwo, o kim mówił.

Cavatappi tak samo jak jego pojętna krzywousta
uczennica lubił czasem udawać, iż ambarasujących
słów nie dosłyszał albo nie zrozumiał.

— Prócz ciebie już kilka osób zauważyło, że Gerti
ma zęby, których brzydota może razić klientów. Chce-
my, by dała sobie wprawić sztuczne zęby, a z hollywo-
odzkimi byłoby jej najbardziej do twarzy, lecz ona pa-
nicznie boi się dentystów — zwierzał się i niby to prosił
o ścisłą dyskrecję. — Może jednak w końcu zdołam ją
przekonać...

— I może przy tej okazji zdoła pan ją uprosić, by
przestała szykanować starszych od niej pracowników,
zwłaszcza mnie. I żeby moje należności od pańskiej
firmy wypłacała mi gotówką, a nie w towarze, bardzo
dobrym, nie przeczę, lecz za droгим na moją kieszeń.
— Ampara mówiła to w takim rozdrażnieniu, jak gdyby
lada chwila miała wybuchnąć spazmatycznym płaczem
albo srogim gniewem. Cavatappi to zauważył, i pew-
ność siebie, spowodowana szybkim wzrostem jego za-
możności, podyktowała mu megalomańskie przypusz-
czenie, że on podoba się kobietom jako mężczyzna i że
Ampara Perez jest zazdrosna o jego romans z Gerti.

— Czy chcesz być ze mną szczerą, Ampa? Przygnę-
bia cię jakaś niedola, zapewne pieniądze kłopoty,
prawda? Wystawa zawiodła, Ramon sprzedał obraz-
ków za mało, byście mogli przeżyć całe lato czy nawet
pół lata, co? — mówił teraz niby bardzo współczująco

i serdecznie. — I ty chciałabyś zacząć tu pracować jeszcze przed jesiennym sezonem, czy tak? Skoro nowicjuszka Gerti może mieć stałe zajęcie, tym bardziej ty byś chciała być tutaj stale...

Blisko mnie, wypróbowanego przyjaciela i opiekuna, prawda? Pcha cię ku temu nie tylko chęć zarobku, ale i wdzięczność, sympatia do kogoś i zapewne także...

Zgodnie powtarzała „tak” po każdym jego retorycznym pytaniu, choć nie wszystkie z nich docierały do niej, bowiem pod wpływem trunków i odkrycia tej niesprawiedliwości że „świeża przybłąda” Gerti zdystansowała w karierze Perezów, po bezsilnym gniewie ogarnęła Amparę popularna w dzielnicy cyganerii litość nad sobą, gorycz, uraza do świata. Łzy piekły ją w oczach i była wdzięczna grubasowi, że tak gorliwie głaskał i ścisnął jej dłoń, choć normalnie odrazę w niej budziło dotknięcie jego ciepło-mokrych łap. Aż nagle przedarła się do jej świadomości końcowa propozycja „wypróbowanego przyjaciela i opiekuna”.

— Zrobione! Możesz mieć zajęcie już od sierpnia — rzekł Cavatappi z miną bezinteresownego dobroczyńcy. — Oczywiście na podobnych warunkach jak Gerti. Szczegóły współpracy i przyszłych wzajemnych świadczeń później omówimy, a teraz przekreść klucz w drzwiach.

ROZDZIAŁ XVI

W barze Cavatappiego było prawie ciemno, bo światła jeszcze nie zapalono, a wielkie okno od ulicy już zasłonięto kotarami tak misternie, że przez szpary między nimi widać było z baru spory odcinek ulicy. Natomiast ktoś zaglądnący tu z zewnątrz widziałby

tylko sufit lokalu z malowidłem przedstawiającym bachanalia podkasanych nimf i satyrów oraz dostrzegłby górne baterie butelek na lustrzanych półkach wypełniających cały środek długiej lewej ściany. Zarówno widok tyłu flaszek z przeróżnymi trunkami, jak i orgii mitologicznych nudystów na suficie mógł przywabić tutaj przechodnia, nawet statecznego ojca rodziny, któremu burza domowa każe szukać innej przystani i zapomnienia.

Natomiast żony i teściowe, poszukujące zawieruszonych mężów i zięciów, nie mogły z ulicy dostrzec ich w barze. A osobista damska inspekcja lokalu byłaby ryzykowna, gdyż kobiecie nie wypada wchodzić do tawerny wieczorem bez męskiej eskorty. Gdyby ktoś znajomy dostrzegł ją w takiej sytuacji, rychło w całej swej dzielnicy zyskałaby sobie opinię nałogowej pijaczki, choćby zaklinała się na wszelkie świętości, że ona chodzi po knajpach li tylko w celu odnalezienia męża. Bowiem jeśli cokolwiek, choćby wyszana z brudnego palca plotka, splami dobrą sławę kobiety przeciętnej, nie wywabi tej skazy żaden usuwacz plam, oprócz udanego przeskoku splamionej do kategorii kobiet nieprzeciętnych, to jest milionerek, bohatererek wielkich skandali i artystek.

Artystkom wszelkich kategorii żadna plotka nie szkodzi, przeciwnie, prawdziwe czy nieprawdziwe pogłoski, że jakaś aktorka jest notoryczną pijaczką, narkomanką, erotomanką, że porządnym kobietom mężów zabiera, że żąda miliona dolarów za „złamane serce” od swego piątego męża, jeszcze zwiększają jej popularność. Opinia publiczna jest dla nich wyrozumiała tak samo przesadnie, jak surowa jest dla zapracowanych kobiet przeciętnych. Lecz tu opinię urabia prasa.

Ampara Perez, jako modelka i żona malarza, mogła

wprawdzie zaliczać siebie do kasty kobiet nieprzeciętnych, lecz tylko do ich najbiedniejszej klasy. Poza tym wiadano w Greenwich Village, że zimą, gdy ludziska garną się do knajp, Ampara pracowała częściej jako barmanka u Cavatappiego niż jako kasjerka w jego sklepie delikatesów. Miała więc podwójne prawo wkroczyć teraz do tego szynku z ulicy, bez obawy, że to zaszkodzi jej opinii. Jednakże zastarzałe przesady okazały się silniejsze i Ampara, choć przed chwilą wypadła z impetem osoby wzburzonej na ulicę, a stamtąd miała do baru bliższą drogę jego głównym wejściem, wołała zawrócić jeszcze raz do restauracji, żeby stamtąd móc dyskretnie wejść bocznymi drzwiami do swej knajpy.

W niedzielę bar przeważnie świecił pustkami po południu, gdy zbliżała się pora obiadu. Barman Patrick MacCluskey, pół-Szkot i pół-Irlandczyk, raz lekko-myślny po irlandzku, raz skąpy po szkocku, nie zapalał tu świateł, oprócz tak niezbędnych jak neonowy napis na głównych drzwiach, głoszący, że lokal ten jest mechanicznie oziębiany, i dwie lampki w głębi podłużnej sali nad wejściem do damskich i męskich toalet.

Po zasłonięciu szerokiego okna było tu zatem prawie ciemno, lecz rudy i piegowaty Pat MacCluskey tak już przyzwyczał swój wzrok do nastrojowych ciemności knajp amerykańskich, że widział w nich lepiej niż sowa w nocy, jak lubił się przechwalać. Nigdy też nie przelał kieliszka ani nie wydał klientowi tytułem reszty za dużo, acz często wydawał za mało gościom niestającym, i potrafił w tym lichym oświetleniu nader szybko lepić zabawne figurki z wielobarwnej plasteliny. Było to jego ulubione *hobby*. Twierdził jednak, że nie wyżyłby z pierwszego swego zawodu, z rzeźbiarstwa.

Teraz, zanim jeszcze Ampara zdążyła otworzyć usta i powiedzieć choć kilka słów, a przez to brzmieniem głosu zdradzić swój obecny nastrój czy rozstrój, Pat zdołał w tym gęstym półmroku dostrzec niezwykle wyraz jej twarzy i błyski oczu oraz nerwowe drżenie ponętnych ust.

— Miałaś bardzo burzliwe przejście, zgaduję — rzekł ciepło, gdy usiadła na jednym z okrągłych wysokich, skórą obitych taboretów, których ponad 20 stało w prostym rzędzie wzdłuż długiej lady, wykładanej dobrą imitacją marmuru; taborety były oczywiście przytwierdzone do podłogi, tak aby jakiś pijak nie zdołał swojego obalić, gdyby zaczął kręcić się na nim w kółko, uważając go za karuzelę albo za samolot, który wpadł w korkociąg. — Ha, komuś zaskoczonemu burzą najwięcej może pomóc parasol albo łódź niezbyt cieknąca.

Pat powiedział to, by mieć pretekst do jeszcze jednej recytacji humorystycznego monologu, którego główną bohaterką jest cieknąca łódka. Pod ciężarem kilku pijaków łódź ta zatonięła przy brzegu w tym samym dniu, w którym bratu jej właściciela umarła żona. I czuła sąsiadka, pragnąca złożyć kondolencję świeżemu wdowcowi i dowiedzieć się od niego bliższych szczegółów nieszczęścia, przez pomyłkę zaczepiła na ulicy jego łudząco podobnego brata. Ten oczywiście mówił obszernie o swej dziurawej łodzi, o jej różnych wadach, gdy była zbyt obciążona itd., a zdumiona sąsiadka myślała, że rozmawia z wdowcem, który tak oczernia swą żonę, świeżą nieboszczkę.

Wszyscy bywalcy knajp i kabaretów w Ameryce znają ten monolog, lecz liczne dwuznaczniki i piski zgorzzonej sąsiadki wychodziły w interpretacji utalentowanego Pata tak arcyzabawnie, że klienci żądali tego

„kawalka”, ilekroć jakiegoś nowego kompana przyholowali z sobą. Ampara Perez zwykle należała na najwdzięczniejszych konsumentów pikantnych anegdot i recytacji Pata MacCluskey, lecz teraz nie uśmiechnęła się nawet z grzeczności. Co gorsza, przerywała mu popis zaraz na początku nieuprzejmym wspomnieniem, że ona już raz słyszała ten długi dowcip.

— Nie słyszałaś go tylko raz, ale najmniej tuzin razy — poprawił ją bez cienia urazy i udał, iż mierzy jej puls, a jego koścista dłoń była często gorąca, tak iż posądzano go o gruźlicę. — Omyliłem się w diagnozie. Twego zmartwienia nie można wyleczyć samymi dowcipami na sucho. Nie. Kuracja musi być radykalniejsza. Idź, kochanie, pod ścianę płaczu, do łoży ostatniej lub do tej, którą wolisz. Ja tam przyjdę ze stosownymi kroplami, tylko wpierw wydam cocktaile, jakie Henrietta zamówiła dla kogoś na sali.

— Dobrze, Pat, pójdę do łoży... pierwszej — zadecydowała Ampara po krótkim wahaniu i zsunęła się ze swego taboretu przy ladzie.

Szerokość kaskady lustrzanych półek z flaszkami równała się prawie całej długości lady, a po jej bokach stały dwa nieczynne obecnie aparaty dla dostarczania rozrywki klientom i barmanowi. Przy oknie stał popularny dżuboks. Dżuk po zachodniomurzyńsku oznacza dom publiczny, lecz obecnie dżuboks to elektryczny patefon-automat na 24 płyty, umieszczony w okrągłej szafce, która tryska tęczowymi światłami, kiedy gra; a gra zaraz po wrzuceniu doń monety i naciśnięciu odpowiedniego guziczka. Raz na tydzień podjeżdża autem agent kompanii wynajmującej dżuboksy, żeby zmienić płyty gramofonowe w automacie i opróżnić jego kasę, dzieląc się łupami zwykle pół na pół z właścicielem odnośnej tawerny, restauracji czy lodziarni.

Za drugim końcem lady, hen, w głębi tawerny i obok wejścia do toalety stał na daszku budki telefonicznej aparat telewizyjny z okazałym ekranem, tak ustawionym, że widać go było z każdego miejsca w barze, prócz ostatniej łoży.

Naprzeciw głównej i hojnie wyposażonej ściany ciągnęła się skromnie wyekwipowana i w środku przecięta wąskimi drzwiczkami od sali restauracyjnej „ściana płaczu i czułości”, jak ją Pat nazywał. Do tej ściany bowiem przylegały bokiem tylko tzw. łoże, czyli separatki niczym niezasłonięte od strony głównej nawy tawerny. Każda łoża miała pośrodku prostokątny wąski stolik, a po bokach dwie dość twarde kanapy. Zdaniem Pata, każdy z tych mebli był za krótki żeby dorosła osoba mogła położyć się na nim w jakichkolwiek zamiarach. Natomiast każda kanapa była na tyle szeroka, że mogło na niej siedzieć obok siebie dwoje czulących się kochanków albo dwóch pijaków wyplakujących sobie zmartwienia nawzajem. Dlatego właśnie Pat dał tej połowce swego królestwa miano ściany płaczu i czułości.

Łoża ostatnia, ze względu na swe położenie, uchodziła za najzacieśniejszą i w sezonie była stale zajęta przez pary poszukujące romantycznych ustroni. Ale Ampara Perez po incydencie z Cavatappim nie pragnęła żadnego ustronia do rozmowy z mężczyzną, choćby był nawet tak niezaczepny jak Patrick MacCluskey dotychczas. Na wszelki wypadek wybrała więc łożę nr 1, znajdującą się najbliżej szerokiego okna i drzwi od ulicy, skąd w każdej chwili mógł wpaść ktoś spragniony piwa czy wódki.

Wydawszy napoje do restauracji, Pat przygotował jakąś specjalną miksturę na własny użytek, ale na koszt przedsiębiorstwa. Z aluminiowego miksera przelał brązową ciecz do dwu wysokich szklanek przez

specjalne sitko, by odcedzić kostki sztucznego lodu. Obok tych szklaneczek postawił na tacy talerz z mieszaną przeróżnych orzechów, już gruntownie oczyszczonych z łupin i posolonych, aby zwiększały pragnienie. Położył też na tacy papierosy dla Ampary, a dla siebie swoje pudło z plasteliną, bo ugniatanie z niej różnych dziwolągów rzekomo pomagało mu w myśleniu i prowadzeniu rozmów poważnych.

— Oh, znów jakiś trunek? — zaniepokoiła się Ampara. — Ja od Wielkanocy nigdy nie wypilałam tyle, co dzisiaj.

— Ale nie ze mną! — zaznaczył, siadając obok niej, zamiast naprzeciw, jak byłąby wołała teraz, choć dawniej nie sprawiało jej to żadnej różnicy, gdy ten podstarzały i jakby niewrażliwy na wdzięki kobiece Pat usiadł przy jej stoliku. Na zdrowie! — Gdy wypili trochę, przysunął jej orzeszki i papierosy, a sam zatopił dłoń w pudełku z plasteliną.

— Moja lokalna „Mata Hari” raportowała mi, że miałaś w sklepie starcie z zajęczym pyszczkiem, a potem byłaś dość długo na górze u naszego hipopotama. Tyle wiem na pewno, a nietrudno mi zgadnąć, coście tam robili.

— Nnnic takiego — bąknęła zażenowana i zaczęła zapalać papierosa tak niezgrabnie, jakby chciała zyskać na czasie. — Rozmawialiśmy.

— O tym, czemu kursy na giełdzie nie lecą na pysk, choć nie zanoszą się na wojnę, co? I tłuścioch radził się ciębie, które akcje powinien spylić teraz, a które w jesieni, po ogłoszeniu wysokości ich tegorocznych dywidend, hę? — Pat mówił szyderczo i ugniatał palcami dużą bryłę plasteliny. — Słuchaj, Ampa, jeśli potrzebujesz mej przyjacielskiej rady lub pożyczki kilku zieloniaków, nie łgaj, jak Gerti stale łyże, tylko wykrztuś całą prawdę!... Czy nasz pracodawca, który od rozvodu z

Karen odstawia donżuana, zgwa... posiadł cię dziś
wbrew twojej woli?

— Nie, nie, skądże!

— Jeśli nie wbrew, to znaczy za twoją zgodą, co?

— Nic podobnego! Ja wcale jeszcze nie wyraziłam
zgody na jego propozycje. I wytargowałam tydzień
czasu do namysłu! Ale on — tu Ampara westchnęła
żałośnie — on dał mi do zrozumienia, że żadnego zaję-
cia w jego sklepie ani w restauracji już nie dostanę,
jeśli nie zgodzę się na... na warunki, jakie ma Gerti.

— Nonsens. Gerti jest cwana; jeśli mnie węc nie
myli, chce zostać spadkobierczynią Cavatappiego. Czyli
jego nową, legalnie poślubioną żoną.

— On miałby się ożenić z tą europejską lafiryndą?

— Raczej z nią niż z taką jak ty — wyrwało się Pa-
towi z pogardą, jakiej pozazdrościłby mu niejedyn
świeży członek W. C. C.

W. C. C. to skrót nazwy organizacji rasistycznych
szowinistów (White Citizens Councils), która w sta-
nach południowych kontynuuje znaną działalność
skompromitowanego K. K. K., Ku-Klux-Klanu, tępicie-
la Murzynów, potem katolików i Żydów, a w końcu
wszystkich nierodowitych Amerykanów.

ROZDZIAŁ XVII

Ampara była już zbyt nietrzeźwa, żeby wyczuć ob-
rażliwe lekceważenie w tonie głosu starego Patryka,
była zresztą przyzwyczajona do jego zrzędzenia, a pod-
jęła dyskusję jedynie dlatego, że porównał ją z Gertru-
dą, której nie cierpiała.

— Jakim cudem ona ma być czymś lepszym ode
mnie, skoro jest wprost przeciwnie, nic już nie mówiąc
o konstytucyjnej równości wszystkich wobec prawa?

— zaprotestowała z uroczą logiką ładnych kobiet. — Ponieważ Gerti urodziła się na innym lądzie, może w najlepszym razie dostać obywatelstwo amerykańskie trzeciej klasy, które za byle przestępstwo może jej być odebrane, a ona deportowana! Ja zaś w żadnym razie nie mogę być przedmiotem deportacji i jestem obywatelką pierwszej klasy!

— Nie, Amp! Tylko drugiej klasy, a towarzysko... bodaj czy czwartej! Choć twoja wyspa jest częścią, a nie kolonią Stanów Zjednoczonych, jedynie prawdziwi biali, urodzeni tam, mogą uważać się za amerykańskich obywateli pierwszej klasy. Wyłącznie biali!

— Portorykanie, nawet jeszcze ciemniejsi niż ja, nie są Negrami!

— Wiem. Są przeważnie Metysami, Mulatami i jeszcze innymi mieszkańcami. Czyż jednak jakikolwiek mieszaniec mógłby zostać członkiem Gabinetu albo Najwyższego Sądu w Waszyngtonie, a cóż dopiero prezydentem republiki? Nie! Prezydentem Stanów może być tylko biały, tylko urodzony tutaj i tylko protestant, jak się o tym boleśnie przekonał katolik Al Smith. Czy nie jest tak, jak mówię?

— Tak, Pat — przyznała smętnie i dała się już łatwiej namówić na drugi łyk dziwnego napoju. — Zatem mój śliczny synek Pedrito nie zrobiłby kariery w Waszyngtonie?

— Pociesz się, że Cavatappi także nie zamieszka nigdy w Białym Domu, choć jest w stu procentach białym i tutaj urodzonym, bo po ojcu jest katolikiem, po matce żydem. Niemniej jednak, ponieważ ty jesteś Portorykanką, ani on, ani żaden inny biały karierowicz czy dorobkiewicz z ambicjami politycznymi lub towarzyskimi, nie ożeniłby się z tobą!

— Jakież to szczęście zatem, że już mam męża —

zaśmiała się Ampara bardzo głośno i bardzo nienaturalnie. Lubiała udawać, iż jest wyższa ponad te śmieszne przesady i dyskryminacje.

— Z twoją urodą i sprytem mogłaś zrobić znacznie lepszą partię niż zrobiłaś. Toteż ja wątpię, droga Ampi, czy to szczęście, że masz męża. Takiego męża, jak twój malutki Ramonek.

— Ramon jest wielkim artystą! — ujęła się za nim, pamiętając ile razy on uwiecznił ją na swoich płótnach, nie ocenianych chwilowo; ale przecież wartość, ocena i cena obrazów wzrasta często dopiero po zgonie ich twórcy. — I jest bardzo kochającym ojcem. I mężem... także niezłym — dodała.

— W sypialni? Przypuśćmy. Od czasów Bonapartego pokutuje przesąd, że mężczyzna niski nie jest gorszym kogutem od wysokiego. Ale pytam się ciebie, Amparo, jakiz z niego... z twego Ramona, nie z Napoleona... *provider*?

Providence to po angielsku Opatrzność, albo miasto będące stolicą stanu Rhode Island. Natomiast *provider* to ten, który zaopatruje rodzinę albo przyjaciółkę w żywność, odzież, mieszkanie, rozrywki i w pieniądze na liczne zachcianki. Praktyczna Amerykanka pragnie najwięcej tego, by jej mąż był bardzo dobrym żywicielem, za to mniej ją obchodzą jego cechy fizyczne, etyczne, moralne, duchowe, jego wykształcenie, ogłada, maniery, przeszłość, sfera społeczna, jak również to, czy pieniądze dostarczane jej przez niego pochodzą z ciężkiej harówki, na przykład przy odwalaniu dwóch różnych zajęć po 8 godzin każde, czy z przestępstw, czy z tzw. sprytu w interesach czyli z umiejętności obskubywania z pieniędzy mniej sprytnych bliźnich.

— Bo przecież grunt, jeśli ojciec rodziny jest punktualnym i nieskąpym dostawcą forsy na wszelkie

wydatki — powtórzył Pat z naciskiem. — Czyż twój Ramon był taki kiedykolwiek w życiu?

Oczywiście, że nie. Malarz popierany przez bogatych snobów i zarabiający na tym świetnie zdarza się tylko jeden na 10000 mistrzów pędzla i do pokaźnej większości zawodowej 9999 artystów klepiących biedę należy Ramon Perez oraz wszyscy jego znajomi i koledzy po fachu.

— No cóż, ze sztuki nie można wyżyć w naszych czasach — mruknęła Ampara, sięgając po szklanke; smakował jej ten nieznany cocktail. — Tyś kawaler, Pat, nie masz rodziny, a nawet na własne utrzymanie nigdy nie mogłeś zarobić dłuitem.

— Dlatego zmieniłem fach. Zamiast rzeźbić i zdychać z głodu, zamiast w marmurze uwieczniać ludzi, rozpijam ich, truję i degeneruję, jak ongiś zdegenerowano Indian, i za to dostaję sto dolarów na tydzień.

— Setka na tydzień, ach, jakby za to można cudnie żyć!

— Cudnie jak cudnie. Można żyć przyzwoicie, jeśli wyda się całą setkę, bez odkładania z niej czegoś do banku i jeśli ma się pewność, że setka będzie wpływała co tydzień zawsze. Tak nie jest, niestety. Cavatappi, jak prawie każdy przedsiębiorca, woli mieć personel młody. Wyrzuca na bruk tych, co już nie potrafią ukryć zmarszczek i siwizny. By to opóźnić, masujemy sobie gęby i malujemy siwe włosy, prawda?

— Ja jeszcze nie! Mam zaledwie trzydzieści lat i piętnaście miesięcy.

— Czyli mógłbym być twoim ojcem. Ale młodszych ode mnie o parę lat już posłano na zieloną trawkę, bo nie umieli ukrywać znużenia.

— Przecież teraz państwo płaci stałą pensję każdemu starcowi.

— Z tej pensyjki może jakieś przyzwyczajone do biedy Murzynisko wyżyć potrafi, ale nie ja, nawykły do komfortu. Dlatego, żeby zabezpieczyć sobie wygodną starość, muszę teraz zarabiać kilka razy więcej niż dotychczas.

— Na wyszynku trunków w knajpie trzeciej kategorii? Absurd!

— Są artykuły bardziej zyskowne niż woda ognista — odparł cicho i przeniósł na Portorykankę badawczy wzrok, dotąd utkwiony w plastelinowej kuli, którą już zgniółł, ukształtował na podobieństwo zmniejszonej ludzkiej głowy i twarz jej zaczął formować. — Miałbym sporo nabywców forsiastych, tylko dostawą towaru musiałby zająć się pomocnik czy wspólnik... taki jak ty, Ampi. Płaciłbym ci około dwóch setek miesięcznie na początek, ale... nie ma róż bez cierni... i po co gadać o szczegółach, póki nie wiem, czy mogę być pewny twej lojalnej współpracy?

— Oczywiście, że możesz. Z tobą, drogi Pat, pójdę na każdą handlową spółkę z wielką przyjemnością. Dochody z tych interesów przydadzą się mej rodzinie ogromnie. Zwłaszcza w jesieni, gdy dzieci do szkół wrócą i gdy trzeba będzie trochę cieplejszej odzieży kupić na zimę, a ja przecież na otrzymanie dawnego zajęcia w sklepie Cavatappiego już nie mogę liczyć.

— Nie możesz, bo nie chcesz zostać jego kochanką, hę?

— Jasne, że nie! Lubię pieprzne dowcipy, lubię po-flirtować czasem, lecz męża przez dwanaście lat naszego pożycia nie zdradziłam ani razu!

— Najtrudniej jest zgrzeszyć pierwszy raz, potem nabiera człek w tym coraz więcej wprawy i przyjemności — rzekł Pat MacCkluskey w roztargnieniu, zamiast, jak tego oczekiwała, pochwalić jej 12-letnią solidność małżeńską, dobrze wróżącą jej solidność handlową w

przyszłej spółce. — Gdy za czasów prohibicji szmuglowałem pierwszy raz marną kwartę wódki w gumowej grzałce przywiązanej na brzuchu, dygotałem ze strachu i w każdym przechodniu wietrzyłem śledzącego mnie tajniaka. A później kutrem rybackim przemycalem tuziny skrzyń whisky tuż pod nosem rządowych łapuduchów i opowiadałem im dowcipy o szmuglerach. Tak samo jest z każdym hazardem i grzeszkiem. Będziesz miała wściekłą tremę idąc do faceta pierwszy raz, a potem tak się otrzaskasz z tymi randkami, że...

— Oh, mówmy o interesie, nie o romansach — wtrąciła prosząco, trzepocąc nerwowo wachlarzykiem.

— Toć właśnie mówię o naszych interesach. Tylko tobie widać same miłostki w głowie po świeżej bytności w garsonierze szefunia, ja zaś miałem na myśli wyłącznie twoje przyszłe schadzki handlowe.

— Handlowe schadzki? Niebawale! Na czym więc właściwie polegałaby moja praca w twoim przedsiębiorstwie?

— Na roli łącznika, żeby nie rzec — zaufanego posłańca. Ja, tkwiąc cały dzień w barze, nie mogę latać za tamtym cennym towarem, a jego dostawców nie chcę widywać tutaj, bo... diabeł nie śpi. Dlatego niezbędny między nami jest łącznik. Tym zaś może być tylko osoba uczciwa, pewna i znana mi tak, abym bez obaw mógł jej powierzyć za każdym razem kilkaset dolarów na nową partię towaru. Niestety, kupuje się go tylko za gotówkę i... tajnie. Za to jest on tak pakowany, że w damskiej torebce można zmieścić ładunek wartości kilku tysięcy dolarów!

Teraz Amparą domyśliła się już bez trudności, że owym zyskownym towarem są jakieś narkotyki! Nigdy jeszcze nie kosztowała żadnego z nich, ale od 1952 r.

nasłuchiwała się tyle o fatalnych skutkach narkomanii szerzącej się wśród młodzieży, że ze względu na własne dzieci bała się jak diabła owych tajemnych praktyk. Aż tu okazało się teraz, że ich grono chce jeszcze powiększyć jej stary przyjaciel Patrick MacCkluskey! Piorun z jasnego nieba mniej byłby ją zdziwił obecnie, choć przepowiadała przecież wcześniej niż nowojorski meteorolog, że burza wisi na włosku.

ROZDZIAŁ XVIII

Panując nad sobą lepiej niż zazwyczaj, Ampara wyraziła swe zdumienie, że uczciwy, zacny Pat, którego ona zawsze szanowała więcej niż jakiegokolwiek innego Jankesa, chce na starość zacząć handlować narkotykami, nie bez słusznego powodu chyba zwanymi „białą trucizną”.

— A wódki, tytoń i kawa to nie trucizny? Nie pisały to gazety, jak wielki procent ludzi umiera na raka płuc przez nikotyne, na raka wątroby przez trunki, a na serce przez kawę? — odpowiedział barman, kiedy skończyła swoją krótką i niepopartą żadnym argumentem filipikę przeciw narkotykom.

Patrick MacCkluskey był bardziej doświadczony i odczytany od Ampary, a także znacznie trzeźwiejszy niż ona obecnie, toteż w ciągu kilku minut zdołał ją przekonać, że już sam alkohol jest w Stanach nadużywany przez sto razy więcej osób niż morfina, kokaina, heroina i marihuana razem wzięte, a mające tu tylko 60000 konsumentów nałogowych. Że narkotyki widać nie są szkodliwe dla zdrowia, skoro używa się ich w szpitalach, przy operacjach i dla znieczulenia bólu. Że także poza szpitalami mnóstwo osób łagodzi swe cierpienia fizyczne i moralne za pomocą narkotyków

kupowanych legalnie w aptecce, ale który lekarz wypisze receptę gratis?

Każdy każe sobie zapłacić za wizytę i na recepcie wymieni jak najmniejszą dawkę pigułek nasennych, niby to z obawy, by pacjent nie popełnił samobójstwa w ten ulubiony na Zachodzie sposób, a w rzeczywistości dlatego, żeby pacjent znów musiał przyjść doń i zapłacić za nową wizytę.

— Krótko mówiąc — kończył Pat swe długie łągarstwa — pokątni sprzedawcy narkotyków są właściwie dobroczyńcami nieszczęśliwych ludzi.

Ampara Perez po wypiciu całej szklanki zdradliwego cocktailu była nadmiernie zgodna. Nie czuła najmniejszej potrzeby sprzeciwiania się myślą, mową lub uczynkiem woli zacnego Pata. Dawniej bałaby się dotknąć wszelkich brunatnych papierosów, bo a nuż to są *reefers* z osławionej, niby — meksykańskiej marihuany, siostry indyjskich konopi i jak one produkującej haszysz... Teraz bez wahania skorzystała z poczęstunku Pata, choć powiedział jej wyraźnie, czym ją częstuje.

I zaciągnęła się haszyszowym papierosem dokładnie tak, jak barman ją uczył. Wprawdzie zakrztusiła się przy pierwszym hańście dymu innego niż zwykły tytoniowy, wnet jednak przyznała rację, że ten odurzający dym jest godny podziwu. — *Maravilloso* — powtórzyła to samo po hiszpańsku z afektacją snadź niezbędną przy takich przymiotnikach, jak *maravilloso*, *hermoso*, *grandioso*.

— Powtórz, będziemy dobroczyńcami nieszczęśliwych — rzekł Pat głównie dla eksperymentu, a równocześnie kończył swą „rzeźbę” z plasteliny.

Powtórzyła chętnie, zapominając, iż właśnie takim „dobroczyńcom” zawdzięczała swe stoczenie się na dno upadku fizycznego i moralnego jej dawna protektorka

i przyjaciółka, złotowłosa Karen, była żona Cavatapięgo.

Pat sam wspomniał o Karen, kiedy wyjaśniał przyszłej swej współpracownicy, dlaczego wolałby przy jej pomocy kupować marihuanę i inne narkotyki, wprost od agenta i przemytników, zamiast jak dotychczas z czwartej ręki, oraz dlaczego dopiero tak bardzo późno w swym życiu, bo prawie pod sześćdziesiątkę zainteresował się narkotykami jako ubocznym źródłem dochodów. Dochodów olbrzymich, biorąc pod uwagę choćby tylko zestawienie cen.

Za funt gotowych do palenia liści marihuany, kosztujący w Meksyku najwyżej 15 dolarów, płaci się przemytnikowi, który ją zdołał dowieźć i przeszmygnąć ze statku na ląd w Nowym Jorku, 7 do 10 razy tyle, czyli maksimum 150 dol. Z każdego funta tych liści można zrobić 1000 do 1200 „uczciwych” papierosów haszyszowych, lecz szachraje potrafią domieszać tyle zwykłego tytoniu, że z funta marihuany „skręcą” do 3000 sztuk wyglądających tak samo „uczciwie”. W obu wypadkach palacz zapłaci chętnie za każdego papierosa dolara, choć „z czwartej ręki”, czyli w hurcie kupiłby go o połowę taniej, tak jak kupował dotąd Pat, wielce niezadowolony ze swych 100 proc. zysków.

Ale marihuana to najtańszy narkotyk po opium, które smakuje tylko tutejszym Chińczykom, choć z niego przecież wyrabia się cenną morfinę. Palacz „rifersów” zaspokoi swój głód sztucznych podnieć za kilka dolarów na dzień. Natomiast za rozkoszne odurzenia, jakich dostarcza obecnie modna heroina, nałogowy wielbiciel musi płacić co najmniej 12 dol. dziennie, a potrzebując coraz większych dawek, może dojść do tego, że będzie wydawał na heroinę aż 150 dol. dzień!

Tylko bogacz mógłby pozwolić sobie na taki luksus, dopóki kochający przyszli spadkobiercy nie zwietrzyliby marnotrawstwa i nie osadziliby go w stosownym sanatorium. Biedniejsi narkomani, gdy już heroina, kokaina czy choćby kaktusowy peyolt opęta ich tak, iż brak zwykłej dawki przyplącają wymiotami i boleściami, starają się zdobyć pieniądze na „białą truciznę” wszelkimi nieuczciwymi sposobami, zaczynając od kradzieży najłatwiejszych, we własnym domu.

Gdy Fortunato Cavatappi zorientował się, że tutaj domowym złodziejem jest jego własna żona Karen, nie badał przyczyn jej nagłej kleptomanii, lecz zapobiegł przyszłym kradzieżom przez wydanie stosownych poleceń całemu personelowi, który, aby nie ponosić strat z własnej kieszeni, traktował coraz brutalniej złodziejkę. Sprzedawszy całą swą biżuterię i futra, zaczęła Karen wymykać się z domu co wieczór, a wracać nad ranem, potem jeszcze później. Zapytana raz przez męża przy świadkach, gdzie spędza noce, odpowiedziała, że ponieważ on nie daje jej dość pieniędzy ani możliwości zarobkowania w jego przedsiębiorstwie, ona musi teraz pracować jako akordowa fordanserka.

Obecnie w Nowym Jorku żaden właściciel tancbudy, zwanej szumnie „pałacem tańców” lub „akademią tańca”, choć często ściśniętej w niskiej suterenie, nie może wyzyskiwać żeńskiego personelu jak dawniej i musi każdej pracownicy płacić pewne stałe minimum wynagrodzenia. Nie wystarcza ono jednak nawet na szybko zdzierające się pantofelki i na suknie wieczorowe, których taxi-girl w lepszym lokalu powinna mieć najmniej siedem, by w innej wystąpić w każdy wieczór tygodnia. Tak więc nadal główny jej dochód stanowi procent od kuponów tanecznych, jakie klienci kupują

zwykle hurtem przy wejściu na salę i z których minimum jeden muszą dać tej fordanserce, z którą właśnie przetańczyli taniec, a chytra orkiestra lub patefon już dba o to, by żaden taniec nie trwał ani sekundy dłużej niż 3 minuty, jak runda w boksie.

Fortunato Cavatappi chciał pozbyć się żony tanio, bez obowiązku płacenia jej dużych alimentów, od czego jako dobrze zarabiający przedsiębiorca nie zdołałby się uchylić, gdyby nie dostarczył sądowi niezbitych dowodów jej niewierności małżeńskiej. Takie dowody, prawdziwe, naciągane i fałszowane zdobywają czy fabrykują niektórzy prywatni detektywi, specjaliści w sprawach rozwodowych. Gdy jednak Fortunato ujrzał cennik ich usług, omal nie zapłakał.

Będąc jeszcze na dorobku, z majątkiem, który dopiero parę lat temu z 5-cyfrowego stał się 6-cyfrowy, czyli przekroczył 100000 dolarów, nie mógł Cavatappi pozwolić sobie na rozwód w stylu Manvillów lub Rockefellerów. A minęły już czasy „działalności” Murder Incorporated, która to organizacja wysyłała na drugi świat również niewygodne żony lub mężów, tak iż zgon wyglądał na nieszczęśliwy wypadek. Wykonywano te likwidacje fachowo, dyskretnie i po cenach naprawdę przystępnych, lecz płatnych zazwyczaj gotówką.

Fortunato spróbował raz osobiście zabawić się w Sherlocka Holmesa, lecz pokaźna tusza zdradzała go w każdym przebraniu i utrudniała mu szybkie poruszanie się po schodach, tak że śledzona żona zniknęła mu z oczu zaraz na pierwszym dworcu kolejek podziemnych.

Wreszcie przyszło mu na myśli, aby śledzenie zlecić swemu najstarszemu pracownikowi, Patowi, bowiem ów za czasów idiotycznej prohibicji trudnił się przemytem

i nielegalną wówczas sprzedażą trunków, a więc musiał dla własnego bezpieczeństwa być także i detektywem. Musiał każdego nowego hurtowego odbiorcę dyskretnie śledzić, aby zbadać, czy to nie podstawiony zausznik, konfident policji albo władz celnych lub — co było najniebezpieczniejsze — konkurentów, którzy bez litości likwidowali niełojalnego rywala. Pat odbył więc świetną praktykę szpiclowską, a choć później może wyszedł z wprawy, był chyba zdolny niepostrzeżenie obserwować taką roztargnioną, prostoduszną i niezdolną do żadnej chytrkości gęś jak Karen.

Jak Cavatappi słusznie przewidywał, rozwiązanie zagadki nocnych eskapad jego żony było fraszką dla doświadczonego. Już w pierwszym dniu swych wywiadowczych czynności stwierdził Pat, że Karen szła pieszo tylko do Union Square, a stamtąd odjechała ekspresem podziemnym linii Lexington do przystanku przy 86. Ulicy. Tam złotowłosa pani Cavatappi spędziła całą noc w jakoby prywatnym mieszkaniu niejakiej Frau Rose Roepke, byłej masażystki, a obecnie właścicielki „Instytutu”, który złośliwi przezywali „szkołą damskich masaży dla panów” albo „domem schadzek” lub jeszcze gorzej.

W najbliższym *Biergarten* zaprzyjaźnił się Pat MacCkluskey z niemieckimi kelnerami błyskawicznie i serdecznie, bowiem nie ma w Ameryce bardziej kochających się i popierających wzajem narodowości, jak Irlandczycy i Niemcy. Dzięki temu Pat dowiedział się bardzo szybko, że ilekroć dokuczy mu samotność, może zapewnić sobie damskie towarzystwo i najczulsze masaże przez kwadrans za 5 dolarów albo na godzinę za 15 dolarów tuż obok, u Frau Roepke, która stale zatrudnia w swym „Instytucie” starsze, wybrakowane i przez to tanie *call-girls*. Oczywiście ktoś, kto jeszcze

nigdy nie korzystał z usług „masażystek” Roepkowej, powinien mieć referencję od jej stałych bywalców albo powołać się na kogoś z kelnerów.

Call-girls, dziewczęta na zawołanie, to niby lepszy gatunek zawodowych kokot. Podczas gdy uboga *street-walker* musi sama łapać sobie klientów na ulicach i narażać się na obrabowanie, pobicie lub nawet udużenie w jakimś zaułku lub nocą w parku, *call-girl* pracuje bezpiecznie i wygodnie w ładnym mieszkaniu tej czy innej *madame* w rodzaju Frau Roepke lub osławionej Polly Adler, której cyniczna autobiografia osiągnęła kilka wydań i krociowe nakłady nie tylko w Ameryce Północnej. *Madame* wprawdzie zabiera lwią część, a już co najmniej połowę każdego „honorarium” swej pensjonariuszki, lecz w zamian dostarcza jej wyborowej klienteli, lokalu i lokalnej ochrony przed nieuczciwością i sadyzmem niektórych gości.

Takim prywatnym strażnikiem bezpieczeństwa Roepkowej i jej haremu był wysoki rudy drab, rzekomo Szwajcar, którego wszystkie kobiety tam bały się gorzej niż pijanych marynarzy południowo-amerykańskich, jakich on czasem przyprawdzał. I oddychały z ulgą, gdy nad ranem opuszczał on „Instytut”, prowadząc niewątpliwie podwójne życie. Kelnerzy w piwiarni niemieckiej radzili swemu świeżemu irlandzkiemu przyjacielowi unikać zwady z tym tajemniczym zawalidrogią i „przybłądą” skoro dryblas zarabiał tutaj, w niemieckiej dzielnicy, a mieszkał, jadł i wydawał forsy diabli wiedzą gdzie.

Powtórzywszy nazajutrz Cavatappiemu uzyskane od Niemców wiadomości, dostał Pat trudniejszą jeszcze misję przygotowania do procesu rozwodowego co najmniej trzech świadków nienormalnego prowadzenia się Karen. Musiał więc barman werbować każdego

kandydata na świadka wśród klientów swej tawerny, musiał go urabiać, pozyskać obietnicą wynagrodzenia, potem zawieźć go w nocy do niemieckiej dzielnicy, zaopatrzyć w polecenie płatniczego z *Biergarten* i odprowadzić niemal pod same drzwi „Instytutu”. Musiał każdemu wbijać do głowy, żeby wybrał właśnie mizerną blondynę Karen, a nie jakąś młodszą i ładniejszą, kiedy Frau Rose Roepke przedstawi mu swoją ekipę „masażystek”. I, co najważniejsze, by honorarium za oddane mu usługi wypłacił koniecznie do rąk Karen a nie *madame*.

Dość długo trwała tresura takich świadków, bo jeden wdał się w awanturę z rudym cerberem, drugiemu nie podobała się Karen i wziął „masaż” u innej, ale wreszcie cierpliwy Pat skompletował potrzebne trio. Ich zeznania, złożone pod przysięgą, dały Cavatappiemu, to czego chciał. Uzyskał rozwód szybko, tanio, bezapelacyjnie i bez obowiązku płacenia alimentów. Zaraz potem kazał wyrzucić rozwiedzioną żonę z mieszkania, przestał ukrywać swój stary romans z młodą Gertrudą Ley alias Gerti, a barmana Pata zapewnił o swej wdzięczności wprawdzie nie dozgonnej, ale bądź co bądź do końca bieżącego roku. Oczywiście zwrócił mu wszystko, co Pat niby to od siebie wyłożył na zdobycie świadków, a tytułem honorarium wręczył mu 100 dolarów i to nie w czeku, o dziwo!, ale w starym, studolarowym banknocie, poplamionym i sfatygowanym, niemniej jednak nadal ważnym.

— To właśnie ten — tu Pat wyjął z portfela stówkę mocno upstrzoną rdzawymi i czerwonymi plamkami i położył ją na stole przed Ampara, a portfel schował na powrót do kieszeni. — Nie wzdrygaj się, te plamy to może tylko czerwone wino, a nie krew. Zresztą, skoro postronek wisielca przynosi szczęście innym, czemuż

nie ma być dobrym amuletem przedmiot obryzany cudzą krwią?

— Racja — przyznała zgodnie, choć na trzeźwo by-
łaby twierdziła, że taki przedmiot może przynieść tylko
przekleństwo.

— Dlatego właśnie nie wpłaciłem tej setki do banku
na swoje konto. Uznałem ją za szczęśliwy talizman i
postanowiłem użyć jej przy rozpoczęciu mego nowego
interesu. Tego, do którego pomysł i zachętę dała mi
sprawa Karen.

W przeciwieństwie bowiem do Cavatappiego, zu-
pełnie obojętnego na przyczyny upadku żony i uszczę-
śliwionego, że pozbył się jej nieprawdopodobnie jak na
Nowy Jork tanio, Pata intrygowały owe przyczyny naj-
bardziej. Cóż sprawiło, że ta dawniej solidna mężatka i
łagodna domatorka stała się nagle nocnym włóczyki-
jem, histeryczką, złodziejką, a w końcu, co tu owijać w
bawełnę, prostytutką? Oczywiście to, że wpadła w na-
łóg, którego kosztowne zaspokajanie staje się tak nie-
odpartą koniecznością dla jego ofiar, iż nie cofają się
przed niczym byle zdobyć pieniądze potrzebne im na
nowe dawki tej trucizny dla ciała i duszy.

Odkrycie, że szybkiego zniszczenia człowieka z
gruntu dobrego, jakim była Karen, dokonały narkotyki,
nie uprzedziło i nie zraziło do nich Pata bynajmniej.
Wręcz przeciwnie, uczyniło je dla niego najbardziej
atrakcyjną pokusą. Nie zamierzał oczywiście zatruwać
nimi siebie, lecz wyłącznie innych i wzbogacić się na
tym nareszcie, pod koniec życia, ale za to bardzo szyb-
ko.

Tak rozumując, Pat zainteresował się głównie kwe-
stią, od kogo kupowała Karen trudną do nabycia hero-
inę, której za żadne skarby nie mógł wydebić jego
przygodny dostawca papierosów haszyszowych, z
czwartej

ręki”. Za kilka dolarów, ofiarowanych Karen w momencie jej ostrego głodu heroiny, kupił od niej tylko tę informację, że jej jedynym dostawcą narkotyków, od najsłabszych do najsilniejszych, był i jest ów wysoki bouncer czy bodyguard, czuwający nad spokojem domowym Frau Roepke po nocach, a ulatniający się stamtąd nad ranem. Pat bardzo nie lubił tak wczesnej pory gdyż zamykał bar zwykle o drugiej i zaraz szedł spać. Chciwość przewyciężyła jednak wygodnictwo i techniczną trudność śledzenia kogoś o świcie, kiedy bardzo mało ludzi spaceruje lub czeka na peronach kolejek podziemnych. Dopóty wznawiał wielokrotnie przerwany trud, dopóki pewnego ranka nie ustalił ponad wszelką wątpliwość, że tamten mieszka właśnie tu, w dzielnicy cyganerii, przy ulicy Thompsona...

— Thompson Street to moja ulica — rzekła Ampara. — Znam osobiście albo z widzenia chyba wszystkich jej mieszkańców.

— Wiem, gdzie mieszkasz, Ampi. I na to liczę. Moje wizyty tam lub jego tutaj wzbudziłyby podejrzenia u tajniaków Narcotios Squad; może już łążą za nim, wężąc dym, a nie widząc ognia. Za to całkowicie bezpiecznym trażarzem towaru między nim a mną będziesz ty, która mieszkasz z rodziną przy Thompson Street, a w sezonie pracujesz tu, pod jednym dachem ze mną.

— Boję się, amigo, że już nie będę tu miała dawnego zajęcia, bo Cavatappi żądał dzisiaj, abym...

— Słyszałem, mówiłaś mi o tym — przerwał jej Pat i sięgnął do arsenału komplementów — a szefowi nie dziwię się wcale, że leci na ciebie. Podobasz się wszystkim mężczyznom, nie wyłączając mnie starego. Nie mógłbym cię wprawdzie poślubić z powodu mych

uprzedzeń rasowych, ale chętnie... jeśli wolisz mnie niż...

— Oh, dziękuję, mówmy teraz raczej o interesach — wtrąciła zaskoczona tą jeszcze jedną ofertą erotyczną na marginesie starań o pracę zarobkową. — Ty chcesz, bym zawarła znajomość z owym dostawcą narkotyków i namówiła go do handlowania z nami. A jakże ja go odnajdę, czy rozpoznam pośród setek mężczyzn, mieszkających przy Thompson Street? Jeżeli nie znasz jego nazwiska, przynajmniej opisz mi go jak najdokładniej.

— Zrobiły to już moje eksrzeźbiarskie ręce — odparł Pat, zapalając lampę elektryczną na ścianie przy ich stoliku; wszystkie łóżka miały takie lampy zapalone zwykle tylko po to, by przywołać barmana lub kelnerkę tawerny.

Potem stary Pat wyjął z pudła i z dumą pokazał to, co podczas rozmowy „wyrzeźbił” w półmroku. Była to zgnieciona i sformowana z plasteliny twarz, mniejsza niż naturalnej wielkości, lecz wcale nie tak mała, jak uwędzone po wyjęciu z nich kości głowy twarze osób, poległych z rąk Indian, hen w Matto Grosso, czy w innym zakątku olbrzymiego interioru Ameryki Południowej. Dzisiejsze dzieło Pata, który zwykle lepil małe figurki zwierząt z ludzkimi twarzami wyglądało trochę jak maska pośmiertna twarzy karła.

— Nie mam dziś pod ręką dosyć plasteliny, żeby odtworzyć w rzeczywistych wymiarach jego długi koński łeb. Musiałem go tu zmniejszyć, ale wydaje mi się, że to nie zatarło podobieństwa, co? — Pat dość wyraźnie prosił o jakąś pochwałę, Ampara zaś jeszcze nie ochłonięła ze zdumienia, jakie ją ogarnęło, gdy ujrziała rzeźbę i momentalnie poznała, kogo ona przedstawia. — Ampi, kochanie — szepnął wykolejony artysta — ja to robiłem z pamięci, więc może nie wyszło mi tak, jak

powinno; czyż jednak ta twarz nie przypomina ci kogoś z twojej ulicy... i z twojej kamienicy?

— Bez wątpienia! Cóż za podobieństwo! Wspaniałe! Zdumiewające!

Wyjaśniła mu też, że milczała tak długo, gdyż osłupiała, kiedy po ujrzeniu tej maski z plasteliny nagle przeniknęła intrygująca ją od dawna zagadka nocnych eskapad osobnika, który mieszkał w tym samym domu, ba, na tym samym piętrze, co oni, Perezowie!

— Bo tym, o kim mi tu opowiadałeś, amigo Patricio, którego twarz świetnie zapamiętałeś i genialnie wyrzeźbiłeś, jest nasz niesamowity sąsiad, ekskapitan Maks Blink! Mąż, a może tylko przyjaciel Ireny, którą ty przezwaleś lodowatą statua, a której skrytość czy tajemniczość irytuje mnie coraz więcej...

ROZDZIAŁ XIX

Ramon Perez miał niby szczerzy zamiar nie zaczynać żadnej nowej roboty dopóty, dopóki nie dokona wszystkich poprawek, żądanych przez bogobojnych nabywców jego „Kamienowania jawnogrzezniczicy Magdaleny”. Zaledwie jednak zawoalował jej śliczne nogi, „pożyczone” od Ireny w największej tajemnicy przed nią i przed resztą ludzkości, podczas gdy innych wdzięków niewieścich do tego obrazu pożyczał sobie jawnie od własnej żony, nawiedziła go nieodparta pokusa naszkicowania choć z grubsza czegoś nowego.

Jak wielu malarzy, pisarzy, rzeźbiarzy i kompozytorów, lubił Ramon mieć na warsztacie kilka dzieł równocześnie i kontynuować jednego dnia to, drugiego tamto, zależnie od swego nastroju lub kaprysu, co

srodze wyszydzal Maks Blink, zwolennik niemieckiej systematycznosci i nietykania nowego plotna przed kompletnym wykończeniem poprzedniego.

Natchnienia i tematu do najnowszej pracy dostarczyło Ramonowi to, co dziś widział i słyszał wracając z baru do swego stoiska: nagły uliczny zgon jakiegoś tęgiego przechodnia na udar serca i uwagi, jakie w związku z tym wypadkiem wypowiedział dyżurny medyk ze szpitalnego ambulansu. Już wówczas malarz zapalił się do pomysłu stworzenia dużego plakatu propagandowego, a tytuł lub raczej slogan popularny skomponował na poczekaniu. „Ratuj serce, póki puka” i sam nie przypuszczał, iż jeszcze dzisiaj zabierze się do wylewania na papier tak świeżej i nieprzemysłanej koncepcji.

Zagryzmoliwszy sporo kart w szkicowniku, zdjął ze sztalug zaczęty wczoraj pod wieczór portrecik nieznannej klientki, która jakoby nagle zauważyła, że nie wzięła z sobą pieniędzy. Pobieгла po nie do domu „tuż w pobliżu”, lecz widać nie znalazła ich jeszcze lub dostała ataku modnej po wojnie amnezji i zapomniała na jakiś czas, gdzie mieszka, bo nie wróciła dotychczas. W miejsce jej niedokończonego portretu, umieścił Ramon największe z płócien.

Później zaś, kiedy już pochłoneła go praca twórcza, zatracił jak zwykle rachubę czasu, zapomniał o wszystkim nie wyłączając dokuczliwego upału i pragnienia. Nie odwracał głowy nawet wówczas, gdy cień jakiegoś przechodnia padał na płyty chodnikowe tak długo, jak gdyby jego właściciel zamierzał coś ukraść tutaj z przyczyn chyba sentymentalnych, a nie komercyjnych, bo któryż nowojorski paser, rozmiłowany głównie w drogich futrach i cennej biżuterii, dałby choć dziesięć dolarów za obraz malarza niewymienionego w katalogu

konserwatywnego Metropolitan Museum of Art ani też w Museum of Modern Art, gdy chwilowo dzieła Ramona Pereza również „bojkotowano”.

Nic też dziwnego, że tak zatopiony w robocie mistrz pędzla, bojkotowany przez miejscowe muzea, nie zauważył nadchodzącej małżonki. Jej pewna siebie mina i niepewny zygzakowaty chód tworzyły rozdźwięk jaskrawy, lecz łagodniejszy od dysonansów, jakimi naszpikowane są niektóre utwory murzyńsko-amerykańskiej Swing Music. Ramon nie widział na razie jej miny i chodu, za to wyraźnie dysonansowo zabrzmiał mu w uszach ironiczny śmiech żony; nie szydziła bowiem z jego kompozycji, dopóki była trzeźwa.

— Co właściwie ma przedstawiać ta szybująca nad ambulansem i głowami gapiów szkocka duda z uciętymi piszczałkami? — spytała Ampara, uśmiewszy się do syta z napisu „Ratuj serce, póki puka”, który na tym projekcie afisza propagandowego wylatywał z otwartych ust lekarzowi, pochylonemu nad rozciągniętym w poprzek chodnika facetem, wyglądającym raczej na pijaka niż na ofiarę udaru serca.

— *Bagpipe? Oh, no, no, my darling!* — jęknął Ramon i przeszedł z angielskiego na hiszpański. Woleli go używać, jako ojczystego języka, podczas gdy ich dzieciom tutejsza szkoła zdążyła już wszczepić kult angielszczyzny i lekceważenie wszelkich innych języków. — Czyż to, co tutaj zacząłem dziś tworzyć, nie przypomina ci niczego innego, jak tylko szkocką bekiwą kobzę?

— No, owszem — przyznała Ampara, patrząc pod innym kątem, acz jednak nietrzeźwym wzrokiem na ów bezkształtny różowy worek, tu i ówdzie na obwodzie oszpecony krótko uciętymi rurkami. — To może być również ciężarna ośmiornica, której rekin sadysta

amputował kolejno wszystkie ramiona. Czy tym razem trafiłam, czy mam zgadywać dalej?

— Lepiej nie — westchnął. — To nie jest ani duda, ani polip morski, lecz zwyczajne ludzkie serce. I tak ono wygląda rzeczywiście, jak ongiś stwierdziłem nacznie w prosektorium. Prawdziwy obraz serca jest bardzo odmienny od tej ładnej gruszki lub atłasowej poduszki, jaką producenci dewocjonaliów umieszczają w zgrabnie rozprutych torsach różnych świętych na obrazach kościelnych. I na obrazkach, jakich tak wiele nadsyła nam twoja rodzina na każdą okazję, zamiast przysłać gąsiorek naszego dobrego portorykańskiego rumu.

— W każdym razie tamte serca wyglądają apetyczniej — rzekła Ampara.

— Ale ty znów marnujesz farby, płótno i czas. Mało ci dawnych rozczarowań? Czy jeszcze się nie przekonałeś, że konkursy to humbug i cygaństwo? Że najcenniejsze nagrody dostają kochanki lub krewni organizatorów konkursu?

— No, nie zawsze; pięć tysięcy dolarów, jako pierwszą nagrodę za motto i slogan dla nowej stacji telewizyjnej, dostał weteran, który oświadczył przecież w wywiadzie z reporterami, że nie ma żadnej rodziny, żadnych krewnych.

Ramon Perez nie mógł wiedzieć, bo o tym reporterzy nie pisali, że ów zwycięski slogan i wzniosłe motto ułożył pewien Polak. Ponieważ jednak przyznanie pierwszej nagrody Europejczykowi, i to spoza *żelaznej kurtyny*, nie przysporzyłoby nowej amerykańskiej stacji nadawczej z pewnością żadnej korzyści, „zagubiono” jego odpowiedź, a jej treść przypisano Bogu ducha winnemu tubylcowi-weteranowi, ku radości i dumie tubylców.

Ampara była do konkursów uprzedzona podwójnie.

Jej mąż brał udział we wszystkich tych, które wymagały jakichś rysunków i nigdy nie dostał żadnej nagrody, chociaż jego pomysły ściągnięto i przerobiono kilka razy w sposób jeszcze bardziej bezceremonialny niż to praktykuje się w Hollywood. Ona zaś osobiście wypełniała parę razy na miesiąc kupony konkursowe dla gospodyń, obiecujące im bająnskie sumy gotówką plus auta, plus podróże samolotami w zamian za najtrafniejszą odpowiedź w 25 słowach na sakramentalne pytanie: „Dlaczego zawsze używam wyrobów firmy X. Y?” Załączała żądane etykiety, nalepki i denka paczek odnośnego produktu, a wszystko, co wygrała dotychczas warte było mniej niż to, co wyłożyła na znaczki pocztowe swoich odpowiedzi konkursowych.

Ale od jutra ona już nie będzie wysilała się na żadne pochwały mydeł, margaryny czy wazeliny, o, nie! Od jutra będzie zarabiała wspaniale na pośredniczeniu przy handlu narkotykami, które „dają ukojenie chorym i nieszczęśliwym”. Jeszcze dziś pogada z Maksem i zamówi u niego pierwszą partię towaru dla Pata. Tak, lepiej załatwić to dzisiaj i jak najwcześniej, korzystając z chwilowej nieobecności Ireny, której Pat MacCluskey nie ufał i kazał się strzec.

— Wypilam dziś za dużo, pójdę do domu zdrzemnąć się trochę, a potem przygotuję coś na wieczerzę dla dzieci i dla ciebie — rzekła Ampara do męża, którego Pat także zakazał wtajemniczać w ich plany handlowe. — Zanosilo się na burzę, lecz niebo jest nadal pogodne, więc zapewne pozostaniesz tu jak się da najdłużej, boć to ostatni dzień wystawy. Przywieź z sobą również obrazy Maksa, jeśli Irena nie zdąży wrócić do stoiska. A gdyby Maks pytał o nią, bujaj tak samo jak ja zbujam, że Irkę zaprosiła do kina moja kuzynka.

— No, a gdzie Irena jest naprawdę? Przecież była z tobą.

— Ano była, ale po obiedzie wziął ją na przejażdżkę autem ku plażom ten Polak, któregoś ty nam przedstawił. I obiecałam jej wyrobić alibi wobec Maksa, gdyby wróciła późno w nocy lub nad ranem... Co ci jest? — spytała, gdyż Ramon zbladł, wypuścił pędzel z dłoni i oparłszy się o sztalugę, omal jej nie obalił.

— Nic, zamroczyło mnie... z gorąca — skłamał dość gładko.

Spędziwszy większą część życia w okolicach podzwrotnikowych przywykł Ramon do gorszych i dłuższych upałów niż nowojorskie, nie zamroczyło go zatem dzisiejsze parne gorąco. Natomiast obezwładniająca jak boksercki cios w szczękę zadała mu wieść hio-bowa, że z tym polskim farmerem, z mężczyzną dopiero dzisiaj poznanym, wypuściła się autem Irena, w której Ramon podkochiwał się skrycie i którą uważał za najcnotliwszą z mężatek od czasów rzymskiej Lu-krecji.

Ha, może Irena dotychczas była wierną kopią Lu-krecji i dopiero dziś po zachodzie słońca sprowadzi ją z ścieżki cnoty wąsaty *amigo polacco*, którego właśnie on, Ramon Perez, odkrył na Skwerze Waszyngtona i tutaj przyprowadził do jej stoiska? A co będzie jeśli moralistka Irena zechce aż do końca plagiować Lu-krecję i, jak tamta, także wbije sobie nóż w serce? Ach, czułe serce artysty ścisnęło się na myśl o szpikulcu dziurawiącym serce pięknej Ireny, a w takich okolicznościach nie dało się przecież kontynuować pracy przy humanitarnym plakacie pt. „Ratuj serce, póki puka”. Ramon nie mógł nawet patrzeć teraz na ten anatomiczny wizerunek serca, umieścił więc na sztaludze swoje „Kamienowanie jawnoгрzesznicy” i wrócił do

woalowania pozostałych nagości na podobiznie Św. Magdaleny, jak mu małżonka ponownie doradziła na odchodnym.

— Magdalena i tak nie wyschnie, gdy organista i wikary po nią przyjdą z pieniędzmi; pokaż im przeto, jak mają obchodzić się z nią, dopóki jest mokra — wołała Ampara głośno, gdyż była nietrzeźwa, a jej życzliwe rady wywołały hałaśliwą wesołość u przechodniów, żalonych profanów, nieumiejących domyślić się w lot, że słowa te odnoszą się tylko do dzieła sztuki.

ROZDZIAŁ XX

Uszedłszy trzy kroki wzdłuż zachodniego końca 4 Ulicy, skrzyła Ampara na prawo w swoją Thompson Street, która znośnie wygląda przy Skwerze, lecz im dalej na południe, tym gorsze i brudniejsze ma domy.

Odrapane te rudery nie przedstawiały się Amparze źle bezpośrednio po przeniesieniu się do Nowego Jorku z jej ojczystej wyspy, gdzie, jak większość tubylców, gnieździła się z rodzicami i licznym rodzeństwem w nędznej chałupie, mocno przeciekającej podczas tropikalnych deszczy. W miarę jednak jak poznawała droższe dzielnice i luksusowe kamienice olbrzymiej metropolii, coraz bardziej nie cierpiała brudnej, biednej, zaśmieconej Thompson Street.

Dzisiaj natomiast patrzyła na jej stare domy z taką satysfakcją, jakiej doznaje ambitny karierowicz, gdy chytrze wykołatany awans przenosi go nagle na lepsze stanowisko i wygodniejsze życie do stolicy, podczas gdy wszyscy jego dotychczasowi sąsiedzi, koledzy i znajomi pozostają w zakazanej dziurze prowincjonalnej. Czyż ona, Ampara Perez, nie zacznie już od jutra

zarabiać wspañiale? Bez wątpienia! A duże i stałe dochody umożliwią jej rychło przeniesienie się z rodziną do jeszcze bardziej zbytkownego apartamentu niż ten, jaki wynajęła sobie Gerti, kochanka Cavatappiego.

Nie przeminęło jeszcze odurzające działanie haszyszowego papierosa i specjalnego cocktailu, jakim ją podstępny Pat uraczył, i właśnie pod wpływem tych narkotyków Ampara czuła się pewna siebie i zwycięska, niedosięła dla żadnych porażek, niepowodzeń, ryzyka i niebezpieczeństw. Ot, na przykład dziś po raz pierwszy Ramon zdradził się przed nią niechcący, że Irena nie jest mu obojętna; kiedy indziej byłoby to Amparę zabolalo, byłaby dociekała, czy to jest przelotne zadurzenie się artysty, czy nagłe požądanie namiętnego południowca, czy pogłębiająca się miłość i byłaby obmyślała środki zaradcze. Teraz jednak, dzięki marihuanie, potrafiła wszystko albo zbagatelizować, albo wytłumaczyć sobie na swoją korzyść.

— Choć Irena jest ładniejsza, ja mam znacznie większe powodzenie u mężczyzn. Ten rycerski Polak mnie pocałował w rękę, a nie ją! Cavatappi i MacCluskey oferty miłosne złożyli dziś mnie, a nie jej! I tego jej brutalnego Maksa też owinę sobie dokoła palca, jeśli zechcę — mamrotała, krocząc wciąż na południe wzdłuż Thompson Street.

Po drodze rozdawała łaskawe uśmiechy i skinienia dłonią tym tkwiącym w oknach babuleńkom i dziadkom, których nikt z ich niewdzięcznego potomstwa nie raczył zabrać z sobą na łono natury i pozostawił w złe pachnącym mieście na łup upału. Starowinki wachlowały się bez przerwy i z zazdrością spoglądały na uliczną kąpiel kilkunastu dzieci, tych najbiedniejszych z biednych, które chłodną kąpiel biorą zwykle nielegalnie i w strachu przed policją, bowiem albo skaczą do obrzydliwie brudnej i głębokiej

wody w porcie, albo pluskają się na ulicach przy pozarowych hydrantach. Grupie takich malców udało się właśnie niedawno odkręcić jeden z hydrantów przy Thompson Street, a gdy trysnęła z niego kaskada cennej słodkiej wody, sprowadzanej hen z gór, paru wesołych urwisów przycisnęło do niej duże dziurawe sito tak zmyślnie, że powstały krzywe wodotryski i wspañiale natryski. Proporcjonalny do tej zabawy był oczywiście wrzask uszczęśliwionej dzieciarni.

Pedrito Perez, który wrócił do Greenwich Village przed chwilą, zastanawiał się właśnie, czy nie zrzucić ubrania i nie przyłączyć się do amatorów prysznicy z hydrantu, kiedy z daleka dostrzegł nadchodzącą matkę. To mogło mu dać kino i lody, jeżeli miała pieniądze i zapomniała o jego zamachu z procy na zdrowie najbardziej uprzywilejowanego tutaj kota, pupila pani Dalily Klapperstorch, ulubienicy kamienicznika. Ażeby tego zamachu na kocura nie przypomniiał matce widok procy, Pedrito schował ją do kieszeni, żwawo usiadł na progu domu, podparł drobną buzię umorusanymi dłońmi i popadł w głęboką zadumę z miną tak tragiczną, że byłby nabrał na współczucie matkę nawet kompletnie trzeźwą, a cóż dopiero przy jej obecnym podwójnym zamroczeniu.

— Pedrito! Biedny mój syneczku, czy ty już tutaj od dawna siedzisz o głodzie i chłodzie? — zawołała, zapomniawszy, że przy takim upale mógłby się na chłód żalić tylko ktoś zatrzaśnięty bez odzieży w dużej jak izba lodowni rzeźnika. — Tak, to moja wina. Zagadałam się bowiem o interesach, zamiast przeczuć, że moje dziatki wyglądają tu matki — trajkotała, głaszcząc czuprynę chłopca, tak samo czarną i skołtunioną jak u jego ojca. — Czemuż jednak nie wszedłeś do mieszkania?

— Bo zapomniałem odebrać klucz od Jacinty —

wyjaśnił Pedrito, skrzywiwszy się, gdy matka nazwała go dzieckiem. — A nasza Jacinta poszła z ciotką do chłodzonego kina w Harlemie. I z pewnością przesiedzą w kółko dwa lub trzy seanse na tym samym filmie, który by mnie znudził i uspił po kwadransie.

— Czyli poszły patrzeć na jakąś miłosną historyjkę i będą się nią zachwycały aż do zamknięcia kina po północy — wróżyła cicho Ampara.

Znając filmowe upodobania swoich dzieci, wiedziała, że jej kochliwa córeczka Jacinta, tak samo zresztą jak ciotka Guadelupa, uwielbiała każdą *love story*.

Natomiast waleczny Pedrito, podobnie jak większość jego rówieśników i młodszych chłopców w Stanach, przepadał za awanturniczymi *westerners*, których tłem jest tzw. Dziki Zachód, zwłaszcza z okresu, kiedy krainy na zachód od Mississippi były naprawdę dzikie. Czasem także spokojny kolonista ulegał tam gorączce złota i przez nią stawał się skory do naciśnięcia cyngla w obronie swego dobytku lub dla powiększenia go. A różni nowi przestępcy i już ścigani wyrokami sądowymi *desperados* zatrzymywali i rabowali nawet pociągi.

Dla takich jak Pedrito Perez każdy *westerner* musi obfitować w przygody, bijatyki, ucieczki i gonitwy na koniach, które przewracają się i często łamią nogi na drutach nisko rozpiętych w poprzek drogi po to, żeby upadki koni ratowały fikcję i świadczyły o jakiejś skuteczności nader gęstej strzelaniny; a dzieci uwielbiają strzelaninę do tego stopnia, że „nadziewa się” nią nawet filmy o wyprawach na inne planety.

— Taki wspomniały film idzie w tańszych kinach z niezrównanym Billy the Kid, ale ciotka Guadelupa ani słyszeć o tym nie chciała — narzekał Pedrito ze łzami.

Billy the Kid, czyli Wiluś Chłopak, to ten słynny *de-sperado* sprzed niespełna stu lat, który starał się mieć na sumieniu tylko tyle morderstw, ile miał lat i, na szczęście dla współczesnych mu Amerykanów, zginął od kuli dość młodo, gdy zabił zaledwie dwa tuziny niewinnych ludzi. Na dowód, że sprawiedliwość w końcu triumfuje, uwieczniono zbrodnicze życie tego arcyłotra w wielu filmach, widowiskach i słuchowiskach, które... opłaciły się doskonale ich producentom.

— Tam dzielny Billy the Kid zabija strażnika więziennego jego własnym pistoletem, a te moje dwie głupie krewne wołały pójść patrzeć na miłosny dramat! I z tego to potem moja siostra ma pociąg do miłosnych randek! Rozumiem, jeśli po randkach lata kobieta dojrzała, dwunastoletnia, lecz Jacinta ma dopiero jedenaście lat i trzy miesiące!

— Cicho! I skarż się na Jacintę w domu, nie na ulicy, gaduło — upomniała go Ampara, dostrzegłszy podejrzane falowanie brudnej firanki w oknie mieszkania Klapperstorców; Dalila już była na swym podsłuchowym i obserwacyjnym posterunku, a plotkować lubiła ona okropnie! — Chodźmy na górę, synku, przygotuję ci obiad.

Już na schodach zaczął Pedrito zapewniać matkę, że gościnnie ciotka Guadelupa nakarmiła do syta i jego, i Jacintę, że zatem on nic jeść nie będzie, że chwilowo nie ma apetytu, natomiast pożera go głód wiedzy filmowej; w jakich okolicznościach niezrównany Billy the Kid ukatrupił swą 23 ofiarę? Zabił ją z pewnością mistrzowskim strzałem „z kieszeni” albo „z biodra”, czyli bez celowania, ale czy to było w biały dzień czy w nocy, na rynku czy w szynku, tego Pedrito jeszcze nie wiedział, a to go interesowało najbardziej. Jeżeli jednak mama nie chce albo nie może mu dać pieniędzy na

kino, to on pójdzie płać się w lodowato zimnej wodzie hydrantu, zaziębi się, złapie zapalenie płuc, galopujące suchoty i umrze...

— *Ave Maria!* Nie daj umrzeć moim dzieciom przede mną! Jak śmiesz tak straszyć własną matkę, ty wstrętny smarkaty brudasie!

— Madre mia! — rzekł Pedrito z naciskiem po hiszpańsku, żeby i tym ująć ją sobie. — Jak zdecydowałaś i czy masz pieniądze? Bo jeśli jesteś znów bez forsy, to nie zaczynaj nowego domowego kazania o szkodliwych filmach!

Oboje Perezowie potępiali filmy gloryfikujące jakiegokolwiek przestępcę i przeplatane strzelaniną *westerners*. Czytali bowiem, że takie widowiska i rozrywki są jedną z głównych przyczyn wzrostu najsmutniejszej z plag obecnej doby — przestępczości młodzieży. W samych tylko Stanach Zjednoczonych liczba dziewcząt i chłopców schodzących na złe drogi przekracza teraz 100000 miesięcznie!

— Ponieważ chcę się zdrzemnąć, a ty byś mi tu hałasował, dam ci na kino. I na lody także, niech stracę — rzekła Ampara wyjmując z torebki kilka banknotów. Na ich widok Pedrito gwizdnął dwa razy w taki sposób, jak w Ameryce gwizdże młody mężczyzna, gdy na ulicy dostrzeże bardzo ładną kobietę. Nawet bez tego gwizdu podziwu i zachwytu synowskiego Ampara musiałaby się pochwalić; po to przecież wyjęła wszystkie trzy banknoty zamiast jednego. — Czy wiesz, ile tu jest razem? Aż dwadzieścia dwa dolary! I to wszystko twoja sprytna mama dzisiaj zarobiła sama!

Prawdę mówiąc, 20 dol. urwała z honorarium męża za jego obraz biblijny. Dalej 1.75 dol. wyniosła jej 10 proc. prowizja od tego, co *amigo polacco* Lubor zapłacił za ich wspólny obiad z trunkami w restauracji

Cavatappiego. Ponieważ ten ostatni dał jej równe dwa dolary, zamiast 1.75 dol. wywnioskowała logicznie, że nadwyżkę w kwocie 25 centów otrzymała za całusa, jakiego grubas jej ukradł i przedłużył ponad normę. Na trzeźwo Ampara zdałaby sobie sprawę z tego, że żaden z tych jej dzisiejszych trzech zarobków nie był etyczny i że musiałaby się wstydzić albo kłamać, gdyby ją syn zapytał, w jaki sposób zdobyła te pieniądze. Lecz podwójna dawka narkotyku, nigdy nie kosztowanego dawniej, zamroziła jej autokrytycyzm i wstydlivość, a rozpałała żądzę mówienia o sobie oczywiście w superlatywach.

— Inne kobiety w niedzielę nie pracują, nie zarobią ani dolara, jeszcze roztrwonią sporo pieniędzy na swoje rozrywki — mówiła, puszyła się i wachlowała tymi banknotami, jak również wachlarzem, bo w mieszkaniu było jeszcze duszniej niż na ulicy — a twoja zdolna mama zarobiła dziś tyle pieniędzy!

— Dla mnie, prawda, mamusiu? Na nowe ubranie, obiecujące mi tak dawno!

— Coś z tych dwudziestu dolarów należałoby użyć na sprawunki dla twojej siostrzyczki! Jako dziewczynka, ma ona więcej potrzeb garderobianych niż ty, Pedrito.

— Ona spodni nie nosi, a spodnie drą się najczęściej. Zresztą Jacinta dostaje kiecki po ciotce i osobno od swoich rodziców chrzestnych. A moi chrzestni skrecili kark w aucie, tata umie tylko wymalować ubranie na obrazie, lecz kupić mi go jakoś nie potrafi, więc gdyby nie ty... — I ty jedna ze wszystkich matek potrafisz zarabiać nawet w niedzielę...

Dopóty schlebiał matce, dopóki nie uzyskał od niej uroczystego przyrzeczenia, że całe 20 dol. będzie zużyte wyłącznie na jego garderobiane potrzeby. Pozwoliła mu nagryzmolić ołówkiem swe inicjały „P. P.” na tym

20-dolarowym banknocie, co dziecinnie uważał za najpewniejsze zabezpieczenie swej własności i zabezpieczenie jej przed wszelkimi pretensjami siostry.

A na swoje dzisiejsze przyjemności dostał od matki całego dolara, chociaż bilet do podrzędneho kina mógł kosztować go najwyżej 50 centów, uwzględniając już wyższe ceny wieczornych przedstawień w soboty i niedziele. Uszczęśliwiony swymi sukcesami pieniężnymi, popędził Pedrito do kina natychmiast, gdyż nagły powrót taty uniemożliwiłby mu podziwianie na ekranie „Kida”.

Jeszcze w klatce schodowej nie przebrzmiało dudnienie kroków małego Pereza, lubiącego skakać po kilka stopni na raz, gdy jego matka zabrała się do upiększania swego wyglądu przed lustrem. Na lądzie Kolumba bowiem niewiasty zamierzające załatwić jakąś sprawę szybko, gładko i pomyślnie stosują dwojaką taktykę według tej ich wypróbowanej zasady: „Jeżeli idziesz z prośbą o posadę lub za interesem do kobiety, staraj się wyglądać gorzej i starzej albo choć mniej sprytnie od niej. Natomiast jeśli masz pertraktować z mężczyznami, zrób się na młode bóstwo; to utrudnia im odmowę. A jeżeli twój interes nie jest jednorazowy, błysnij inteligencją, dowcipem i kokieterią, by męski kontrahent pragnął widywać cię w przyszłości jak najczęściej”. Ampara Perez, dawniej unikająca Maksa, zapragnęła dziś widywać go w przyszłości często i bez świadków, aby móc swobodnie i bezpiecznie nabywać od niego heroinę, i „białą tabaczkę”, i „indiańskie siano”, i jeszcze inne narkotyki, jakich klienci Pata zażądadają. Była pewna, że dojdzie z Maksem do porozumienia bez trudu już podczas pierwszej na ten temat rozmowy i była pewna, że na pośredniczeniu pomiędzy Maksem — dostawcą zakazanego owocu — a detalicznym sprzedawcą

Patem, ona wzbogaci się niebywale w ciągu paru lat... lat? Raczej w ciągu paru miesięcy! A może nawet tygodni? Albo dni?

W mocniejszym haszyszowym upojeniu można sobie na latającym dywanie pojechać na księżyc, przechodzić jak duch przez najgrubsze mury haremu sultana Abdul Hamida, któremu zmarło się dość dawno, i flirtować z jego żonami, gdyż zegar czasu wówczas łatwo cofnąć o dowolną liczbę lat albo stuleci.

Ampara nie była wprawdzie odurzona do tego stopnia, niemniej jednak pertraktacje handlowe z Maksem i ich zyskowe następstwa wydawały jej się szybkie, łatwe, pewne i bezpieczne, tak że nawet nie postawiła swego ulubionego pasjansa.

Ha, gdyby nie ta obecna jej pewność siebie i tak samo nienaturalna zarozumiałość, byłaby Ampara jak zwykle zasięgnęła światłej rady gwiazd, z którymi była prawie na ty, jako kabalarka i prenumeratorka miesięcznika popularyzującego astrologię i ozdobionego olbrzymim napisem: „Gwiazdy wytyczają całą twoją karierę”.

Któraś z uczynniej szych gwiazd byłaby prawdopodobnie odradziła Amparze odroczenie ryzykownej konferencji narkotykowej ad calendas graecas. A w każdym razie byłaby jej przypomnią, że przepowiadana od paru dni burza, nie wiadomo czy tylko atmosferyczna, wyładuje się w sposób katastrofalny właśnie dzisiaj! Teraz burza ta rzeczywiście już wisiała na włosku.

ROZDZIAŁ XXI

Zrobiwszy się na „bóstwo” z szybkością zawodowej modelki, sprawdziła Ampara jeszcze raz, czy Maks Blink nie wyszedł z domu lub czy nie miał u siebie

jakiegoś interesanta. Obserwacje życia sąsiadów robiła albo drogą akustyczną, przez przytknięcie ucha do cienkiej ścianki, która rozdzielała kuchenki i łazienki obu mieszkań, albo drogą optyczną przez zerkanie z podwórzowych okien studia i sypialni Perezów ku oknom studia Blinka. Wąski szyb brudnego podwórka rozdzielał okna mieszkań na wszystkich pięciu piętrach, więc zasłaniało się je zwłaszcza wieczorami, ilekroć któraś rodzina spragniona była odosobnienia i dyskrecji.

Podczas upałów zostawiało się wszystkie okna otwarte i odsłonięte dla uzyskania cennej w Nowym Jorku wentylacji z przeciągu, lecz pomimo tego tylko bliższą część sąsiedniego studia widać było obecnie, gdy chylące się ku zachodowi słońce zasłoniły już wyższe budynki. Gdyby Maks wylegiwał się na swoim olbrzymim tapczanie, Ampara nie mogłaby dostrzec go teraz. Siedział on jednak znacznie bliżej, na krześle, wpatrzony w swoje ulubione malowidło, którego nigdy nie wystawiał. I machinalnie szcztokował sobie rudą czuprynę pod włos, tak aby tworzyła idealnego niemieckiego „jeża” i jeszcze zwiększała jego dwumetrową sylwetę.

Ampara należała do tych osób, u których Maks Blink budził niesamowity lęk nie tyle okazałym wzrostem, okrutnym wzrokiem i brutalnością, ile tajemniczym wymykaniem się po nocach, gadaniem do siebie we dnie oraz wybuchami „szatańskiego” śmiechu, ilekroć dolatywały tu odgłosy syreny i dzwonu straży pożarnej.

Nigdy też dotychczas nie odważyła się wejść do jego mieszkania podczas nieobecności Ireny i bez eskorty kogoś ze swej rodziny. Ale dzisiaj marihuana zrobiła ją zuchwałą, tak że weszłaby bez wahania nawet do klatki lwa, cóż dopiero do mieszkania znajomego mężczyzny,

choć na trzeźwo uważała go za coś pośredniego pomiędzy wariatem a diabłem.

Obecnie, dzięki haszyszowi, nawet rozpoczęcie pierwszej rozmowy o narkotykach wydawało jej się śmiesznie łatwe. — Powiem mu prosto z mostu i wesoło: — Hej, ty pokątny sprzedawco białej trucizny, jaka jest dziś twoja cena heroiny? — Ten dobry żart oszczędzi mi wstępu do kołowania w rozmowie — układała sobie w głowie, nie przeczuwając, iż Maks uzna to za najgorszy żart, jaki słyszał w Ameryce i zareaguje aż tak brutalnie.

Nie odezwał się, kiedy zapukała do drzwi i rzuciła to zwyczajowe pytanie, które zadaje nawet komornik albo policjant przychodzący w urzędowej sprawie: czy mogę wejść? A choć weszła samowolnie i zamknęła za sobą drzwi dość głośno, Maks Blink nadal nie odwracał głowy. Jak zahipnotyzowany gapił się na swój dziwny obraz i powolnym równomiernym ruchem woskowych automatów z lunaparku czesał okrągłą damską szczotką swe rude włosy. Gdyby nie ten monotony ruch jego jednej ręki, wyglądałby na pogrążonego we śnie zwykłym albo w wiekuistym, do tego stopnia nieruchoma była reszta jego ciała i podłużna, końska twarz.

Ampara, niezmiernie dziś pewna siebie i odważna, podeszła doń blisko, tak że stanęła tuż za jego plecami, uderzyła go palcem w ucho i zawołała wesoło, jak to sobie uplanowała przed chwilą: — Hey, you dopepeddler, what's your price of heroin today?

Maks Blink skoczył na równe nogi z takim impetem, że krzesło byłoby runęło na podłogę, gdyby Portorykanka nie stała za jego oparciem. Równie szybko zrobił wstecz zwrot na pięcie, a w jego trochę wylupiastych oczach barwy jasnego piwa malowało się przerażenie zwierzyny zaskoczonyj podczas snu i już otoczonej

zewsząd przez myśliwych. Ale trwało to bardzo krótko; gdy oprócz znajomej sąsiadki nie dostrzegł w studiu nikogo, żadnych „myśliwych” ani w mundurach policyjnych, ani typowych tajniaków, jakich doświadczony przestępca pozna w każdym przebraniu, a których gremialną wizytę tutaj wyimaginował sobie posłyszawszy prowokacyjne odezwanie się przybyłej. Maks odechnął z ulgą i błyskawicznie przetopił swój krótki przestרח na mściwy gniew.

— Przerwałaś mi trans — zaczął spokojnie, jeszcze panując nad sobą i zerkając podejrzliwie ku oknom mieszkania sąsiadów. — Czy mówiłaś tu coś bardzo głośno po to, żeby tam ktoś słyszał każde słowo? — dodał szeptem.

— Nikt nic nie usłyszy — prócz Klapperstorchowej nikogo nie ma w całym domu — odparła Ampara, patrząc na jego ulubione płótno, bo słyszała o nim od Ireny, lecz Maks zasłaniał je lub chował, gdy ktoś miał nadejść.

— Wolę sprawdzić, czy kto nie podsłuchuje — zamruczał.

Mając na stopach jasne *sneakers* z gumowymi podszewkami, najtańsze obok trzydolarowych indiańskich mokasynów trzewiki w Ameryce, podbiegł cichuteńko do drzwi, otworzył je nagle, wyszedł do sionki, zajrzał do obu wylotów klatki schodowej i do otwartego mieszkania Perezów, potem wrócił, przekręcił klucz w zamku i z tym samym pośpiechem zaczął ściągać w dół rollkowe story w oknach. To wnet pograżyło w półmroku jego studio. Chociaż miało ono, podobnie jak studio Perez, duże okno w suficie, zasłanianie je podczas upałów draperiami przesuwanymi na drutach, podobnie jak w staroświeckim atelier fotograficznym. Przy tak marnym oświetleniu Ampara nie mogła nadal

ogłądać obrazu, który intrygował ją od dawna, a którego tytuł brzmiał: „W objęciach śmierci”.

— Kapitanie, czemu zamknąłeś drzwi i zasłaniasz okna? Przesadna to ostrożność, a brak przeciagu zrobi tu powietrze nie do wytrzymania nawet w stroju hawajskim — chichotała i machała wachlarzem, choć kiedy indziej byłaby zemdląła z przerażenia, gdyby Maks zamknął drzwi na klucz zostawszy z nią jakimś cudem sam na sam. — Tylko Dalila jest w domu, lecz radio u niej gra tak, że ona nie zdoła dosłyszeć naszej rozmowy.

— Na to liczę — warknął złowrogo, włączając także swoje radio.

— Możemy więc bezpiecznie targować się o cenę heroiny, którą chcę kupować u ciebie, kapitanie.

— U mnie? — podszedł do niej blisko.

Cofnęła się o krok, ale znów zrobił to samo, i znowu, i znowu, spychając ją w głąb studia, gdzie stał jego przesadnie duży tapczan, nad nim zaś wisiała na tylnej ścianie szpicruta, bykowiec i skórzana smycz po psie, który kiedyś przybłąkał się tutaj na swoje nieszczęście. — Czyż jesteś pewna, że taki towar nabywać można u mnie lub może u Ireny? — dopytywał złowieszczym półszeptem. — A co jeszcze wiesz o swoich najbliższych sąsiadach.

— O, ja wiem o tobie dużo, bardzo dużo! — musiała się pochwalić, bo działanie odurzających środków, jakimi Pat ją uraczył, jeszcze wciąż przytępiło jej rozsądek. — Na przykład wiem od dawna, że wymykasz się po nocach Irenie i jeździsz do dzielnicy niemieckiej! Wiem, jakie dwa zajęcia masz w domu schadzek pani Roepke! Wiem, że kupujesz narkotyki za becen od żeglarzy z Argentyny i Peru!

Och, ja wiem znacznie więcej, wiem wszystko! —

upajała się swymi przechwałkami i jego zaskoczeniem, a nie dostrzegając burzy, jaką ściągnęła teraz na siebie.

— Od kogo wiesz? Kto ci to powiedział? — zasyczał z nietajoną już wściekłością. Z jej słów wynikało niezbitcie, że ktoś mozolnie śledził go, dopóki nie przeniknął tajemnicy jego podwójnego życia w Nowym Jorku; czyż tak długotrwałego i ryzykownego śledzenia po nocach dryblasa jego kalibru podjąłby się ktoś dla rozrywki lub zaspokojenia własnej ciekawości? Oczywiście, nie! — Kto przysłał cię tutaj na przeszpiegi i kazał ci grać przy mnie pijaną idiotkę?!

— Proszę mnie nie obrażać, nie jestem pijana — odparła, kręcąc w kółko zawieszoną na palcu torebkę i równocześnie chłodząc się wachlarzem trzymanym w drugiej dłoni; zręcznością tych ruchów i miną chciała dowieść swej trzeźwości. Za to nie kwestionowała jego gorszego zarzutu, jakby podświadomie czuła, że postępuje naprawdę idiotycznie, odkąd rozstała się dziś z Ireną.

Znienacka Maks pchnął ją silnie, a ponieważ jego tapczan był już blisko, runęła nań na wznak. Sposobności do zerwania się lub zaprotestowania krzykiem przeciw takiemu traktowaniu gościa nie dał jej oczywiście miły gospodarz. Ledwie upadła na tapczan, klęknął tak, iż kolanami przygwoździł jej dłonie, lewą dłonią zatkał jej usta, a prawą zerwał z gwoździa szpicrutę i parę razy przesunął ją przed oczyma Ampary wybaluszonymi od nagłego przerażenia. Wszystkie dotychczasowe stadia tego *Blitzkriegu* trwały razem tylko kilka sekund. W obezwładnianiu napadniętej ofiary eskapitan Blink miał widać wprawę opryszków zawodowych lub nazistowskich oficerów.

— Teraz wypluj całą prawdę, zuchwała Mulatko, albo

poznać cię pręgami tak, że będziesz wyglądała jak zebra! — zacharczał i wpił w jej mętniejące oczy wzrok okrutnika, który terroryzował setki ludzi w Europie.

Nagłym ruchem zdarł bluzkę z bezwładnej i omdlewającej już kobiety, po czym uderzył ją szpicrutą. Choć usta miała zatkane jego drugą dłonią, zawyla z bólu, wyprężyła się w rozpaczliwym zryw i zwiotczała tak, jakby straciła przytomność. Sądząc, że ona tylko symuluje omdlenie, uszczypnął ją mocno i szarpnął za włosy, lecz wszystko to bez skutku. Nie reagowała na nic, nie dawała znaku życia.

Trupia nieruchomość jej ciała skłoniła go do odłożenia na później chłosty, którą chciał wycisnąć z niej prawdę. Jako sadysta doznawał satysfakcji tylko wówczas, gdy dręczona przezeń osoba cierpiała doraźnie, jęczała, wiła się z bólu lub choćby drżała z trwogi, a takie rozkosze zwyrodnialców ominęłyby go, gdyby chłostał Amparę zemdloną, niewrażliwą na ból i leżącą bezwładnie jak kłoda.

— Najpierw muszę ją ocucić — postanowił i spojrzął na budzik; brakowało na nim 13 minut do godziny 6.00. Słońce miało zajść koło 8.30 według czasu letniego, więc najwcześniej koło 9.00 spodziewał się powrotu Ireny i Ramona, biorąc pod uwagę, że był to ostatni dzień ulicznej wystawy obrazów. — Czyli mam czasu w bród na to, by ujarzmić głupią małżonkę mego chytrego sąsiada...

Znowu mówił głośno do siebie. Czynił to często, jak sąsiedzi zauważyli już wiele miesięcy temu, a jeden z nich nawet twierdził stanowczo, że w taki sposób objawia się początek obłądzenia. Irena powiedziała raz Maksowi, jaką opinię wyrabiają mu jego głośne monologi, śmiechy i inne dziwactwa, lecz jego zdawało się cieszyć to, że siał postrach w sąsiedztwie.

Zresztą każdy handlarz narkotykami prędzej czy później zaczyna w nich smakować albo z ciekawości, albo dla zachęcenia swoim przykładem nowych odbiorców, albo dla zagłuszenia strachu przed aresztowaniem i procesem, bo wyroki są coraz surowsze, a Price Daniel, senator z Texasu, żąda, by w pewnych wypadkach sprzedawcy heroiny byli karani śmiercią! Wiedząc o tym z gazet, Maks od dość dawna *leczył* swe nerwy różnymi gatunkami „białej trucizny” i dlatego nie mógł już zachowywać się stale jak normalni ludzie; jego dłuższe okresy normalności były raczej wyjątkiem od reguły.

— Zamiast cucić ją wodą, użyję mej starej metody wojennej; chwaliły ją sobie kobiety, ogromnie chwaliły! — Jak większość narkomanów lubił chwalić się sam przed sobą. — Prawdę mówiąc kobiety leciały na mnie zawsze! Przed wojną Niemki, Włoszki, Greczynki, Amerykanki, Hiszpanki, podczas wojny Czeszki, Polki, Węgierki, Rumunki, Rosjanki, Francuzki... wszystkie! Wszystkie, prócz jednej... upartej, zawziętej, przekłetej, cudnej, niezapomnianej... tu obejrzał się Maks machinalnie w stronę swego ulubionego obrazu, lecz jego główna postać zatarła się w półmroku, jaki panował w studiu.

— Czemuż ja tak często wracam myślami do starego błałego epizodu, do jedyne go fiaska wśród tylu zwycięstw? — zirytował się na siebie, zaklął, zgrzytnął zębami i ostentacyjnie odwrócił się tyłem do płótna, które własnoręcznie przecież wymalował, a które hipnotyzowało go przedziwnie, ilekroć sam był w studiu lub gdy Irena zasnęła.

— Znów spojrzął na tapczan. — Właśnie tak pulchnej jak ty, zawyrokował z ohydny m uśmiechem sutenera — domaga się wielu klientów Frau Roepke. I do niej ciebie wnet zawiode, Amparko, jak zawiodełem Karen! A potem ty pomożesz mi zwabić tam tę przesadną

moralistkę, Irenę!

ROZDZIAŁ XXII

W tym samym czasie Irena krzyknęła przeraźliwie, bowiem Jim Hariman, ów najwyższy i najmuskularniejszy z tuzina stojących blisko niej Murzynów, właśnie rzucił się na jej sympatycznego towarzysza wycieczki do Jones Beach, zaciskając jedną dłoń w potężny kułak, a w drugiej trzymając, za szyjkę ostry, morderczy kikut rozbitej butelki. Polak zaś, zamiast przybrać obronną pozycję bokerską albo w paru skokach uciec do morza, gdzie jako świetny pływak uniknąłby porażki, zda się już nieuchronnej na lądzie, nagle złamał się w pół, tak jak gdyby pragnął złożyć unizony pokłon nacierającemu nań czarnemu olbrzymowi.

— To przecież Negra nie udobrucha — bąknęła Irena rozczarowana tym postępkiem i ręce załamała w bezsilnej rozpacz.

Nie wiedziała, że Józef Lubor postanowił uciec się do dżu-dzitsu, wynalezonego przez małych Japończyków właśnie po to, żeby w razie potrzeby słabszy mógł się obronić przed napaścią mocniejszego przez sprytnie wyzyskanie na swoją korzyść większej siły, wagi i rozpędu napastnika.

Jej rozczarowanie z powodu tego rzekomo błagalnego ukłonu trwało tylko parę sekund, po czym ustąpiło miejsca osłupieniu i podziwowi. Lubor bowiem, zgiąwszy grzbiet szybko, wbił prawą rękę między nogi atakującego Murzyna, objął jego prawe udo i wyprostował się sprężysto we właściwym momencie, tak że przerzucił za siebie cięższego przeciwnika, i to głównie jego własnym impetem. Czarne nogi wierzgnęły wysoko

nad jasną czupryną Polaka i ku zdumieniu gapiów hebanowy olbrzym, przechwalający się przed chwilą swą przewagą fizyczną, spadł głową w dół na piasek.

To, że terenem walki dwóch mężczyzn był miękki piasek nadmorski, a nie grunt twardy jak beton albo kamienie, źle wróżyło słabszemu zapaśnikowi, który chciał bronić się za pomocą dżju-dżitsu, nie mógł bowiem liczyć na to, że rzuceniem przeciwnika na głowę ogłuszy go lub choćby tylko osłabi. — Józef Lubor zdawał sobie z tego sprawę od początku, lecz nie miał wyboru.

A czarny i mocarny Jim Hariman był zrazu kompletnie zaskoczony tym, że pomimo swojej pokażnej wagi nagle stracił grunt pod nogami, że opisał łuk w powietrzu i wylądował na własnej twarzy tak niefortunnie, iż syпки piasek wbił mu się w szerokie nozdrza, wypełnił akurat otwarte usta i, co najgorsze, wtargnął obficie pod powieki.

Podczas każdego przyływu morza fale zalewały tę najniższą część plaży gorzko-słonym „cocktailem atlantyckim”, więc przesiąknięty nim piasek szczypał w oczy i nie pozwolił Jimowi przejrzeć natychmiast po upadku, ani też w następnych sekundach, gdy olbrzym dźwignął się na kolana, klnąc, charcząc i plując piaskiem ku wesołości najmłodszych gapiów. Och, zamroziłby karzącym lodowatym wzrokiem tych smarkaczy, gdyby ich widział!

Blondyn mógł wykorzystać to chwilowe oślepienie silniejszego przeciwnika, mógł go uderzyć teraz w skroń pięścią albo jedną z flaszek, których sporo leżało obok w koszyku. Dlaczego nie uczynił tego dotychczas? Pomimo wypicia tylu butelek piwa dziwiła Dżima ta rycerskość, widywana głównie w starych filmach, a przez wielu uważana dziś za śmieszny przeżytek i za

strategiczną głupotę, ale naśladować jej nie zamierzał, o nie!

Brawa, jakimi niektórzy nagrodzili jasnowłosego Polaka za ten jego udany chwyt dżju-dżitsu, zapiekły ambitnego Murzyna gorzej niż morska sól z piaskiem. Pierwsza runda walki dopiero się rozpoczęła, ale wszystkie następne brawa on musi dostać, wyłącznie on, Dżim Hariman, nie bokser zawodowy ani zapaśnik, lecz wielkolud wyglądający, zdaniem swych czarnych wielbicielek, groźniej niż sam Joe Lewis! Brunatny bombiarz, pogromca Schmelinga i przez szereg lat światowy czempion ciężkiej wagi!

— Japońskie tricki stosujesz zamiast się bić na pięści uczciwie, po męsku? — bełkotał Murzyn niewyraźnie, bo jeszcze miał sporo piasku w ustach; zapomniał snadź, że przed chwilą trzymał w dłoni szklaną broń nie gorszą od sztyletu, co wyłączało możliwość uczciwej walki na pięści. — Chytry babobijco, ja cię spiorę tak, że będziesz wyglądał jak surowy siekany klops!

Pragnąc jak najprędzej patrzeć bez ciągłego mrugania i ruszyć na przeciwnika, przecierał sobie Dżim oczy oburącz z gorączkowym pośpiechem, a równocześnie dźwignął się z kłęzek i prężył nogi do skoku. Wreszcie przeczyścił sobie oczy na tyle, że nie potrzebował ich mrużyć raz po raz i dojrzał wyraźniej blondyna, który właśnie stanowczym ruchem odsuwał na bok „swoją” kobietę, próbującą go zasłonić czy odciągnąć w tłum gapiów i nie dopuścić do kontynuowania walki.

— Patrzcie, jak ja z jego bladej gęby zrobię czerwony klops! — krzyknął Dżim pod adresem widzów, dopraszając się już z góry oklasków, dał susa naprzód i... zawył, bowiem ostry, świdrujący i szarpiący nerwy ból przeszył go na wskroś od pięty do czubka głowy.

Widocznie prawą stopą nadepnął na ów niebezpieczny kikut butelki, który wypuścił z dłoni przedtem i który ugrzązł w piasku. A ugrzązł szyjką w dół, natomiast utłuczony, krzywo odcięty obwód rozbitej flaszki, dookoła najeżony szpicami ostrzejszymi niż zęby rekina, sterczał pionowo w górę na pół zasypany, prawie nieróżniący się brunatną barwą szkła od mokrego piasku, niezauważony też przez nikogo, bo nikt nie patrzył tak nisko.

Kiedy ważący przeszło 225 funtów Murzyn z bojowym impetem wskoczył bosy na tę małą cierniową koronę ze szkła, zmasakrowała mu ona stopę straszliwie, prawdopodobnie przebijając ją na wylot w paru miejscach.

Dżim pomyślał sobie w pierwszej sekundzie, że trafił tylko na muszlę lub na jakąś metalową zabawkę dziecięcą, zagrzebaną w piasku, co zdarzało mu się nieraz na plażach, acz nigdy z tak bardzo bolesnym skutkiem. Chcąc zbagatelizować sobie to, co mylnie uważał tylko za lekką kontuzję, i wściekły na siebie, że zawył z bólu tak niemęsko i głośno, runął do ataku. Kiedy jednak w tym wypadzie musiał na moment, przenieść ciężar swego ciała z lewej nogi na prawą, ta ugięła się pod nim i zaboląła go piekielnie; widać ułamane okruchy szkła tkwiły w niej i rozszerzyły świeże rany skutkiem nacisku z zewnątrz.

— Dżimi, jakiś ty błądy! — pisnęła najmłodsza z Murzynek.

— Ja błądy? Głupstwa pleciesz, Connie — zgañił ją.

Nadrabiając miną, znów stanął na lewej nodze i podniósł prawą stopę, aby ją sobie dobrze obejrzeć. Wówczas zobaczył, jak straszliwie zranił ją sobie i jak obficie krew z niej uchodzi, zmywając piasek świeżo przyklepiony do skóry. Spostrzegł też parę wystających

z ciała odłamków szkła, lecz gdy jeden z nich próbował wyjąć palcami, zamroczyło go z bólu, cała plaża zawirowała mu w oczach, zachwiał się i ciężko usiadł na piasku.

— Co się stało? — pytali dalej stojący.

— Jakiś Negr chce się bić, a już nie może ustać na nogach...

— Już nie może? Oberwał knockout w pierwszej rundzie?

— Od piwa! Jest wyraźnie pijany...

— Pijany? Przecież on krwawi!

— Dobrze mu tak... Kopyto sobie rozciął... — inni mruzcili i odchodzili ponaglani przez krewnych czy przyjaciół, którzy zauważyli nadciągający szkwał i doradzali ucieczkę przed deszczem.

— Chodźmy także — zaproponowała Irena cicho swemu kompanowi, zarzuciwszy sobie ponownie ów szeroki ręcznik na „kompromitujące” plecy — bo tuż przed zamknięciem łazienek będzie tam ścisk i czekanie w ogonkach na budki z ciepłymi prysznicami! Niech pan nie zapomni zabrać stąd swego płaszcza kąpielowego!

— A co będzie z nim? — zafrasował się Józef Lubor, pokazując jej siedzącego na piasku Dżima, przy którym tylko czarna jak heban Connie uklękła, lecz oboje nie mieli pojęcia, jak zatamować silny wpływ krwi. — Bez rychłej pomocy on może wykrwawić się na śmierć albo złapać tężca czy inne zakażenie.

Słowa jasnowłosego niby flegmatyka, a zwłaszcza takie groźne lekarskie nazwy, jak tężec i zakażenie, zaniepokoiły obecnych Murzynów, a najgorzej przerażyły samego Dżima; jego twarz stała się teraz szara niemal tak jak popiół z papierosa.

— Lećcie po doktora! Po ambulans! Po nosze! — zawołał prawie błagalnie, choć chciał, żeby to brzmiało

rozkazująco, zgodnie z jego zwykłym dyktatorskim stylem, jakiego używał wśród swoich kolegów i sąsiadów.

Wystarczyłoby zapewne żeby tylko jeden z nich pobiegł do najbliższych łazienek, bo w każdym jest stacja pierwszej pomocy i radio-telefon do przywołania szpitalnych karettek automobilowych, a tych zawsze kilka czeka w Jones Beach na świeżych topielców, których nie ocuciło sztuczne oddychanie, zastosowane na plaży.

Ale młodzi towarzysze i towarzyszki Dżima chcąc go przekonać o swej troskliwości czy też posłuszeństwie wobec jego rozkazów, popędzili ku łazienkom na wyścigi wszyscy, oprócz poczciwej i jak wcielona naiwność wyglądającej Connie, którą czarny wielkolud szeptem nakłonił, aby czuwała tu przy nim, nie pozostawiała go samego wśród obcych białych, kiedy on jest taki bezsilny.

— Connie, tak mi jakoś... mętnie, słabo, jakbym miał zzz...

— Zemrzeć? Nie! Nie umieraj, Dżim, błagam! — krzyknęła.

— Chciałabyś, żebym żył? — wzruszył się olbrzym. Chociaż był hurtowym, proporcjonalnym do swego wzrostu zdobywcą serc niewieścich w północnych dzielnicach Nowego Jorku, to jednak nie przypuszczał, iż nawet teraz, w chwili swej porażki i ponizenia usłyszy jeszcze jedno wyznanie miłosne, i to od najmłodszej siostry swej eksprzyjaciółki! — Dlaczego to nie chciałabyś, abym umarł, małeńka? — domawiał się cicho choćby o skromne „bo ja cię od dawna uwielbiam, niezwyciężony Dżimie!” By jej ułatwić swe oświadczyzny szeptem, zmrużył oczy i przysunął swoją dużą głowę do jej twarzyczki.

— Dlaczego, kochanie?

— Bo ja się boję trupa! — wrzasnęła przerażona, szarpnęła się wstecz i chciała mu wydrzeć swą rękę, którą zdołał przytrzymać mimo osłabienia, lecz to krótkie szamotanie się z nią zwiększyło jego krwawienie.

— Niech pani uspokoi murzyńską dziewczynę, a ja zajmę się nim, dopóki ich współplemieńcy nie przyprowadzą tu fachowca z noszami — rzekł Józef Lubor do Ireny, po czym zwrócił się do widzów:

— Może wśród was jest jaki lekarz? Choćby ginekolog, okulista, dentysta? Albo choćby pielęgniarz szpitalny? — pytał tych i tamtych, ale nikt nie pochwalił się znajomością żadnej gałęzi fachu eskulapa. — No, to ja sam będę musiał przypomnieć sobie wojenny kurs udzielania pierwszej pomocy, ale ze mnie kiepski felczer — zastrzegł się skromnie.

Ukląkł naprzeciw Dżima, siedzącego z bezradną miną i usiłującego zatamować krew jakimś ręcznikiem, który już przesiąknięty był krwią na wylot.

— Potrzeba mi innego ręcznika i kilku chustek do nosa, tylko oczywiście czystych! — Zbiórkę zaczął od własnej chustki, którą miał w kieszeni płaszcza kąpielowego. — Przydałby się też jakiś środek dezynfekcyjny. Może ktoś ma tu buteleczkę jodyny?

— Fe! Któżby nosił takie... sPPP... piekące paskudztwa przy sobie? Ja mam najlepszą dezynfekcję, jaką... ePPP... medycyna wynalazła: wódnę! — zawołał jakiś piegowaty widz, którego dręczyła czkawka, a którego strój plażowy składał się z kostiumu kąpielowego i zawieszzonego na „koalicyjnym” pasku dużego skórzanego pokrowca; z niego to właśnie właściciel fioletowego nosa i pięknej kolekcji piegów wyjął płaską metalową manierkę.

— Z tego, że flakonik jest teraz... ePPP... pełny, nie

należy mylnie wnioskować, iż zapomniałem dziś dezynfekować sobie wnętrzności. Właśnie te zabiegi opróżniły mi to... eppp... naczynie i musiałem iść znowu napełnić je w aucie, gdzie mam większą ilość... eppp... wody ognistej.

Podczas gdy piegowaty popijbrat rozśmieszał obecnych swymi zwierzeniami, Józef Lubor wyciągnął spod sprzączek swego płaszcza kąpielowego bardzo długi pasek, będący właściwie białym sznurem, wielokrotnie splecionym i na palec grubym, a z obu stron ozdobionym pomponami.

— Czy pan chce Dżima powiesić, czy tylko związać? — spytała rozbijającą Connie, która od dzieciństwa przeglądała co tydzień kilkanaście nowych zeszytów powieściidel obrazkowych, przedstawiających sceny okrutnych samosądów, sadystycznych morderstw i innych okropności i, jak tysiące młodzieży, chwilami zupełnie gubiła linie graniczną pomiędzy koszmarną fikcją a rzeczywistością życia codziennego. — No tak, pan ma święte prawo do krwawej zemsty, bo Dżim napadł pana!

— Wieszanie na plaży wykluczone! Z braku drzew! — odrzekł pijak. — Co wobec tego chce pan zrobić innego?

— Chcę zmniejszyć mu upływ krwi. W tym celu trzeba tym oto sznurem obwiązać i ścisnąć skaleczoną nogę przy kolanie i poniżej — odparł jasnowłosy Polak, nie skapiąc łatwych do zrozumienia wyjaśnień ani Dżimowi ani Connie, a równocześnie wprowadzał swe słowa w czyn. — Teraz spróbujmy obejrzyć ranę — ciągnął dalej, gdy udało mu się wydatnie zmniejszyć krwawienie. — Hm, część stopy rzeczywiście wygląda jak surowy siekany klops, o którym była tutaj mowa przedtem prawda?

— Yes, sir — przyznał Dżim potulnie i zerknął na

blondyna, którego przelotny uśmiech nie zdradzał ani szyderstwa, ani satysfakcji.

Zdziwiło to zarówno Murzyna, jak i najwytrwalszych widzów oraz Irenę, której podziw i szacunek dla Lubora wzrósł ogromnie. Nawet dziecinna Connie przyznała, że wąsał miał prawo do krwawego odwetu, do radości z powodu bolesnej kłęski napastnika, do życzenia mu gangreny i śmierci. Tymczasem on nie tylko nie objawiał żadnej urazy do niedawnego wroga, który przecież mógł mu straszliwie zmasakrować twarz kikutem rozbitej butelki, ale jeszcze ratował Murzyna! Pierwszy pośpieszył mu z samarytańską pomocą, walając sobie jego krwią ręce, chustkę, kostium i pasek białego płaszcza kąpielowego, a do takich usług, poświęceń i brudnej roboty jakoś nie pokwapił się tu nikt inny. Kiedy zaś deszcz zaczął padać i wypłoszył stąd ostatnich gapiów z wyjątkiem jednego, Lubor troskliwie owinął swego pacjenta wielkim szkarłatnym pledem, na którym przedtem Murzyni grali w karty.

— Lada chwila lunie prawdziwa ulewa — powiedział, zerknąwszy na zachmurzoną część nieba — więc uciekajcie pod dach jak inni; ja pozostanę przy nim, aż sanitariusze przyjdą z noszami.

— Zostanę także. Zdołam znieść to samo, co pan — brawurowała Irena.

— Wątpię. Zmęczyła się pani pływaniem, a potem została pani w mokrym kostiumie — odparł, zarzucając jej na ramiona swój gruby kąpielowy płaszcz — nie dziwnego, że zaledwie deszcz zaczął mżyć, kichnęła pani kilka razy. I gęsia skórka pokazała się na ramionach...

— Co za spostrzegawczość wzrokowa i słuchowa! W jej uśmiechu i spojrzeniu nie było ironii, lecz serdeczna wdzięczność. Ujęła ją bowiem jego troskliwość,

objawiona słowem, czynem, a także myślą, skoro pamiętał, że ona zmęczyła się mocno przy powrotnym przebywaniu fal i wiru; prawdę mówiąc, byłaby tam utonęła bez jego pomocy, bez tego troskliwego nawracania, choć kazała mu płynąć do brzegu przed sobą, by nie patrzył na jej naznaczone plecy. Ach, jakież ten Polak był biegunowo inny od jej Maksa!

— Idźcie, kobiety, idźcie — zrzędził teraz pocziwie jak kwoka — nic nam obecnie nie możecie pomóc, natomiast pani interwencja — Lubor starał się przekonać Irenę — na stacji pierwszej pomocy byłaby skuteczniejsza od chaotycznej paplaniny przyjaciół naszego pacjenta; te duże czarne dzieciaki zapewne wstąpiły po drodze na lody, nie zdając sobie sprawy z tego, jak pilnie jemu jest potrzebna pomoc lekarska i prześwietlenie stopy w szpitalu. Jeszcze ich nie widać z powrotem — niecierpliwił się teraz zaalarmowany głuchymi jękami pacjenta. — Te duże dzieci widać zdążyły zapomnieć, co tu zaszło i wróciły do przerwanej gry w pokera. Toć ubrania i karty zabrały ze sobą!

Skrzywdził tym posądzeniem przyjaciół Dżima. Nie zapomnieli oni o jego nieszczęśliwym wypadku, tylko borykali się jeszcze z trudnościami technicznymi i biurokratycznymi na przemian. Na przykład szczupły personel stacji pierwszej pomocy nie mógł opuszczać swego lokalu i żądał, jak zawsze, żeby pacjenta dostarczono na miejsce. Jeśli pacjent nie mógł przyjść na własnych nogach, przynosili go nadmorscy strażnicy, ale ci opuszczali swoje budki i kajaki o 6.00 wieczór z punktualnością, jakiej mogą pozazdrościć tanie i tandetne zegarki i budziki sprzedawane w drogeriach.

— Jeżeli ktoś lekkomyślny tonie, ma atak serca albo

kaleczy sobie jakąś część ciała na szkle po godzinie szóstej, to czyni to na własne ryzyko i odpowiedzialność! — zaznaczyła z naciskiem dyżurna medyczka. — I musi on sam postarać się o transport swej osoby od miejsca wypadku do naszych progów. Zresztą, jak widzicie, nie mam teraz pod ręką żadnych tragarzy!

Murzyni i Murzynki, mówiąc wszyscy naraz, zapewnili medyczkę, że tragarze są niepotrzebni, gdyż oni sami przyniosą swego przyjaciela Dżima, jeżeli tylko dostaną tutaj nosze.

Dyżurna nie miała zaufania do petentów przychodzących gromadnie pożyczać nosze. Tacy figlarze albo przynoszą jednego z kolegów, który udaje epileptyka i chwyta medyczkę za nogi, albo — co gorsza — przyniosą nieprzytomnego pijaka, któremu wpierv wleją do ust wody morskiej czy innego paskudztwa. Po kilku takich doświadczeniach w przeszłości nie kwapiła się oczywiście do tego, żeby jacyś rozwyrzeni smarkacze znowu ją wystrychnęli na dudka.

Słowem, młodzi przyjaciele Dżima byliby odeszli stąd z niczym i niewinny byłby odpokutował za wybryki chuliganów, gdyby nie to, że wraz z Conni nadeszła tutaj Irena, biała kobieta, starsza i poważniejsza od tych młokosów, która uroczyście potwierdziła prawdziwość ich relacji. Ba, przyniosła z sobą, jako dowód rzeczowy, fatalny kikut butelki i mocno skrwawioną chustkę. Gdy nosze wysłano po Dżima, z kolei przekonała medyczkę, że trzeba natychmiast zatelefonować po ambulans i lekarza, gdyż pacjent umrze bez rychłej transfuzji krwi.

Irena wygłosiła tę alarmującą hipotezę za radą Lubora po to, by zapewnić jego „pupilowi” dość wczesną pomoc lekarską pomimo ulewy, lecz oboje nie przypuszczali, że z Dżimem naprawdę mogło być źle. No

cóż, nikt znany nie umarł z rany w stopę z wyjątkiem Achillesa. Tymczasem lekarz dyżurny z Jones Beach uznał ranę Dżima za groźną, kazał go zawieźć do szpitala na operację i pienieł się z gniewu na nieznanego sprawcę wypadku.

— Gdybym był sędzią — grzmiał tak głośno, że słychać go było nawet w poczekalni, do której schroniło się przed ulewą sporo i czarnych, i białych pod pretekstem, że są najbliższą rodziną pacjenta — karał bym tak surowo jak zabójcę tego przekłętego łotra, który ukrył w piasku plaży butelkę w ten sposób rozbitą.

Przyjaciele Dżima jak na komendę przyłgnęli niepokojnymi spojrzeniami do smagłej twarzy Polaka, któremu teraz nadarzała się świetna sposobność do całkiem legalnego odwetu; dwóch stanowych policjantów w dużych australijskich kapeluszach właśnie zapisywało nazwiska i adresy świadków wypadku, którego ofiara mogłaby przecież żądać w sądzie pokąźnego odszkodowania od stanu New York, bo Jones Beach, to park stanowy. Ale wspaniałomyślny wąsał nie wsypał winowajcy, tylko uśmiechał się błogo, gdy go poczęstowano gorącą kawą i papierosem.

— Doktorek chyba przesadza — odezwał się basem Dżim, który wiedział, że jego kompania jest za drewnianą ścianką w poczekalni. — Szkło mógł rzucić na piasek ktoś pijany, lecz nie zaraz zabójca! Przecież mnie nie zabił, ja żyję!

— Nie żyłybyś długo, gdyby nie ci, którzy tak umiejętnie zatamowali ci silny wpływ krwi i tak trafnie zażądali tu dla ciebie tego, co trzeba, zanim cię jeszcze tu przyniesiono — odparł eskulap, układając swe strzykawki i lśniące narzędzia w czarnej walizeczce, po której w Ameryce można rozpoznać lekarza na milę.

— Chciałbym podziękować memu dobroczyńcy — rzekł pacjent.

Okazja nadarzyła się już za chwilę, gdy wieziono go na wózku podtrzymującym nosze przez poczekalnię ku drzwiom, za którymi czekała samochodowa karetka szpitalna. Ujrawszy swego rycerskiego eksprzeciwnika, z emfazą południowców zaczął Dżim wykrzykiwać na jego cześć różne przesadne pochwały, z których ostatnia zabrzmiała wbrew jego intencjom dysonansowo i zepsuła nastrój.

— Takiego anioła jak on jeszcze nie spotkałem w życiu — wołał basem — toteż musi on mieć świętą rację, skoro swoją kobietę bije i biczuje!

— Co takiego? — zdumiał się lekarz.

Za jego przykładem także inne osoby spojrzały w kierunku wyciągniętej ręki pacjenta, a największe zainteresowanie objawili dwaj state-troopers, wyekwipowani w gumowe pałki, duże rewolwery i „palisady” przypiętych do pasa nabojów.

— Doktorek mi nie wierzy — zmartwił się podgazowany Dżim, wskazując teraz na zaczerwienioną Irenę i nadal pragnąc jak najpiękniej odwdziżyć się swemu dobroczyńcy. — No, to proszę obejrzeć jej plecy! Całe są pocięte od bata! Ale widać ona stokrotnie zasługuje na chłostę, jeżeli taki archanioł jak mój jasnowłosy dobroczyńca traci cierpliwość przy niej i z pasją wali ją aż...

— Psiakrew! — zaklął Lubor rzeczywiście z pasją. — Jaka szkoda, żeś skaleczył sobie stopę, a nie swój głupi język!... Ale ja się dziś ubrałem...

ROZDZIAŁ XXIII

Gdy ulewa zelżała na chwilę, spod dachów i okapów wszelkich budynków i kiosków wzdłuż długiej plaży w

Jones Beach wypadły chmary automobilistów, spieszących się po zaparkowane wehikuly.

Starsi Amerykanie oraz obarczeni rodzinami przywożą z sobą na łono natury aluminiowe lub trzcinowe leżaki, gumowe materace nadymane powietrzem, duże składane parasole i lżejsze od nich, gdyż zrobione z dykty stoliki do gry i składane krzeselka; przywożą pstrokate kostiumy kąpielowe, czapki, szorty i kapelusze wielkie jak koła od bryczki, koce, derki, nadymane poduszki, piłki i pływaki w najgorszym razie z połataną dętą samochodowej. Przywożą plastikowe obrusy, serwety, torby i koszyki z niewiarygodnymi ilościami jedzenia oraz baterie flaszek i termosów od półlitrowych do pięciolitrowych, w których zresztą nowojorczanie trzymają latem raczej płyny zimne, jak lód, niż gorącą kawę czy herbatę.

Jeśli w skład rodziny wchodzi także małe dzieci, dla których trzeba zabrać ich wózki, zabawki i specjalny pokarm z sokiem pomarańczowym, cały ten kram rzadko mieści się nawet w największym bagażniku samochodu, toteż niektóre auta wiozą na swym dachu przywiązane rzemieniami kajaki albo jedną kilkusobową familijną łódź.

Krótko mówiąc, automobilista amerykański, wybierający się z rodziną na weekend, czy to na plażę czy w lasy, nie może narzekać na brak ładunku i na brak treningu w dźwiganiu ciężarów pomiędzy autem a miejscem odpoczynku.

Józef Lubor chciał postąpić podobnie jak troskliwi ojcowie rodzin, ażeby oszczędzić fatygi Irenie, lecz ona oświadczyła, że to niepotrzebne, skoro przecież żadnego ekwipunku plażowego z sobą nie zabrali. Słowem, uparła się teraz towarzyszyć swemu kompanowi w ćwierćmilowym biegu na przełaj przez kałuże i pod

prysznicem mżącego kapuśniaku od Wschodnich Łazienek aż do 17, dwurzędu samochodów, ustawionych na placu parkingowym nr 5

— Rozumiem. Lęka się dziewczyna, żebym jej nie zwał w odwet za tarapaty, jakie miałem tutaj przez nią, przez te jej nieszczęsne plecy. Gdybym sam odjechał, skazałoby ją to na niewygodną jazdę w przepelnionym autobusie na Wantagh, stamtąd koleją do Nowego Jorku i dotarłaby do domu dopiero za dwie godziny — mruczał Polak pod nosem, ale poczucie sprawiedliwości, obce wszelkim szowinistom, podyktowało mu zaraz inną hipotezę. — Albo chciała oszczędzić mi czasu i nerwów na sterczenie w tym długim ogonku aut, które gęsiego podjeżdżają potem po swój żywy i martwy bagaż.

Jakiegokolwiek były powody jej decyzji, przyplaciła ją Irena „kąpielą w ubraniu”, jakiej Lubor też nie uniknął; zaledwie bowiem wkroczyli na plac nr 5, ciepły deszczyk zaczął gęstnieć. Za to odpadły im trudności przy wsiadaniu, jakie mieli podczas wysiadania, bowiem odjechały już dwa obce auta, które przedtem stały po obydwu bokach ich starego chryslera w odległości zbyt bliskiej, ażeby jego drzwiczki można było otworzyć choćby tylko do połowy. Odkąd zaczął padać deszcz, odjechało z Jones Beach co najmniej pięć tysięcy samochodów, dzięki czemu ich ponumerowane na placach parkingowych dwuszeregi, przedtem zwarte i wypełnione do ostatniego miejsca miały teraz mnóstwo szczerb.

Tylko kapelusz Ireny i marynarka Józefa Lubora były suche, gdyż pozostawili je w limuzynie; reszta ich odzieży i bielizna przemokła do nitki.

— Nie zmoklibyśmy, gdyby nie... ów wojowniczy Negr!

— Oh, to nic. Zanim dojedziemy do Nowego Jorku, wszystko na nas wyschnie, aż do podeszew obuwia włącznie — pocieszyła go Irena. — Tylko jedna rzecz zdaje się poważnie ucierpiała od deszczu. To moja słomiana torebka.

— Czy nie uszkodzi to jej zawartości? — spytał Lubor z ironią, bowiem przypomniał sobie natychmiast, iż jej duża torba z kolorowej słomki tropikalnej kryła w swym wnętrzu coś ciężkiego tak jak pistolet automatyczny.

Podejrzenie to, chwilowo zapomniane na plaży, gdzie Irena była bez torebki, ocknęło się w nim teraz na nowo i zwiększyło urazę z powodu nieprzyjemności, na jakie naraziło go jej towarzystwo. Nachmurzył się więc i ostentacyjnie zasiadł przy kierownicy, chociaż przedtem obiecał, że pozwoli jej prowadzić samochód także i w powrotnej drodze.

Nie ujechawszy ani stu kroków, samochód Lubora ugrzązł po raz pierwszy, gdyż obydwie bieżnie jezdni wyjazdowej były zastawione autami stojącymi po amerykańsku: zderzak tuż przy zderzaku, niczym szczipione razem wagony pociągu. Po paru minutach prawy „pociąg” ruszył z miejsca powoli, podczas, gdy lewy stał nadal w szeregu tak zwartym, że nawet rower nie przecisnąłby się w poprzek tej karawany, a cóż dopiero samochód.

Nie było więc mowy o przebiciu się w lewo lub o przetoczeniu swego wozu z prawej bieżni na lewą, a tylko z lewej mógł Lubor skrócić na drogę równoległą do plaży.

Ci automobiliści, którzy chcieli wracać tamtędy, opuścili swoje place parkingowe wyjazdami wychodzącymi wprost na Ocean Parkway. Towarzysz Ireny zapomniawszy o tym, użył znacznie bliższego dlań wyjścia z placu i za tę drobną omyłkę musiał pokutować długo,

musiał dać się unosić dokąd nie chciał przez ospały prąd nieprzerwanej rzeki aut ku biegnącej na północ drodze Wantagh State Parkway.

Do Nowego Jorku jest tędy o 5 mil dalej, ale znacznie gorszą wadą tej drogi jest to, że ma ona tylko po dwie bieżnie w każdej jezdni zamiast trzech, jak inne autostrady. Kiedy więc dwa węże aut wlokących się od Zachs Bay chciały z prawej strony spłynąć na wąską, dwubieżniową jezdnię szosy Wantagh, zastały ją już szczelnie wypełnioną autami..

W podobnych sytuacjach automobiliści w innych stanach radzą sobie za pomocą przekładańca, puszczając jedno auto z głównej drogi i na przemian jedno z bocznej. Ale porywczy nowojorczyk to zwykle nałogowy wyginacz błotników, który woli pokrzywić i odrapać błotniki przy cudzym wozie lub nawet swoim, niż ustąpić komuś pierwszeństwa; jeśli tylko nie widzi w pobliżu munduru policyjnego, wepcha się na siłę, a gdy przez to spowoduje jakąś szkodę, musi wysiąść, zapisać numery aut i nazwiska świadków, co powoduje znów zwłokę dla wszystkich na jego bieżni.

Parę takich karamboli musiało wydarzyć się na wąskiej drodze Wantagh, skoro przebycie pierwszych dwóch mil zabrało im aż pół godziny.

— Wlokąc się ślimaczo tak jak dotąd; dobrniemy do Manhattanu za sześćdziesiąt godzin — przesadził mocno z irytacji. — Nawet idąc pieszo posuwalibyśmy się tu szybciej!

— Ale mniej przyjemnie — odparła Irena, wskazując moknący świat za szybami.

Chciała zapytać ekszéglarza obieżyświata o coś z dziedziny jego dawnej zawodowej erudycji, gdy wtem kichnęła raz, drugi, trzeci; przez dłuższą chwilę nie mogła opanować tej nagłej konieczności kichania raz za razem.

— Proszę z tylnego siedzenia auta wziąć moją marynarkę i otulić się nią — rzekł, uważając taką radę za pożyteczniejszą od zawołania „na zdrowie”, choćby w stu językach.

— Ach, nie śmiałabym pozbawiać pana...

— Czego pozbawiać? Przecież ja siedziałem bez marynarki dotychczas i nadal mogę obejść się bez niej — wtrącił, a widząc, że ona znów chce protestować, dodał ostrzej i nieco podniesionym głosem: — Tylko bez ceregieli i dziecinnych sprzeciwów, jeśli łaska! Zdaje się, że miałem dziś wystarczającą ilość kłopotów nie z własnej winy! I nie mam zamiaru ponosić kosztów lub innych skutków czyjegoś zapalenia płuc! Zrozumiała pani?

Jakby dotknięta tonem jego wymówki odsunęła się od niego najdalej jak mogła, a gdy zerknął przez ramię zauważył, że zanurza obie dłonie w torbie. — Czyżby chciała użyć spluwy teraz? — pomyślał. — Cóż za lekomyślność!

ROZDZIAŁ XXIV

Po chwili wyjęła z torebki chustkę, tylko chustkę do nosa. — Ach, rozumiała widocznie, że popełniłaby najgorszy błąd, wyjmując rewolwer teraz, gdy jesteśmy w środku ciżby aut i ludzi — uznał Lubor i, niczym wspaniałomyślny zwycięzca przyjmujący kapitulację pokonanego, uśmiechnął się łaskawie, kiedy Irena oświadczyła, że spełni jego życzenie. Zaraz też sięgnęła po jego dwurzędową marynarkę i owinęła się nią szczelnie, tak jak polecił.

— Teraz łyknijmy parę pastylek aspiryny — rzekł znów władczo. — Flakonik z nimi i manierkę z płynem do popicia pastylek znajdzie pani przed sobą, w skrytce na rękawice i mapy automobilowe.

Rozkazujący ton przygnębił ją wewnątrz, czasami ranil jej dumę, lecz czynił ją posłuszną po rekrucku. Półkając swoje pastylki aspiryny, popijała je tak samo długo, jak Józef czynił to przedtem, chociaż płyn znajdujący się w manierce był silniejszy niż whisky i parzył jej przelyk.

— Oh! Oh! Czy to spirytus? —jęknęła, odzyskawszy głos.

— Chrzczony wodą; czystego nie zdołałaby pani przełknąć. Ponieważ znów ugrzęźliśmy w miejscu, natrę pani tym samym płynem dłonie i stopy.

— Stopy też? Oh, to doprawdy niepotrzebne!

— Znów ceregiele? Jak ja mówię, że potrzebne, to potrzebne — nie zdołał jej jednak wprowadzić w błąd swą nagłą szorstkością głosu; im bardziej wysiłał się na rubasność, tym gorzej maskował swą pieczołowitość i obawę o jej zdrowie lub może swoje niewyżyte, niewyładowane opiekuńcze mężowskie uczucia czy też ojcowskie instynkty.

Osoba nadmiernie troskliwa może stać się nudną piłą, lecz Irena wolałaby nawet nadmiar kurateli i troskliwości niż taki jej absolutny zanik czy brak, jakim odznaczał się Maks. — Kichasz? Rozumiem, zaziębiłaś się umyślnie, by mieć pretekst do wylegiwania się w łóżku i nieróbstwa — mawiał w podobnych sytuacjach arcylen Maks Blink, sądząc innych według siebie.

Z pewnością też nie użyczyłby jej, tak jak Lubor, swojej marynarki albo płaszcza, nawet gdyby z zimna szcękała zębami; jego dawne udawane umizgi, komplementy i czułości skończyły się skoro tylko osiągnął swój cel, przyjazd z Bawarii do Ameryki... choć osiągnął go jedynie dzięki niej. Jakże inny od Maksa jest ten Polak — stwierdziła w myśli.

Kilka klaksonów zabczało chóralnie, jak bywa, gdy

niecierpliwcy chcą ponaglić do pośpiechu kolegę, który zamyslił się lub zagadał i przez to dopuścił do powstania większej luki na bieżni. Nie przerywając masowania rąk Ireny, co jego dłonie rozgrzewało także, spojrział Józef Lubor przed siebie i stwierdził, że zielony mercury, ich poprzednik w tym sznurze aut na prawej bieżni, oddalił się już o kilkadziesiąt kroków.

W tak powstałą lukę już chciał wtargnąć z lewej bieżni dwukolorowy pontiac, lecz Józef, przywykły do bezwzględności kierowców nowojorskich, poderwał swój wóz naprzód takim szczupakiem, że nie tylko nie wpuścił pontiaca przed siebie, lecz omal nie rąbnął z tyłu mercury'ego, który już znowu stanął jak setki aut przed nim.

— Czytałam kiedyś bodajże w *Reader'a Digest*, że prowadzenie samochodu zmienia charakter wielu kierowców na okres jazdy — rzekła Irena. — Flegmatyk zmienia się w demona pośpiechu zaledwie zasiądzie przy kierownicy, człek łagodny w awanturnika, a delikatny altruista w sobka, który drugiemu automobiliście nie ustąpi pierwszeństwa, choćby ów wiózł do szpitala brzemienną żonę.

— Żadnej kobiety nie ma w tym pontiacu obok nas — zachnął się łagodny polski altruista w myśl przysłowia „uderz w stół, a nożyce się odezwą”. — Zamiast krytykować nieszczęsne ofiary przeludnienia dróg Ameryki, lepiej posłuchajmy biuletynów meteorologicznych, bo może ta ulewa zaszpurowała główne drogi do Nowego Jorku...

Włączył radio, podkręcił wyżej pręt anteny i skakał z fali na falę, bojkotując zarówno koncerty jak i słuchowiska, aż złapał stację, która właśnie skończyła alarmujące jak zwykle wywody swego komentatora politycznego i podawała najświeższe komunikaty związku

klubów automobilowych, informujące o sytuacji komunikacyjnej w miejscowym labiryncie dróg, przepelnionych wehikułami jak w każdą pogodną niedzielę.

Z pierwszego biuletynu wynikało, że dość poważny wypadek wydarzył się ostatnio przy drodze nr 17. Hamulce puściły w ciężkiej asfalciarce, zaparkowanej na weekend na zboczu jednego z licznych tam pagórków, a ta, staczając się w dół, zdążyła po drodze otrzeć się o tuzin aut, tak że w paru z nich eksplodowały zbiorniki z benzyną. Trupów tylko siedem jak dotąd, ale zatarasowanie drogi spalonymi wozami spowodowało zator aut na 4 mile długi. Przywrócenie tam normalnego ruchu, będzie możliwe dopiero za 2 godziny i dlatego usilnie radzono automobilistom wracającym z Catskill unikać drogi nr 17 do godziny 10.00.

Słuchając tego, Irenie zaraz przyszło do głowy, że znany jej aż nazbyt dobrze piromaniak miałby tam nie lada rozkosz...

Tymczasem spiker już omawiał sytuację na drogach wiodących do metropolii nowojorskiej z zachodu i z południa, gdzie największy ruch panuje zwykle na podniebnym *General Pulaski Skyway*, wysokim wiadukcie, który przeskakuje dwie spławne rzeki w stanie New Jersey i kilka skupisk pięciopiętrowych domów.

Za to na wschód od Nowego Jorku sytuacja na drogach jest niedobra i staje się coraz gorsza wskutek złej pogody. Wprawdzie burza dała się we znaki na razie tylko wschodniej części Long Island, a środek długiej wyspy poczęstowała jedynie deszczem, ale miejscami gwałtowność tego deszczu przewyższyła Już maksymalne możliwości odpływowe ścieków i powstałe na autostradach kałuże rozrosły się i pogłębiły do tego

stopnia w kilku tunelowych podjazdach, że podążającym tamtędy samochodom woda zalała i zgasiła silniki; unieruchomione wehikuly zatkały arterię komunikacyjną dla tysięcy innych aut.

Silne ciężarówki Pogotowia Drogowego z dźwigami do podnoszenia zepsutych wozów i z motorami umieszczonymi wysoko już zaczęły wydobywanie zatopionych tam aut — pocieszał spiker swoich zmotoryzowanych słuchaczy w promieniu stu mil od Nowego Jorku.

— Ha, jeżeli choć tylko cztery auta ugrzęzły w wodzie pod jakimś mostem kolejowym albo wiaduktem, to nic dziwnego, że posuwamy się tak pomalutku...

— Dziwne raczej, że posuwamy się w ogóle — dodała Irena na pozór logicznie. — Jak to możliwe, jeśli nasza droga jest zakorkowana?

— Widać niezakorkowane jeszcze są jej przecznice; jeżeli każdą z nich odpływa choć co dwudzieste auto, a na pewno odpływa ich więcej przy nowojorskiej niecierpliwości, to w zwartych kolumnach powstają luki, które wozom jadącym na tyłach kolumn umożliwiają wolne posuwanie się na raty...

Następny biuletyn radiowy brzmiał niepomyślnie dla wielu tysięcy samochodów na Long Island. Poziom wody w owych sławetnych kałużach, które opóźniają ruch przy każdej większej ulewie, nie opadał. Ba, mógł się podnieść, gdyż latarnia morska w Montauk Point na wschodnim cyplu wyspy dała właśnie znać, że wiatr zmienia kierunek z północnego na zachodni.

Zatem wielkie chmury deszczowe wraz z porywistymi wichrami będą wzdłuż całej Long Island szerzyły dzieło zniszczenia rozpoczęte w powiecie Suffolk, gdzie, niestety, nie odbyło się bez strat w ludziach. Sześć osób zginęło, kiedy fale przewróciły w zatoce

Gardiners wracający do przystani kuter wędkarzy. A koło jeziora Ronkonkoma troje dzieci utopiło się w domu farmera, gdy woda zalała piwnice, w której bawiły się w chowanego i...

— W piwnicy? Laboga! — krzyknął Lubor. — Te biedactwa mogą mi potonąć w taki sam sposób!

— Kto? Gdzie? — zdumiała się Irena.

— Na mojej farmie! Ach, żebym mógł wydostać się z tej ciżby aut!

Wydostanie się z niej było jednak teraz niemożliwością. Samochody mogące z łatwością pędzić ponad 100 mil na godzinę musiały wlec się z szybkością 5 do 15 mil na godzinę i to tylko przez jakiś ułamek minuty, by potem znowu ugrzęznąć w miejscu na kilka minut, jakby dla nabrania rozpędu przed następnym przerwaniem skokiem olbrzyma, któremu związano nogi.

— Jazda tędy wygląda beznadziejnie, musimy przy pierwszej przecznicy opuścić zatkaną autostradę ijechać bocznymi drogami — oznajmił Lubor swojej towarzyszce. — Zamanewruję tak, aby doskoczyć też do swojej farmy i zabezpieczyć moje biedactwa przed utonięciem! Zabawię tam najwyżej pół godziny, przypuszczam; zaraz potem mogę wyruszyć w drogę i odwiedzić panią do domu. Jeśli jednak to pani nie odpowiada lub zależy pani bardzo na pośpiechu, to mogę panią wysadzić przy stacji kolejowej w najbliższym miasteczku i wróci pani do Nowego Jorku pociągiem... Jak pani woli?

Pociągiem byłoby szybciej, choć i tak nie zdążyłaby dotrzeć do domu przed zachodem słońca, jak solennie obiecywała Amparze, lecz czyż nie wywołałaby Wesołości swoim obecnym wyglądem, strojem zmiętoszonym i przemoczonym na wylot?

I czyż wypadało jej porzucić poczciwego, troskliwego

Polaka teraz, gdy on chciał spieszyć ratować przed utonięciem jakieś dzieci na farmie, obojętnie czy własne, czy adoptowane, czy cudze i tylko chwilowo przygarnięte? Skoro lękał się o nie, to znak, iż były mu drogie lub był za ich bezpieczeństwo moralnie odpowiedzialny; jeśli więc stało się lub stanie się, zanim on nadjedzie jakieś nieszczęście, pewną ulgę przyniesie mu towarzystwo życzliwej duszy.

Czyż jednak ta życzliwa dusza nie będzie tam narażona na donżuańską zaczepkę? Cicha woda brzegi rwie i pozory mylą, wąsaty Polak, choć przez pół dnia był irytująco niewrażliwy na jej urodę, może u siebie w domu zrzucić tę owczą skórę...

Odrzuciła jednak to podejrzenie, przypomniawszy sobie, że u niego na farmie są jakieś dzieci, z pewnością niezostawione na cały dzień bez żadnej opieki. W tych warunkach mogła chyba całkiem bezpiecznie spędzić tam pół godziny.

— Czy w pobliżu pańskiej farmy jest jakaś stacja kolejowa?

— Owszem. Parę mil stąd — odparł Lubor.

— Odjadę więc z niej koleją, by panu oszczędzić długiej jazdy autem do Nowego Jorku i z powrotem po przepelnionych drogach i w deszczu — rzekła, oczekując od niego grzecznościowych protestów i zapewnień, że odwiezie ją z przyjemnością. Lecz Polak milczał, jakby nie słyszał tych słów. — Ale zanim wsiądę do pociągu, muszę obeschnąć, osuszyć swą odzież i... zobaczyć pańską rezydencję.

Przeciętny samotnik nie umiałby ukryć swego donżuańskiego zadowolenia, gdyby kobieta urodziwa, młoda i grzechu warta, tak jak Irena, wyraziła gotowość obejrzenia jego mieszkania w okolicznościach nader sprzyjających sielance. Natomiast Józef Lubor, gorliwy czytelnik nowojorskich brukowców, od razu

przypomniał sobie kolekcję morderstw rabunkowych jakich na dobrodusznym mężczyźniach dokonały śliczne uwodzicielki.

— Ach, więc dopiero tam zamierzasz obrabować mnie i ukatrupić, a potem drapnąć moim autem i porzucić je gdziekolwiek w Nowym Jorku — zawarczał po polsku, już znowu nastrojony na nutę maksymalnej podejrzliwości. — No, na swoich śmieciach rozbroję cię najłatwiej! A potem, piękna pajęczycy, spotka cię brzydka niespodzianka, bardzo brzydka!

Przeznaczenie, snadź usposobione demokratycznie w niedzielę, nie chciało wyróżnić nikogo i przygotowało niespodzianki na ten wieczór nie tylko dla Ireny i Ampary, lecz również dla ich mężów i dla Józefa Lubora.

ROZDZIAŁ XXV

Gdy ślamazarnie dowlekli się do miejsca, gdzie dość prosta autostrada Wantagh State Parkway miała z prawej strony ukośne odgałęzienie i początek jakiejś nieznaney im bocznej drogi. Lubor skręcił tam bez wahania. Nareszcie miał przed sobą wolną przestrzeń!

— Czy do pańskiej zagrody jeszcze daleko stąd?

— Nie. Powinniśmy dotrzeć do niej za pół godziny, jeśli cały czas pojedziemy gładko tak jak tutaj, a nie jak na autostradzie Wantagh.

— Zatem rozstaniemy się już niebawem — westchnęła.

— Przedtem jednak miała pani opowiedzieć mi dzieje tego...

— Czyje? — wtrąciła popędliwie. — Czyja przeszłość interesuje pana bardziej; moja czy obrazu, który pan nabył dziś ode mnie?

— Obrazu — wypalił szczerze — no i pani też... owszem.

— Ale z pana niedźwiedź — roześmiała się ubawiona, a nieurazona jego nadmierną otwartością. Za karę będzie pan musiał wysłuchać mojej autobiografii w porządku chronologicznym, aż dotrę do momentu, gdy powzięłam zamiar uwiecznienia „Mazurki” na płótnie. Cóż pan na tę małą zwłokę?

— Strawię ją trudniej niż niedźwiedzi przydomek, bo jeszcze w szkole przezywano mnie misiem, zapewne dzięki niedźwiedziej gracji moich ruchów. Niechże zatem pani nie wyszukuje już żadnych pretekstów do zwlekania i nareszcie zaspokoi moją chyba w zupełności usprawiedliwioną ciekawość — odparł Lubor grzecznie, lecz stanowczo, zwalniając trochę biegu, gdyż dojrzał już liczne światła aut na gościńcu nr 27.

Irena zaczęła opowiadanie od dość obszernej wzmianki o swoich rodzicach. Oboje urodzili się na Półwyspie Bałkańskim, niedaleko Salonik, lecz ojciec jej, Milovan Velik, był pochodzenia słowiańskiego, matka zaś, Febe Anthropolopoulos, greckiego. Wkrótce po pierwszej wojnie światowej pobrali się i wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych gdzie najpierw pracowali na cudzy rachunek w Nowej Anglii nie wyłączając Bostonu, a później przenieśli się do Nowego Jorku. Tutaj, za oszczędności uciulane w pocie czoła, kupili sobie mały sklep. Dzięki żelaznej pracowitości ojca i kupieckiemu sprytowi matki rozwijał się on tak pomyślnie, iż zmienił się w świetnie zaopatrzony we wszelkie artykuły spożywcze duży sklep żywnościowy, zatrudniający przeszło tuzin subiektów.

Ale subiektci pracowali po 9 godzin na dobę, a rodzice Ireny dwa razy dłużej. Chociaż sklep otwarty był dla klienteli „tylko” od 8.00 rano do 10.00 wieczór, zajęcia

Velików zaczynały się o dwie godziny wcześniej, a kończyły różnymi obliczeniami koło północy. Zarażeni nowojorską gorączką złota, nieustanną, zacieklą pogonią za każdym osiągalnym dolarem i opętani burżuazyjną podejrzliwością, że każdy pracownik kradnie i próżnuje, skoro tylko pracodawca wyjdzie coś załatwić albo zjeść obiad, rodzice Ireny stali się niewolnikami własnego sklepu. Opuszczali go razem dopiero w nocy, nigdy za dnia, gdyż na zmianę trzymali dyżury, jeśli jedno z nich już nieodwołalnie musiało skoczyć do jakiegoś urzędu lub do własnych dzieci, którymi zajmowała się głównie stara służąca Dinah (czytaj Dajna), oczywiście Murzynka, jak prawie każda niańka w Stanach Zjednoczonych.

Dinah powtarzała, że z piątką młodych Velików ma mniej śniadaniowych kłopotów niż z ich rodzicami, starzejącymi się przedwcześnie dzięki przesadnej pracowitości, której motorem była chciwość. Z chciwości tkwili wciąż w sklepie, z chciwości odmawiali sobie wszelkich rozrywek, urlopów, wakacji świątecznych wypoczynków, weekendowych wycieczek za miasto, ba, nawet zalecanej im przez lekarza półgodzinnej popołudniowej drzemki, która w wilgotnym, męczącym klimacie nowojorskim jest potrzebna pracującym ludziom tak samo jak tradycyjna sjesta w krajach Ameryki Łacińskiej.

Tym lekkomyślnym trybem życia podminowali swe zdrowie tak, że mogła ich wykończyć każda z chorób łatwych do zniesienia przez normalny ludzki organizm. I tak się też stało. Pospolita grypa, którą człek przeciętny przechodzi co parę lat lub częściej i niekiedy sam sobie ją wyleczy, obdarzyła takimi komplikacjami matkę Ireny, że mimo przewiezienia jej do drogiego prywatnego szpitala i zastosowania tam jak najkosztowniejszych lekarstw wyzionęła ducha. W chwili

zgonu Febe Velikowa miała zaledwie 45 lat, a wyglądała na przeszło 60, toteż *undertaker* w swoim wspaniałym zakładzie pogrzebowym wypacykował ją i przzeroił na 35-letnią piękność.

Milovan Velik odczuł przedwczesny zgon żony tym boleśniej, że była ona mózgiem ich przedsiębiorstwa i inspiratorką spekulacji, w jakich lokowali pokaźne zyski ze sklepu. Gdy jej nagle zabrakło, stracił kompletnie orientację, które parcele i akcje okazyjnie kupione przed 1939 r, warto sprzedać już teraz lub jakie jeszcze inne towary opłaci się skupywać masowo, w ilościach przekraczających obroty we własnym sklepie. Działo się to bowiem w roku 1942, kiedy znowu kwitło wojenne paskarstwo i gromadzenie żywności w celu zyskowniejszej sprzedaży na czarnym rynku.

Nie posiadając kupieckich zdolności swej żony, próbował Milovan po śmierci Feby zastąpić jej spryt swoją pracowitością, jeszcze większą od dotychczasowej. W następstwie tej wyczerpującej i niemal szaleńczej harówki dostał wnet ataku serca. Ktoś z silnym organizmem wyszedłby z tego obronną ręką, ale Milovan Velik miał zdrowie nadszarpnięte i podminowane do maksimum, tak że już ten pierwszy atak wykończył go całkowicie.

W ostatniej godzinie życia błagał i zaklinał Irenę na wszystkie świętości, żeby jako jedyna jego córka zastąpiła zmarłą matkę 8-letniemu Cyryłowi i 10-letniemu Bazylemu, a jako najrozsądniejsza z całego rodzeństwa, żeby kontynuowała żmudne dzieło rodziców w interesach przynoszących już nader pokaźne zyski. Dwaj starsi synowie Milovana, 22-letni wówczas Ryszard i 20-letni Adrian, nie mieli żadnego zamiłowania do zawodu kupca; poza tym w każdej chwili mogli być powołani do służby wojskowej, gdyż po napadzie

japońskim na flotę amerykańską w Pearl Harbour skończyła się neutralność Stanów Zjednoczonych, a zaczęły się gorączkowe zbrojenia i przymusowe pobory rekruta.

Słowem, umierający Milovan Velik wyobrażał sobie, że Irena będzie tak samo jak on harowała w sklepie po 16 do 18 godzin na dobę z kolosalnym uszczerbkiem dla swego zdrowia. Uchronił ją przed tym Sąd Opiekunczy, wydzierzawiając za pewien procent od obrotów sklep Velików kupcowi pozbawionemu własnego lokalu przez gruntowną przeróbkę odnośnego budynku. A zawziętego konkurenta tegoż kupca zamianował Sąd nader sprytnie opiekunem małoletnich Velików.

Rywalizacja i stara wzajemna niechęć tych dwóch mandatariuszy Sądu sprawiła, że jeden wciąż patrzył na palce drugiemu, co było rękojmią zabezpieczenia dochodów sierot przed chciwością dzierżawcy, a także zabezpieczeniem ich wydatków przed nieuczciwością opiekuna. Nieruchomości zaś, udziały i akcje, jakie starzy Velikowie z zysków sklepu nabyli, konwertował Sąd na spokojną, pewną lokatę, której piątą część miał każdy z młodszych Velików otrzymać w dniu osiągnięcia przez siebie ustawowej pełnoletności.

— Sąd spadkowy uwolnił mnie zatem od ogłupiającego i nużącego wysiadywania całymi dniami w sklepie, lecz nikt na świecie nie mógł pozbawić mnie prawa opiekowania się moimi młodszymi braćmi, bardzo chorowitymi w porównaniu ze mną, niewątpliwie najzdrowszą i najwytrwalszą z całego rodzeństwa.

Posłyszawszy to ostatecznie zdanie, pomyślał sobie Józef Lubor, że bracia Ireny musieli być nieprzeciętnymi cherlakami, skoro przy nich za okaz zdrowia i tęczyzny

fizycznej uchodziła ta szczupła, prawie chuda i często po dzisiejszej przygodzie w Jones Beach kichająca kobieta. Ha, widocznie mścił się na młodych Velikach anormalny tryb życia ich chorobliwie chciwych rodziców.

— Hurra! Nareszcie widzę narożny sygnał świetlny — ucieszył się nagle i dodał gazu — nareszcie zdołamy przebić się na północ!

Znalazłszy przecnicę ze świetlnym sygnałem w miejscowości Massapeque Park, skrzył Lubor w lewo z gościńca nr 27, a trafiwszy wnet na trójzęb nieznanych mu drózek, wybrał z nich tę, która zdawała się biec najwyraźniej ku północy, ku miastu Huntington, gdzie już całą okolicę znał prawie tak jak własną kieszeń. Zgadywał też, że posuwa się mniej więcej równoległe do prostej jak strzełił linii granicznej pomiędzy powiatem Nassau, słynnym ze srogiej policji drogowej, a położonym na wschód od niego powiatem Suffolk, w którym według komunikatów radiowych dzisiejsza burza srożyła się najbardziej. Istotnie, nawet tutaj drzewa nie stały tak sztywno, jak w lasku za groblą, lecz kłaniały się gałęziami, wiatr szlochał i łkał coraz rzewniej, a ulewa gęstniała tak, że coraz krótszy zasięg widzialności mimo silnych lamp auta, zmuszał do stopniowego zmniejszania szybkości.

— Obawiam się, że nie dotrę do domu tak rychło, jak sądziłem — rzekł Lubor, ale nie doszło to do świadomości Ireny, myślą krążącej raczej nad grobami najdroższych jej ludzi, z których nie brakowało wśród żywych nikogo do 17. roku jej życia, a którzy potem zaczęli wymierać w tak bezlitośnie szybkim tempie.

Jak bowiem wynikało z dalszego ciągu jej opowiadania, oboje rodziców straciła w 1942 r., a zaraz po

Nowym Roku rozchorowała się śmiertelnie stara Dinah, zacna piastunka, niańka, później kucharka i gospodyni u Velików, uważana przez młodsze pokolenie raczej za członka rodziny niż za służącą. Czwarty zgon nastąpił już w 1944 r. gdy gdzieś nad Niemcami zestrzelony został amerykański samolot wojskowy, którego pilotem był porucznik Adrian Velik.

Najstarszy z rodzeństwa Velików, Ryszard, odbywający służbę wojskową w armii generała Pattona, tak się przejął czy przeraził nagłą śmiercią brata Adriana, z którym widział się niemal w przeddzień fatalnego lotu, że odtąd aż do końca wojny w każdym liście do siostry posyłał jej swoje „ostatnie pozdrowienie przed zgonem” lub nowe wersje swego testamentu i łaskawe obietnice czuwania nad nią z za grobu.

Taką przygnębiającą atmosferę miała Irena w domu akurat wówczas, kiedy jej dawne koleżanki szkolne i inne rówieśnice w Ameryce bawiły się najweselej! Uchodziło bowiem wtedy za patriotyczny obowiązek młodej kobiety, zwłaszcza bezdzietnej i niezamężnej, podnosić samopoczucie walczących żołnierzy, żeglarzy i lotników zarówno amerykańskich, jak i sojusznicznych. Dziewczęta solidnie czyniły to przez posyłanie im paczek i pogodnych listów.

Gold-diggers, poławiaczki złota, galopem poślubiły pierwszego z brzegu wojaka, jaki się im nawinął, aby dostawać należną żonie część pokaźnego żołdu i, gdyby mąż poległ — przymusowe ubezpieczenie na życie żołnierza w kwocie 10.000 dol. Niektóre zdążyły tak zyskownie owdowieć po parę razy, a jedna szczególnie przedsiębiorcza dziewczęta, nie owdowiawszy ani razu, poślubiła aż 9 wojskowych! Oczywiście każdego w innym mieście i pod innym panieńskim nazwiskiem, po czym w 9 różnych miejscach odbierała czeki rządowe

dla żon 9 wojaków. I właśnie zaręczyła się z 10, bawiącym na urlopie, gdy los spletał jej figła. Dwóch spośród jej zeszlórocznych mężów, zamiast polec na polu chwwały i dać jej zarobić 2 razy po 10.000 dol. zaprzyjaźniło się na froncie tak, iż pokazali sobie wzajem pikantne fotografie swoich małżonek, będących niewątpliwie tą samą osobą. Ta pierwsza wsypa spowodowała lawinę innych wsep i rekordzistce poligamii wojennej zepsuła 10, ceremonię ślubną.

Najczęstszym jednak pośród ofiarnych dźwigaczek samopoczucia armii był typ niezmordowanej tancerki i flirciarki, której głównie zależało na gratisowej wesołej zabawie z tymi, którzy przyjeżdżali na urlop. Wytańczywszy się przez lata wojny z urlopnikami, trzpiotka osobno oblewała zwycięstwo nad Mussolinim, osobno nad Hitlerem, osobno nad japońskim „synem nieba”, którego raczej innym synem przezywano od napadu na Pearl Harbor, po czym musiała też oblać powrót zza mórza do ojczyzny tego czy innego pułku. Na samych tylko tańcówkach z lat 1942 do 1947 taka pracowita osoba zdarła więcej pończoch i pantofelków niż mogła ich zużyć przez resztę życia. Cóż dopiero mówić o ilości całusów, schadzek, nocy szału, dni trwogi i różnych zabiegów, pomimo których naturalny przyrost ludności wyrównał z tysięczną nadwyżką straty Ameryki w poległych na polach bitew.

A podczas gdy miliony ładnych i brzydkich dziewcząt, mężatek, rozwódek i wdów bawiły się wesoło, piękna Irena Velik z jednej żałoby przechodziła w drugą. Po pierwszych czterech zgonach w rodzinie, posępne listy Ryszarda nie były jej jedyną udręką. Gorsze i częstsze zmartwienia miała z winy najmłodszych braci, których koledzy szkolni demoralizowali i usiłowali

wciągnąć do swoich szajek, wchodzących w konflikt z ustawami.

Bazyli i Cyryl Velikowie, nie mając wszczepionych w dzieciństwie przez matkę zasad moralności i nie odczuwszy nigdy karzącej ręki ojcowskiej, bagatelizowali sobie kazania siostry jeszcze bardziej niż jej łzy i zaklęcia. Uległszy złemu wpływowi kolegów, byłiby niewątpliwie wylądowali kiedyś w więzieniu, gdyby nie to, że przedtem padli ofiarą własnej lekkomyślności. Mały Cyrylek, przepadając za bronią palną, zapoznał się z wszelkimi odmianami rewolwerów i pistoletów przed 12, rokiem życia, a potem kupił sobie z nielegalnego arsenału tzw. pamiętek wojennych ręczny granat. Gdy przy nim manipulował w mieszkaniu, nastąpiła eksplozja, która chłopca rozerwała na strzępy, a paroma odłamkami skaleczyła w plecy Irenę, zajętą jakąś robotą w ostatnim pokoju amfilady ich dużego mieszkania.

To nieszczęście wydarzyło się na wiosnę 1946, a jesienią tego samego roku Bazyli został szalonym entuzjastą hazardowej gry młodzieży w *chicken*. Słowo to oznacza niby tylko kure, ale w gwarze również podlotka albo chłopaka tak słabego i bojaźliwego jak kurczątko. Gra polega na tym, że jej uczestnicy wyjeżdżają autami za miasto na jakąś boczną, mało uczęszczaną a prostą drogę, tam dwa auta ustawiają się na przeciw siebie w odległości kilku mil i na dany znak zaczynają pędzić po tej samej bieżni, tak jak gdyby ich kierowcy dążyli do zderzenia. W obu autach siedzi tyłu smarkaczy, ile się ich zmieści, a ten, któremu nerwy odmówią posłuszeństwa i pierwszy krzyknie z przestachu lub złapie kierownicę, by skręcić wóz i uniknąć zderzenia, otrzymuje przydomek *chicken* i funduje kolegom piwo albo lody.

Pewnego razu w samochodzie nielegalnie posiadanym

przez 15-letniego Bazylego Velika oraz w aucie jego rywala nie było ani jednego „kurczaka”, tylko sami „bohaterzy”; nie skręcili w bok, wjechali na siebie, po czym ambulans zawiózł do szpitala sześciu, a do kostnicy czterech, w tej liczbie i brata Ireny.

— Zatem z całego licznego rodzeństwa pozostał pani tylko jeden brat, ten najstarszy — zreasumował Józef Lubor.

Współczuł jej, jak zresztą współczułby każdemu, kto za swoich najlepszych wiośnianych lat straciłby w tak krótkim okresie i rodziców, i trzech braci, i przywiązaną piastunkę. Równocześnie jednak głowił się nad tym, po co ona opowiada mu te przeżycia osobiste, niemające chyba nic wspólnego z tajemniczą zagładą nadbałtyckiej „Mazurki” i zniknięciem jej mieszkańców. Irena zaś, jak gdyby intuicją odgadła jego obecny tok myśli, przerwała na chwilę swe zwierzenia.

— Przedstawiłam panu dzieje mej pechowej rodziny dlatego, żeby pan nie gorszył się późniejszym postępowaniem mego brata Ryszarda. I nie dziwił się mojej decyzji, dzięki której... przybył do Nowego Jorku jedyny świadek pożaru pańskiego rodzinnego domu w Polsce.

ROZDZIAŁ XXVI

Rzęsiście pocące się chmury deszczowe starły z nieba ostatnie odbłaski dogasającego dnia. I nie dopuściły do konkurencyjnej iluminacji księżycy i gwiazd, ażeby uzyskać efektowniejsze tło dla reklamowania własnych produktów, błyskawic i gromów, przy czym główny transport tych błyskotliwych fajerwerków podniebnych jeszcze nie dotarł do Long Island.

Trudno wyjaśnić, co w ową ostatnią niedzielę czerwca

opóźniło gościnne występy piorunów, chociaż deszcze i wichry już od godziny grały zwykłą uwerturę burzy. Ponieważ nie błyskało się jeszcze, a latarni ulicznych ani neonów reklamowych ta boczna droga, wijąca się przeważnie wśród liściastych lasków i zagajników, nie miała ani na lekarstwo, ciemno było na niej niczym w tunelu.

Główne światła samochodów i ich żółte reflektorki przeciw mgłom dziurawią dość głęboko mroki bezgwiazdnej nocy, o ile pogoda jest dobra, lecz kiedy chrysler Lubora docierał do Bethpage Park, gęstniejący deszcz był już namiastką tropikalnej ulewy.

Irena z trudem odpędzała złudzenie, że przed nimi, pomiędzy dwoma czarnymi ścianami lasu, wyrosła niebywale gruba kurtyna wodna, którą chłodnica auta pruje i pruje, lecz ani rusz nie może przebić na wylot. Przewiercały ją łatwiej reflektorki i główne lampy aut, lecz każde z tych światel rozmazywało się w deszczu, mętniało i na obwodzie topniało jak kulka masła rzucona na ciepłą patelnię. A same lampy, przy dobrej pogodzie oślepiające kierowców jadących z przeciwka tak, że niektórzy woleli jechać nocą w zielonych okularach, teraz wyglądały jak słabe żarówki 25-watowe, którymi tylko najbardziej skąpi kamienicznicy oświetlają swe klatki schodowe; co prawda, oświetlają je bez przerwy od zmroku aż do białego ranka, by jakiś chytry lokator nie miał pretekstu do zyskownego połamania sobie nóg i rąk w ciemnościach, czyli do skarżenia gospodarza o bajońskie sumy tytułem odszkodowania.

Para takich rozmazanych światełek wyłoniła się właśnie spoza łagodnego zakrętu i wlokła się po mokrej drodze przez chwilę, po czym znieruchomiała tak, jak gdyby tamten kierowca nagle zatrzymał swój wehikuł.

— Dlaczego stanął? — mruknął Lubor, zawsze skory do podejrzeń.

— Może nareszcie zrozumiał, że bezpieczniej jest przeczekać w miejscu największe nasilenie ulewy niż ryzykować mimowolne zsunięcie się z asfaltu w lepka glinę — odparła Irena dydaktycznie, lecz bez skutku.

Boczne i mniej ważne drogi w Ameryce mają wyasfaltowany jedynie środkowy pas jezdni, mogący pomieścić tylko dwa auta obok siebie, natomiast nawet niepokryte szutrem marginesy jezdni bywają rzeczywiście zdradliwie miękkie przy silnym deszczu; można wówczas ugrząźć na nich niemal po osie, jak na dawnej polskiej drodze w porze wiosennych roztopów.

— Bezpieczniej stać i czekać, powiada pani? Ha, może i bezpieczniej. Ale ja nie dbam o swoje bezpieczeństwo i wygodę, kiedy spieszę komuś na ratunek — odburknął wąsal i jechał dalej, gderając pod nosem dla odmiany po polsku. — Potoną mi biedactwa przy takim oberwaniu chmury. Jeśli nie zabezpieczyłem tego okienka z tyłu, to potoną murowanie! Może już utonęły?

— Przepraszam, nie dosłyszałam. Co pan mówił ostatnio?

— Że... tego... że wyjdzie nam na zdrowie jeszcze parę łyków wody ognistej z manierki. Uskuteczniejszy to, niech pani łaskawie kontynuuje swoją opowieść, dobrze?

— Dobrze, ale prowadzenie wozu teraz jest trudniejsze niż przedtem. Może więc będzie to panu przeszkadzało i...

— Wręcz przeciwnie! — wtrącił. — Pani monoton... chciałem rzec — łagodny głos i kulturalny sposób opowiadania działają na mnie bardzo uspokajająco.

— Oh, dziękuję za nowy komplement. Ktoś inny szydzi z mego nudnego i usypiającego głosu, a pan go pochwalił. Wracam więc z zapalem do przerwanej autobiografii...

Z dalszego ciągu opowiadania Ireny wynikało, że najstarszy z jej rodzeństwa, Ryszard Velik, nie zdołał przybyć ani na pogrzeb Cyryła, ani Bazylego. Dopiero w 1947 uzyskał dłuższy urlop i przyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie jednak, ku zdumieniu siostry, wcale nie czuł się uszczęśliwiony i zachwycony tak jak wojskowi wracający z krain tropikalnych albo podbiegunowych, gdzie prymitywne życie zaostrzało tęsknotę za atrakcjami cywilizacji. Ryszarda, którego upodobania i charakter wojna zmieniła, drażniło w ojczyźnie na przykład to, że ani językiem, strojem, pozycją społeczną, mieszkaniem, autem, ani zawartością portfela czy papierošnicy nie odróżniał się od innych ludzi i znikał w ich tłumie, jakby zlewał się z otaczającym go tłem.

Przebywając od roku 1942 poza Stanami Zjednoczonymi, zasmakował w uprzywilejowanym stanowisku, jakie wówczas, podczas wojny, stwarzał dlań za granicą mundur oficera amerykańskiego i nadmiar amerykańskich dolarów w kieszeni. Już sama gaża przynosiła mu więcej niż wydawał w krajach sojusznicznych. A przecież tę gażę przewyższały dochody jego majątku osobistego, odziedziczonego po rodzicach, i części spadku po zmarłych trzech braciach; Irena i Ryszard byli faktycznie jedynymi spadkobiercami całej fortuny po Milanowie i Febe Velikach.

Spośród wszystkich miast i portów w Stanach Zjednoczonych z pewnością Nowy Jork był tym, którego mieszkańcy oglądali najwięcej mundurów amerykańskich. Tędy bowiem odpływali lub odlatywali prawie wszyscy wojskowi wysyłani do Europy i Afryki; tędy

wracali ranni, urlopowani i demobilizowani. I tutaj również chętnie spędzali część swoich urlopów, bo mimo konkurencyjnych wysiłków ze strony Los Angeles i Chicago, nowojorski Broadway z przyległościami jest nadal stolicą rozrywek Ameryki Północnej.

Z początkiem 1947 r, jeszcze roilo się od oficerów, podoficerów i żołnierzy w Nowym Jorku, lecz wśród chłopów na schwał albo śmiałków obsypanych najcenniejszymi orderami, chuderlawy, nieodznaczony żadnym medalem za waleczność kapitan-audytorski Velik „ginał” kompletnie, jak żalił się siostrze. I zapewniał ją, że całkiem inaczej czuje się w Niemczech, gdzie odwieczny kult munduru wojskowego kwitnie nadal i gdzie oficer armii zwycięskiej, chociażby obcej i w duchu znienawidzonej, jest niemal półbogiem.

Zresztą, nie tylko oficer. Także cudzoziemiec cywil, gdy mówił po angielsku i szastał dolarami albo miał na sprzedaż jakieś towary amerykańskie, automatycznie górował nad tubylcami w krajach Europy zachodniej. Francuzi, Belgowie, Holendrzy, a zwłaszcza Niemcy nadskakiwali mu tak, jak gdyby był legendarnym nadczłowiekiem. Wśród różnych luksusów i zbytków mógł on sobie pozwolić na trzymanie dość licznej służby domowej, w Europie wielokrotnie tańszej niż w Nowym Jorku, gdzie przeciętna kucharka żąda, prócz utrzymania i ładnego pokoju z własną łazienką, około 200 dol. miesięcznie za 5 dni pracy na tydzień! Skutkiem tego około 95 proc, nowojorczyków obchodzi się bez wynajmowania kucharek, a ponad 60 procent także bez sporadycznych wizyt dochodzącej posługaczki robiącej porządki głównie w biurach.

Ryszard twierdził, że dopiero w krajach pokonanych wrogów: w Japonii, we Włoszech i w Niemczech, przysługująca jemu i innym okupantom możliwość

dominowania, rozkazywania, wymuszania posłuszeństwa, imponowania i górowania nad tubylcami, zarówno pozycją zwycięzcy jak i swą zamożnością, dała mu poznać pierwszy raz „prawdziwą rozkosz życia władców i przyjemność panowania nad innymi”.

Wierzył też, iż ten stan rzeczy mógłby przedłużyć sobie na wiele lat. Mówił, że chociaż wojna skończyła się w 1945 r., okupacja Niemiec trwa nadal i trwać powinna dopóty, dopóki okupanci nie zdołają całkowicie wyplenić z natury niemieckiej tych skłonności, które wywołały dwie wojny światowe. Wprawdzie służba wojskowa oficera amerykańskiego dla *Military Government of Germany* z reguły miała trwać tylko dwa lata, lecz po jej ukończeniu mógł on na własną prośbę być zatrudniony tam nadal jako amerykański urzędnik cywilny na przykład w C.I.C., komisji badającej przestępstwa specjalnie szkodliwe dla okupacji.

Krótko mówiąc, Ryszard pragnął powrócić do Europy i zabrać z sobą siostrę. Bo i cóż miała tkwić sama tutaj, gdzie wszystko przypominało jej przedwczesną śmierć rodziców i tragiczne zgony lekkomyślnych młodszych braci? Po tylu tragediach i smutkach należało się jej trochę godziwej radości, nie w formie kolidujących z jej świeżą żalobą pustych zabaw, ale w postaci kształcącej podróży i pełnej nowych wrażeń turystyki w krajach małych w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi, ale których przebogate dzieje rozpoczęły się o tysiąc lat wcześniej niż historia jej ojczyzny.

Propozycja brata wprawiła w zachwyt Irenę, która dotychczas ograniczała się do krótkich wycieczek autem dokoła Nowego Jorku i marzyła o dalszych eskapadach, tak jak większość jej rówieśnic. Marzyła o

poślubieniu milionera albo reżysera filmowego. Jedyne jej sprzeciwy, zresztą krótkotrwałe, wywołała następna sugestia Ryszarda, żeby zlikwidować obszerne i przeładowane meblami mieszkanie po rodzicach. Załatwiwszy to szybko i zyskownie, gdyż głód mieszkań po drugiej wojnie światowej był wielki, Irena i Ryszard odplynęli do Francji.

Tam najbardziej oczarował ją Paryż, ona zaś — bez specjalnych ze swej strony wysiłków w tym kierunku — oczarowała pół tuzina mężczyzn, z którymi osobiście zetknęli się nad Sekwaną i tyłuż platonicznych wielbicieli zyskała sobie na Lazurowym Wybrzeżu, choć zwiedzali je od Marsylii po włoską Riwierę i Genuę tylko przez trzy tygodnie.

Na większą skalę powtórzyło się to zjawisko w Monachium, gdzie znajdowało się biuro, w którym Ryszard urzędował; tam bowiem miał on najwięcej znajomych, kolegów, podwładnych i zwierzchników, oczywiście Amerykanów. Bawarska Fräulein była im wygodna do dyskretnego romansu, lecz do celów reprezentacyjnych i matrymonialnych woleli rodaczkę, z czego skorzystało wiele starych panien.

Nawet nieurodziwa i leciwa Amerykanka miała znacznie więcej szans poza ojczyzną niż w ojczyźnie. Cóż zatem dziwnego, że z miejsca podbiła wszystkie serca męskie śliczna Irena Velik, wówczas 23-letnia dziewczyna, która tak niedawno temu wyjechała ze Stanów Zjednoczonych i tak ciekawie umiała opowiadać o najnowszych hollywoodzkich przygodach, modach i rozwodach, o sensacjach sportowych na Broadwayu oraz o wielu innych nowościach w dalekiej ojczyźnie.

Kolosalne powodzenie, jakie miała Irena wśród mężczyzn w Paryżu, na Riwierze, a zwłaszcza w Bawarii, irytowało niebywale Ryszarda. Wiedział bowiem, że

nie ma ludzi bardziej skorych do żeniaczki i rozwodu niż Amerykanie; nieraz pierwsza sielanka, pierwszy bal, pierwsze dość romantyczne spotkanie wystarczy, aby krewki młodzian oświadczył się pannie dopiero co poznanej i został przyjęty lub nawet aby namówił ją na wspólną ucieczkę i ślub z dala od sprzeciwiającej się rodziny.

Zamążpójście Ireny pokrzyżowałoby egoistyczne plany jej brata, dlatego Ryszard nie cofał się przed żadnymi intrygami i oszczerstwami, byle nie dopuścić do jej zaangażowania się uczuciowego, z którego mogłaby wykluć się miłość, zaręczyny i ślub. Żeby ją odstraszyć od wielbicieli, których zalety w rozmowie z nim pochwaliła, przypisywał im różne zmyślane okropności, zaczynając skromnie od rozpusty, sadyzmu, pijaństwa, szulerki i porzucania kochanek z nieślubnymi dziećmi itp. Natomiast adoratorów Ireny zniechęcał również poufnymi zwierzeniami, że jego ukochana siostra ma gorączkę reumatyczną, wadę serca albo słabo podleczonego paraliż dziecięcy, raka krtani lub otwartą gruźlicę...

— I pani to tolerowała? — wybuchnął Lubor, który snadź zdołał pogodzić jazdę podczas burzy z uważnym słuchaniem jej zwierzeń.

Ja wówczas jeszcze nic nie wiedziałam, co brat miał za moimi plecami. Zauważyłam wprawdzie, że jedni rodacy poznani w Europie zaczęli ode mnie stonąć, drudzy spoglądać na mnie współczująco czy podejrzliwie, ale ponieważ nie byłam zakochana w żadnym z nich, łatwo to przebolełam. Dopiero później, znacznie później znalazłam kopię podania, w którym brat prosił przełożonych o przeniesienie go z Monachium do jakiegokolwiek miejscowości na pograniczu Austrii lub Szwajcarii, motywując swą prośbę tym, że wysokogórski klimat byłby wskazany dla poratowania

zdrowia „ciężko chorej siostry”, będącej już jedynym pozostałym przy życiu członkiem jego pechowej rodziny.

Na tym koniku, że oni oboje byli ostatnimi z rodu Velików, Ryszard jeździł często w rozmowach z Ireną. Raz po raz przypominał jej okoliczności, w jakich tak szybko stracili rodziców i trzech braci, raz po raz podkreślał, że ona nie ma na świecie nikogo bliskiego poza nim, powinna więc poświęcać mu więcej czasu niż wszelkim innym zajęciom czy rozrywkom. Powinna pieczołowicie pielęgnować brata i nie myśleć o zakładaniu własnej rodziny dopóty, dopóki on nie umrze albo nie porzuci stanu kawalerskiego.

Nie zanosilo się, niestety, na żeniączkę u Ryszarda. Hipochondria rozwijająca się w nim gwałtownie od śmierci braci i uraza do kobiet z powodu jakiegoś zawodu miłosnego doznanego jeszcze w szkole średniej predestynowały go na starego kawalera. Żeby nie być posądzonym o fizyczny wstręt do płci żeńskiej, Ryszard sporadycznie brał udział w urządzanych przez kolegów nocnych wycieczkach do przybytków zatrudniających niemieckie wesołe wdowy, które uchodziły za lepszą kategorię kokot. Lecz w swoim domu chciał mieć święty spokój, a twierdził, że nawet tuzin papug i pawianów nie zakłóca mężczyźnie spokoju tak gruntownie i systematycznie, jak jedna kobieta, zwłaszcza żona.

— Jeżeli możesz gładko ścierpieć w domu mnie, siostrę, to tym bardziej zniesiesz przy sobie stałą obecność żony, szczególnie jeżeli ożenisz się bez żadnego wyrachowania, a li tylko z miłości — perswadowałam mu nieraz, ale Ryś zbywał mnie starokawalerskimi dowcipami o rzekomej niewierności wszystkich żon w dzisiejszych czasach.

Tu Irena urozmaiciła swą opowieść ciężkim westchnieniem i komentarzem: — Z tym ostatnim Ryś miał rację niestety; więzy małżeńskie mogą stać się kajdanami cięższymi od tych, jakie niewolnicy i galernicy kiedykolwiek dźwigali!

— Aż tak ci dogryzło małżeństwo, czy może chciała-byś mnie ubrać w rolę pocieszyciela tak zwanej zanie-dbywanej małżonki? — mruczał Lubor pod wąsem i, nie czekając jej ponownego „przepraszam, niedosłysza-łam, co pan mówił”, dokonał na poczekaniu bardzo luźnego przekładu swej polskiej dedukcji na język angielski.

— Wnioskuje z pani słów, że kapitan Ryszard Velik był nieco uprzedzony do instytucji małżeńskiej i wołał pozostać kawalerem. Czy także pozostał w Monachium, czy może jego prośbę o przeniesienie stamtąd uwzględniono?

— Oczywiście, że ją uwzględniono, i to skwapliwie! Ci spośród jego kolegów, którzy z powodu specjalnych poruczeń lub przydziału do posterunków pogranicznych musieli mieszkać w małych miasteczkach lub na zapadłej prowincji, marzyli od dawna o tym, ażeby ich nareszcie zluzowano i przeniesiono do większego miasta, zwłaszcza do wesołej stolicy Bawarii. Natomiast tam niezmiernie rzadko trafiał się taki mizantrop czy dziwak jak Ryszard Velik, pragnący uciec na głuchą prowincję z wielkomięjskiego Monachium, którego ludność wraz z uchodźcami i okupantami grubo przekroczyła milion głów, a proporcjonalna do tego liczba lokali rozrywkowych stale wzrastała.

Bardzo rychło więc po wniesieniu podania o przeniesienie dano Ryszardowi przydział do miasteczka, mającego wprawdzie prześliczną nazwę Rosenheim, ale liczącego tylko 18000 mieszkańców, na dobitkę nudnych i obłudnych! Większość z nich jawnie zajmowała się

handlem drewnem, wyrobem zapalek, artykułów metalowych, drzewnych i... solnych, bo słone źródła też są w okolicy, lecz trudna liczba do określenia *Rosenheimerów* tajnie trudniła się przemytem, handlem łańcuszkowym i ukrywaniem poszukiwanych przez władze okupacyjne zbrodniarzy wojennych, którzy wówczas jeszcze bali się mieszkać w takich oficjalnych i kontrolowanych skupiskach „uczciwych” hitlerowców, jak Bad Aibling i dalej na zachód Bad Tölz.

Rosenheim, gdzie krzyżują się i linie kolejowe i drogi, gdzie nawet dolina rzeki Inn prowadzi nieomylnie do granicy odległej tylko o kilkanaście kilometrów, było wymarzoną bazą operacyjną dla przestępców politycznych, dezertów i szmuglerów. Ryszard Velik, służbista i ambitny karierowicz, pragnący osiągnąć rangę pułkownika zanim go zdemobilizują, znalazł sobie szerokie pole do popisu w tej okolicy. Co prawda, nawet podpułkownikiem nigdy nie został, nie zdążył nim zostać dzięki fatalnemu wypadkowi, ale dla zbrodniarzy wojennych i innych przestępców przekraczających nielegalnie granicę stał się postrachem na szerokim odcinku od Salzburga i Berchtesgaden po Garmisch Partenkirchen, a może aż po Jezioro Bodeńskie.

Nie mógł oczywiście dwoić się, troić i brać osobistego udziału we wszystkich obławach, rewizjach, zasadzkach i aresztowaniach, jakie uplanował. Natomiast posuwał swą akuratność do tego, że polecał podwładnym, aby wszelkie legitymacje, dokumenty i inne papiery, wszelkie mapki, szkice i fotografie znalezione u osobników podejrzanych zwozili do jego biura w celu szczegółowej inspekcji pod jego nadzorem.

— Nie mając prawie nic do roboty w mieszkaniu,

gdyż bratu wypadło zatrudnić niemiecką służbę domową, pomagałam mu w biurze. Zwłaszcza w pierwszych miesiącach, kiedy czekałam na dostarczenie mi samochodu, jaki zamówiłam wprost z fabryki w Detroit. I pewnego razu, po większej obławie na spiskujących neonazistów i rewizji przeprowadzonej w ich mieszkaniach, zastałam w pracowni Rysia między innymi zakwestionowanymi materiałami dużą kolekcję fotografii, wyglądających jak pamiątki korespondenta wojennego z podróży po frontach bojowych w Polsce, Francji, Trypolisie, Tunisie i w Rosji.

— Czy pani mówi teraz o tej kolekcji fotografii, wśród której znajdowały się także zdjęcia mojej „Mazurki” i jej pożaru?

— Tak jest, panie Lubor. O tej kolekcji mówię i zapewniam pana, że nawet taki skrupulant jak mój brat Ryś nie mógł znaleźć w niej żadnej podstawy prawnej do skonfiskowania tych fotografii. Ich twórcą i właścicielem był... eksoficer niemiecki, który...

— Przepraszam, że przerywam. Jak brzmiało jego imię i nazwisko?

— Blink. Maksymilian Wilhelm Blink.

— Ach, Blink? — krzyknął Polak.

— Czy pan... czy panu to nazwisko jest znajome?

— Tak, tylko nie mogę przypomnieć sobie na poczekaniu, gdzie i kiedy je słyszałem. Ale słyszałem na pewno!... I chyba niedawno!

Józef Lubor miał rację; rzeczywiście bardzo niedawno temu zawarł znajomość z Ramonem Perezem, malarzem urodzonym na wyspie Puerto Rico, i właśnie Ramon, niski, drobny, chuderlawy jak większość Portorykan, opowiedział mu o niezwykłym zamachu morderczym, którego omal nie padł ofiarą. Niedoszłym zabójcą był silny dryblas nazwiskiem Maks Blink. Teraz zaś z opowiadania Ireny wynikało, że tak nazywał

się również ów eksoficer nazistowski, u którego znaleziono fotografię płonącej „Mazurki”, drewnianej willi, w której mieszkały zaginiona żona Lubora, jego matka i inni krewni, po których wszelki ślad zginął.

ROZDZIAŁ XXVII

Ulewa znowu przejściowo zmaląła, umiarkowany deszcz padał monotonnie, za to wiatr zmieniał swój muzyczny repertuar raz po raz, a już najekliwsze melodie wygrywał na drutach telefonicznych.

Wśród odgłosów wiatru zmieniało się nasilenie ciemności podczas tej wieczornej jazdy Ireny i Józefa. Jaśniejsze tło nocy mieli wówczas, gdy przeskakiwali mostem arterię komunikacyjną, biegnącą jak równoleżniki globu ziemskiego i teraz upstrzoną światłami samochodów posuwających się w stronę dalekiego Nowego Jorku z rekordową powolnością. Ilekroć mijali jakąś osadę, zaraz za jej ostatnią latarnią mroki siłą kontrastu stawały się pozornie gęstsze i czarniejsze niż przedtem.

Wędrownie światła innych aut, rzadko zabłąkanych na tej podrzędnej bocznej drodze, wyłaniały się zwykle z przodu, hen przed chłodnicą ociekającego deszczówką chryslera, aż raz pojawiły się za nim. Na ciemnym tle umieszczonego nad frontową szybą lusterka zaczęły tańczyć dwie jasne plamki.

— Wóz człapie za nami... Nie, on nie człapie, on gna jakby jezdnią była sucha — poprawił się wąsal po kilku zerknięciach na lusterko. — Dam mu się wyprzedzić, a potem pojadę za nim dokładnie z tą samą szybkością co on. Bardzo lubię mieć przed sobą takiego quasi-pilota, ilekroć jadę w nocy.

— Woli pan, by ktoś inny wytrzeszczał oczy za pana

przed zakrętami, prawda? — roześmiała się Irena.

— Czynię to także w nadziei, że moja skromność będzie raz nagrodzona. Czyli że automobilista, któremu ustąpiłem pierwszeństwa, pierwszy grzmotnie w wyrwcone drzewo, w zerwane druty wysokiego napięcia lub w jeszcze inną przeszkodę, jaka może wyskoczyć z mroków nocy. Zwłaszcza przy takiej szkwałowej pogodzie jak teraz. A gdy on w coś rąbnie, ja chyba zdążę zahamować...

Żartując tak, nie przypuszczał, iż burza już rzeczywiście zastawiła pospolitą pułapkę na nieostrożnych kierowców także i na tej drodze.

— Dopędza nas — poznała Irena bez odwracania głowy.

Dopędzająca ich limuzyna skąpała w świetle swoich nowiutkich lamp starego, czarnego chryslera, a mianąwszy go dostała się nawzajem pod prysznic jego żółtawo-kremowych świateł i wówczas ujrzeli jej czerwony kolor.

Chcąc z niej mieć pożytek, jak z pilota czy ze straży przedniej, nie mógł Lubor stracić jej z oczu i musiał utrzymywać mniej więcej jednakowy dystans pomiędzy obydwoma samochodami.

Zmuszało go to jednak do jazdy szybszej niż dotychczas, może trochę za szybkiej, jak na obecne mokre warunki. Z każdej kałuży, jaką pierwsze, a po chwili drugie auto najeżdżało w pędzie, wytryskały istne gejzery brudnawej wody, opadającej częściowo na maski, szyby i dachy obu limuzyn. Wywoływało to efekty akustycznie nieprzyjemne dla uszu Ireny, lecz niewywierające najmniejszego wrażenia na Luborze, któremu dawniej, za jego żeglarskich lat, zimowe sztormy i jesienne huragany zrzucały całe lawiny wody na pokład statku, ba, na wątpliwie mocne pokrywy luków, pięte

Achillesa przeciętnego frachtowca.

— No, teraz nareszcie jedziemy sobie wygodnie i bezpiecznie — orzekł, wpatrzony w szkarłatne światła auta, któremu pozwolił się wyprzedzić. — Niechże więc pani kontynuuje swój życiorys...

— A na czym go przerwałam? Na jakim epizodzie?

— Zgaduję, że pani idzie nie tyle o dopomożenie swojej pamięci, ile o sprawdzenie, czy miała pani we mnie uważnego słuchacza — rzekł Lubor i wybuchnął nienaturalnie rubasznym śmiechem, aby zatrzeć wrażenie nowego wysoku swej podejrzliwości, którą mu już tyle razy w życiu zganiono, że niekiedy sam ją wyśmiewał. — Przerwała pani swą opowieść na tym, że eksnazista, u którego podkomendni brata pani znaleźli dużą kolekcję fotografii wojennych, a pośród nich także zdjęcie mojej „Mazurki”, nazywał się Maksymilian Wilhelm Blink.

— Bravo! Zapamiętał pan nawet jego imiona — pochwaliła. — Dla tak wzorowego audytorium prelegentka wysili się na pogrzebanie nawet we wspomnieniach najbardziej dla niej przykrych i... ambarasujących.

— Ryszard polecił wtedy zawiadomić fotografa Blinka, że w każdej chwili może on sobie odebrać kolekcję swoich wojennych pamiątek, ale złożyło się tak, że bawił służbowo w Monachium, kiedy Niemiec zgłosił się do jego biura. Którykolwiek z podwładnych Ryszarda mógł załatwić tę drobną sprawę, gdyby owe fotografie znajdowały się nadal w biurze, lecz szukano ich daremnie. Wreszcie ktoś przypomniał sobie, że zabrała je do mieszkania siostra szefa, wobec czego poradzono Niemcowi zgłosić się ponownie za kilka dni.

Blink jednak postąpił inaczej, skwapliwie wykorzystując pomyślny dlań zbieg okoliczności, a znał już język angielski na tyle, by zrozumieć, co podwładni Ryszarda między sobą mówili o „zaginionych” fotografiach. Bezwzględnie też pospieszył na rowerze do zamiejskiej willi, zarekwirowanej na mieszkanie dla nas, tam zaś niemiecka służba domowa sympatyzująca z każdym tubylcem, a cóż dopiero z takim miejscowym „bohaterem” i donżuanem jak Blink, wyjednała mu „audiencję” natychmiastową i życzliwą, jak gdyby z wizytą przybył oficer mocarstwa sprzymierzonego, a nie wczorajszy wróg! Ba, nazista!

A jeśli nazista, to i wielokrotny przestępca, bowiem tyłu milionów morderstw, zgwałceń, podpaleń, rabunków, aktów wandalizmu, oszustw i kradzieży wszystkiego, od dzieł sztuki do protez skonfiskowanych kalekom, nie mógł dokonać sam Hitler! Na Hitlera zaś usiłują zwalić całą winę za barbarzyńskie metody i skutki drugiej rzezi światowej germanofile i sympatycy nazizmu, szczególnie liczni w obu Amerykach. Tu już od dawna nikt nie wspomina choćby tylko tych 12 wielkich procesów o niemieckie zbrodnie wojenne, jakie odbywały się w Norymberdze w latach 1946–1948. Skoro zaś nikt nie raczy pamiętać procesów wytoczonych niektórym Niemcom przez Amerykanów, to tym mniej chce wiedzieć o antynazistowskich procesach przeprowadzonych przez trybunały innych narodów, choćby przedmiotem procesu było wymordowanie przeszło czterech milionów niewinnych ludzi w Oświęcimiu, w jednym spośród blisko dwustu niemieckich obozów koncentracyjnych!

— No, no — zdziwił się Lubor — pani jest pierwszą w Ameryce osobą, w której odkrywam tyle odwagi cywilnej i słusznej opinii o nazistach.

— Tę słuszną opinię o nich wyrobiłam sobie później,

wyznaję. Natomiast wówczas, gdy mieszkałam z bratem w Rosenheim, amerykańskie władze okupacyjne lansowały i zalecały nam bratanie się i utrzymywanie serdecznych stosunków z ludnością niemiecką, żeby pozyskać sobie jej przyjaźń zanim coś podobnego zrobią Rosjanie w swojej strefie okupacyjnej. W myśl instrukcji otrzymywanych od zwierzchników, Ryszard nie mógł ignorować zaproszeń na różne niemieckie imprezy publiczne i prywatne. Ja zaś, jako siostra miejscowego komendanta amerykańskiego, nie mogłam nie przyjąć Blinka, eksoficera niemieckiego, który zresztą nie był aresztowany nawet w pierwszym roku po wojnie, jak wynikało z jego akt w naszym biurze, i musiałam być dlań uprzejma, niech mi pan wierzy.

— Wierzę... I proszę mówić dalej — ponaglił ją Lubor.

Po peanach i pochwałach na cześć Blinka wygłoszonych przez kucharkę, uważającą go za bawarskiego Don Juana i za uosobienie męskiej urody, Irena doznała zawodu, kiedy pierwszy raz ujrzała tego drągała, wykrzywiającego sobie podłużną twarz monoklem i strzelającego piętami przy owym pozbawionym wszelkiego wdzięku ukłonie, jaki kobietom składają wojskowi Niemiec. Poza nadmiernym wzrostem, gość nie odbiegał od szablonu oficera, szablonu wyśmianego tylekroć na filmach i rycinach z okresu pierwszej i drugiej wojny światowej. Nic zatem dziwnego, że zrazu Irena była rozczarowana i, dla zamaskowania tego, potrójnie uprzejma.

Ona zaś oczarowała go z miejsca! Bynajmniej nie swą urodą, gościnnością, czytaniem, albo wspaniałomyślnym traktowaniem go, jak sojusznika lub rodaka. Podbiła go jedynie zainteresowaniem, jakie przesadnie okazywała jego „wielkim zdolnościom artystycznym”.

Przez uprzejmość uraczyła Blinka tym komplementem, który został przezeń przyjęty za dobrą monetę, za szczerozłotą! Ponieważ wówczas mówił on jeszcze słabo po angielsku, Irena musiała podtrzymywać rwącą się konwersację i z braku innych tematów rozwodziła się dość długo nad jego kolekcją wojennych fotografii, nad ich starannym opracowaniem i oryginalnym zabarwieniem jakąś nieznaną jej techniką.

Zwłaszcza barwy różnych odmian ognia, zaczynając od błysków strzelających armat i eksplozji bomb, a kończąc na łunach i płomieniach pożarów, uznała za oddane mistrzowsko, a ta pochwała szczególnie upoiła Blinka. Wydało mu się, że odkrył w Irenie bratnią duszę, czcicielkę świętego ognia wandalskich zniszczeń i wtedy dopiero zauważył, że ona ma grecki profil i klasyczną urodę.

Pod koniec wizyty Blink wyraził gorącą chęć zrobienia salonowych zdjęć panny Velik, jak również jej pastelowego portretu swoją specjalną techniką, a jedno i drugie wymagało podobno szeregu seansów w atelier fotograficznym, w którym od roku pracował. Irena wybrała się tam dopiero po paru tygodniach i nie sama, stosownie do zaleceń brata, lecz z Elfrydą, uchodźczynią z Sudetów, zatrudnioną w jego biurze jako tłumaczka i maszynistka. Co prawda, jakakolwiek przyzwoitka była niepotrzebna, gdyż Blink zachowywał się całkiem poprawnie. Kiedy zaś frywolna Elfryda zaczęła sypać jak z rękawa dowcipami coraz bardziej dwuznacznymi i śmiać się z nich sama, zarażając swą niez mordowaną wesołością inne osoby, Blink stał się nader oficjalny, nieprzystępny i grobowo poważny.

Powodem jego przesadnej sztywności mogło być to, że ani na chwilę nie spuszczała go z oka jego zazdrosna

pracodawczyni, Frau Hilda Aumayer. Masywna ta kobieta w niebezpiecznym wieku około czterdziestki, odziedziczywszy po mężu zakład fotograficzny w Rosenheim, a po rodzicach domek z ogrodem za miastem, tuż nad brzegiem rzeki Inn, łaknęła pomocnika w atelier, a zalotnika wieczór w domu stojącym samotnie z dala od innych mieszkań. Reflektantów na tę podwójną posadę było po wojnie wielu pośród zdemobilizowanych nazistów, którzy lękali się wrócić do swych rodzinnych miast i chwilowo przebywali w okolicach Monachium, kolebki hitleryzmu. Mając obfity wybór kandydatów, Hilda Aumayer zmieniała swój jednoosobowy personel co kwartał albo znacznie częściej, jeżeli ktoś zatrudniony przez nią nie stanął na wysokości zadania.

Dopiero kiedy pojawił się przedwojenny monachijski Apollo, późniejszy „bohater” z pięciu frontów bojowych, wreszcie współbrońca pałacu kanclerskiego w Berlinie na przedwiośniu 1945 i prawdopodobnie świadek makabrycznej ceremonii ślubnej Hitlera z Ewą Braun, słowem, gdy do Rosenheim raczył zjechać chwilowo bezrobotny wielkolud ekskapitan Maksymilian Wilhelm Blink, swawolna wdówka Hilda Aumayer zakochała się w nim na umór. Nie zwolniła go więc ani po próbnym kwartale, ani później, a po roku z dumą mówiła o nim „mój narzeczony”. I rozgłaszała, że poślubi go nieuchronnie, skoro tylko rosyjska strefa okupacyjna nadeśle tutaj dawno żądany odpis jego zaginionej podczas wojny metryki urodzenia; bo Blink urodził się w Brandenburgii.

Doświadczona Hilda odgadła w lot, kto mógłby stać się jej najgroźniejszą rywalką, na razie jednak nie miała żadnej podstawy do podejrzewania młodej Amerykanki o zaborcze zamiary. W przeciwieństwie bowiem do zalotnej Elfrydy, której podobał się każdy mężczyzna

formatu większego niż zawodowi dżokeje, a cóż dopiero taki jak Blink, dwumetrowy drągal, Irena jeszcze nie czuła pociągu do mężczyzn, prawdopodobnie na skutek monachijskich antymatrymonialnych intryg Ryszarda; kochała się wówczas w samochodzie i wyżywała się w namiętym uprawianiu turystyki.

Skoro tylko auto, które dawno zamówiła w fabryce, zostało jej dostarczone, Irena zapomniała o Blinku i o wszystkich, z wyjątkiem brata. Maksimum czasu spędzała w swym błyszczącym i podziw u tubylców budzącym wehikule. Wyjeżdżała nim hen, za miasto, ilekroć pogoda była choćby tylko znośna, a ponieważ Bawaria ma więcej malowniczych okolic górskich niż jakakolwiek inna część Niemiec i graniczy z Tyrolem, którego wysokie szczyty wabiły Velików odkąd zamieszkali w Rosenheim, Irena urządziła jedną wycieczkę za drugą, w niedziele z bratem, w dni powszednie sama.

Pewnego dnia, gdy pod wieczór wracała z Salzburga, przy ostatnim wiosennym śniegu, na kilka mil przed Rosenheim ujrzała zakapturzonego i machającego ręką cyklistę, który trzymał swój rower w poprzek szosy, tam gdzie naprawa zwęziła ją chwilowo do szerokości jednego wehikułu. Rada nierada i z duszą na ramieniu Irena zaczęła zwalniać, zatrzymała wóz przeczornie o kilkanaście kroków od niezwyklej bariery i... odetchnęła z ulgą, kiedy w zagradzającym jej drogę i groźnie wyglądającym dryblasie rozpoznała miejscowego „Apollina” i fotografa.

Chociaż Blink twierdził, iż nie wiedział, jakiego automobilistę zatrzymuje na szosie, żeby prosić o podwiezienie go do Rosenheim z zepsutym rowerem, domyśliła się wnet, iż on umyślnie czatował tutaj na nią. Zaledwie bowiem przyjechała do swego auta, zasypał

ją komplementami i wymówkami, że tak raptownie zerwała ich miłą znajomość, że zupełnie przestała się interesować jego artystycznymi zdolnościami, które pochwaliła podczas jego pierwszej wizyty; jeśli powodem jej nagłej niełaski są może czyjeś intrygi, potwarze, oszczerstwa, to on żąda powtórzenia ich, aby mógł oczyścić się z zarzutów, bowiem na dobrym mniemaniu panny Velik zależy mu ogromnie.

Przyparta do muru Irena powiedziała zgodnie z prawdą, że nadal uważa go za świetnego fotografa, lecz wątpi o jego zdolnościach malarskich. Wszystkie bowiem akwarele i pastele, jakie wraz z Elfrydą oglądała w atelier, przypominały jej kolorowe kopie powiększeń zdjęć z owej wojennej kolekcji, którą mu biuro jej brata przejściowo skonfiskowało.

W odpowiedzi Blink przyznał, iż nieraz widział sceny silne, ba, wstrząsające, niezapomniane, jak na przykład zatapianie statków pasażerskich, jak rzezie tysięcy jeńców, torturowanie więźniów politycznych w ła-grach, pożary szkół, szpitali, całych miasteczek i miast, systematyczne burzenie Warszawy. Lecz tak olbrzymie sceny wojenne nie mogły być, jego zdaniem, wiernie sportretowane ani piórem, ani pędzlem, ani w ogóle żadnym sposobem, oprócz długometrażowych dokumentalnych filmów, gdyby akurat cała ekipa znakomicie wyposażonych filmowców znajdowała się pod ręką w momencie gdy rozpoczynał się taki gigantyczny epizod wojenny. Zresztą jemu, zaprzysiężonemu militaryście i wrogowi pacyfizmu, najzupełniej obojętne były wszelkie cierpienia ofiar wojny, nawet żołnierzy. On nie potrafiłby zatem inwestować swego talentu, czasu i pracy w tworzenie dzieła przedstawiającego gehennę pogardzanego przezeń ludzkiego stada.

Irena przerwała mu te wynurzenia zimną uwagą, że

człowiek tak okrutny jak on nie powinien nigdy zakładać rodziny i że ona będzie współczuła jego narzeczonej Hildzie Aumayer, jeśli ta kiedyś zdecyduje się go poślubić.

Blink pojął, iż młoda Amerykanka półsłowiańskiego pochodzenia nie zdoła strawić ani jednej strofy cynicznej hitlerowskiej epiki, którą niemieckie kobiety z rozkoszą połykały masowo. Zrejterował więc, zaczynając od zapewnienia, że właśnie tacy jak on prawdziwi patrioci, którzy nie potrafią roztkliwiać się nad żywiołowymi klęskami na innych lądach i w obcych krajach, najgłębiej odczuwają porażki własnej ojczyzny, niedolę rodaków, i nieszczęście osób znanych im choćby ze słyszenia, a cóż dopiero osobiście! Ach, jak on bolał nad zgonem każdego kolegi z ławy szkolnej albo z pułku, jak rzewnie opłakiwał stratę każdego przyjaciela! Słowem, z jednej ostateczności wpadł w drugą.

— Z tego, co na końcu słyszałam, wynika, że jednak ma pan dużo osobistych wspomnień i tematów do kompozycji malarskich, w które może i powinien pan inwestować swój czas, pracę, talent i... trochę serca. Gdy tego rodzaju oryginalne obrazy, a nie kolorowe kopie fotografii będzie pan miał gotowe, obejrzę je chętnie — powiedziałam wówczas Blinkowi, wysadzając go z auta koło zakładu fotograficznego Hildy, która zmierzyła nas nienawistnym wzrokiem, po czym z najśłodszym uśmiechem zaprosiła mnie na swoje wesele w lecie. Nie przeczuwała, że fatalny wypadek czy zbrodnia...

— Ach, panie Lubor, pana wcale nie interesuje moja opowieść — zachnęła się Irena, dosłyszawszy pomimo szumu deszczu i wiatru serdeczne ziewnięcie swojego kompana. — Ziewa pan, jak gdyby pan chciał, abym zamilkła...

— Przepraszam. Ja zawsze ziewam, gdy dłużej siedzę w ciemnościach. Nawet w kinie! A teraz mając obie dłonie zajęte przy kierownicy, nie mam czym tłumić ziewania. Pani życiorys interesuje mnie, tylko nie pojmuję, czemu pani nie omija w nim takich nieważnych szczegółów, jak ta rozmowa z Blinkiem o obrazach...

— Ach, bo to jest najważniejsze... dla pana! Ta; moja rozmowa z nim zachęciła go właśnie do malowania wielu scen z jego wspomnień osobistych. A spośród tych najsilniejsze wrażenie wywarł nań dramat, jaki rozegrał się tuż przed pożarem... pańskiej „Mazurki”.

ROZDZIAŁ XXVIII

Obydwa samochody, nowy czerwony i stary czarny mknęły bez przygód po ciemnej bocznej drodze, rozpryskując na wszystkie strony deszczówkę z bajorek i kałuż mijanych w pędzie. Aż w pewnej chwili Lubor, wciąż wpatrzony w szkarłatne światelka umieszczone za bagażnikiem pierwszej limuzyny, zauważył, że ona podejrzenie zwolniła i nagle stanęła, niemal w środku pokaźnej kałuży, pokrywającej całą jezdnię.

— Hamować staccato! — syknęła Irena machinalnie.

— Robię to przecież — obruszył się Lubor.

— Woda zgasiła im motor! Oby nas to ominęło!

— Powinno. Po to dałem się przecież wyprzedzić — odpowiedział wąsal.

Rozpędzony chrysler stanął dopiero w kałuży, lecz na parę metrów przed jej głębiną, toteż jego silnik nie podzielił losu poprzednika i w mig, zaprzęgnięty, wstecznym biegiem, wycofał się z mokrej pułapki.

— Poczciwy stary gruchot — Lubor czule pochwalił

swój wehikuł. — Ba, tylko co począć teraz? O nawróceniu ani mowy nie ma!

— Ano, trzeba tu będzie jakiś czas poczekać — odparła Irena z rezygnacją. — Czy wobec tego nie powinien pan oszczędzać benzyny?

Wtem po drugiej stronie podłużnej kałuży ukazały się frontowe światła trzeciego samochodu, jadącego od północy. Chociaż Lubor ostrzegawczo zatrąbił i zamrugał latarniami swego chryslera, ów trzeci wjechał śmiało do wody, przystanął obok czerwonej unieruchomionej limuzyny, pogadał z jej kierowcą, po czym majestatem ruszył dalej przez wodę i po chwili znowu przystanął, tym razem tuż obok zdumionego Lubora, który szybko zniżył szybę w lewym oknie i spytał: — Jakim cudem zdołał pan przebrnąć przez tę kałużę, gdy tamci ugrzęźli?

— Zachodnia bieżnia jest zawsze mniej zalana, bo jest nieco podniesiona ze względu na zakręt. Przy każdej większej ulewie auta grzęzną tylko we wschodniej bieżni — wyjaśnił Polakowi kierowca trzeciego auta, jakiś wesoły staruszek, dodając, iż on mieszka o ćwierć mili stąd, odkąd został emerytem, więc też zna na pamięć każdą wypukłość i wklęsłość tej drogi. Powiedział również, w którym miejscu Długiej Wyspy znajdują się obecnie i jak on dopomoże tym czworgu, którzy utknęli.

— Zatelefonuję z domu po pogotowie drogowe — rzekł. — Chciałem chociaż te dziewczęta zabrać z sobą, żeby nie złapały kataru; zapewniałem je, że mógłbym być ich dziadkiem, więc nic im nie grozi, lecz to widocznie tylko zniechęciło je do mnie. Odparły, że wolą czekać na drodze ze swymi chłopcami i że nudzić się tu z nimi nie będą.

Rzeczywiście, nie próżnowały te dwie młode pary, kiedy Lubor mijał ich czerwoną limuzynę, a posuwał

się ostrożnie lewą bieżnią, która istotnie była o kilka cali mniej zanurzona w wodzie.

— I byłbym utopił sobie silnik tak jak oni. Oto dlaczego zawsze warto grzecznie ustąpić pierwszeństwa drugiemu automobilście w nocy — Lubor chępił się wielce tą niewielką chytrą. — Z tego, co mówił figlarny emeryt, wynika, że już niezbyt daleko mamy do mojej farmy, do której, nawiasem mówiąc, pierwszy raz zbliżam się od tej strony. No, wkrótce potem pani zapewne zechce odjechać do Nowego Jorku koleją, coś jakby nutka żalu zadźwięczało w ostatnim zdaniu. — Czas nagli. Proszę zatem nieco zwięźlej streszczać ostatnie rozdziały swej autobiografii, dobrze?

— Dobrze, panie Lubor, spróbuję — odparła zgodnie.

W Bawarii, dopóki znajdowała się pod braterską kuratelą, nie robiła sama dłuższych wycieczek autem niż jednodniowe; zawsze wracała na noc do Rosenheim, ażeby uniknąć gderania i wymówek Ryszarda, który prawdopodobnie był trochę zazdrosny o to, że miała życie przyjemniejsze; ot, na przykład w dni powszednie, podczas kiedy on pracował lub nudził się w biurze, jego nadobna siostrzyczka miała od rana do zmierzchu rozrywkę, i to najmiłą w ich pojęciu — turystykę. Ryszard Velik zakosztował tej rozrywki dopiero w 1949 roku podczas swego letniego urlopu, pokazanie przedłużonego dzięki przyjacielskim świadectwom lekarskim nowego garnizonowego eskulapa.

Podczas tych długich wakacji Velikowie nie tylko odpoczęli na zapas u stóp Mont Blanc, ale zwiedzili niemal wszystkie ważniejsze turystyczne i snobistyczne atrakcje w Alpach austriackich, francuskich, szwajcarskich i włoskich. Pływali motorówkami lub żaglówkami,

pięli się ku szczytom każdą kolejką zębatą lub linową, a rzadziej pieszo, lecz głównym środkiem ich lokomocji pozostał samochód, który Irena znacznie częściej i pewniej od brata prowadziła.

Jasne, że nie zamierzali przerywać sobie tak pięknej podróży po czterech krajach w celu doskoczenia do Rosenheim na ślub, na który oboje najformalniej zaproszono jeszcze przed ich wyjazdem za granicę, na ślub i wesele nie najsympatyczniejszej pary, ekskapitana Blinka i jego pracodawczyni Hildy Aumayer. Bawiąc wówczas właśnie nad Jeziorem Genewskim, posłali Velikowie nowożeńcom telegram gratulacyjny z Lozanny, a prezent ślubny z Genewy.

Dopiero z początkiem jesieni po powrocie do domu dowiedzieli się, że weselisko, które miało być największą letnią sensacją Rosenheim, wcale nie doszło do skutku! Dlaczego? — Tylko dlatego — wyjaśniła Velikom bawarska kucharka — że na tydzień przed swoim ślubem rozmarzona narzeczona Hilda Aumayer spacerowała wieczorem tak nieostrożnie wzdłuż swego ogrodu nad brzegiem Innu, że nazajutrz znaleziono jej ciało w rzece. Czy utonęła? Może tak, chociaż oględziny wyłowionych z wody zwłok ujawniły głęboką ranę pod włosami z tyłu czaszki, tak jak gdyby denatka spadła ze znacznej wysokości głową w dół na kamienie.

— Albo mocarny cios obuchem w łeb — bąknął mój brat wówczas i zapytał kucharkę, gdzie krytycznej nocy przebywał pan Blink — nadmienila posepnie Irena.

Przebywał o 7 kilometrów na zachód stamtąd, mianowicie w Bad Aibling; tam bowiem owej nocy wesoło obchodził tradycyjne pożegnanie się z kawalerskim stanem. W pijackiej orgii, bynajmniej niezaimprovizowanej, ale na wiele dni przedtem przygotowywanej,

brał udział okazały zastęp tamtejszych, pozornie zde-nazyfikowanych hitlerowców. Każdy z nich gorliwie świadczył, że kolega Blink nie mógł mieć nic wspólnego z gwałtowną śmiercią swej narzeczonej, bowiem przez całą tę krytyczną noc razem z nimi jadł, pił, śpiewał, tańczył i szalał w Bad Aibling.

Pomimo tak silnego alibi, bracia Hildy Aumayer zaczęli obwiniać jej narzeczonego. Według ich teorii, Blinka nie krępowała rozpustna przeszłość starszej od niego chlebobawczynie-kochanki, lecz żenić się z nią nie zamierzał, aby nie stać się pośmiewiskiem wśród kolegów. Hilda zaś, jak pono przechwalała się wobec bratowych, wiedziała o wojennych sprawkach Blinka coś, czego ujawnienie wobec władz naraziłoby go na areszt i proces; tym z pewnością szantażowała go i ponaglała do zawarcia małżeństwa, aż w końcu sprowokowała jego przestępczą kontrakcję. Któryś z jego partyjnych towarzyszy mógł przycząć się w jej ogrodzie, napaść ją, ogłuszyć i nieprzytomną strącić z urwistego brzegu do rzeki. Blink także mógł się tam wymknąć, bo jeszcze przed północą orgia w Bad Aibling przybrała takie rozmiary, że uszłoby uwagi uczestników zniknięcie na parę godzin tego czy innego kompana. Tylko partnerka mogłaby to zauważyć, o ile nie spała już kamiennym snem, a ostatnią partnerką Blinka na jego kawalerskim wieczorze była owa wesola sudecka uchodźczyni Elfryda Krychtaleck.

Teoretycznie zatem rzecz biorąc, nawet sam Blink bez niczyjej pomocy i wiedzy mógł Hildę zepchnąć do rzeki, po czym na rowerze lub konno powrócić dyskretnie do Bad Aibling. Teorię tę jednak obalało rozumowanie, że gdyby on chciał zgładzić Hildę, to powinien był zrobić to dopiero po ślubie żeby móc odziedziczyć po niej jej mająteczek; nic a nic natomiast

materialnie nie zyskiwał na zgonie Hildy przed jej poślubieniem.

Kiedy adwokat podkreślił ten stan rzeczy i dodał, że jego wspaniałomyślny klient pragnie zwrócić legalnym spadkobiercom Hildy Aumayer nawet pierścień zaręczynowy, jaki od niej dostał i chce im płacić czynsz dzierżawny za najem zakładu fotograficznego, bracia zmarłej radykalnie zmienili swój nieżyczliwy stosunek do Blinka.

Zadziwiająca bezinteresowność przybysza, który tu deficytowo owdowiał na tydzień przed ślubem, jego czarny krawat, także opaska na ramieniu oraz pogrzebowa mina przy pracy w atelier, gdzie główną ścianę zdobiła teraz w krepę spowita fotografia Hildy, zwiększyły ogromnie popularność Blinka, zwłaszcza pośród miejscowych kobiet.

Do zakładu fotograficznego, przedtem często świecącego pustkami, zaczęły podążać istne pielgrzymki wdów, rozwódek, mężatek, pańien na wydaniu i sentymentalnych podlotków. Prawie każda z nich zamawiała sobie moc niepotrzebnych zdjęć, głównie dlatego by móc choć chwilę spędzić w atelier sam na sam z przedwcześnie „owdowiałym” wielkoludem i odczuć jego mocne dłonie na swojej brodzie fachowo przezeń ustawianej przed obiektywem. Nigdy jeszcze obroty i dochody tego zakładu fotograficznego nie zwyżkowały tak wspaniale.

Kiedy minął okres najcięższej żałoby, Blink nie nawiązał jawnego jak przedtem romansu z żadną Niemką, natomiast zaczął ocierać się o Amerykanów i dyskretnie emablować Irenę. Ponieważ ona wówczas nie interesowała się jeszcze jego postęпами w malarstwie, chociaż chwalił się nimi wówczas najbardziej, a na flirt z nim nie reflektowała, osaczał ją inaczej. Wśliznąwszy się w łaski Ryszarda Velika kilkoma poufnymi donosami

na szmuglerów i paserów, handlujących towarami kradzionymi z wojskowych składów amerykańskich, stał się Blink jego konfidentem i pokątnym doradcą. Łatwo wtedy odkrył różne fantazje hipochondryka i wmówił weń bez trudu, że samotne eskapady automobilowe jego pięknej siostry skończą się fatalnie, zatem powinien jej zawsze towarzyszyć stosowny osobisty obrońca.

Blink miał na myśli siebie, lecz pierwszym narzuconym Irenie obrońcą został Ray Demerest, stary telegrafista amerykański. Już w tydzień później zgraja młodych neonazistów, coraz bardziej rozzuchwalanych miękkością okupantów, zatrzymywała koło Bad Tölz kolejno kilka cudzoziemskich aut. Irenie też napędziła strachu i uszkodziła samochód, a Demeresta zbiła tak, iż odwieziono go do szpitala.

Dostawszy naganę od zwierzchnika, Ryszard nie śmiał narażać drugiego żołnierza dla zapewnienia ochrony siostrze w jej prywatnych wycieczkach. Groziło więc Irenie zakotwiczenie auta w garażu lub ciągłe sprzeczkę z histeryzującym bratem. Od obu tych przykrości mogła ją uchronić tylko „nieoczekiwana” oferta Blinka, który ofiarował się towarzyszyć jej w automobilowych eskapadach.

Blink przyrzekł Ryszardowi, że będzie mu poufnie donosił o każdej ewentualnej schadzce Ireny z oficerami amerykańskimi, których dawne uwielbienie dla niej wskrzesił dr O'Mastah. Jako lekarz O'Mastah nie dał nabrać się Ryszardowi na to, że jego nadobna siostra ma gruźlicę, wadę serca, raka i tuzin innych dolegliwości. Takie straszaki dla laików właśnie zainteresowały poczciwego eskulapa i wywołały w nim chęć ratowania młodej rodaczki obciążonej tyloma chorobami. Bez wiedzy Ryszarda zaprosił ją raz do Monachium na gruntowne zbadanie przez tamtejszych

specjalistów, którzy orzekli, że Irena jest kompletnie zdrowa.

Kiedy O'Mastah opowiedział to w kasynie, krytykując hipochondrię i tyranię domową Ryszarda, jednogłośnie uchwalono obrzydzać życie „tyranowi” dopóty, dopóki jego siostra nie wyjdzie za mąż.

Skoro Ryszard Velik nareszcie awansował i otrzymał z opóźnieniem rangę majora, jego koledzy i wielbielecy Ireny urządzili w Monachium wystawny bankiet. Podczas gdy nieszczęsny solenizant-hipochondryk musiał rujnować swe zdrowie trunkami i pikantnymi potrawami, jego siostra była faktycznym gościem honorowym hucznego przyjęcia i królową balu. Tańczyła i bawiła się świetnie, a wyglądała w paryskiej sukni wieczorowej tak uroczco, że fotografowano ją i oklaskiwano jak nigdy przedtem ani potem. Z amerykańskim pośpiechem wielu rodaków poprosiło ją wówczas o rękę, a dr O'Mastah radził założyć *Związek Zawodowy Wielbicieli panny Velik*, jak nazajutrz opowiadała w domu z humorem.

Natomiast Ryszard słuchał jej siostrzanych zwierzeń w ponurym nastroju. Ubzdurał sobie bowiem już parę lat temu, że Irena jest jego dobrą maskotką, że nie jego życiu nie grozi, dopóki są razem, ale jeżeli ona wróci do Ameryki lub wyjdzie za mąż, on nie uniknie losu trzech młodszych braci, i, tak jak oni zginie w tragicznym wypadku.

Tą swoją *idée fixe* szantażowała siostrę ilekroć przebąkiwała o chęci powrotu do ojczyzny, a teraz zwierzył się ze swojego przesądu jednemu przyjacielowi Blinkowi. Odbyli wówczas długą naradę, również bez Ireny zrobili kilka tajemniczych wycieczek, a wkrótce potem stwierdziła Irena, że wszyscy jej wielbielecy nagle ostygli i nawet zaczęli odnosić się do niej bez dawniejszego szacunku.

W jaskrawym przeciwieństwie do Amerykanów bawarski adorator Maks Blink zaczął wówczas okazywać jej maksimum szacunku i zainteresowania.

Każde oświadczyły na ogół sprawiają przyjemność kobiecie, nawet jeżeli nowy adorator wygląda niereprezentacyjnie. Blink, przystojny dwumetrowy drągal, górował postawą nad wszystkimi mężczyznami w okolicy. I był tak szarmancki, tak troskliwy, tak wyjątkowo sentymentalny, że Irena nie potrafiła mu odmówić paru pocałunków, gdy z głośnej roztańczonej sali wyknęli się raz na cichą, stu oknami zapatrzoną w góry werandę, gdzie kilka innych par w podobnie czuły sposób składało hołd wiośnie.

Tam właśnie Blink zaskoczył Irenę oświadczeniem, że on pragnie ją poślubić pomimo „niedobrej opinii, jaką ona ma w Monachium i w ogóle wśród stacjonowanych w Bawarii amerykańskich oficerów”.

Wzburzona taką nowiną o sobie, Irena zaczęła po powrocie do stolika pić wino jak wodę i domagać się bliższych wyjaśnień, ale Maks Blink konsekwentnie grał rolę wyrozumiałego i rycerskiego amanta.

Dopiero pod koniec kolacji uświadomiła sobie, że gdyby nawet zaraz odpłynęli z powrotem do Friedrichshafen, gdzie zaparkowała swój samochód, dotarliby do Rosenheim dopiero jutro rano. A jeszcze dziś przed północą Ryszard zaalarmowałby policję, że jego siostrę prawdopodobnie spotkał jakiś poważny wypadek automobilowy. Należało więc uspokoić brata i wysłać doń natychmiast stosowną depeszę. Jej tekst Blink ułożył od ręki i z uśmiechem zapewniającym mu obrócenie w żart zuchwałej propozycji, podsunął Irenie do aprobaty:

SPÓZNIŁAM SIĘ NA STATEK, AUTO I BLINKA
ZOSTAWIŁAM WE FRIEDRICHSHAFEN:

PRZENOCUJĘ WIĘC W KONSTANCJI U ZAKONNIC.
JEŻELI ZŁA POGODA ZATRZYMA MNIE TU DŁU-
ŻEJ, ZATELEFONUJĘ. BĄDŹ SPOKOJNY, RYSIU.
NIE JEST JUŻ DZIECKIEM I DOBRZE WIE CO ROBI
TWOJA DOROSŁA SIOSTRA IRENA.

Dorośla siostra, upojona winem niby pracownicy w kalifornijskiej winnicy podczas lokalnej uroczystości, zrozumiała treść depezy i prawdziwe zamiary Blinka, lecz zaaprobowała je po krótkim wahaniu i długim łyku szampana. Kiedy dostali w hotelu dwa sąsiednie pokoje, właśnie Irena otwarła łączące je drzwi.

*

Wracali do Rosenheim na pozór szczęśliwi, lecz nę-
kani myślą o dziwactwach Ryszarda, który utrudniałby
siostrze poślubienie amerykańskiego generała, a cóż
dopiero niemieckiego ekskapitana! Choć bowiem ma-
jor Velik słuźbiście przestrzegał nakazu bratania się z
wczorajszymi wrogami Ameryki, z pewnością nie re-
fleksjonował na spowinowacenie się z którymś z nich.
Czyż zatem nie należało wziąć ślubu po kryjomu i jak
najdłużej utrzymywać go w tajemnicy?

Irena nie chciała mieć takich sekretów, zwłaszcza
wobec jedyne go żyjącego brata i sądziła optymistycz-
nie, że zdoła tego zabobonne go egoistę udobruchać i
uspokoić zapewnieniem, iż nic się dla niego nie zmieni
przez jej zamążpójście, bo przecież mogą mieszkać
nadal we troje, dopóki Ryś nie ożeniłby się także.

Natomiast Blink był pesymistą i z posępny m upo-
rem powtarzał Irenie, że jej brat, wówczas już 30-letni
mężczyzna, nie ożeni się nigdy ani też nie pozwoli jej
wyjść za mąż; jako hipochondryk i wielki sobek, będzie

zawsze wyzyskiwał dobroć i poświęcenie siostry, zawsze będzie ją buntował przeciw każdemu kandydatowi do jej ręki, zawsze będzie ją terroryzował fałszywymi alarmami o swych rzekomych atakach i przecuciu rychłej śmierci.

Krótko mówiąc, z rozumowania Blinka wynikało, że jego jawne małżeńskie pożycie z Ireną i ich tzw. szczęście rodzinne byłoby mrzonką, absurdem, niezniszczalnym pobożnym życzeniem, dopóki chorowity Ryszard Velik będzie żył...

— Nie pożył już długo — rzekła Irena ze smutkiem. — Pod koniec lata tego samego roku, mój biedny Ryś... opuścił mnie na zawsze. Tak jak przeczuwał, odszedł nagle, gwałtownie, bez pożegnania i uporządkowania swoich majątkowych spraw, bez...

— Przepraszam, że przerywam — wtrącił Józef Lubor. — Czy dobrze zrozumiałem panią, że major Ryszard Velik nie umarł śmiercią naturalną, lecz na skutek jakiegoś nieszczęśliwego wypadku?

— Tak jest, niestety — przyznała łzawo. — Blisko granicy austriacko-bawarskiej, o parę mil od zburzonej rezydencji Hitlera w Berchtesgaden, mój brat widocznie pod wpływem nagłego zawrotu głowy spadł z urwistej skały w przepaść. Był już zimny, kiedy dotarła doń ekspedycja ratunkowa naprędce zorganizowana przez Maksa Blinka...

ROZDZIAŁ XXIX

Jęzor światła sterczący z paszczy ociekającego deszczem chryslera wytrwale lizał mokry asfalt szosy i wyławiał z ciemności drzewa, żywopłoty, słupy telefoniczne, a od czasu do czasu nawet prywatne skrzynki na listy i gazety oraz przydrożne tablice, wykonane często chałupniczym sposobem. Nagryzmołone było na

nich nazwisko mieszkającego tu gdzieś obok farmera, a czasem i takie dodatki: „Świeże jaja, tuzin tylko 49 ct.”, przy czym dziewiątka była malutka i z daleka wyglądała jak zero, co jest niezawodnym trickiem 90 proc, tu-tejszych kupców, ażeby złapać oko przechodnia i skłonić go do obejrzenia dziwnie taniego towaru.

Na tych drewnianych wizytówkach farmerskich roilo się, jak zwykle, od nazwisk polskich, przeważnie jednak napisanych tak, ażeby je w pierwotnym ich brzmieniu mogli wymawiać Anglosasi. W ten sposób z Szymańskiego zrobił się „Shimanske”, z Bojaka „Boyack”, z Osełki zwykle „O'Selckah”, z Jarmuża oczywiście „Yarmosh”, z Szaflika „Shaphleek” a potomek lechickich gonciarzy zyskał nazwisko z francuska snobistyczne, a z angielska kasowe i z Kuby Dekarza stał się Jacob de Cash (*cash* — to cenna gotóweczka).

Spośród okolicznych rolników tylko jeden Lubor jeszcze nie zamerykanizował swego nazwiska i nie pisał go „Loobore” jak mu radzono, przez co wymawiano je rozmaicie. Wspomniiał o tym, gdy wyjaśnił swej pasażerce, że już mijają posiadłości jego najbliższych sąsiadów i niebawem skręcą z asfaltowej szosy pod kątem prostym ku jego małej farmie.

Rzeczywiście po chwili ukazała się w przydrożnym niestrzyżonym i zapuszczonym żywopłocie duża dziura zaznaczona dwoma nierównej wielkości słupkami, pomalowanymi w biało-czerwone pasy; krótszy dźwiگاł na swym szczycie drewnianą skrzyneczkę do odbierania i wysyłania poczty. Jeden kluczyk od tej skrzynki miał Lubor, drugi „jego” listonosz, który jeździ tędy raz na dzień, wybierając ofrankowane listy ze skrzynek, a wkłada do nich przywiezione listy, gazety i liczne druki z handlowymi ofertami.

Na słupie wyższym wisiała drewniana tablica z napisem „Droga prywatna! Dojazd tylko do farmy Józefa Lubora.”

Za dnia i przy dobrej pogodzie całkiem ładnie i sie-lankowo mogła przedstawiać się ta prywatna droga, wprawdzie krótka i wąska, ale obramowana dwuszeregiem barwnych astrów, złotych słoneczników i podpartych tyczkami młodych jeszcze krzaków, podobnych dzięki swym szkarłatnym kwiatom do florydzkich ognistych drzewek poncjany.

Nawet pogodna księżycowa noc odbierała połowę kraszy temu szpalerowi, z którego za parę lat miała powstać pergola, jakby tunel z liści i kwiatów. Lecz znacznie gorzej od ciemności zaszkodziły szpalerowi pierwsze dwa szkwały, jakie dzisiaj tędy przeszły, zwłaszcza ich porywiste wichry, które nawet kilka tyczek, choć głęboko w ziemię wbitych, zdołały obalić. Cóż więc dopiero mówić o słabych łądogach niektórych tegorocznych roślin! Połamane kwiaty, wystrzępione liście i przyniesione ze stogu lub ze stodoły źdźbła słomy i siana poprzylepiały się do rzadkiego błota.

Stary samochód Polaka ciężko pracował na tym, zdawałoby się już ostatnim odcinku swoich dzisiejszych rozjazdów. Ślizgał się na mokrych liściach, przyskała błotem obficie na chybił trafił i często trafiał we własne szyby, a chwilami grzązł i w miejscu wirował z wściekłością tylnymi kołami, dopóki rozgrzane opony nie dokopały się twardszego niż to świeże bagienko gruntu.

Za jednym zakrętem tej błotnistej dróżki w szpalerze ukazała się nieoczekiwana przeszkoda — bezładna barykada z tyczek, krzaków i dużych tekturowych pudełek albo raczej pudeł, przyniesionych tutaj widocznie ze śmietnika lub z szosy przez najsilniejsze podmuchy szkwałowego wiatru.

A w głębi, za tą małą barykadą, ujrzała Irena trzy drewniane budynki. Dwa z nich wyższe, obszerniejsze, ale pozbawione okien, wyglądały na szopy albo na stodoły. Pośrodku zaś stał zgrabny parterowy domek, wymarzony na letnisko dla niezamożnego mieszczucha, którego rodzina powiększa się szybciej niż jego dochody.

Ponieważ deszcz chwilowo zmalął do kalibru cienkiego kapuśniaczka, Irena opuściła szybę i zaraz uderzyła ją grobowa cisza, jaka spowijała Luborowy dom. Panowały w nim także kompletne ciemności, jak świadczyły okna, niezastłonięte żadnymi storami, a pozamykane. Otwarte było tylko jedno z nich, szerokie, niewysokie okienko od sutereny czy piwnicy, umieszczone bardzo nisko, prawie na poziomie gruntu dokoła zabudowań i tamtędy niewątpliwie wdzierала się do wnętrza domu niewchłonięta przez ziemię nadwyżka wody.

Zresztą żadna rynna nie zapobiegnie skutkom gwałtownej ulewy, po każdej z nich jakaś część domów na Long Island miewa piwnice zalane wodą, wobec czego jedni architekci zabezpieczają okienka piwniczne wodoszczelnymi okiennicami, a drudzy budują nowe domki bez piwnic, za to dodają obok garażu przybudówkę na kocioł centralnego ogrzewania; skład narzędzi ogrodniczych maszynę do prania bielizny itp, rzeczy normalnie trzymane w piwnicach, z których zamknięci Amerykanie lubią urządzać prywatny bar i pokój bilardowy albo ping-pong.

W to swoje otwarte piwniczne okienko, obecnie oświetlone lampami chryslera, wbił Lubor posępny wzrok i zamknął motor w aucie, ażeby móc usłyszeć coś, czego szum słabnącego deszczu nie powinien zagłuszyć.

— Nic. Cisza. Za późno wróciłem, za późno — jęknął

żałości. — Ta grobowa cisza świadczy, że potopiły się biedactwa wszystkie!

— Serdecznie panu współczuję, ale nie pojmuję, czemu...

— Czemu nie uciekły z piwnicy? — wtrącił Polak i, tarmosząc oburącz jasną swą czuprynę, sam się oskarżał. — Ano, bo ja, stary osioł, zamknąłem klapę w podłodze, żeby one podczas mej nieobecności nie wtargnęły mi do mieszkania, gdzie lubiły sobie pobrykać. Widzi pani, wiedząc z radia, że dzień dziś będzie tak upalny, umieściłem je w najchłodniejszym miejscu, w tej tam piwnicy. I jej okienka, jedno z przodu, a dwa z tyłu, zostawiłem otwarte dla wentylacji. Nie przeczuwałem, iż oprócz przeciągu może tamtędy wdrzeć się deszcz...

— Hm, nie było to najrozsądniejsze, ale cóż, stało się — mruknęła Irena, choć korciło ją, aby ostrzej zganić jego bezmyślność, czy okrucieństwo. Jak można zamykać na cały dzień w piwnicy dzieci choćby najbardziej psotne! — oburzyła się w duchu, lecz zaraz przyszło jej na myśl, iż jej dwaj najmłodszy bracia nie byłiby zginęli przez swoją karygodną lekkomyślność, gdyby rodzice karali ich choćby tylko aresztem domowym, jeśli już nie chłostą, tak namiętnie zwalczaną przez większość pedagogów amerykańskich, ku uciesze każdego urwisa. Czyż zatem należało potępiać sympatycznego Polaka za to, że zawczasu uczył karności jakiegoś dzieciaki, może własne, może przygarnięte? A gdzież bywała i co porabiała przez całą niedzielę ich szanowna rodzicielka? Instynktowną niechęć ku niej i własną ciekawość wyraziła Irena w grzecznym zapytaniu: — Czy będzie niedyskrecją z mej strony zapytać, gdzie przebywa matka tych... maleństw?

Kleo? Kleo była z nimi oczywiście! Nie jestem takim

okrutnikiem, abym matkę odłączał na cały dzień od jej drobnego potomstwa. Dlatego miłosiernie zamknąłem Kleopatę w piwnicy także.

— Coraz lepiej! — bąknęła Irena, żalując teraz, iż przyjechała tutaj i nie rozstała się z tym dziwnym Samarytaninem w Jones Beach, skąd autobusem dojechałaby do stacyjki kolejowej w Wantagh. — Ha, zamiast oplakiwać skutki swego... emm... miłosierdzia, niech pan lepiej zawróci auto i jedzie po policję, a po drodze wysadzi mnie przy najbliższej stacji i...

— Pssst! Cicho! — ofuknął ją. Nie słyszała pani czegoś?

Gdy oboje umilkli, istotnie posłyszała coś jak gdyby żaloszny płacz niemowlęcia. Lubor natychmiast włączył starter, zapalił silnik, ruszył z miejsca ostro i niczym czołgiem rąbnął w barykadę, którą wiatr ustawił na jego prywatnej drodze, nic a nic nie robiąc sobie z tego, że nie tylko auto mógł uszkodzić; jedna tyczka bowiem sterczała ukośnie z barykady naprzeciw jego twarzy jak lanca kawalerzysty i omal nie przebiła frontowej szyby przy hałaśliwym zderzeniu samochodu z tego rodzaju przeszkodą.

Za barykadą była jeszcze jedna kałuża z gatunku tych, w których tylne koła chryslera musiały jakiś czas w miejscu wirować, zanim go wyciągnęły. Tym razem jednak Lubor nie chciał już stracić ani kilku sekund na borykanie się ze skutkami burzy. Zamknąwszy silnik, wysiadł z limuzyny pośpiesznie, w kilkunastu skokach dotarł do swego domu, otworzył frontowe drzwi kluczem, wpadł do wnętrza i przekręcił główny kontakt, zapalając wszystkie lampy elektryczne w mieszkaniu.

Irena bez wahania pospieszyła za nim, ażeby pomóc mu w akcji ratowniczej, może jeszcze nie całkiem spóźnionej. Ślizgając się, chwilami grzęznąc po kostki

w miękkim błocie i niemal gubiąc w nim swe lekkie sandaalki, dobrnęła do kilku schodków, które wiodły do sieni, wąskiej, ale za to bardzo długiej.

W drugim końcu podłużnej sieni Lubor właśnie podniósł i oparł o ścianę pokrywę wielkości drzwi, która zakrywała przedtem prostokątny otwór w podłodze. Pod spodem musiały być schody do piwnicy, gdyż jego sylwetka nie zniknęła tam nagle, lecz stopniowo zanurzała się coraz niżej, aż schowała się pod podłogę nawet głowa z jasną zwichrzoną czupryną.

Kiedy Irena nadbiegła tam i pochyliła się nad owym otworem, usłyszała imponujące *crescendo* radosnej wrzawy różnych głosów i ujrzała coś w rodzaju małego basenu pływackiego, tylko z bardzo brudną wodą, w której pływały szczotki, miotły, balia, cebrzyki, wiadra, stare krzesła i różne kawałki drewna. Z dalszego kąta tego osobliwego basenu nadszedł po chwili Lubor, brnąc w wodzie powyżej kolan, ale podśpiewując sobie nader wesoło i zwycięsko. Kiedy dotarł do schodów, wspiał się na najniższe stopnie i podał Irenie dwa małeńkie pieski z prośbą, aby ich nie wpuściła już do wody.

— Więc nie dzieci, nie ludzie, tylko zwierzęta były tu w niebezpieczeństwie? I dla nich ten dziwak gnał na złamanie karku?

Zanim ochłonęła ze zdziwienia, Lubor przyniósł z kąta piwnicy dalsze dwa szczeniaki, piątego przyaportował w pysku duży, żółtawo-szary wilczur, przemoczony oczywiście cały z wyjątkiem łba i otrzepujący się z wody już na schodach, zgodnie z rozkazem swego pana, który wolał tego prysznicu oszczędzić Irenie.

— To jest właśnie Kleopatra, miła przybłęda, którą niestety przeważnie trzymam na łańcuchu, bo nęka koty i koguty sąsiadów, a która dzisiaj nie pozwoliła

utonąć żadnemu ze swych pięciorga dzieci — przedstawił ją Lubor.

Poznał po śladach, że mądra suka przenosiła swe potomstwo na coraz wyższe przedmioty w piwnicy, zaczynając od starego trzciniowego fotela. Najdłużej biwakowała na stole, na którym on trzymał różne narzędzia i naprawiał to, co mu się w gospodarstwie zepsuło; psich „autografów” było tam teraz bez liku. Choć woda nie zdążyła zalać płyty stołowej, przezorna Kleopatra zawczasu wypatrzyła sobie wyżej położony schron na szczycie staroświeckiej, od dawna nieczynnej lodowni. Ciasno było wesołym psiakom na lodowni i suka musiała ich dobrze pilnować, lecz jakoś podolała zadaniu i najwylewniej podziękowała teraz swemu panu za to, że nareszcie wrócił i pomógł jej przenieść rodzinę w bezpieczne miejsce.

Na Irenę, jako na intruza, Kleopatra warczała i zerkała nieufnie, dopóki ta za radą gospodarza nie poczęstowała jej puszką podgrzanego gulaszu, a szczeniaków kwartą ciepłego mleka. Natomiast trudniej było Irenie przygotować jakiś możliwie smaczny posiłek dla siebie i Lubora, gdyż nie miał on w swej kuchni żadnych przypraw i korzeni, nawet pieprzu i octu.

— Mam sól, cukier i cytryny, czyż to nie wystarcza do przyprawienia każdej potrawy? — odparł w odpowiedzi na lekką krytykę swego gospodarstwa domowego. — A z zapasów żywności mam w lodówce sardynki, sery, masło, mleko, pięć gatunków zup, cztery mięsa i tyleż kompotów.

— Czyli przeważnie puszki, konserwy! Nie ma pan nic świeżego?

— Owszem. Choć sezon truskawkowy się kończy, mam jeszcze ze sto funtów świeżuteńkich truskawek. I dwa razy więcej ziemniaków. Czy to wystarczy nam na kolację?

Krzążając się między elektrycznym piecem a lodówką, zauważyła Irena nie bez zaniepokojenia, że gospodarz, choć przyjaźnie żartuje, równocześnie starannie zasłania storami okna, jedno za drugim! Dlaczego? Gdy spytała go o to prosto z mostu, odpowiedział z zakłopotaniem, że niektóre sąsiadki przyswoiły sobie z filmów brzydki zwyczaj obserwowania sąsiedztwa przez polowe lornety, które ich krewni poprzywozili z wojny. Gdyby więc ktoś z sąsiadów zauważył, że on ma damską wizytę i to wieczorem, w niedzielę, w którą nie widziano go w tutejszym kościele parafialnym, zaszkodziłoby mu to mocno w opinii zarówno obłudnych świętoszków, jak i niektórych naprawdę bogobożnych i nader moralnie dla przykładu swych dzieci żyjących farmerów.

— Z których niejeden chciałby zostać pańskim teściem, prawda? — domyśliła się w lot. — A swatają panu córy i siostry?

— Uff, jeszcze jak! Zwłaszcza w niedzielę, gdy rolnikowi nie wypada pracować, choćby mu się robota paliła. Dlatego prawie w każdą niedzielę rano zmykam stąd do Nowego Jorku albo jeszcze dalej.

— Dlaczego? W pańskim domu na każdym kroku uderza brak kobiecej ręki. Czemuż więc pan się nie żeni?

— Bo nie mam prawa. Bo niechcący mógłbym popełnić bigamię. Moja żona zaginęła bez śladu wprawdzie ponad piętnaście lat temu, lecz to bynajmniej nie dowodzi jej zgonu.

— Nie dowiedzie go całe stulecie, jeśli tak rozumować. Dlatego nasze ustawy pozwalają uznać formalnie za zmarłą taką osobę, która tajemniczo zniknęła i nie dała znaku życia przez lat pięć, chociaż była poszukiwana przez krewnych. A pan czeka w niepewności już piętnaście lat! To okrutnie długi okres.

— Który pani przedłuży mi jeszcze.

— Ja? — zdumiała się Irena. — A to jakim sposobem?

— Takim, że już kilka godzin temu powinienem był dowiedzieć się od pani czegoś konkretnego o terażniejszości i ostatnim adresie kapitana Blinka. Przecież to on sfotografował pożar i zagładę „Mazurki”, a tam mieszkała moja żona! Niechże więc droga pani nie przedłuży mej udręki, lecz streści mi dalszy ciąg swej znajomości z Blinkiem po zgonie majora Velika.

*

Zgon Ryszarda, ostatniego członka licznego rodzeństwa, przygnębił Irenę tak, że na parę miesięcy jej myśli, wola i uczucia jak gdyby odrętwiały i zobojętniały na wszystko. Machinalnie, niczym robot, podpisywała cokolwiek jej polecił nieodstępny doradca i pocieszyciel Blink, niezmiernie wówczas dla niej czuły, delikatny, uczynny i pomocny przy załatwianiu różnych spraw.

On też był autorem pomysłu, który przerwał jej apatyczną beczynność i stworzył dla niej zajęcie, które pasjonowało ją przez długie miesiące. Mianowicie, kiedy dr O'Mastah, powróciwszy z urlopu, w spóźnionym liście kondolencyjnym doradzał jej zmianę środowiska i powrót do ojczyzny, Blink dorzucił poprawkę, że panna Velik przed swym powrotem do Ameryki powinna koniecznie odnaleźć prowizoryczny, żołnierski, zapewne bardzo zaniedbany grób Adriana Velika i przenieść jego zwłoki do grobowca, który poleciła zbudować dla Ryszarda; niechby obaj bracia, zmarli i pochowani na obczyźnie, spoczęli we wspólnej mogile.

Irena zapaliła się do tego planu ogromnie. Dawał on jej coś do roboty, dostarczał też przyzwoitego pretekstu

do kontynuowania mimo ciężkiej żałoby ulubionych przez nią wycieczek autem, usprawiedliwiał wobec własnego sumienia dalsze trwonienie odziedziczonych pieniędzy na turystykę, był spóźnionym siostrzanym gestem wobec tego z czterech braci, który zmarł najwcześniej i któremu najmniej czasu mogła poświęcić za życia.

Porucznik Adrian Velik, pilot amerykańskiego samolotu wojskowego, po zestrzeleniu maszyny przez niemieckie zenitówki nie zdołał wyskoczyć ze spadochronem i zginął. Było to w roku 1944 Gdzie? W przybliżeniu może zdołałby to określić właściwy referent w waszyngtońskim Pentagonie, jak nazywa się gigantyczny pięcioboczny gmach-labirynt, mieszczący amerykańskie Ministerstwo Spraw Wojskowych. Ale Blink twierdził, że zanim biurokraci odszukają odnośny raport lotników z 1944, on z Ireną wcześniej odnajdą grób Adriana.

Jeździli więc autem od wsi do wsi, od miasta do miasta i wytrwale szukali zaginionej mogiły. Cmentarze, grabarzy, zakłady pogrzebowe, redakcje pism i urzędy miejskie mogła Irena ze swym nieodstępnym tłumaczem i doradcą odwiedzać za dnia, wieczory zaś najczęściej spędzała na mniejszych lub większych nibytowarzyskich zebraniach niemieckich weteranów wojennych, wśród których Blink miał mnóstwo znajomych.

Niemcy ci razili ją nie tyle charczącą angielszczyzną i koszarowymi dowcipami, ile już nietajonym jak w latach 1945–1948 uwielbieniem dla Hitlera, do którego mieli żal jedynie o to, że wojny nie wygrał.

Polityczną arogancję, perfidię, butę i bezczelność objawioną w takich wypowiedziach, wynagradzali Niemcy młodej Amerykance ustawicznymi zachwytyami nad jej urodą, zamożnością, szykownym strojem,

świetnym prowadzeniem samochodu i nad jej wybrednym gustem, którego żywym dowodem miał być Maks Blink. Niemal w każdym z tych miast i miasteczek w Niemczech zachodnich, jakie Irena odwiedziła szukając grobu brata Adriana, miejscowi hurra-patrioci urządzali jakąś bibę na cześć tej podróżującej niemiecko-amerykańskiej pary.

Dlatego Irena nie była specjalnie zdziwiona hałaśliwym i w różne hitlerowskie ozdoby upstrzonym bankietem, jakim uraczono ich w Norymberdze.

Kto wyrobił jej tam opinię bardzo bogatej pomimo jej zaledwie średniej zamożności, tego nie wiedziała; co gorsza, także nie wiedziała, co będzie kulminacyjnym momentem nader urozmaiconego bankietu ani też jak arcyważną rolę ona odegra w tej niespodziance, jak to później Maks Blink zbyt pobłaźliwie określał. Jak papuga powtarzała więc za mistrzem ceremonii jakieś niemieckie i łacińskie formułki, których treści nie rozumiała, pozowała paru fotografom, którymi Blink fachowo dyrygował i... masowo rozdawała autografy.

W takich to okolicznościach podpisała nieświadomie zarówno kilka weksli, jak i dokument stwierdzający... wobec kilkuset naocznych świadków... zawarcie małżeństwa z Maksymilianem Wilhelmem Blinkiem, skutkiem czego panna Velik stała się nagle panią Blink...

— Ach, więc Blink, fotograf „Mazurki”, to jest pani mąż! — rzekł Józef Lubor dziwnie zmienionym głosem.

Trochę późno domyślił się tego, trochę za długo łudził się przypuszczeniem, iż jej lekkomyślna przygoda miłosna w Konstancji nie powtórzyła się już w żadnej formie. Ale czy tak czy owak ze względu na zagadkę pożaru „Mazurki” i zniknięcia jej mieszkańców

powinien był cieszyć się z tego, że teraz chyba nie straci z oczu Blinka. Tymczasem właśnie ta ostatnia wiadomość zasmuciła nagle Polaka.

ROZDZIAŁ XXX

Po kilku minutach milczenia i skupienia, na jakie zasługiwał deser w postaci wspaniałych truskawek własnego chowu i kupionej w mleczarni ubitej śmietany, której cały syfon znalazł się w lodówce, Irena podjęła wątek swej opowieści tam, gdzie ją przerwała, to jest na owym wielkim bankiecie hitlerowców w Norymberdze.

Marsz weselny odegrany przez słynną tam orkiestrę i huczne wiwaty na cześć nowożeńców stłumiły słaby protest zdumionej panny młodej; protest tylko przeciw takiemu zaskoczeniu jej i przeciw tak nieamerykańskiej, a koszarowo-nazistowskiej formie wesela, nie zaś przeciwko samemu faktowi jej ślubu z cudzoziemcem, z Niemcem, z niedawnym wrogiem jej ojczyzny. Skoro bowiem już podczas pierwszych lat zaleconej fraternizacji w Niemczech zachodnich Amerykanie poślubili kilkadziesiąt tysięcy młodych Niemek, skazując na staropanieństwo tyleż własnych rodaczek w Stanach Zjednoczonych, dlaczegożby jedna z nich, panna Irena Velik, nie miała poślubić Niemca?

Zwłaszcza tego, z którym rok temu nad Jeziorem Bodeńskim nawiązała tak niepotrzebny romans. Zalegalizowało go więc zawarcie małżeństwa w Norymberdze i położyło kres dotychczasowej dwuznacznej sytuacji, na której drastyczność zwłaszcza Maks narzekał. Ambarasowało go to okropnie, jak twierdził, że w hotelach i gospodach, gdzie do rejestru gości każde z nich musiało podać swoje nazwisko, rachunki za obydwa pokoje płaciła stale Irena. Wprawdzie po ślubie on

nadal pozostał na jej utrzymaniu, ale o tym hotelarze i restauratorzy już nie musieli wiedzieć, on bowiem płacił teraz wszelkie rachunki i na jego nazwisko opiewało konto czekowe, zasilane jej dolarami oczywiście.

Drugą zmianą i nowością po zawarciu małżeństwa, było to, że Blink kompletnie stracił chęć do dalszego szukania grobu porucznika Adriana Velika. Choć przedtem on sam wysunął ten projekt, pragnąc zatrzymać Irenę dłużej w Europie, teraz uznał go za nonsensowną stratę czasu i marnowanie pieniędzy. Za to całą swą energię i spryt skierował na zabiegi o otrzymanie dla siebie prawa do osiedlenia się w Stanach Zjednoczonych. Uzyskał to stosunkowo szybko tylko dlatego, że został mężem kobiety urodzonej w USA, a więc „pierwszoklasowej” obywatelki amerykańskiej, której biurokraci nie mogą narażać na rozłąkę z małżonkiem, skoro on nie wszedł w kolizję z kodeksem karnym.

Dodatkową dla ekshitlerowca pomocą w tej dziedzinie było to, że dwaj rodzeni bracia Frau Blink, major Ryszard Velik i porucznik Adrian Velik, byli oficerami amerykańskimi, brali udział w wojnie i zginęli w Europie. Na tych poległych szwagrów powoływał się Blink aż nazbyt często w swoich podaniach do władz amerykańskich o różne ulgi, przyspieszenie decyzji, przywileje.

Po przybyciu do Ameryki próbował wtargnąć do kół wielkiej finansjery poprzez najnowsza plutokrację. Ubzdurał sobie bowiem na podstawie dawnych niemieckich filmów i powieści, że każdy amerykański nowobogacki to ambitny gbur, który wstydzi się swego prostactwa, nieokrziesania, złych manier i tylko marzy o złapaniu na współnika lub na totumfackiego jakiegoś Europejczyka z doskonałą prezencją, ogładą towarzyską,

znajomością innych języków i umiejętnością bawienia pań. Zwłaszcza w tej ostatniej dziedzinie Blink uważał się za czarną perłę.

Ale perła ginie na śmietniku, natomiast ślicznie wygląda w oknie wystawowym jubilera przy Piątej Avenue. Ażeby więc zwrócić uwagę na siebie, zamieszkał Blink przy snobistycznej Park Avenue w hotelu Waldorf Astoria, gdzie listę dostojnych stałych gości otwierają takie osoby, jak książę Windsoru, były król Anglii, jego morganatyczna żona była pani Simpson i ich trzy tak samo dystyngowane buldogi.

Wieczorami odwiedzał dansingi z występami artystów kabaretowych i równie drogie restauracje, w których prócz synów i cór faktycznych milionerów bywało znacznie więcej międzynarodowych hochsztaplerów. Coraz rzadziej zabierał do takich lokali Irenę, bez niej także spędził zimę w ciepłym Palm Beach na Florydzie, a lato w chłodnym Bar Harbor blisko granicy Kanady.

Koszty jego daremnego polowania na synekurę przez ocieranie się o bogaczy i wynikający stąd standard życia nad stan pochłonęły trzy czwarte majątku jego żony. Ona też potem, w roku 1953, przez znajomych swych rodziców wykołatała dlań posadę korespondenta niemieckiego i znawcy handlowych rynków europejskich w nowojorskiej firmie, która na olbrzymią skalę prowadziła interesy eksportowe i importowe z kupcami w krajach Ameryki Południowej, a ostatnio chciała rozszerzyć swą działalność także na Europę i Azję.

Blink mógł na tej posadzie utrzymać się długie lata, zarabiając na dostatek utrzymanie licznej rodziny, cóż dopiero tylko dwojga osób, aliści on zajął się głównie uwodzeniem żon i przyjaciółek swoich szefów, a kupcy

nowojorscy bynajmniej nie mają anielskiej cierpliwości dla swego personelu, bowiem cały jej zapas wyczerpują kapryśne klientki. Z miejsca więc wyrzucili Niemca, którego wzrost czy monokl tak pociągał ich znudzone kobiety i ostrzegli przed nim swoją branżą w myśl solidarności męskiej.

Odepchnięty przez grubsze ryby, próbował Blink szczęścia z mniejszymi płótkami, lecz każdą współpracę i każdy interes popsuło mu rychło jego chorobliwe donzuaństwo, z którym nie krył się już zupełnie w Ameryce.

Jego rzeczywiste pożycie małżeńskie trwało bardzo krótko i z długimi przerwami, a skończyło się definitywnie po przyjeździe do Ameryki. Tu jego rzekoma czułość ograniczała się do muśnięcia żony ustami w czoło albo w rękę, jeżeli witali się lub żegnali w obecności osób, przy których wypadało udawać wzorowego męża. Ilekroć pozostali sami, nie zdobył się na żaden odruch serdeczności, a jeśli potrzebna mu była jako modelka i pozowała przez szereg godzin bez strzępka odzieży, podniecało go to tylko w ten sposób, że wieczorem wybiegał z domu na całą noc, nie wiadomo dokąd.

Irena zdawała sobie sprawę z tego, że człowiek normalny tak nie postępuje, że Maksa dręczy jakiś uraz psychiczny i z właściwą jej wyrozumiałością zносиła jego niewierność. Aż raz wyniknęły stąd kłopoty, bowiem podczas gdy ona pracowała na Manhattanie jako sprzedawczyni rękawiczek w Domu Towarowym Macy'ego, zatrudniającym ponad 10000 pracowników, próżniak Maks grasował w okolicy ich ówczesnego skromnego mieszkania we Flushing i bałamucił dla odmiany... nieletnie dziewczęta. Matki trzech z nich zatrzymały wracającą z pracy Irenę i zażądały, żeby

natychmiast wyprowadziła się do innej dzielnicy wraz ze swym rozwiązłym mężem, w przeciwnym razie one postarają się o deportację.

Gdy Irena powtórzyła w domu to ultimatum i dodała garść własnych wymówek, pierwszy raz ujrzała prawdziwe oblicze swego niemieckiego małżonka. Spoliczkował ją bowiem, potem zakneblował jej usta i zbił szpicrutą do krwi, lecz tylko w miejscach, które suknie zasłania, żeby nie dać „wygodnego pretekstu do próżniactwa, do absentowania się w pracy”. Najchętniej zaś... i wtedy, i nieraz później... chłostał jej plecy, gdyż okazało się że blizny, jakie tam miała od czasu fatalnego wybuchu ręcznego granatu, który zabił jej najmłodszego brata, były szczególnie wrażliwe i bolesne, kiedy je smagał.

Ale bardziej od chłosty fizycznej zabolą ją słowa, jakie wtedy też po raz pierwszy wypowiedział z cyniczną szczerością: że nie kochał jej nigdy! Że zdradzał ją zawsze, bo nie potrafi pozostać wierny żadnej kobiecie dłużej niż miesiąc. Że poślubił ją jedynie dlatego, żeby móc dostać się do Stanów Zjednoczonych, a skoro to osiągnął i dostał jej pełnomocnictwo majątkowe, ona przestała mu być potrzebna, raczy mieszkać z nią i jeść to, co ugotuje, bo ona robi to gratis, a służącej musiałby płacić...

— On śmiał tak mówić do pani?! — wtrącił Lubor gwałtownie.

Tyle świętego gniewu zawibrowało w jego głosie, że Kleopatra porzuciła swe szczeniaki i przybiegła doń, warcząc i szczerząc potężne kły na znak, że solidaryzuje się z nim całkowicie i na jego rozkaz skoczy do gardła każdemu!

Maks mówił znacznie bardziej cynicznie, wulgarnie... Zwłaszcza później, gdy straciłam niezłą posadę w firmie Macy i musieliśmy zmienić mieszkanie na gorsze.

Zmienialiśmy je zresztą parę razy w Nowym Jorku, zawsze na tańsze, nigdy na lepsze. Tak doszliśmy aż do tych obecnych nor na poddaszu starej rudery przy Thompson Street, skąd stoczyć się można już tylko o jeden stopień niżej: do rynsztoków Bowery, na dno nędzy i poniżenia...

W takich to warunkach Irena sportretowała „Mazurkę”, nadbałtycką willę, której nigdy sama nie widziała. Woląła malować pejzaż niż sceny zniszczeń wojennych, których zdjęcia przeważały nad wszelkimi innymi w kolekcji Maksa. Poza tym, spośród różnych sfotografowanych przez niego domów najbardziej przypadła jej do gustu „Mazurka”, smukła jak najładniejsze wille alpejskie, romantycznie samotna na leśnej polance i otoczona drzewami tak, iż chyba tylko z okien najwyższego piętra można było dostrzec Bałtyk.

I teraz ona, Irena, jest niezmiernie rada, że wybrała sobie właśnie ten, a nie inny temat dla swego pierwszego całkiem już samodzielnie namalowanego obrazu. Właśnie bowiem przez swą prostotę i fotograficzne podobieństwo przyniósł on jej dzisiaj 25 dolarów, świetny obiad w restauracji i przejażdżkę automobilową, rozkoszną, mimo paru nieprzyjemnych niespodzianek spowodowanych przez burzę. Stokroć ważniejsze jednak jest to, że jej bezpretensjonalny obrazek, choć ginący w ciżbie płócien ulicznej wystawy, zwrócił uwagę właściciela „Mazurki” i naprowadził go na wyraźny trop Niemca, który widział ostatnie chwile nieszczęsnej willi, a zatem i jej mieszkańców.

— Czy moje wyjaśnienia są teraz wystarczające? — spytała, gdy gospodarz wstał i w kącie jadalni zaczął przygotowywać legowisko dla ziewającej Kleopatry i jej szczeniaków. — Po zachowaniu się pańskiej psiarni widać, że pan jest na wskroś dobrym człowiekiem, który nikomu nie wyrządzi krzywdy.

— Nie radzę na to liczyć... zwłaszcza panu Blinkowi nie radzę! — warknął pod nosem, po czym głośniej ją zagadywać: — Czy i pani wierzy w ten stary przesąd, że zwierzęta, zwłaszcza psy, od pierwszego wejrzenia poznają, czy człowiek jest czarnym charakterem?

Ani wyraźne aluzje, ani jego ukośne spojrzenia rzucające w stronę jej ciężkiej torebki nie zmieszały Ireny.

— Naturalnie, że w to wierzę! — odparła z zapałem, który podejrziwemu Luborowi wyglądał na cynizm, brawurę zuchwałej pajączycy, dopóki nie wysłuchał jej najświeższej rewelacji.

— Kiedy do naszej kamienicy Pedrito Perez przyprowadził bezdomnego psa, ten od razu polubił nas wszystkich, oprócz jednej osoby: na mego męża warczał, szczekał, a potem bał się go panicznie! Inna sprawa, że Maks znęcał się nad nim bez litości. Częściej niż nade mną. Aż pewnej nocy, kiedy szczury zanadto dokazywały na naszym brudnym podwórku, Maks wymknął się z psem na dach i stamtąd zrzucił go między gryzonie. Spadając niemal z szóstego piętra, biedny pies—przybłęda zabił się oczywiście. Żeby nie mieć kłopotów z sąsiadami i z Towarzystwem Opieki nad Zwierzętami oraz brzydkiej reklamy w prasie, Maks nazajutrz twierdził, że w nocy nie było go w domu, że głupi pies musiał sam wyskoczyć, gdy zwęszył szczury albo kota Klapperstorchovej. Ale ja nie spałam, ja widziałam, jak on najpierw wymknął się na dach z psem, a dopiero potem wybiegł z kamienicy. Ja jedna wiem, jak biedny kudłaty Dick zginął...

— Dick? Psu było Dick? A któż go akurat tak nazywał?

— Mój mąż. Nie podobało mi się to oczywiście, bo przecież Dick to zdrobnienie od Ryszarda, a takie imię

nosił mój najstarszy brat. Protestowałam więc trochę, ale to tylko podniecało Maksa do robienia mi na złość. Zdarzają się takie przekorne natury, pan rozumie.

— O, tak! I rozumiem coraz więcej...

Wstrzymał się jednak od powiedzenia jej tego, co teraz miał na języku, mianowicie, że skoro pan Blink chciał zamordować swego sąsiada, Ramona Pereza w taki sam sposób, jak zabił nieszczęsnego psa-przybłądę, to swawolna wdówka Hilda Aumayer i major Ryszard Velik ponieśli śmierć przez upadek z dużej wysokości chyba też nie bez dyskretnej pomocy tegoż Blinka.

A jeśli tak, jeśli eskapitan Maks Blink, niewątpliwy sadysta, zamordował po wojnie pierwszą swą narzeczoną i Velika, oficera amerykańskiego w amerykańskiej strefie okupacyjnej, to czyż miał jakieś skrupuły lub obawy zabijać ludzi podczas wojny, kiedy mógł to czynić bezkarnie i bez ryzyka dla siebie?

I jeszcze jedno. Kiedy dziś w rozmowie była wzmianka o zagadkowym pożarze największego statku francuskiego MS „*Normandie*”, Irena wygadała się niechcący, że Maks również miał upodobania piromana i wandala. Lubił podziwiać, fotografować i potem malować to, co ogień pożerał, a upodobania idą w parze ze skłonnościami! Jeżeli tak artystycznie i wszechstronnie sfotografował płonąca „Mazurkę”, to może on sam ją podpalił dla zapewnienia sobie obłąkańczej przyjemności? Czy tylko podpalił ją pustą, po uprzednim wyewakuowaniu jej mieszkańców, czy wręcz przeciwnie, po uwięzieniu ich w tym drewnianym budynku, żeby spalili się żywcem?

Pod obuchem tak makabrycznych myśli dostał Lubor ataku specyficznej duszności. Miał uczucie, że serce podchodzi mu do gardła, utrudniając normalny

oddech do tego stopnia, iż pociemniało mu w oczach i na osłabionych nogach z trudem dotarł do najbliższej kanapy.

Usiadłszy ciężko, poprosił Lubor swego zaalarmowanego gościa o przyniesienie mu szklanki wody i aptecznego pudełeczka z pastylkami, leżącego na najwyższej półce lodówki elektrycznej. Życzenie to zostało spełnione z rekordowym pośpiechem i to przyczyniło się do rychłej ulgi w cierpieniu pacjenta, gdyż po paru minutach oddychał i mówił jakby nigdy nic, ba, uśmiechał się wesoło.

— Dziękuję pani za tak szybką pomoc. I proszę być spokojną. Bardzo rzadko napada mnie ta dziwna nerwowa astma.

— A co by się stało, gdyby pan nie miał pastylek pod ręką?

— Lekarz straszył, że wyciągnąłbym kopyta, lecz co drugi eskulap straszy pacjentów, aby ich oduczyć lekomyślności. Prawdopodobnie zemdlałbym tylko i Kleopatra wyłaby wniebogłosey, dopóki by sąsiedzi nie nadbiegli, jak się to już raz zdarzyło. Wtedy właśnie zdecydowałem się pójść do doktora i on dał mi receptę na te wspaniałe pastylki.

— Czemuż nie nosi ich pan stale przy sobie?

— Noszę, jeśli wyjeżdżam. Kiedy jednak jestem tutaj lub pracuję blisko domu, wolę je trzymać w lodówce, bo zimno przedłuża skuteczność lekarstw w nowojorskim klimacie.

— Dzisiejszy atak duszności złapał pana w domu. Pomimo to zabrakło panu sił, aby dotrzeć stąd przez jadalnię lub przez sień do kuchni, gdzie stoi lodówka. Czyli byłby pan zemdłał, gdyby nie...

— Prawda! Gdyby nie pani — przyznał podnosząc do ust jej dłoń.

— Ach, przecież nie upominam się o podziękowanie

— zachnęła się i wnet uwolniła rękę, choć jego delikatność ogromnie krzepiła jej samopoczucie sponiewierane przez męża. — Moja obecność tutaj jest przypadkowa i... jednorazowa zapewne. Szło mi tylko o przekonanie pana, że każdy samotnik, choćby był uosobieniem zdrowia, może nagle znaleźć się w poważnym niebezpieczeństwie.

— Pani tylko przypuszcza, a ja to wiem z własnego kilkunastoletniego doświadczenia, jak strasznie źle człękowi być samotnym — westchnął Lubor żałośnie i przymknął oczy, żeby nie spostrzegła niemęskiej łzy i nawet ziewnął dla niepoznaki. — Przepraszam; ziewanie Kleopatry jest tak zaraźliwe, że...

— Że powinien pan zdrzemnąć się kwadransik. Ja przez ten czas sprzątnę ze stołu i zagotuję kawę — rzekła Irena i mimo jego protestów przeniosła mu nogi z dywanu na kanapę, po czym szybko wyszła zamykając drzwi za sobą.

— Jaka śliczna, taka i dobra — zamruczał Polak.

Właśnie chciał wyciągnąć się wygodniej do drzemki, gdy uczuł, że ugniata go koło serca coś twardego, co leżało pomiędzy jego lewym bokiem a oparciem starej kanapy. Wysławszy na zwiady prawą dłoń, namacał i podniósł dużą damską torebkę z tropikalnej słomki, której dzisiejszy deszcz nie wyszedł na zdrowie. Torba ze słomki powinna być lekka, tymczasem ona była ciężka, tak jak gdyby nadal kryła w sobie... rewolwer. Oczywiście tylko rewolwer! To dla podejrzliwego Lubora nie ulegało najmniejszej wątpliwości już od kilku godzin i połowę z nich zatrulo mu posądzenie Ireny o współudział w zbrodniach na tle rabunkowym, o jakich stale czytał w nowojorskiej prasie.

— Spluwa! Jasne, że spluwa, a nie fortepian. — Zostawiła ją tu przez roztargnienie. Zapewne wówczas, gdy pobiegła do lodówki po lekarstwo dla mnie...

Bandyta, który samarytańsko spieszył po lekarstwo dla swej ofiary, i to wówczas, kiedy ta ofiara była najbardziej bezbronna i podatna na bezpieczne obrabowanie jej, zasługiwał na specjalne względy. Taki zaś gospodarz, który przywłaszczyłby sobie coś, co należało do jego gości, przeszukawszy ich torebki czy kieszenie, byłby takim samym łotrem, jak gość okradający swoich gospodarzy.

Te refleksje sprawiły, że silne palce polskiego farmera otwierały podejrzaną torebkę niezdarnie, bezsilnie i z drżeniem.

— Tylko chwilowo wyjmę z niego naboje, żeby tu nie doszło do jakiejś strzelaniny. A oddam je pani Blink do ostatniego ładunku przy pożegnalnym uścisku dłoni — postanowił.

Rozgrzeszywszy się tak, już bez wahania otworzył torebkę, zajrzał do jej wnętrza i... zbaraniał. Krew zaczęła mu gwałtownie napływać do twarzy, iż wnet wyglądał jak gdyby został dopiero co wypoliczkowany wielokrotnie przez siłacza na miarę czarnego Dżima.

ROZDZIAŁ XXXI

Nieco później wkroczywszy do kuchni z bardzo niewyraźną miną, zastał Lubor naczynia pomyte, resztki jedzenia po kolacji włożone do lodówki, na piecu wszystkie cztery palniki zatrudnione przy grzaniu pożątej ilości wody, bo kocioł w piwnicy, zaopatrujący w ciepłą wodę kuchnię i łazienkę, zalała deszczówka. Na podłodze, obok ustawionej na dwu stołkach największej z jego blaszanych miednic, zobaczył wysoką piramidę brudnych ścierek, obrusów i ręczników. Słowem, szykowało się pranie w domu, tak jak gdyby w okolicy nie było chińskich pralni.

— Już pan się obudził? Tak rychło? — rzekła Irena,

trochę niezadowolona, że nie udało się jej sprawić mu niespodzianki. — Sądziłam, iż zdążę przeprać tych parę szmatek i wyświadczyć malutką przysługę pańskiemu kawalerskiemu gospodarstwu, które odrobinę szwankuje, a pan nadszedł tak wcześnie. Za karę pomoże mi pan prać, wyżywać i...

— Nie podobnego! Od tego są maszyny, a póki ich nie kupię, raz na miesiąc zawożę całą bieliznę do pana Ping Pong-pung, czy jak tam temu sympatycznemu Chińczykowi... Czyli nadszedłem tu w samą porę, by oszczędzić zbędnej fatygi tym pracowitym łapkoms — dodał ciepłej, odbierając jej paczki z mydłanym proszkiem. A po drugie, czyż trudno obliczyć, o której godzinie byłaby pani w domu, gdyby jej pobyt tutaj przedłużyło wypranie tak olbrzymiej sterty brudów?

Wskazał na zegar ścienny, biały podobnie jak gazowy piec, elektryczna lodówka, kredens, stół, krzesła i niemal wszystko w tej kuchni, gdzie nawet linoleum okrywające podłogę, a deseniem imitujące kafelki, sprawił sobie w odcieniu najjaśniejszym, jaki znalazł w sklepie.

— Za kwadrans dziewiąta? Nie przypuszczałam, że jest tak późno — zafrasowała się nagle. — A w nocy pociągów jest znacznie mniej. Ha, to rzeczywiście muszę już zabierać się do odejścia. Czy pan zdoła w tym błocie nawrócić i odwieźć mnie do najbliższej stacyjki?

— Nawrócić zdołam, ale jechać z gościem do tutejszej stacyjki nie zamierzam! — rzekł z udaną szorstkością. — I czy się to pani podoba czy nie, odwiozę panią autem aż pod bramę jej domu w Nowym Jorku! Wszelkie protesty z góry odrzucone!

— Jaki pan dobry! — rzekła cicho i musnęła go ustami w policzek.

Była naprawdę ujęta jego ofertą, gdyż przedtem sama wybrała powrót pociągiem, ale nie przypuszczała, że odjazd stąd nastąpi tak późno. Już choćby tylko ze względu na złą pogodę komunikacja automobilowa, jaką zaproponował gościnnie Polak, była stokroć wygodniejsza. Dla Lubora oznaczała jednak nie tylko jazdę do Nowego Jorku, lecz także z powrotem. Większą część nocy mógłby przez to zmarnować, a przecież rolnicy i ogrodnicy przy ich fizycznej pracy, wczesnym rankiem zaczynanej, chodzą spać znacznie rychlej niż mieszczanie.

Kiedy streściła Luborowi te swoje skrupuły, pochwalił ją za nieznaną egoistom umiejętność wczucia się w cudze położenie, przyznał się z uśmiechem, iż na ogół chodzi spać tak wcześnie, jak inni rolnicy, którzy jeszcze nie ulegli epidemii telewizyjnej trzymającej człowieka przy ekranie do północy. On zazwyczaj już przed godziną dziewiątą jest w łóżku z gazetą, lecz raz na jakiś czas może odstąpić od tej farmerskiej reguły. Taki wyjątek właśnie dziś zrobi z największą przyjemnością i nie dba o to, czy na skutek nocnej eskapady autem do Nowego Jorku i z powrotem pójdzie spać jutro o świcie, czy wcale nie. Czuje się teraz tak rześki i radosny, że z pewnością nie potrafiłby zasnąć przez wiele godzin.

To oświadczenie wąsatego hreczkosieja przypomniało Irenie żartobliwą przepowiednię Ampary Perez, że przy całym sam na sam z którąś z nich dwu nawet najgorszy wśród farmerów śpioch nie byłby śpiący aż do wschodu słońca. Nie powtórzyła tu tego oczywiście, tylko wyraziła chęć zatelefonowania do przyjaciółki. Oczywiście z najbliższej apteki albo knajpy, bo gdzieś indziej można by tu w niedzielę wieczór skorzystać z telefonu publicznego albo prywatnego?

— Tak się składa, że stojący przed panią ubogi farmer,

który jeszcze nie fundnął sobie telewizji, ma w domu telefon — rzekł Lubor z dumą. — Telefon do wyłącznego użytku tego domostwa. Z mojego aparatu może pani bez obawy czyjegoś podsłuchu zatelefonować kolejno do wszystkich... swoich wielbicieli.

— Niestety, nie mam chwilowo ani jednego — westchnęła trochę żartobliwie, by sprowokować jakiś komplement. — Pragnę zatelefonować tylko do mej sąsiadki, oczywiście na mój koszt. To rzeczywiście wygodne, że pan ma telefon w domu. W którym pokoju?

— W szumnie zwanym saloniku. Znów pani kicha! Aby nie dopuścić do zaziębienia, musimy te bakterie ukatrupić zawczasu!

— Byle nie samym koniakiem, jak w aucie; raczej gorącą herbatą albo kawą, a potem zaraz wyjedziemy, dobrze?

— Dobrze, skoro pani tak pilno do wiernego mężulka — wymamrotał.

Kiedy wychodziła z kuchni, żeby zatelefonować, Lubor ze starego żeglarskiego nawyku zmierzył wzrokiem jej smukłe nogi. I podczas tej optycznej inspekcji zauważył ze zgrozą, że sandały miała oblepione, a stopy aż po kostki uwalane przyschłym błotem tej brudno różowej barwy, jaką sztucznie narzucił swej prywatnej drodze. On sam przebrał się kompletnie, w sypialni, zmienił odzież na suchą podczas gdy Irena przygotowywała w kuchni kolację dla nich obojga i ciepły posiłek dla psów. Potem przyniosła mu lekarstwo, potem umyła naczynia, potem brudy z szuflad kuchennych wyciągnęła i zabierała się do urządzenia ręcznego prania, a pochłonięta wszystkimi tymi zajęciami wykonywanymi nie dla siebie, zapomniała o przemoczeniu stóp przy wysiadaniu z auta. Dlatego znów była na

drodze do zaziębienia, które tutaj latem zawsze trwa dłużej niż zimą.

— Typowa altruistka — mruzczał po polsku, przygotowując przystawki do herbaty. — A ja posądzałem ją o... Cóż za osioł ze mnie! Gdyby Rafałek to wiedział; a może by tak telefonować doń i spytać o radę, jaką metodą wycisnąć prawdę z Maksa Blinka, żeby nie wdepnąć w kolizję z ustawami i władzami amerykańskimi?

Irena też miała nad czym rozmyślać w następstwie sensacyjnych nowin, jakie usłyszała w ciągu swej krótkiej rozmowy telefonicznej. Nie czekała na połączenie ani ćwierć minuty, bo choć Nowy Jork ma ponad półtora miliona aparatów telefonicznych, większość z nich znajduje się w biurach, fabrykach i sklepach nieczynnych wieczorami i w niedzielę, zresztą upał wyludnił metropolię tak, że jej gaduły telefoniczne albo same były nieobecne, albo nie miały z kim gadać.

Odezwała się Dalila Klapperstorch, która nawet nie spytała kto mówi, tylko posłyszawszy w słuchawce znajomy głos żeński, rozwarła tamy wezbranego rezerwuaru plotek. Że coś się stało na 5, piętrze, bo Maks Blink, który nigdy nie wychodzi na ulicę za dnia, dziś wybiegł z domu, kiedy jeszcze było jasno, i to z grubo wypchaną teczką w dłoni! Gdy zdziwiona tym spytała, czy on idzie coś kupić i czy mógłby przy tej okazji przynieść jej paczkę papierosów, odburknął, że nie, że on spieszy się na dworzec, że wyjeżdża i że listownie poda żonie datę swego powrotu.

Gdy Maks Blink skręcił z ulicy Thompsona w przecznicę Spring, zaintrygowana Dalila pospieszyła na górę z powierzonym jej kiedyś przez kamienicznika kluczem-generalikiem otwierającym wszelkie drzwi w jego domu. Ale mieszkanie Blinków było otwarte i w

zwykłej swej formie, z wyjątkiem dwóch szczegółików: okolica tapczanu i pościel na nim wyglądała tak, jak gdyby odbył się tam mecz bokserski albo zapaśniczy, a w środku tego pobojuwiska, siedziała, ubierała się i łąkała... Ampara Perez... — Pozowałam mu do nowego obrazu — wykrztusiła w odpowiedzi na pytanie przybyłej: — Co się tu stało, co? I co pani porabia na cudzym tapczanie w tak kusym stanie w swej i tak już skąpej garderobie?

Czyż można uwierzyć, że ona tylko pozowała? Pozowanie w negliżu lub bez to dla modelek i żon malarzy chleb powszedni więc z jakiej racji to jej jakby debiutancko dziewicze szlochanie? Czyż Ampara nie zalewała się łzami raczej dlatego, że Maks właśnie ją porzucił? — Ach, ten rozkoszny brutal każdą z nas puścił w trąbę rychło, za rychło! — wysunęło się niechęć Dalili podczas jej zbyt szybkiego trajkotania. Była też ogromnie ciekawa, ile dni czy tygodni trwał jego romans z portorykańską sąsiadką, lecz ta wypchnęła ją ze studia i drzwi zatrzasnęła jej przed nosem.

— Ponieważ to zdawało się wskazywać na jej niechęć do zwierzeń, a mój język wprost palił się do kulturalnej rozmowy towarzyskiej, popędziłam do siebie na parter i zaczęłam telefonować do znajomych pań. Ale, jak na złość, tylko dwie zastałam w domu. Ach, ten upał wypłoszył nawet moje najwytrwalsze rozmówczynie! Droga pani jest dopiero trzecią osobą, której sumiennie komunikuję tę nowinę. Wspaniała sensacja, co? I jaka pikantna!

— Raczej smutna — bąknęła Irena. — Czy pani mąż i Ramon Perez zdążyli przywieźć obrazy z wystawy przed tą okropną ulewą?

— Jaką ulewą? Co za burza? U nas, w Village od tygodnia deszczu ani na lekarstwo! I wieczór mamy dziś

tak samo pogodny, suchy, gorący jak był cały dzień, no to co dziwnego, że malarze jeszcze nie wrócili? Przecież to ostatni dzień ich ulicznej wystawy — kłapała Klapperstorchowa.

— Ciekawe. Tam jeszcze sucho, a tu już drogi i piwnice pozalewało!

— Komu co pozalewało? Gdzie? Kiedy?

— Wszystkie radiostacje to podają co pół godziny. Ale pani, zamiast słuchać radia, woli rozsiewać brzydkie plotki o lokatorach.

— Ja coś rozsiewam, ja? Przepraszam, a kto ma przyjemność rozmawiać ze mną w chwili bieżącej, bo może nie poznałam?

— Irena, pani Dalilo; Irena Blink, żona Maksa Blinka!

— Czemuś pani na początku nie wymieniała swego nazwiska tak wyraźnie, jak teraz? I ciągnęłaś mnie za język incognito? Tak się robi z przyjazną duszą? Z bracią artystyczną? Z administracją domu czynszowego?

Irena nie słuchała jednak dalszych wymówek, odłożyła słuchawkę na widelki aparatu, tym samym kończąc międzymiastową rozmowę. Pierwotnym jej celem miało być zadanie kilku pytań Amparze w związku z zaproponowanym przez nią samą alibi dla przyjaciółki, lecz straciło to aktualność wobec wyjazdu Maksa.

I nagle minęła wszelka ochota do rozmowy z Amparą, której fonetycznie przyjemny głos zabrzmiałby teraz chyba jak syk węża. Maks nie mógł już zadziwić swej żony żadnym nowym łajdactwem, ale zabolą Irene perfidia i zdrada najlepszej przyjaciółki i powiernicy, która podjudzała ją przeciw mężowi, potępiała go najostrzej ze wszystkich znajomych, odsuwała się od niego ze strachem i wstrętem, ilekroć znaleźli się razem

we czworo, a w rzeczywistości „była jego kochanką, może od dość dawna”.

A i dzisiaj, czyż nie dla zapewnienia sobie długiego i swobodnego sam na sam z Maksem pokierowała Ampara sprawami tak, aby Ramon musiał być zakotwiczony na wystawie, a Irena wyekspediowana hen za miasto na plażę, dokąd miały pojechać one obie! Wszelkie pozory przemawiały przeciwko pulchnej Portorykance i budziły w świeżo rozżalanej Irenie chęć znalezienia sobie innej życzliwej duszy i powiernicy godniejszej zaufania niż fałszywa Ampara, nieobliczalny Ramon, albo rozplotkowana Dalila. Któż jednak mógłby się stać takim nowym i prawdziwym przyjacielem zaniedbywanej i zdradzonej żony?

Jak gdyby w odpowiedzi na to niewypowiedziane głośno pytanie zapukano do drzwi, zapytano, czy już wejść można i do saloniku-pracowni wkroczył Józef Lubor z dużą tacą, na której oprócz gorącej herbaty z całym jej ekwipunkiem angielskim znajdowały się fabryczne keksy, sucharki i biszkopty, a także słój miodu, cytryna i butelka rumu. Rozstawiając to na stole, gospodarz zerkał raz po raz na swego posepnie zadumanego gościa, którego fiołkowe oczy jakoś nie mogły oderwać swych spojrzeń od stojącego pod ścianą aparatu telefonicznego.

— Z zasmuconej buzi wnioskuje, że spotkała panią jakąś nowa przykrość podczas rozmowy z kimś w Nowym Jorku — zauważył trafnie, lecz mylny stąd wysnuł wniosek. — Z powodu przedłużenia się naszej wycieczki do Jones Beach czeka panią większa burza w domu, prawda? Z mojej winy, z mojej.

— Nic podobnego — zaprzeczyła żywo i, żeby rozproszyc jego skrupuły, ciągnęła dalej w tak szybkim tempie, że zagalopowała się przy końcu długiego

zdania. — Mój mąż nagle wyjechał, a ilekroć wyjeżdżał, to najmniej na trzy dni, zatem on nie dowie się kiedy wróciłam, choćbym wróciła dopiero jutro w południe.

— W południe? Lepiej pod wieczór, gdy się ściemni, żeby moi sąsiedzi...

— Ach, panie Lubor! — fuknęła nań, rumieniąc się ślicznie. — Ja powiedziałam „jutro w południe” tylko tak dla przykładu, dla podkreślenia faktu, że nie grozi mi żadna małżeńska burza, jeśli dziś wieczór wrócę do domu później niż zwykle. Nie należy wszystkiego brać tak dosłownie, jak pan to robi.

— Racja, racja — potakiwał smętnie. — Nie należy, gdy się jest takim niewyraźnym wdowcem-pechowcem jak ja, a nie takim w czepku urodzonym szczęściarzem, jak pani mąż... Ale zanim stąd odjedziemy, za pół godziny czy wcześniej... to od pani zależy, kiedy wystartujemy... muszę panią zabezpieczyć przed katarem czy gorszym zaziębnieniem niezawodną metodą mojej babki...

Wyszedł i po chwili wrócił z kuchni, niosąc dużą blaszaną miednicę do połowy napełnioną wodą gorącą, tak iż z trudem mógł zanurzyć w niej rękę, a przecież dłonie i twarz to najwytrzymalsze na zmiany temperatury części ciała. Postawiwszy miednicę na podłodze przed Ireną, ukląkł obok, szybko zakasał rękawy, zdjął jej zabłocone sandały, ujął oburącz umorusane w błocie stopki damskie, zanurzył je aż do dna miednicy, wyjął je, znów zanurzył i powtórzył ten zabieg kilkanaście razy, a równocześnie zapewniał ją o skuteczności tej staroświeckiej kuracji jakoby zwanej naparzeniem nóg.

Zagadując ją tak, wyjął z kieszeni nietonące w wodzie mydło do kąpieli i barwną florydzką gąbkę, którą namydliwszy, umył starannie jedną stopę, potem drugą

Z taką samą delikatnością wytarł je ręcznikiem, jaki przyniósł pod pachą.

Irena nadal milczała, jak gdyby jeszcze nie zdołała ochłonąć ze zdumienia. Syknęła z bólu tylko przy pierwszym zetknięciu stóp z tą mocno zagrzaną wodą. Potem znosiła „dziwne zabiegi lecznicze polskich babek” bez słowa protestu, za to jej spojrzenia bacznie śledziły każdy ruch klęczącego tak potulnie przed nią wąsala, a jej myśli starały się przeniknąć przyczynę i intencje jego obecnego postępowania. Bo kuracja kuracją, jednakże to jego pokorne umycie jej zabłoconych stóp i oczyszczenie jej sandałów, także na klęczkach, było chyba symbolem czy wyrazem może jakiejś pokornej pokuty i przeprosin? Ale za co przeproszał ją i pokutował? Gdy wreszcie zdobyła się na odwagę złamania purytańskich konwenansów i zapytania prosto z mostu co to znaczy, Lubor, który właśnie odsunął na bok miednicę i przybory do mycia, palnął się w piersi aż jęknął.

— Zgadła pani — przyznał ze skruczą. — Klęczę za pokutę, umyłem pani nogi za pokutę, odwiozę panią do Nowego Jorku za pokutę i co niedzielę pozwolę pani prowadzić mój wóz też za pokutę, ale to wszystko jeszcze nie naprawi potwornej krzywdy, jaką pani wyrządziłem.

— Pan? Mój mąż tak, ale skąd pan? Jakim sposobem?

— Takim, że dziś przez parę godzin uważałem panią za syrenę, awanturnicę, a chwilami nawet za bandytkę, która w jakimś ustroniu chce mnie zakatrupić i obrabować — wyznał jednym tchem, aby prędzej zrzucić kamień z serca.

— Ładna historia! I rozumiem teraz nareszcie, dlaczego pan, choć na ogół tak miły, rycerski i gościnniej chwilami obrzucał mnie tego rodzaju spojrzeniami, jak

gdybym była nałogową naciągaczką mężczyzn albo nawet krwiożerczą wampirzycą i...

— O to, to, to właśnie! Jakby pani była jedną z tych polujących na automobilistę pajęczyc, które opisują w tych tam gazetach — wtrącił wskazując piętrzącą się w kącie stertę brukowców.

— Ach, pan też lubi taką „krew w żyłach mrozącą” lekturę? U nas w kamienicy przepadają za nią wszyscy oprócz mnie; ja wolę czytać książki, opisy podróży i biografie. Ale co ja takiego dziś rzekłam albo zrobiłam, iż pan raczył uznać mnie za zbrodniarkę?

— Nic! Pani nic a nic, tylko moja chroniczna podejrzliwość to zrobiła. Gdy koło Fortu Hamilton zamienialiśmy się miejscami w samochodzie, pani torebka upadła. Podnosząc ją, wyczułem, że jest niezwykle ciężka, że kryje w sobie jakiś duży, twardy przedmiot i ubzdurałem sobie zaraz, iż to spluwa. Naturalnie polowałem wciąż na tę torbę, ale pani prawie nie spuszczała jej z oka, a w Jones Beach umieściła ją pani pod kluczem, zamiast wziąć na plażę, co zdawało się potwierdzać słusność moich posądzeń.

— To mi wyjaśnia pańskie ówczesne niedopowiedzenia i aluzje, których przedtem nie rozumiałam. Zatem przyłapał pan moją torebkę dopiero tutaj, w swoim domu, kiedy poszłam do łazienki umyć ręce.

— Nie, nie. Później. Prawdę mówiąc, tutaj zapomniałem o swych podejrzeniach. Dopiero kiedy wyciągnąłem się na kanapie po tym małym ataczku duszności, poczułem, że coś mnie ugniata z boku i znalazłem pani torebkę. Miałem skrupuły, czy ją otworzyć, a cóż dopiero zabrać z niej cudzą własność, toteż postanowiłem tylko „rozbroić artylerię”, jak się tu mawia i nie konfiskować pani rewolweru...

Który okazał się książką w grubej, ciężkiej okładce,

w jaką wypożyczalnie miejskie oprawiają dzieła popularniejsze, częściej będące w obiegu.

— Tak, okazał się książką. Posądzałem panią najniesłuszniej i ukarzę się za to i może wyleczę się choć częściowo z mej podejrzliwości. Ale jak zdołam naprawić krzywdę i przykrość wyrządzoną pani swoim oszczerstwem czy jak to nazwać?

— Już pan ją naprawił przez swe wyznanie i skruchę. Przecież mógł pan ani słówkiem nie bąknąć o swych chybionych podejrzeniach i o zrewidowaniu mej torebki. Mógł pan położyć ją na dawnym miejscu zamkniętą.

— Czy przez swą szczerość straciłem wiele w opinii pani?

— Wręcz przeciwnie, zyskał pan, i to ogromnie! — odparła, głaszcząc go po jasnej czuprynie jedną dłonią, a drugą podnosząc mu do góry brodę, bo przez cały czas tego kajania się miał głowę pokornie schyloną i wzrok wbity w ziemię, o ile nie w jej zgrabne odnóża. — Bo zbłądzić, zgrzeszyć, zawinić może każdy, lecz przyznać się do takiej winy, która byłaby nie do odkrycia przez innych, może tylko człek uczciwy na wskroś! To też choć my dwoje znamy się dopiero pół dnia, nabrałam do pana więcej zaufania niż do... do Ampary i do jeszcze dawniejszych niby-przyjaciół...

— Naprawdę? — Spojrzał na nią długo, przenikliwie, wreszcie rozpromienił się najradośniej. — Wierzę pani całkowicie! I proszę się nie śmiać ze zdziwczalego samotnika, ale pani słowa uszczęśliwiły mnie tak, że... że śpiewać i tańczyć mi się chce z nadmiaru uciechy!

— Ano to zatańczmy, jeśli pan ma jakąś „orkiestrę” pod ręką — odparła wesoło, zrywając się na równe nogi i podrywając go z kłęczek. — Tak bardzo dawno już nie tańczyłam...

Najpierw podbiegli do radioodbiornika, lecz radiostacje nowojorskie i te z Nowej Anglii, z północnego brzegu zatoki Long Island Sound zalewały fale eteru potokami komunikatów i reklamy oraz wiązkami ubóstwianych przez podlotki i wyrostki piosenek bezmelodyjnych, a rytmicznych z grupy „rock and roli”, „kołysz się i tocz”, które rozmiłowanemu w walcach i tangach Luborowi przypominały nie tyle muzykę, ile odgłosy dochodzące z Ogrodu Zoologicznego w porze karmienia zwierząt.

Natomiast kupiony na 18 miesięcznych rat patefon elektryczny, wciąż jeszcze sam zmieniający 12 płyt, choć 6-miesięczna gwarancja już mu wygasła 3 miesiące temu, został wyposażony nie tylko w repertuar operowy, ale także w parę tuzinów prastarych płyt polskich. Nie brakło wśród nich nawet takich dawno ogranych i zapomnianych przebojów, jak „Pod modrym niebem Argentyny”, „Dwóch nas się w jednej kochało pani”, „Szkoda twoich łez dziewczyno”, „Ta ostatnia niedziela”, „Znów mnie będziesz bił, ty okrutniku”, „Miłość ci wszystko wybaczy” z filmu pt. „Szpieg w masce” itd., itd.

Podczas pobytu w Europie nauczyła się Irena tańczyć, oprócz walca, także i tango, które w Stanach Zjednoczonych było modne, gdy tańczył je „uwodzicielsko i zabójczo” Rudolf Valentino, bożyszcze kobiet w epoce filmów niemych. Później wyparły tango z parkietów północnoamerykańskich tańce żywsze, czasem dość ładne, jak rumba, częściej karykaturalne, przypominające wygibasy i trzęsionkę robaków pijanych po przypadkowym wdepnięciu w maleńką kałużę rozlanej wódki.

Dzięki wprawie nabranej na dancjach europejskich, kiedy jeszcze była panną Velik, jak również w pierwszych miesiącach po ślubie, mogła teraz szybko

stańczyć się z takim jeszcze niezamerykanizowanym eksEuropejczykiem, jak Józef Lubor.

— Tańczy mi się z panią lekko, tak — powiedział — jak gdybyśmy znali się i chodzili razem na tańcówki od wielu lat.

— Jaka szkoda, że tak nie było! Jaka niepowetowana szkoda, że spotkaliśmy się tak późno w życiu — żalowała szczerze Irena, stwierdziwszy, iż jest jej bardzo a bardzo dobrze z nim, w jego starym aucie i w jego skromnym domku, a zwłaszcza w jego krzepkich ramionach.

— Lepiej późno niż nigdy. Byłoby gorzej, gdybyśmy spotkali się i polubili, tak jak dzisiaj, dopiero za kilkadziesiąt lat. Natomiast teraz nie jest wcale za późno! Jak niedyskretnie wyliczyłem, pani dopiero rok lub dwa temu przekroczyła trzydziestkę, ja nieco dawniej czterdziestkę, czyli bynajmniej nie jesteśmy sędziwymi staruszkami!

Ale i nie jesteśmy wolni, ani pan, ani ja — westchnęła.

— Możemy jednak wolność odzyskać. Pani przez rozwód, do którego ma pani tysiąc słusznych powodów, ja zaś w drodze sądowego uznania mej dawno zaginionej małżonki za zmarłą. Obydwie te nasze sprawy powierzyłbym hurtowo temu samemu kauzyperdzie, gdyż w hurcie wszystko taniej kosztuje, prawda?

— Wątpię, czy i na rynku porad prawnych. Adwokaci nowojorscy dyktują tak twarde warunki, że kobietom będącym w mojej sytuacji taniej wypadałoby pojechać po rozwód aż na drugi koniec kraju, do Reno w Nevadzie.

— Czemu tam wypadłoby taniej, skoro doszłyby koszty podróży?

— Bo tu sprawa może wlec się latami, tam zaś tylko kilka tygodni!

Nevada bowiem, 6, co do wielkości stan Republiki Federalnej, ratuje ubogie swe finanse przez zyskowe tolerowanie rzeczy zabronionych w innych stanach. Na przykład takich, jak uprawianie hazardowych gier w każdym przedsiębiorstwie, które za to płaci, jak jeszcze inne równie „niewinne” rozrywki. I tolerowanie dawania szybkiego i łatwego rozwodu przybyłej skądkolwiek osobie, która może udowodnić, że przez ostatnich 6 tygodni mieszkała bez przerwy w Nevadzie, dając tym samym zarobić nevadzkim hotelom, jadłodajniom, kinom, kasynom, szynkom, dziewczynkom, kupcom, kelnerom, automechanikom i w ogóle wszelkim miejscowym podatnikom. Jako najruchliwsze centrum rozwodów nevadzkich słynie sąd powiatu Washoe w Reno, które z dumą reklamuje się w Ameryce jako „największa mała miejscina na świecie”.

— No, to kochana pani także pojedzie do Reno i spędzi tam tyle czasu, ile trzeba dla uzyskania szybkiego rozwodu... oczywiście na mój koszt — rzekł Józef Lubor, wysłuchawszy jej krótkiej opowieści o nevadzkich „ulepszeniach w masowej produkcji rozwodów”. — Nie jestem bogaczem, ale przez tyle lat pracy w marynarce handlowej polskiej, potem brytyjskiej, wreszcie panamsko-amerykańskiej naciulałem sobie ze dwadzieścia tysięcy dolarków. Dwie trzecie z tego wydałem na kupno farmy, na inwestycje, na urządzenie tej chałupy i na takie artykuły pierwszej amerykańskiej potrzeby, jako auto, łódzka i telefon. Lecz reszta mej gotówki leży odłogiem w banku, na trzy procent tylko. Czemuż nie użyć z tego paru tysięcy na tak zbożny cel, jak wykupienie niewolnicy z jasyru, to jest chciałem rzec, jak uwolnienie pani od jej... niebezpiecznego małżonka? Co pani na to?

— Że to prześlizchny sen — odparła wzruszonym głosem i z uroczym trzepotaniem długich rzęs. — Sen o nieprawdopodobnym w dzisiejszych czasach altruście i miłosiernym Samarytaninie, który tkliwie troszczy się o zdrowie awanturnika, jaki go nad morzem napadł i strasznie mógł poranić... który z narażeniem własnego życia mknie autem po śliskich drogach, aby ratować psa przybędę... który chce cenne dolary, resztki swych ciężko zapracowanych pieniędzy stracić na uwolnienie od tyrana obcej mu kobiety, zaledwie dziś poznanaj!... Boję się strasznie, że jeśli teraz szeroko otworzę oczy, zbudzę się na dusznym poddaszu w mej kaźni, a ten cudny sen pryśnie jak bańka mydlana i wraz z nim zniknie pan.

— Nie, pani Ireno. Jeśli kiedyś, gdy już oboje będziemy wolni, pani zechce mnie za męża, ja nie zniknę z jej życia, dopóki nieba mi żyć pozwolą — oświadczył Polak tonem uroczystym, tak jak przysięga składana przez chrześcijan wierzących. Już przed dobrą chwilą przestał tańczyć tango i nawet kołysać się w miejscu do wtóru cicho granej melodii, lecz jeszcze nie wypuścił z objąć swej smukłej tancerki; mógł więc teraz patrzeć jej prosto w oczy z bliziuteńka, mógł ją także wzrokiem zapewnić o uczciwości swoich zamiarów. — Czy pani mi ufa i wierzy, iż nigdy, przenigdy nie postępowałbym z żoną tak nikcz... tak, jak Maks Bli...

— Wierzę, wierzę — wtrąciła szybko i, jakby chciała przeszkodzić innym wzmiankom o nikczemnym Maksie, wysunęła usta do pocałunku.

— I że nigdy nie naraziłbym nikogo z bliskich mi na tak straszną krzywdę i tak bezlitośnie długą niepewność — ciągnął dalej, choć jej wargi już prawie dotykały jego warg i należało od słów przejść do czynów — na jaką mnie... może bez swej winy, a może nie bez

lekkomyślności i brawury zadufanej w sobie sportsmenki... naraziła Alina?

— Alina? — Zdumienie czy zaskoczenie odmalowało się w fiołkowych oczach, które dopiero co tylko o pieśczętę prosiły i w oczekiwaniu jej zasnuwały się mgiełką. — Czyżby pańskiej zaginionej małżonce było także na imię Alina?

— Tak jest! Czy pani może... O, tak, pani na pewno coś wie, lecz tai przede mną! Proszę mi nie oszczędzać prawdy, jakakolwiek ona jest!

— Drogi mój przyjacielu! — odparła Irena łagodnie, współczująco, prowadząc go za rękę i skłaniając, aby usiadł obok niej na kanapie. — Jak nie zataiłam przed panem niczego z mej przeszłości, nawet wydarzeń kompromitujących mnie, niczym ów epizod w Konstancji, tak też nie zataiłabym żadnego szczegółu sprawy, której zagadkowość jest pańską najgorszą udreką od tyłu lat. Niestety jednak całą prawdę w tej dziedzinie zna tylko mój mąż. On zaś, choć lubi przechwalać się w gronie mężczyzn, nie jest skory do zwierzeń wobec kobiet, odkąd Hilda Aumayer go szantażowała. Nie zrobił pod tym względem wyjątku nawet dla mnie. Nie zwierzał mi się nigdy ze swoich sekretów.

A jednak zna pani to polskie imię „Alina”.

— Znam. Wyjątkowo od niego. Gdy raz w obecności pary klientów zapytałam go, kim jest albo co ma przedstawiać bohaterka jego ulubionej pseudoartystycznej kompozycji, Maksowi nie wypadło ofuknąć mnie jak zwykle „to nie twój interes, co cię to obchodzi”, i wówczas wyjaśniał krótko: „To pewna uparta Polka; jej nazwiska już nie pamiętam, tylko imię Alina. Z kolei ja zapamiętałam sobie to ślicznie brzmiące egzotyczne imię, lecz niczego więcej o niej nie dowiedziałam się nigdy. Może pan zdoła pociągnąć Maksa za

język jakimś podstępem? Na przykład połaskotaniem jego próżności męskiej czy malarskiej?

— Tak, ja spróbuję połaskotać go rozmaicie — rzekł Lubor ze zmrużeniem oczu cokolwiek złowrogim. — A co właściwie przedstawia ta jego kompozycja, ten jego ulubiony obraz, którego bohaterką jest... jakaś Alina?

— Zobaczysz pan sam. Nie chcę swym opisem uprzedzić pana i osłabić pańskiego pierwszego wrażenia. Skoro ofiarował się pan łaskawie odwiedzić mnie pod sam dom, pójdziemy razem na górę do studia i zobaczysz pan na własne oczy to... to makabryczne malowidło pod tytułem „W objęciach śmierci”.

ROZDZIAŁ XXXII

Śmierć „nieśmiertelnego” zbrojaka sprzed stu lat była w owym filmie walkowana jak ciasto, by słynny aktor mógł się do syta wygrać, wygłupić i wypowiedzieć tuż przed zgonem szereg wzniosłych myśli, jakich prawdziwy Billy the Kid, prymitywny młody jaskiniowiec i dzikus, nie zdołałby wymyślić, choćby żył 5 razy dłużej niż żył. Wreszcie ustały jego przedśmiertne drgawki czy konwulsje, fotogeniczna mgła osnuła efektownie ułożone zwłoki i na ekranie zakwitł duży napis: Koniec.

— Dopiero ósma — stwierdził Pedrito Perez, spojrzawszy na fosforyzujące cyfry i wskazówki zegara ściennego, umieszczonego na prawo od ekranu.

— Zostałbym chętnie na następnym seansie... och, mógłbym na ten sam film patrzeć jeszcze wiele razy!... gdyby nie tata.

Powrót taty Ramona Pereza z Wystawy Malarzy do domu powinien nastąpić koło godziny 9, albo wcześniej, jeśli wnet nadejdzie burza przepowiadana od

rana. A gdyby Ramon, staromodny rodzic, zdaniem własnych dzieci, nie zastał wieczorem w domu synalka i dowiedział się od Ampary, jaki film ów pobiegł podziwiać wbrew ojcowskim zakazom, posunąłby się znowu do staromodnych rękoczynów, nieprzyjemnie potem piekących pośladki chłopięce. Aby uniknąć takiego masażu, postanowił Pedrito zrezygnować z ponownego obejrzenia krwawych zbrodni „nieustraszonego” Billy Kida i jego historycznego dygotania przed zgonem.

Westchnąwszy rzewnie nad jego i własną niedolą, skierował się Perez młodszy ku wyjściu z kina, wbijając sobie w pamięć niektóre ze złotych myśli i filozoficznych wypowiedzi swego tegorocznego ulubieńca-bohatera, który np. miał powiedzieć: „Trudny jest tylko początek, tylko pierwsze zabójstwo od jednego strzału; następnych przeciwników mogłem już zakatrupić łatwo, tak jak muchy”.

Idąc przez salę kina ku wyjściu, naśladował Pedrito chód i ruchy tego słynnego zbója, lecz chociaż obydwie dłonie trzymał w kieszeniach rozczapierzone tak, jak gdyby miał tam ukryte pistolety, nie nastraszył, nie zaciekawil nikogo: ani kinomaniaków, ani tych czekających na następny seans, ani wychodzących równocześnie z nim. Wszyscy mijali go obojętnie i potrącali w nowojorskim pośpiechu, jakby im był zawadą przez swój powolny chód czy niski wzrost.

Lecz ci sami rozstępowali się zaraz za drzwiami kina i z respektem okrążali stojącego tam i zawadzającego wszystkim rudego dryblasa przeszło dwumetrowej wysokości i mającego zawadiacką minę awanturnika. Bardziej zalotne czy ciekawe kobiety obejrzały się, by zobaczyć tę szczęśliwą niewiastę, po którą taki wielki lud przyszedł i zdumiały się, kiedy on podszedł do

małego chłopca, który ani rusz nie wyglądał na jego syna, lecz raczej na Murzynka lub Mulata.

— Jesteś nareszcie, Pedrito — zawołał niby to radośnie, choć w rzeczywistości był zniecierpliwiony i gniewny. — Ależ się tu wyczekałem na ciebie, szczęś... mój młody przyjacielu, ależ się wyczekałem!

Młody Perez najpierw buzię otworzył ze zdumienia, gdyż sądził, iż jego solowy pobyt w kinie na tym filmie był sekretem nieznanym nikomu. Lecz większą i przyjemniejszą niespodziankę sprawiło mu to, że taki wysoki mężczyzna jak Maks Blink publicznie nazwał jego, mikrusa i niemal karzełka, swoim przyjacielem. Rozpromienił się więc chłopczyk i jak mógł najgłośniej podkreślił swoją znajomość z rudym eksoficerem.

— Witam cię, kapitanie — zapał swym nieco piskliwym dyszkantem — jak odgadłeś, że spotkasz mnie tutaj?

— Zabawiłem się w detektywa — zarechotał zapytany. — Twoja matka wyjawiała mi, jaki film chciałeś dzisiaj zobaczyć. Zajrzałem więc do gazety i z kilkunastu kin, jakie ten obraz teraz wyświetlają w Nowym Jorku, wybrałem kino najbliższe od naszej kamienicy. No i znalazłem cię, jak widzisz.

— Jesteś genialny, kapitanie, niczym Billy the Kid!... A co słyhać poza tym? Czy mój tata wróć... czy wszystko w porządku u nas w domu?

— Ujdzie. Grunt, że twój ojciec jeszcze długo nie wróci z wystawy, czyli możesz śmiało pójść ze mną na lody z syropem czekoladowym. Lody nas ochłodzą przy tym upale. Nie odmówisz chyba zaproszeniu starego swego przyjaciela, co?

Pedrito uszczypnął się w udo dla sprawdzenia, że to cudna jawa, a nie film; kapitan Blink, postrach całej

kamienicy, nadskakiwał mu i zapraszał go na lody! Nie uwierzyłby w to nikt, ale losy łaskawe zesłały tu naocznego świadka! I to takiego, którego wiarygodności nikt z kolegów szkolnych nie ośmieliłby się kwestionować, bowiem świadkiem tym był Jarosław, 10-letni siostrzeniec i wychowanek gospodyni proboszcza i faktycznego dyrektora miejscowej szkoły parafialnej!

Sierota Jarosław był czeskiego pochodzenia, nazywał się Herudek, przez co w klasie zwano go Herodem. Bardziej zasłużone nazwisko szkolne nosił Pedrito, mianowicie procarz Dawid, a choć letnie wakacje już się właściwie rozpoczęły, moda na epitety szkolne trwała nadal, jak świadczyła wymiana not werbalnych przed kinem, gdzie Jarosław snadź oglądał fotosy w już oświetlonych gablotkach.

— Hej, Dawidku, mistrzu procy, skądżeś ty takiego Goliata wytrzasnął? — spytał cicho Jarosław, wskazując kciukiem Blinka, który właśnie przeszedł obok niego.

— To mój sąsiad i osobisty przyjaciel — wyjaśnił Pedrito z godnością, po czym dodał wesoło: — Nie włóż się pod wieczór koło kin, Herodku, bo znów cię diabeł skusi do grzechu i twoja ciotka sprawi ci nową rzeź niewiniątek. Jak za to akwarium w kropielnicy, pamiętasz?

Któżby mógł to zapamiętać lepiej od Jarosława! Mając serce czułe dla zwierząt, cierpiał, ilekroć ciotka zabijała ryby albo drób dla smakosza proboszcza. I kiedy w tym roku ktoś z hojniejszych parafian przywiózł mu trzy żywe homary imponującej wielkości, Jarosław cichcem wykradł je z ciotczyngo koszyka i wpuścił do chrzcielnicy w kościele, żeby sobie raki nieboraki popływały przed strasznym zgonem na mękach w kuchni, jak się tłumaczył, kiedy profanację wykryto

już nazajutrz podczas przygotowań do chrzcina.

— Dokąd właściwie idziemy?

— Tam, gdzie lody są dobre, choć tanie. A jakie rodzaje lodów już jadłeś w życiu, mój młody przyjacielu? — dopytywał czy zagadywał mąż Ireny, uprzejmy i czuły dziś dla synka sąsiadów jak nigdy dotychczas.

Dopóki Blink mieszkał w Europie, znał tylko lody śmietankowe, kawowe, malinowe, orzechowe i włoskie tutti-frutti. W Ameryce zaś widywał w niektórych restauracjach i lodziarniach spisy zawierające ponad 30 rozmaitych smaków lodowych! A osobne urozmaicenie tej smacznej mozaiki stanowią dodatki kawałeczków ananasa, banana, pomarańczy, brzoskwini i polukrowanie porcji lodów syropami wszystkich kolorów tęczy, według wyboru klienta. Słowem, Pedrito Perez, namiętny wielbiciel lodów, jak 99 proc. dzieci amerykańskich, nie mógł wyczerpać tak wdzięcznego tematu rozmowy w ciągu kilku minut.

Rozgadany, ani się spostrzegł, kiedy z boku dotarli do osławionej Bowery, która właściwie jest południowym przedłużeniem Trzeciej Alei. Tam, minawszy kilkanaście brzydkich odrapanych kamienic i kilku zarosniętych obdartych brudasów, jakich w żadnej innej części Manhattanu się nie spotka, zatrzymał się Maks naprzeciw jednego z tych dużych domów noclegowych czy zdeklasowanych do ostateczności hotelików, które wewnątrz są niekiedy jeszcze gorszymi rudarami niż z zewnątrz.

— Chwaliłeś się, że masz dobrą pamięć, drogi chłopcze — rzekł. — A czy potrafisz zapamiętać nazwisko: „Mrs. Karen Cavatappi”?

— Naturalnie, że potrafię: misis! Karen! Kavahta-pec!

— Bravo! Wymawiasz to właśnie tak, jak chciałem. Pani Cavatappi mieszka w dużym budynku naprzeciw. Na której wspólnej sali ma ona swój barłóg czy polowe łóżko, tego nie wiem, ale na dole w portierni podadzą ci numer tej izby.

— A jak ja rozpoznam panią Cavatappi wśród innych pań? Czy to jest siwa staruszka czy... młoda blondynka, kapitanu? Jak ona wygląda?

Maks Blink opisał mu obecny opłakany wygląd ofiary najgorszego z nałogów i podkreślił, że należy rozmówić się z nią w jakimś kącie izby czy przedsionka, z dala od ciekawych uszu złych ludzi, którzy ją biedną więżą tam, głodzą i szpiegują na każdym kroku. To końcowe grubo szyte kłamstwo nie tylko wprowadzało w błąd naiwnego posłańca, lecz także elektryzowało go posmaczkami spisku i tajemniczości, a który młodociany kinomaniak nie przepada za takimi konspiracyjnymi efektami?

— Rozumiem, kapitanie! Możesz polegać na mnie, że żaden szpieg nie dojrzy, kiedy jej doręczę twoje szyfrowane depesze i tajne plany fortyfikacji.

— Nic tu doręczać nie będziesz, ale nie rób tak prędko rozczarowanej miny. Przeciwnie, czuj się ważny! Misja, jaką ci w zaufaniu poruczam, jest nazbyt doniosła, żeby można ryzykować przesyłanie czegoś na piśmie. Ustnie to musi być załatwione, tylko ustnie! Czyż jednak zdołasz zapamiętać mój potrójnie tajny... szepto-telegram?

— Tak, kapitanie, jeśli nie jest dłuższy niż nasz hymn narodowy — odparł cicho chłopiec, starając się zapamiętać też ten elektryzujący go dziwoląg językowy — szepto-telegram.

— Prawdę mówiąc, nie znam tekstu amerykańskiego hymnu i...

— Ja go znam na pamięć! Czy zadeklamować go czy odśpiewać?

— Kiedy indziej, Pedrito. Teraz nie mam czasu. Teraz muszę wbić ci w pamięć to, co na osobności musisz rzec pani Karen Cavatappi. Powiesz jej tak: Przysyła mnie znany pani szwajcarski bouncer z dobrą nowiną! Udało mu się dostać w porcie to, co pani lubi najwięcej. I przywiezie on to idącym na północ pociągiem linii podziemnej Lexington dzisiaj między dziewiątą a jedenastą w nocy. Musi więc pani czekać na wschodnim peronie stacji przy Bleecker Street od godziny dziewiątej wwyż... Powtórz to wszystko, chłopcze.

Powtórzył kilkakrotnie, za każdym razem gładziej. Potem otrzymał dodatkowe polecenie, żeby po wypełnieniu swej misji u Karen nie zbliżał się do Blinka, lecz udawał, iż go nie zna i szedł drugim chodnikiem na południe, ku China Town, aż do odwołania.

— Ja będę obserwował cię z daleka, by upewnić się, czy po tej wizycie nie będziesz śledzony — dodał Maks, tym razem szczerze wyjawiając swoje obawy; one właśnie sprawiły, że zdecydował się użyć dziś pośrednictwa Pedrita.

Pedrito zaś, dumny i zachwycony swoim udziałem w tajemniczej konspiracji, popędził na drugą stronę szerokiej w tym miejscu Bowery, skoro tylko regulujące ruch uliczny światła z zielonych zmieniły się na czerwone i unieruchomiły na pół minuty wszelkie wchwały jadące po Bowery, a odkorkowały dla ruchu jej przecznice. Dobrodusznemu chłopcu ani nie przemknęło przez myśl podejrzenie, że niesie nieszczęsnej Karen Cavatappi zaproszenie na schadzkę ze śmiercią, że Maks Blink postanowił ją zlikwidować za to, że ośmieliła się wyjawić Patowi MacCluskey, kto jej dostarczał narkotyki i że placem okrutnej egzekucji ma

być owa stacyjka kolejki podziemnej przy Blecker Street.

Nazwisko Cavatappi wydało się Pedricie znajome; bodajże matka wymieniała je w rozmowach z ojcem, kiedy jeszcze chodziła do pracy, lecz zdarza się przecież, iż ludzie niespokrewnieni z sobą noszą to samo nazwisko. Na przykład w szkółce parafialnej, do której Pedrito Perez i Jarosław Herudek jako katolicy uczęszczali, przygotowując się do liceum, było trzech nieskuzynowanych z sobą chłopców nazwiskiem Smith, czyli Kowal, a nauczyciel pocieszał ich wesoło, że w Ameryce jest Smithów więcej, przeszło półtora miliona! Czemuż by zatem nie miało być parę tuzinów Cavatappich i Perezów, i Slinków?

Maks Blink, zaszywszy się w ciemną niszę przed drzwiami jakiegoś sklepu, zamkniętego w niedzielę jak wszystkie sklepy oprócz niektórych z żywnością otwieranych na kilka godzin przez najchciwszych groserników, obserwował bacznie drugą stronę ulicy. Tam, gdzie Karen mieszkała, musiano zauważyć już dawno, że ona jest nałogową narkomanką. Nie gorszyło to chyba nikogo na Bowery, ulicy dogorywających rozbitków życiowych, ale jakiś moralista mógł uwziąć się, że spowoduje przyłapanie jej dostawcy „białej trucizny” przy pomocy groźnych agentów z Narcotic Squad. Tacy agenci, czy to czatujący gdzieś w pobliżu, czy przyzwani telefonicznie i pędzący tu właśnie, z pewnością nie przymknęliby 9-letniego dzieciaka, gdyż tego im zrobić nie wolno, lecz chętnie podreptaliby za nim krok w krok, aby ich naprowadził na trop dorosłego winowajcy, który go z jakąś nowiną czy paczuszką przysłał do Karen Cavatappi.

Kiedy jednak okazało się kilka minut później, iż absolutnie nikt nie idzie za Pedritem, dopędził go Maks

i uraczył drugą niezwykłą misją. Tym razem chłopiec miał doręczyć zapieczętowany list lichwiarzowi nazwiskiem Operman, który mieszkał blisko Bowery nad swoim lombardem, dziś oczywiście zamkniętym. W ubiegłych latach większość transakcji pożyczkowych załatwiała się bez świadków w lombardzie lub nad nim, o każdej porze dnia i nocy, aż pewnego razu jedna z lepszych stacji telewizyjnych puściła na ekrany godzinny skrót fabuły „Zbrodni i kary” Dostojewskiego. Wstrząśnięty tym, co w tej tragedii spotkało jego koleżankę po fachu i jej siostrę, Operman stał się rekordowym tchórzem i absolutnie nikogo nie przyjmował w mieszkaniu. Za żadne skarby nie byłby tam był wpuścił takiego dryblasa jak Maks Blink, choć go znał osobiście od roku.

Maks zaś, po wyciśnięciu prawdy z Ampary, chciał jeszcze dzisiaj wydostać swój zastawiony u lichwiarza rewolwer i przy tej okazji kupić trochę heroiny, jaką ów też miewał na składzie, lecz sprzedawał ją tylko starym, wypróbowanym, dobrze mu znanym klientom. Dzieciaka tak wątko wyglądającego jak Pedrito nie mógł obawiać się nikt dorosły, więc lichwiarz w końcu wpuścił malca, obejrzawszy go sobie wpierv dokładnie przez „judasza” w drzwiach, do prostej i dobrze oświetlonej klatki schodowej. Po odpieczętowaniu przyniesionej przez Pedrita małej koperty i wyjęciu z niej dwóch spiętych szpilką papierków, gwizdnał machinalnie w sposób, w jaki Amerykanie wyrażają podziw albo zachwył.

Żadne pisemne ani ustne prośby i zakłęcia z reguły nie wzruszają lichwiarzy i handlarzy narkotykami, toteż doświadczony Maks Blink ograniczył się do paru kupieckich zdań w swoim liście, za to przyszpilił doń argument niezawodnie przekonywający: pieniądź.

Oczywiście papierowy, a nie monetę, oczywiście nie czek ani weksel, tylko gotóweczkę, banknot. Studolarowy banknot, który przeszedł klasyczną operację i amputację w stylu zwykłych praktyk dawnych przemysłowców alkoholu w okresie sławetnej prohibicji.

Był to ten sam krwią obryzany banknot, jaki barman Patrick McCluskey dostał od swego chlebobdawcy Fortunata Cavatappi w nagrodę za przedrozwodowe podstępne osaczenie jego staczającej się w przepaść żony, Karen. Uważając skrwawiony banknot, tak jak postronki po wisielcach, za szczęśliwą maskotkę, potraktował go Pat jako pierwszą inwestycję w swój handel „białą trucizną”.

Ponieważ przy interesach prawem wzbronionych i przez to niezaskarżalnych w razie niedotrzymania umowy... kontrahenci nie ufają sobie wzajem, zamawiający towar daje zaliczkę w postaci połówki przedartego pionowo banknotu o wysokim nominale, takim jak setka, tysiąc i rzadko poza bankami spotykane 10000 dol. Przy dostarczeniu towaru otrzymuje dostawca drugą połówkę banknotu, po czym skleja obie połówki przezroczystym i cieniotkim „plastrem angielskim” z plastyku i puszcza go w obieg jakby nigdy nic.

Pat MacCluskey, który często to praktykował za prohibicji, przedarłszy dziś swoją setkę—maskotkę, dał połówkę na zakup towaru Amparze, której... gdy zemdląca... wyciągnął ją Maks Blink z torebki wraz z całą resztą pieniędzy. Nawykły do życia na koszt kobiet, nie tylko nie miał najmniejszych skrupułów z powodu tej kradzieży, ale jeszcze zirytował się, że znalazł przy Amparze tak mało i kazał jej się poprawić pod tym względem na przyszłość albo źle z nią będzie!

Przeczytawszy krótki list Blinka i stwierdziwszy pod światło, że zielony załącznik jest połówką prawdziwego banknotu, a nie falsyfikatu, Operman przestał się wahać i spojrzał nawet dość łaskawie na Pedrita, choć ów jeszcze przez długie lata nie powinien był zostać klientem lombardów i lichwiarzy.

— Powiedz wujowi Maksowi... bez względu na to, czy on jest twoim wujem prawdziwym czy tylko na dziś przyszywanym... żeby czekał w cafeterii, jaką proponuje w liście. Niech tylko zajmie stolik przy oknie, bo ja lubię zerkać sobie na ruch uliczny. Gdzie indziej nie usiądę, pamiętaj! — rzekł powoli, dobitnie, by malec zapamiętał jego odpowiedź. — Niech wuj Maks czeka cierpliwie. Pan Operman, czyli ja, potrzebuje trochę czasu, żeby znaleźć obie żądane... zabaweczki.

Pedrito ani przez sekundę nie wątpił, że „zabaweczki” w żargonie konspiratorów to co najmniej kieszonkowe bomby atomowe albo model samolotu międzyplanetarnego i oczywiście chłopak był w siódmym niebie. Coraz więcej uwielbiał za to kapitana Blinka, choć rozmawiać z nim zakazał mu ojciec właśnie dzisiaj. — Ach, mój tata jest taki staromodny — powtórzył malec chyba po raz tysięczny, odkąd zaczął chodzić do szkoły, gdzie większość chłopców chępiła się posiadaniem rodziców „postępowych”, czyli pozwalających dzieciarni na wszystko, „by uchronić je przed kompleksem niższości”.

Pierwsza porcja lodów pistacjowych, morelowych i ananasowych z wiśniowym syropem została spałaszowana przez Pedrita doszczętnie, kiedy do owej podrzędnej cafeterii wkroczył kulejący pan Operman, trzymając oburącz takie tekturowe pudełko, jakie stanowi zwykle opakowanie trzewików właśnie kupionych w sklepie obuwia.

— Mógłby pan nareszcie zacząć używać mniej nawiwnych kamuflaży — zganiał go i zwrócił się do malca.

— A ty mi już nie będziesz potrzebny. Znikaj.

— Już? — Pedrito był okropnie zawiedziony; teraz, gdy powinny nastąpić najciekawsze epizody konspiracji, jego chciano splewić. — Kapitanie, nie krzywdź wiernego ci trapera — rzekł stylem pożyczonym z literatury o Indianach, a nagiętym do własnych potrzeb. — Upolowałem dla siebie w stepach Bowery dwa bizony, więc należą mi się dwie porcje lodów, a nie tylko jedna.

— Ach, zeżryj nawet trzy porcje, zrób sobie ślizgawkę w brzuchu, tylko nie zwracaj mi głowy teraz — odburknął Maks Blink już bez cienia niedawnej czułości i uprzejmości wobec młodego pomocnika.

Posłyszawszy, że może zjeść trzy porcje lodów, Pedrito rozpromienił się z radości, zgarnął ze stołu swój kupon-rachunek, przedziurawiony na razie raz, przy cyfrze 25, a płatny dopiero przy opuszczaniu cafeterii w jej kasie znajdującej się tuż przy drzwiach i popędził do długiej lady, dźwigającej na wysoko spiętrzonych szklanych półkach rozmaite potrawy i przysmaki za tysiąc dolarów co najmniej.

Pedrito zignorował jednak nawet tę część lady, która łaskocze młode podniebienia widokiem przeróżnych tortów, ciast, ciastek, placków i pierogów nadziewanych każdy innym owocem. On wolał ten niski, metalowy odcinek lady, który na zewnątrz odznaczał się tylko okrągłymi pokrywami, za to w swym wnętrzu krył tyleż głębokich wiader, zanurzonych w sztucznym lodzie.

Każde wiadro zawierało lody o innym smaku, jak wskazywały napisy na pokrywach, toteż Pedrito jak zwykle grymasił, zmieniał decyzję, ku irytacji obsługującej go bufetowej w bufiastej bluzce i w białym czepku.

Pomyliła się dziewczyna przez jego lodziany sybarytyzm czy kaprysy i perforatorem drugą dziurkę na kuponie zrobiła mu przy cyfrze 55 zamiast 50, ale małe zauważył to i bezzwłocznie wniósł reklamację swym piskliwym głosikiem. Nie chciał dopuścić do tego, żeby szlachetny fundator zimnej uczy kapitan Blink zapłacił o 5 centów więcej niż się jadłodajni należało.

Dziewoja nakładająca lody przy ladzie kazała sobie pokazać z daleka finansowo odpowiedzialnego za tu-tejsze orgie syropowo-lodowe Pedrita, czym urażony chłopczyk oświadczył jej na odchodnym: — Jak tylko połknę całą drugą porcję, przyjdę po trzecią i co mi pani zrobi? — Jednakże nie przyszedł po tę trzecią, ach, nawet drugiej jeść nie skończył, bowiem zaszła rzecz nieprzewidziana, okropna, wstrząsająca!

Kiedy Pedrito objuczony drugą trójbarwną piramidką lodów powrócił do swego stolika, Blink i Operman, siedzący tam naprzeciw siebie, a profilami do okna, klócili się już zajadle, acz bez podnoszenia głosu i bez gestykulacji mogącej zwrócić na nich uwagę innych osób w cafeterii. Głównie spojrzenia, jakimi sztyletowali się nawzajem, świadczyły o napięciu stosunków dyplomatycznych pomiędzy nimi.

— To pan kręci, nie ja — twierdził lichwiarz. — Gdybym wiedział, że pan nie ma przy sobie drugiej połowy tej przedartej stówki i że na nią trzeba czekać parę godzin, nie wyszedłbym dziś z domu na krok! I nie dźwigałbym tej ciężkiej pańskiej kolubryny, którą teraz muszę odtaskać do lombardu z powrotem.

— O, nie! Ja jej będę dziś potrzebował koniecznie — syknął Maks, przysuwając do siebie tekturowe pudełko, które kryło w sobie jego ulubioną pamiątkę wojenną, pistolet automatyczny, a nie pantofle tenisowe, jak głosił napis na wieczku. — Ja ją muszę mieć dzisiaj!

— Pan może mieć swą spluwę w każdej chwili, lecz po uprzednim zwróceniu mi osiemnastu dolarów, jakie mój lombard pożyczył panu pod jej zastaw.

— A co mi się stanie, jeśli tej sumki nie wytrzasnę panu natychmiast? Czy będzie pan szamotał się i mowował ze mną? — spytał Maks szyderczo.

Pedrito parsknął śmiechem, bo nader zabawny wydał mu się widok zapasów między olbrzymim Blinkiem a małym wymokłym kuternogą. Aliści ów z największym spokojem wyciągnął chudą żyłastą dłoń po paczkę, patrzył silniejszemu przeciwnikowi prosto w oczy i jeszcze uśmiechał się zwycięsko.

— Szamotanie się ze mną byłoby fatalne nawet dla policjanta — powiedział cichutko — moja straż przyboczna podziurawiłaby go na sitko. Pan patrzy w złym kierunku, nie ma ich na sali. Wolę zostawiać ich na ulicy i zająć stolik przy oknie, by mogli czuwać nade mną bez przerwy. Dwóch z nich stoi pod latarnią i patrzy na nas, jak pan może stwierdzić naocznie. Czekają tylko na mój sygnał...

Zaciekawiony Pedrito wstał, żeby lepiej widzieć, gdyż stół odgradzał go od okna.. Poza nim dojrzał dwóch obdartusów rzeczywiście patrzących tutaj; wyższy z nich miał dłonie w kieszeniach podejrzanie odstaających, niższy trzymał oburącz coś, co wyglądało na futerał instrumentu muzycznego, a cieńszy koniec futerału zwrócony był wyraźnie w stronę Maksa Blinka.

— W tym pokrowcu od saksofonu jest oczywiście mały kulomiot; kupiłem go okazjnie od wdowy po gangsterze — objaśniał spokojnie Operman, za to Blink stał się bardzo niespokojny.

— Słyszałem, że teraz za użycie kulomiotu przy akcji gangsterskiej grozi nieuchronnie krzesło elektryczne tak jak za zabicie policjanta — rzekł cicho, ocierając

sobie pot z czoła, chociaż w cafeterii mechanicznie oziębianej i szczelnie zamkniętymi oknami chronionej przed inwazją dusznego gorąca z ulic, było przyjemnie chłodno. — Wątpię zatem, ażeby pańskie najemne zbiory odważyły się na tak ryzykowną dla nich strzelaninę tutaj.

— Oni nic nie ryzykują. Chociażby zabili tuzin niewinnych osób oprócz pana, żadna kara sądowa ich spotkać nie może, gdyż są oni nieodpowiedzialni za swoje czyny tak samo jak dzieci do lat czternastu — mówił lichwiarz poważnie i z wielkim darem przekonania swoich słuchaczy, zwłaszcza tego młodszego. Patrzył jednak w oczy tylko Maksowi. — Jak pan zapewne już sam zauważył i rozpoznał po charakterystycznych spojrzeniach i wyrazach twarzy, moi przyboczni gwardziści z Bowery są lekko podleczoneymi wariatami. Takich najchętniej wynajmuję do specjalnych poruczeń. A dzieciom i obłąkanym każdy strzał może ująć bezkarnie, każdy!

Ostatnie zdanie tendencyjnej tyrady lichwiarza przyjął Perez do wiadomości z ogromnym zainteresowaniem i z zadowoleniem. Bo ilekroć wyraził w domu chęć naśladowania wyczynów jakiegoś przestępcy z filmu albo z nowego odcinka „Comics”, matka straszyla go czyścem, a ojciec więzieniem. Tymczasem teraz wyszło na jaw, że chłopca w jego dziecięcym wieku nie wolno zamknąć w więzieniu, nawet gdyby zabił tuzin niewinnych osób! No, on nie jest taki zawzięty jak Billy the Kid, nie zabijałby więc niewinnych. Ale takich, którzy weszli mu za skórę, czyli nie byli niewiniątkami, mógłby na pamięć wyliczyć z pół tuzina. I od nich należałoby zacząć. Kiedy? A choćby dziś w nocy. Po co odkładać? Przecież uczono go w szkole: „Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj”.

ROZDZIAŁ XXXIII

Podczas gdy Pedrito Perez z takim zapalem obmyślał plan nocnego debiutu, że nawet ulubione lody jeść przestał, Maks Blink niby słuchał uważnie słów lichwiarza, w rzeczywistości jednak spode łba obserwował jego dwóch groźnych najmitów za oknem. Przypomniawszy sobie teraz, że widywał ich dawniej, zawsze przed lombardem Opermana, czyli rzeczywiście stanowili jego prywatną straż przyboczną.

Na pierwszy rzut oka nie różnili się niczym od innych wykolejeńców z pobliskiej Bowery, od której dzieliły tę porządną cafeterię tylko dwie ulice. Byli tak samo brudni, zarośnięci, obszarpani, tylko mniej apatyczni; chwilami stroili błazeńskie miny jak clown lub wybuchali głośnym śmiechem, ale na krok nie odeszli przed okna i ani na moment nie spuścili z oka stolika, przy którym siedział ich chlebodawca, Operman.

Wymienił on znane Blinkowi ze słyszenia nazwy miejskiego, jak również stanowego zakładu dla obłąkanych, gdzie spędzili szereg lat, po czym zostali wypuszczeni tylko dlatego, by zrobić miejsce „gorszym wariatom”, zapewne niebezpiecznym dla otoczenia furiatom. No cóż, połowa pacjentów wszystkich szpitali w Ameryce to nerwowo chorzy, a pośród ludności świata podobno co dziesiąty nie ma klepek w porządku. Słowem, nie można narzekać na brak wariatów.

— Największą ich zaletą jest ślepe posłuszeństwo — twierdził lichwiarz, patrząc z przyjemnością na wzrastające zdenerwowanie Blinka. — Wystarczy, żebym umówiony z nimi sposób wskazał jakąś osobę, a zasypią ją gradem kul. Dlatego naraża się na nieuchronną

śmierć taki ryzykant, który próbuje jakiegoś oszustwa na moją szkodę... No, powiedziałem dosyć, a teraz kolej na pańską decyzję...

— Ha, nie będę ryzykował swej skóry dla drobnej sumki — wymamrotał Blink, wyjmując swój stary portfel jak najłagodniejszym ruchem, aby niczym nie zaalarmować tamtych dwóch; skoro normalny strażnik przyboczny i policjant jest tak skory do rozpoczęcia strzelaniny, to cóż dopiero wariat! — Dostałem od pana pod zastaw spluwy piętnaście dolarów.

— Tak, ale podpisał pan kwit na osiemnaście i tylko tyle przyjmę.

— Niech i tak będzie. Więc dawaj pan dwa dolary reszty z tego papierka — zrzędził pod nosem.

Pchnął na środek stołu banknot 20-dolarowy, który Pedrito poznał na pierwszy rzut oka. Choć bowiem każda dwudziestka jest bliźniaczą siostrą wszystkich dwudziestek i różni się od nich jedynie numerem serijnym, na tej tutaj dwudziestce widniały z daleka duże inicjały Pedrita, własnoręcznie przezeń nagryzmołone atramentowym ołówkiem. W ten dziecinny sposób chciał on przecież zabezpieczyć tych 20 dolarów przed spodziewanymi pretensjami swej starszej siostrzyczki Jacinty.

— To jest mój pieniądz — rzekł, wyciągając umorusaną rączkę po swoją własność. — Gdzieżeś ty go znalazł, kapitanie?

— Zostaw to, smarkaczu, i nie przeszkadzaj nam w rozmowie.

— Ja nie przeszkadzam panom, ja tylko chcę dostać z powrotem swoją dwudziestkę. Niech ten mądry pan sprawdzi, że to moja — wskazał na Opermana i przesunął doń banknot, zanim spadła nań ciężka łapa Maksa. — Czy nie ma tam moich inicjałów? Sam je dziś

napisałem, mama świadkiem! A ja się nazywam Pedro Perez.

— Rzeczywiście są tu takie inicjały — stwierdził lichwiarz i dodał ironicznie: — Czy wuj często pożycza sobie forszę z twej skarbonki?

— On nie jest moim wujem! I ja nigdy nie pożyczam nikomu, nawet rodzonej siostrze!

— Trzymaj się tej zasady przez całe życie, a nie będziesz chorował na bezsenność i wrzody żołądkowe ze zmartwień, jak ja — radził mu dobrotliwie fachowiec w dziedzinie kredytów.

Natomiast Maks Blink wewnętrznie pienieł się z gniewu. Resztkami rozsądku poskramiał w sobie chęć trzepnięcia Pedrita w ucho, tak iż ów machnąłby parę kozłów. Za takie potraktowanie dzieciaka, choćby najbardziej nieznośnego zbito by go tutaj do krwi i na deser przywołano by policję, która znalazłaby przy nim niejeden corpus delicti.

Jeszcze bardziej krępowała go bliskość kulomiotu za oknem. Nie odgadł bowiem, że Operman, doskonały snadź gracz w pokera, bluffuje, że jego dwaj pomocnicy są błaznami cyrkowymi, a nie wariatami i że w trzymanym przez nich futerale nigdy nie było ani nie ma żadnej broni palnej, tylko niedopałki cygar, jakie przed lepszymi hotelami i restauracjami zbierali w dni bezdeszczowe i przerabiali na domieszkę do tytoniu fajczanego.

— Słuchaj, drogi chłopcze — rzekł do młodego Pereza, siląc się na spokojny ton. — Nie wiem, do kogo z twojej rodziny należała ta dwudziestka; może do ciebie, jak mówisz. Wiem tylko tyle, że ten banknot wręczyła mi dziś wieczór twoja matka... na poczet pewnego długu. Jeżeli mi nie wierzysz, idź ją o to zapytać.

— Pójdę! Zapytam! I wrócę z nią tutaj! A pan niech przez ten czas przypilnuje tych pieniędzy... i kapitana — zdecydował Pedrito energicznie i nie skończywszy konsumpcji lodów, popędził ku wyjściu z cafeterii.

— Pan oczywiście bujał z tą matką — odgadł lichwiarz, niemniej jednak schował dwudziestkę do swojego portfela i wydał dwa dolary reszty.

— I tak, i nie — odparł Blink z cynicznym uśmiechem, klepiąc się po tej kieszeni, do której włożył otrzymaną od Opermana przed kwadransem dużą damską puderniczkę, mającą pod lusterkiem skrytkę na heroinę. — To prawda, że od diabła apetycznej matki tego chłopca dostałem i tę dwudziestkę, i połówkę przedartej studolarówki i różne miłe świadczenia w naturze, ale także prawdą jest, iż wszystko to uzyskałem bez pytania ją o zgodę. Prawem silniejszego, świętym prawem pięści!

Ilustrując swe przechwałki stosowną gestykulacją, zacisnął Maks swe silne dłonie w kulaki i nagle przypomniał sobie dwu najmitów chytrego lichwiarza; jeżeli dostrzegli ten jego gest i uznają go za groźbę dla ich pana, kulomiot zagdaka morderczo i zrobi dziurawe sitko z głowy, szyi i torsu bawarskiego Apollina! Na myśl o tym Maks Blink, który o życie innych ludzi dbał tyle co o zeszłoroczny śnieg, omal nie zemdlał, a jego dłonie na stole zaczęły dygotać jak w febrze.

— Tacy wariaci mogą źle zrozumieć mój najniewinniejszy ruch — wyjaśnił półszepem lichwiarzowi i dodał niemal błagalnie: — W obu naszych dzisiejszych interesach postawił pan na swoim, czemu więc terroryzuje mnie pan nadal? Niech pan już każe odejść stąd tym swoim nieobliczalnym zbirom.

— Niby racja — przyznał Operman, ubawiwszy się

do syta widokiem przerażenia teutońskiego dryblasa, znacznie od niego wyższego i silniejszego. Odwróciwszy się ku oknu, majestatycznym ruchem dłoni odprawił swych obszarpanych pretorianów, oni zaś zasalutowali słuźbiście i odmaszerowali ku drzwiom cafeterii. — Czekają na mnie, pragną mi służyć swą eskortą zbrojną aż do mego mieszkania — chwalił się lichwiarz, powstając od stołu. — Zatem żegnam i wierzę, że panu życie jest zbyt miłe, aby pan próbował mnie wykiwać jutro.

— Jak mógłbym pana kiwnąć? Niech pan mi da jakąś sugestię.

— O, już panu humor wraca? Oby wraz z nim wróciło trzeźwe poczucie rzeczywistości, że ta lewa połówka banknotu studolarowego, jaką pan ma dziś w nocy otrzymać od swego odbiorcy towaru, ma pełną wartość tylko dla mnie, bo ja mam prawą połówkę. Dla każdego innego człowieka jest ona bez wartości, ani pół, ani ćwierć dolara nikt panu nie da za nią.

— Ani panu za pańską połówkę — bąknął Maks też wstając od stołu.

Spojrząwszy na zegarek, Blink także zaczął przygotowywać się do opuszczenia cafeterii; przewidując iż przeprawa z Patem McCluskey pochłonie więcej czasu, chciał jak najprędzej zlikwidować Karen i zatelefonować do osławionego przybytku Frau Roepke, że jej bouncer musi chwilowo zniknąć z Nowego Jorku.

— Gdybyśmy zboczyli na ścieżkę prawa, której na ogół nie lubię, zeznałbym pod przysięgą, że pan złośliwie zabrał mi czy ukradł drugą połówkę mej studolarówki.

— Ja bym też przysięgł, że było dokładnie na odwrót — droczył się z nim Maks, bo znów czuł się zuchem teraz, gdy szedł obok chuderlawego kaleki i poza zasięgiem „kulomiotu” jego wiernych sojuszników.

— Takie wzajemne oskarżania się nie są nowością. Ponieważ jednak pan jest cudzoziemcem i, co jeszcze gorsze, bezrobotnym golcem, a ja rodowitym Amerykaninem i dość zamożnym przedsiębiorcą, w razie jakiegoś sporu między nami każdy tu da wiarę mnie, a nie panu. Czyż w pańskiej ojczyźnie było kiedykolwiek inaczej? Czy tam jakiś obcy wygrał proces z Niemcem?

— Zatem dopiero po procesie musiałbym pokryć stratę materialną.

— Z wszelkimi słonymi kosztami, ale to jeszcze nic. Gorsze skutki dla pieniaczy daje to, że w tutejszych procesach zeznają pod przysięgą obie strony! Czyli ta z nich, której sąd nie dał wiary, może być brana do galopu za krzywoprzysięstwo, które tutaj jest szczególnie surowo karane; Al Capone, wpływowy herszt gangsterów, przed którym drżało całe Chicago, dostał za krzywoprzysięstwo dziesięć lat! Czyż to nie gorsze niż krótka operacja za pomocą kulomiotu moich niezawodnych pomocników?

Pomocników tych z ich groźnie wyglądającym futerałem ujrział Maks za oszklonymi drzwiami, do których zbliżał się dopiero teraz, gdyż przez wzgląd na kulejącego lichwiarza szedł przez salę bardzo powoli. I znów nawiedził go strach, że przez swoje droczenie się z Opermanem naraża się głupio, niepotrzebnie. Postanowił więc nie wychodzić z nim razem na ulicę, a przy pożegnaniu udobruchać go stosownym zapewnieniem.

— Muszę załatwić parę telefonów — rzekł wskazując rząd budek telefonicznych na lewo od głównych drzwi, a naprzeciw lady cafeterii i jej kiosku z wyrobami tytoniowymi. — Lubię się droczyć, to zaostrza mi apetyt - zełgał. — Lecz odkąd przybyłem do Ameryki, wiem, jak ryzykowne są próby oszukania współnika albo wierzyiciela

takiego jak pan. Czytam przecież brukowce, a w nich raz po raz są opisy tragicznego epilogu załatwiania porachunków na tle finansowym.

— Kamień spada mi z serca — odparł Operman — choć moi chłopcy zmartwią się, że ich minie mokra robota. Zatem liczę, że jutro rano znajdę w swej skrzynce na listy kopertę z resztką mej przedartej studolarówki. Słowo?

— Mein Ehrenwort! — Postaram się wrzucić ją panu do skrzynki jeszcze dziś przed północą — zapewnił go Maks uroczyście.

I rzeczywiście chciał dotrzymać obietnicy, choćby dlatego, by nie zamknąć sobie furtki do dalszych interesów z Opermanem, którego usługi i przysługi mogły być tak różnorodne i stosunkowo tanie, jak na lichwiarza. Ale kapitan Blink nie dotrzymał swego postanowienia, choć poparł je solennym słowem honoru. Nie mógł dotrzymać, bowiem część jego planów, misternie ułożonych i przygotowanych do wykonania dzisiejszego wieczora, pokrzyżowała mu nagła interwencja miss czy mrs. Nemezys oraz najmłodszego tej sędziwej bogini pomocnika, Pedrita Pereza.

Kiedy Pedrito zerwał się od stolika wzburzony widokiem swej dwudziestodolarówki w rękach kapitana Maksa Blinka, wyjaśnienie tej zagadkowej afery wydało mu się bardzo łatwe; ot, zaraz przyprowadzi tu matkę, skonfrontuje ją z Maksem, prawda wypłynie na wierzch, a bez względu na to, czy zawiniła mama czy kapitan, czy oboje, banknot wróci do swego prawowitego właściciela! I zapewni mu kupno nareszcie nowego ubranka, żeby w szkole nie śmiano się z niego, że ma więcej lat na spodniach niż nawet Jarosław Herudek, sierota bez ojca i matki, którego widać ciotka na świat wydała.

Lecz gdy mijając kasę cafeterii cichcem, za plecami dorosłych klientów, zerknął na zegar ścienny, zrobiło mu się ciepło, a nadzieja szybkiego odzyskania 20 dolarów zbladła jak kreda przy szkolnej tablicy. Przecież nawet wspomnieć o tej sprawie nie można było przy ojcu, Ramonie, który surowo zakazał dzieciom rozmawiać z Maksem Blinkiem gdzieś za plecami rodziców. Co gorsza, surowy tata Ramon mógł wyniuchać, że synalek drapnął spod bezpiecznej opieki cioci Guadelupy i poszedł solo na zakazany film, czyli skórobicie pewne żelbetonowo!

Należało więc za wszelką cenę wrócić do domu wcześniej niż tata, ale dopiero po wyjściu z cafeterii i rozejrzeniu się po najbliższej okolicy przy zapadającym zmierzchu uświadomił sobie Pedrito, jak bardzo daleko Maks zdołał go odciągnąć od domu. Znajdował się bowiem obecnie po południowej stronie Delancey Street, wielkiej poprzecznej arterii komunikacyjnej dolnego Manhattanu.

ROZDZIAŁ XXXIV

Nieco wcześniej, kiedy zwijano stoiska ulicznej wystawy obrazów, Ramon Perez taką wyraził opinię o Maksie Blinku: Cóż za łotr i świnia z tego Maksa!

— Świnią on jest, owszem — przyznał Raphaelo de Klapperstorch, wiążąc sznurkiem swe niesprzedane malowidła — ale dlaczego łotr?

— Dlatego, że wyzyskuje swoją żonę — odparł Portorykanin, nie chcąc wtajemniczać sąsiada w inne sprawy. — Znowu nie przyszedł tu przez cały dzień, aby choć na pół godzinki zluzować biedną Irene.

— Jeżeli mnie pamięć nie myli, to ona zluzowała się tu sama ze sześć godzin temu z takim przystojnym

wąsatym blondynem, którego wyście jej, kolego, przyprowadzili. Co on fabrykuje albo sprzedaje?

— Wczesne ziemniaki, truskawki, kalafiory i jeszcze coś w tym guście; tak mi przynajmniej opowiadał przy piwie lub po drodze do baru. — Gdzie mu to Lubor mówił, tego mały malarz nie był pewny, za to świetnie zapamiętał coś innego. — On ani trochę nie wyglądał mi na bałamuta, bawidamka, uwodziciela! Wręcz przeciwnie, zrobił na mnie wrażenie wypranego z donzuaństwa wążacha i prostodusznego poczciwca, w którego towarzystwie kobiety zasypiają z nudów.

— Może zatem to się Irenie przydarzyło? Może śpią razem?

— Nie! nie! Do licha! To byłoby straszne!

— Straszne dla kogo, się pytam! Kto się zmartwi, gdy takiemu rozpustnikowi jak Maks Blink zdradzana żona nareszcie przyprawi rogi? Jeśli mnie coś może boleć w tej sytuacji, to chyba tylko to, że nie ja, artysta malarz, ale jakiś wsiowy pastuch spoczywa sobie w ślicznych ramionach Ireny.

— Wstydźcie się, kolego! Uczy nas przecież któreś tam przykazanie: Nie będziesz pożądał...

— ...żony bliźniego twego nadaremnie — wtrącił Klapperstorch z rezygnacją starego rogacza, którego małżonki, gdy była młodą diva operetkową nie nadaremnie pożądano. — Co wy byście zrobili, gdyby ktoś waszą Amparę...

— Zabiłbym drania bez wahania! — warknął Ramon groźnie, choć do rymu, po czym dodał, łypnąwszy okiem na ciemniejące niebo: — Ha, skoro Ireny nie widać z powrotem, muszę pozbierać się i zataskać do domu także obrazy jej męża. Świnia z niego i beztalencie kompletne, ale bądź co bądź nasz kolega po fachu. Pomożecie mi, amigo?

— Oczywiście, drogi mój przyjacielu!

Przyjaźnie odnosili się do siebie teraz, dzięki Albertowi Einsteinowi, choć jeszcze trzy godziny temu byliby się wzajem topili w łyżce wody i byliby gotowi przysiąc, że ich nienawiść, acz bardzo świeża, potrwa co najmniej do grobowej deski.

Wtem około godziny 6.00 z żywiołową gwałtownością budzącego się wulkanu przyparła mistrza Klapperstorcha najprozaicniejsza ludzka potrzeba, a tu właśnie jakaś zasobnie wyglądająca niewiasta zainteresowała się żywo jego galerią arcyzabawnych malowideł, zwłaszcza tym zrobionym na obraz i podobieństwo twarzy Einsteina. Podobizna ta pokutowała wśród równie kolorowych kicz-portretów coraz to innych gwiazd filmowych już na ośmiu wystawach ulicznych, czyli czekała na nabywcę przez cztery lata bez skutku, podczas gdy gwiazdy ekranu sprzedawało się łatwo, co rok. Ha, może dlatego bladuróżowe oblicze wielkiego uczonego miało teraz, oprócz licznych ciemnych piegów czy kupek po muchach, wyraz tak gorzkiego rozczarowania i smutku?

Ale żądza zarobku musiała ustąpić pierwszeństwa nieubłaganym, drakońskim prawom natury. Kiedy więc nowy wybłysk czerwonych świateł nad skrzyżowaniami alei z ulicami zatrzymał słaby jeszcze ruch kołowy na szerokiej Alei Ameryk, mistrz Klapperstorch, nękany zaburzeniami żołądkowymi, dał desperackiego susa na jezdnię; przeklinając głośno swego dzisiejszego pecha, popędził ku zachodniemu chodnikowi, na którym nigdy nie ma stoisk wystawowych i wnet zniknął w normalnie ciemnych czeluściach najbliższej tawerny.

Ramon Perez, który to widział, bo już prawie ukończył woalowanie golizn swej biblijnej jawnogrzesznicy, natychmiast odczuł gorący podmuch pokusy konkurencyjno-komercyjnej. Miał przecież teraz świetną

okazję przywabić do swojego stoiska czarnowłosą niewiastę zagapioną przez czarne okulary na Klapperstorchowe parodie portretów.

Podszedłszy jednak bliżej, uznał Ramon z nieomylnością wystawowego wygi, że ta klientka już powzięła decyzję i nie zmieni jej za żadne skarby! Spośród tylu tysięcy obrazów i bohomazów tegorocznej wystawy spodobał jej się niewątpliwie najbardziej ten pstrokaty kicz, ta jaskrawo kolorowana prawie fotografia zmarłego w 1955 twórcy teorii względności. Dlaczego? Cóż ją z nim łączyło?

— Podobny jest jak dwie krople do mego taty — wyjaśniła z rozczuleniem kochającej córki i przyszłej spadkobierczynie. — Brak mu tylko brunatnej brodawki koło lewego ucha i okularów w czarnej oprawie, a to cechy naszej rodziny! Czy można by je domalować na poczekaniu?

— Wszystko można! Dla artysty nie ma niemożliwości, oprócz wepchnięcia farby olejnej z powrotem do zgniecionej tuby. Ale za pracę, jakiej wymagają dodatki, żądane przez nabywcę obrazu, artysta ma święte prawo żądać wynagrodzenia osobnego — dowodził Ramon, układając sobie przemówienie jakim zamierzał wzruszyć nabywców swojego arcydzieła, którego poprawienie według ich widzimisię dało mu tyle dodatkowej roboty. — Nic za darmo!

— Oczywiście! Każda praca powinna być zapłacona. Ale nie przepłacona. Zatem, ile by pan policzył za domalowanie tu czarnych okularów?

— Najmniej dziesiątkę, bo czarna farba teraz podroż...

— Panie malarz, czy pan wie, ile zapłaciłam za te szkła? — zachnęła się córka sobowtóra Einsteina i, zdjąwszy okulary, podsunęła je Ramonowi pod sam

nos, czyli widać bez nich widziała słabo. — Wie pan?

— No, señorita. Na szczęście nikt w mej rodzinie szkieł nie nosi. Słyszałem jednak, że okulary kosztują od dwunastu dolarów wzwyż.

— Ja mieszkam w Greenpoint i tam po cenie hurtowej płacę siedem. No więc, jeśli prawdziwe okulary kupi się za siedem dolarów, to ile warte takie tylko farbą napaćkane? Najwyżej pięć i więcej nie dam ani centa!

— Niech będzie pięć. Ale sam portret kosztuje...

Odwróciwszy kicz, zajrzał na nagryzłone tam litery. Duże oznaczały dolary, małe zaś centy; malarze z Thompson Street, podobnie jak niektórzy sprzedawcy towarów łokciowych, mają swój szyfr literkowy, niezrozumiały dla laików. Z hieroglifów już przekreślanych gniewnymi kreskami wynikało, że mistrz Klapperstorch, spodziewał się ongiś osiągnąć za to dzieło dolarów 60, ale z tych wyżyn wybujałego optymizmu zjeżdżał lotem ślizgowym coraz niżej, aż dotarł w tym roku do ceny realistycznej, acz trochę kompromitującej, dolarów 10. Za Einsteina w kolorach! Ażeby gładko dostać choć tę dziesiątkę, Ramon zażądał ćwierć setki i oczekiwał zaciekle targów. Tymczasem...

— No to razem z okularami będzie trzydzieści — rzekła brunetka płacąc 3 dziesiątki! — A darmo musi pan dorzucić brodawkę i napis z tyłu.

— Dios mio! Jaki napis?

— Krótki. Że starszy pan drugostronnie uwidocziony to Dymitr Hryhorczuk, któremu na urodziny tę kolorową fotografię ofiarowała wdzięczna córka, to niby ja, Jewdocha Hryhorczuk, mieszkająca przy ojcu w Greenpoint, Brooklyn. Z wypisaniem trudnego dlań

ukraińskiego nazwiska miał Ramon więcej kłopotu niż z domalowaniem czarnych okularów i brunatnej brodawki, której żywy wzór zaprezentowała mu Jewdocha z dumą, jako cechę rodu Hryhorczuków. Potem ona radośnie odeszła z przypadkową podobizną swego ojca, Ramon zaś żałośnie stwierdził, że fatygował się w interesie swego najświeższego dozgonnego wroga, zamiast pilnować własnych oplakanych interesów.

Dowiedziawszy się, co zaszło podczas jego przymusowej nieobecności przy ich sąsiadujących ze sobą stoiskach, Klapperstorch wprost nie wiedział, jak okazać swą wdzięczność za tak arcykorzystną sprzedaż swego najbardziej pechowego portretu. Z miejsca zaproponował puszczenie uraz w niepamięć i zgodę dozgonną. Jeszcze łatwiej skłonił Ramona do przyjęcia 6.00 dolarów tytułem 20 proc. prowizji od transakcji dokonanej za jego pośrednictwem. Wreszcie przyrzekł lekkie jej oblanie, skoro tylko zwiną dziś stoiska. A może je zwinąć wcześniej?

Ja nie mogę, dopóki nie nadjadą ci, którym Ampara sprzedała tak tanio moje najlepsze dzieło — rzekł Ramon. — Bo oni mają mi wręczyć resztę ceny kupna, pół setki! To nie w kij dmuchał!

— O której godzinie mieli tu nadejść czy nadjechać?

— Po nieszporach. Bo widzicie, kolego, jeden z nich to stary organista z naszej parafii, a drugi to nowy wikary, ponoć Kanadyjczyk.

Lecz słońce zaszło punktualnie, jak mu astronom miejski zalecił, o 8.29 według „letniego czasu oszczędnościowego”, a wikary ani organista, ani żaden akredytowany przez nich legat czy delegat nie zgłosił się po odbiór poprawionego „Kamienowania jawnogrzesznicy Magdaleny”. I, co było znacznie boleśniejsze dla odnośnego propagatora tematów biblijnych w malarstwie,

nie przyniósł mu reszty należnych za dzieło pieniędzy.

W trakcie tej pogawędki dwóch malarzy burza zbliżyła się mocno do ich dzielnicy cyganerii.

Deszcz siknął oczywiście ciepły i zrazu cienki, łagodny jak kapuśniaczek, co jednak nie oszukało już nikogo: każdy nowojorczyk gotów był założyć się o każdą sumę, że za chwilę lunie ulewa. Tam zaś, gdzie znajdowały się spiętrzone na kupę dzieła Klapperstorcha, Pereza i Blinka, nie było żadnej kamienicy, której sień mogłaby im udzielić tymczasowego schronu: oparciem ich zwiniętych stoisk było tu głównie ogrodzenie placu parkingowego, a druciany płot nie zasłaniał ich teraz nawet przed wiatrem.

— Taxi! Hej, taksjarsz! — wołali i gestykulowali błagalnie, ilekroć wśród aut pędzących po mokrej jezdni dostrzegli światełka na daszku oznaczające taksówkę. — Mamy w naszym mieście tych pstrokatyh zawalidróg o dziesięć tysięcy za dużo przy dobrej pogodzie, ale złap, człeku, choć jedną wolną taksówkę, skoro tylko parę kropli dżdżu spadnie z nieba. Mowy nie ma! — narzekali według starego szablonu.

Gdy deszcz zaczął gęstnieć, Ramon Perez wyekspe-diował cały zapas znanych mu przekleństw angielskich, portorykańskich i jakoby indiańskich pod adresem zawodnych klientów Ampary. Klapperstorch dorzucił do tego klątwę, której straszliwość mogą docenić tylko automobiliści, jakich choćby jej cząstka kiedykolwiek w deszczu dotknęła.

— Ażeby temu dławidudzie i temu klesze kichy nawaliły na wszystkich kołach właśnie przy takiej pogodzie! — zawołał. — Żeby im...

Zanim sformułował nową klątwę, do chodnika na-przeciw ich miejsca podjechał i przystanął ogromny

czarny packard. Tą olbrzymią landarą na 8 osób przyjechał, i to bez szofera, tylko jeden człowiek. Był to około 30-letni szatyn, za pulchny na swój wiek, ale bynajmniej nie ociążały jak większość ludzi z inklinacjami do smakoszostwa i tycia. Z wielką żywością wyskoczył z auta, rozpostarł duży parasol i pośpieszył w stronę najbliższej ulicznej latarni, pod którą także mokło paru uczestników wystawy wraz z eksponatami.

— Czy może jeden z panów jest znakomitym malarzem scen biblijnych, Ramonem Perezem? — spytał, mówiąc po angielsku bardzo szybko, lecz z francuskim akcentem. — Jestem ksiądz Gourmet, André Gourmet.

Oczywiście nie miał na sobie sutanny ani habitu, gdyż poza kościołem nowojorscy księża chodzą w czarnych ubraniach marynarkowych i odróżniają się w stroju od innych mężczyzn tylko tym, że zamiast krawata noszą zasłaniający gors koszuli ciemny plastron i że sztywny kołnierzyk wykręcają o kąt 180 stopni. A księża młodszy i weselsi mają też pod ręką w kieszeni zwykły kołnierzyk i krawat, aby móc zwiększyć swe incognito w lokalach rozrywkowych albo w restauracjach po godzinach kanonicznych.

— Nabyłem tu dziś wspaniały obraz, który wymagał minimalnych ulepszeń — ciągnął dalej jednym tchem przybyły księżulo — i właśnie po niego przybywam.

— Czemu nie troszkę wcześniej? — Wymówka zawarta w tym pytaniu była nader łagodna, bo miłe komplementy, jak „znakomity malarz” oraz „wspaniały obraz” rozładowały i stłumiły gniew Ramona. Ale nie jego starszego kolegi! o

— Co za porządku? Tu się czeka z towarem po terminie dostawy, skutkiem czego deszcz niszczy arcydzieła i

naraża biednego malarza na milionowe straty! — piał Klapperstorch, zagłuszając szkwał. — Zamiast mówić w kółko, że mu bardzo przykro, ratuj pan ksiądz tonącą w deszczu kulturę i sztukę!

— Chętnie, jak najchętniej, tylko w jaki sposób?

— Przez danie nam schronu w aucie. Potem obmyślimy, co potem.

Ksiądz André Gourmet był na razie uosobieniem zgodności. Osobiście prznosił obrazy do swego auta jedną ręką, a drugą wciąż trzymał rozpostarty parasol, gdy obaj malarze obładowani swoimi eksponatami człapali po jego bokach w poprzek szerokiego chodnika. Cały kram z trzech stoisk wystawowych jakoś zmieścił się w obszernym tylnym przedziale wielkiej limuzyny, lecz wypełnił ją aż po sam daszek. Trzej mężczyźni, ociekając wodą, usiedli na przednim siedzeniu, ksiądz Gourmet przy kierownicy, Perez w środku, a po jego prawej ręce Klapperstorch.

— Czy ksiądz zechce odwieźć nas do domu?

— Z przyjemnością mistrzu, tylko... tylko ja mam przy sobie najwyżej dwadzieścia dolarów, a pan zapewne wolałby otrzymać dzisiaj całą należność za obraz?

— Sie rozumie, że on wolałby! Pan ksiądz też wolał dostać całą świętą Magdalenę niż jej pół, jak przypuszczam — rzekł Klapperstorch, sądząc, iż Ramon jako katolik będzie krępował się wyciskać z osoby duchownej należne mu dolary. — W branży sztuk pięknych kredyt umarł!

— Wobec tego musimy wpierw wstąpić na plebanie — zdecydował wikary i ruszył z miejsca po jezdni lśniącej od deszczu i odbijającej jak brudne lustro refleksy wędrownych świateł z lamp aut. — Tam mam pieniądze. No i nie byłem w domu od niesporów, gdyż muszę pomagać proboszczowi także w spełnianiu jego obowiązków towarzyskich.

Do takich obowiązków należało np. nieuniknione pod groźą obrażenia się zapraszających skorzystanie z zaproszeń paru parafian na ich biesiady i bankiety dla uczczenia jakiegoś ślubu, chrztu, pogrzebu, srebrnego wesela czy jeszcze innej imprezy w tym guście, a najczęściej ślubów odbywa się co roku w czerwcu, stąd pochodzi określenie czerwcową panna młoda. Sędziwy proboszcz miał dziś być honorowy gościem i mówcą tylko na jednej uczcie weselnej: wszelkie inne zaproszenia na dzisiaj odstąpił do załatwienia swemu młodszemu asystentowi, który jednak nie zdążył odrobić wszystkich tych wyżerek przedłużanych licznymi przemówieniami i toastami. Dziś wieczór musiał pokazać się i reprezentować proboszcza na jeszcze jednym huczonym weselisku urządzonym w restauracji Fortuna Cavatappiego.

— Pospieszę tam, skoro tylko odwiozę tych dwu kiepskich uczniów świętego Łukasza i ich malowidła, chwalebne w biblijnej tematyce, acz nazbyt swawolne w wykonaniu, o ile pamiętam z popołudniowych oględzin — mrucał ks. André Gourmet po francusku z takim patosem, że malarze wzięli to za modlitwę na ich intencję i milczeli z należnym szacunkiem.

Nie chcąc zatrzymywać przed kościołem limuzyny pełnej obrazów „nazbyt swawolnych w wykonaniu”, wjechał na betonowy i chwilowo nieoświetlony dziedziniec, który z trzech stron otaczały solidne murowane budynki parafialne: kościół i równie podłużna szkoła po bokach, a plebania w głębi. Zostawiwszy starą limuzynę z jej żywym i martwym ładunkiem malarzkim, pośpieszył do swego mieszkania po pieniądze. Chciał też odświeżyć się trochę po nadmiernej gościnności tych trzech par parafian, których niemowłeta dziś w południe z proboszczem ochrzcili, zbadawszy

wpierw dokładnie, czy Jarosławek znowu nie urządził sobie akwarium w chrzcielnicy.

Parter plebanii zajmowało biuro parafii, salon, wspólna jadalnia i kuchnia. Na pierwszym piętrze z sześciu pokoiów i dwu łazienek proboszcz miał do swego wyłącznego użytku jedną połowę, drugą oddał wikarym, których liczba ostatnio spadła do jednego, bo dwóch innych wolało iść do wojska na kapelanów i zwiedzać szeroki świat. Na drugim piętrze zaś, odkąd utrzymanie służby stało się bardzo kosztowne, mieszkała tylko obecna gospodyni i jej 10-letni siostrzeniec, osierocony w dzieciństwie Jarosław Herudek, który księżom służył za ministranta, a u starego organisty brał lekcje muzyki na instrumentach kościelnych i na fisharmonii grał już niezle.

Ten właśnie muzyczny „Herodek”, zakotwiczony przez ciotkę przy telefonie, a urzędujący najchętniej w salonie przed aparatem telewizyjnym, zatrzymał schodzącego z piętra wikarego nowiną, że „właśnie dzwoni policja”. Ksiądz André Gourmet słyszał dzwonek telefonu już przedtem, gdy wyświeżony i pokropiony kołońską wodą opuszczał łazienkę, lecz ani myślał przez to pędzić na dół do biura; w niedziele i święta, kiedy księża w parafiach nowojorskich mają znacznie więcej zajęć niż w dni powszednie, telefonują między sobą z plebanii głównie księża gospodynie, a tutejsza, energiczna ciotka „Herodka”, wyszła dość dawno na plotki do organiściny.

— Powiedz im, Jeff — rzekł, mijając Jarosława, bo tak jego imię tu skracano — żeby zgłosili się jutro po Południu.

— Do jutra może być za późno — zabelkotał chłopiec niewyraźnie, bo ssał duży twardy cukierek na partyku. Wyjąwszy z ust tę słodką maczugę, mógł

wyraźniej dokończyć zdania — bo policja mówi, że ta osoba, co chce księdza, wpadła pod pociąg i już umiera.

ROZDZIAŁ XXXV

— Oh, mon Dieu! — krzyknął wikary i doskoczywszy do aparatu telefonicznego, poprosił zgłaszającego się policjanta o „obecny adres” konającej osoby. — Blecker Street? Dziękuję, sierżancie. Pędzę tam natychmiast!

— I przyszły organista znów potrzebny, prawda?

— Bardzoś mi potrzebny, drogi chłopcze.

— Żebym tylko nie miał przez to kramu z ciotką jutro, w jej urodziny, gdy ona dostanie tyle tortów! A ksiądz co jej da w prezencie?

— Śliczny obraz. Przedstawia on próbę ukamienowania jej patronki.

— Malarz chyba musiał być przy tym. A ja — westchnął chłopiec, ledwie nadążając za wikarym — ja nie widziałem niczyjego ukamienowania nawet w telewizji!

Jak było do przewidzenia, malarze głośno protestowali przeciw nagłej ewakuacji ich ciał i dzieł z limuzyny tutaj, ale ksiądz Gourmet, choć na ogół tak kulturalnie i cicho mówiący, potrafił podczas rekolekcji ryczeć donośnie, tak iż szyby drżały, a wierni w kościele zaczęli rozumieć, czemu mury Jerycha runęły na skutek samych tylko dźwiękowych wyczynów Izraelitów. Próbkę tych swoich wokalnych możliwości zademonstrował teraz, gdy w tempie Blitzkriegu odmykał jakieś podziemne drzwi, zapalał światło, rozdawał parasole i opróżniał duże auto.

— Ja też miałem inne plany, lecz bliźni, który dogorywa, ma pierwszeństwo przed wszystkim i wszystkimi!

— grzmiał, a równocześnie nosił naraz takie masy obrazów, że obaj malarze natychmiast zdecydowali się pomagać mu i chłopcu, by ich niefachowe ręce nie uszkodziły dzieł sztuki. — Zaczekajcie tu trochę. Gdy wrócę, zapłacę za obraz, poczęstuję was dobrym winem i odwiozę do domów.

— A gdzie się nas w dół prowadzi teraz? Do lochów katakumbowych jak w Qvuovadisie? Czy do pospolitej piwnicy?

— Do kaplicy pod nowym kościołem. — To nawet Ramon wiedział, choć tylko parę razy na rok, tylko na największe święta, zdołała żona przyholować go tutaj.

Prawie w każdej świeżo założonej parafii w Ameryce jej kościół powstawał stopniowo, „na raty”, bo nader rzadko były fundusze na zbudowanie całej świątyni od razu. Zaczynano od długiej, niskiej, z płaskim sufitem kaplicy, w której odbywały się wszelkie nabożeństwa w pierwszych latach, a która później stawała się jak gdyby suteroną czy piwnicą właściwego budynku. W trzeciej zaś fazie wyrastały wieże i oddzielnie na dziedzińcu parafialnym stojąca dzwonnica, a często także sztuczna grotta na pasyjne misteria, na stajenkę betlejemską itp.

Czasem zaraz po konsekracji górnego kościoła prze-rabiano długą kaplicę pod nim na tzw. salę parafialną, w której urządzi się bale, bazary, loteryjki, bingo, karcianki, koncerty, obchody patriotyczne i przedstawienia; dochody z nich idą oczywiście na utrzymanie plebanii lub na spłatę rat długu hipotecznego kościoła, ten bowiem w razie niewypłacalności może być sprzedany na licytacji, jak pierwszy lepszy dom prywatny.

Tam jednak, gdzie parafian płacących dobrowolne poglówne, choćby tylko dolara na miesiąc, jest nie

paruset, ale kilka tysięcy, i gdzie hojność kwitnie tak, że każda niedzielna zbiórka na tańce w kościele przewyższa wpływy z tego pogłównego, ipso facto nie potrzeba już tańczyć i kupczyć pod podłogą świątyni. Wówczas urządza się dochodową salę parafialną w osobnym budynku, którego wszystkie izby wynajmują zaraz na swoje zebrania miejscowe kluby, bractwa i organizacje. Natomiast ów najdawniejszy zaczątek kościoła parafialnego, ów w suterenie, z oknami i witrażami wzniesionymi ledwie na metr ponad poziom ulicy i dziedzińca, pozostaje nadal wyłącznie kaplicą, parafianie zwą ją „starym kościołem” w przeciwieństwie do „nowego” ponad nim, ozdobionego na zewnątrz szerokimi schodami o niskich stopniach, u stóp których nie wolno zaparkować auta nikomu, nawet burmistrzowi! Chyba że już zmarł, gdyż nieboszczycy i nowożeńcy są welcomed, mile widziani i mogą tu ze swym wehikułem przystanąć dla fotografów.

W kościele, w którym obowiązki wikarego pełnił ostatnio ksiądz André Gourmet, Kanadyjczyk francuskiego pochodzenia od paru lat mieszkający w Nowym Jorku, ofiarność parafian także ufundowała osobną salę parafialną i zachowała pierwotny charakter dolnej kaplicy, a stary proboszcz szczególnie lubił odprawiać w niej nabożeństwa żałobne. Najbliższe z nich miało odbyć się nazajutrz, w poniedziałek rano, toteż pracownicy zakładu pogrzebowego krzątali się tutaj wraz z kościelnym dziś wieczór, gdy ostatnia dewotka z niesporów stąd odeszła. Dowodem ich działalności były kiry, całuny, oaza kwiatów i wysokich świeczników dokoła katafalku ustawionego między pierwszym rzędem ławek a balaskami odgradzającymi ołtarz główny. Ale ponurego odkrycia, tam, hen w ciemnej głębi czai się czarnym sukniem okryty katafalk, ostatnia estrada

nieboszczyków, dokonali dwaj malarze później. Na razie wymieniali pożegnalne noty werbalne z wikarym przy bocznym wejściu, którym ich z dziedzińca wprowadził do kaplicy, zaczęli też zaraz oglądać swe obrazy, obcierać je i opierać pojedynczo o mur i ławki, co bynajmniej nie przeszkadzało im w rozmowie.

— Okazuje się, kolego, że miałem rację nie mając nigdy zaufania do pastorów, kapelanów, rabinów i wszelkich innych derwiszów — rzekł Klapperstorch głośno, gdyż wikary już zniknął za drzwiami i nie wypadało mu cofnąć się dla riposty.

Pamiętając snadź o tym, nie odgryzł się ksiądz Gourmet, tylko konsekwencje najsurowsze wyciągnął z tego, co usłyszał wychodząc.

— Kto nie ma zaufania do innych, ten widać sam pragnie ich zaufania nadużyć. Wobec tego zabezpieczmy dom Boży przed tajnym eksportem zeń szat i naczyń liturgicznych — mruzczał zamykając na klucz solidne dębowe drzwi, choć pierwotnie chciał kaplicę zostawić otwartą od strony dziedzińca, by malarze mogli wyjść sobie na papierosa, gdy deszcz ustanie.

Za chwilę usłyszeli szybkie kroki wikarego nad sobą, a w pustym kościele i w ciszy rozlegały się, aż dudniło.

— Jak myślicie, kolego, po co on tam tak pędzi?

Ramon Perez jako katolik... wprawdzie raczej z metryki niż z praktyk... wyraził przypuszczenie, że zapewne po komżę i wiatyk albo po święte oleje do ostatniego namaszczenia konającej osoby, do której go wezwano.

— Nie mówcie mi, kolego, o osobach konających z olejem czy bez — bo denerwuje mnie wszystko z branży pogrzebowej — rzekł wyruszając na krajoznawczą

wycieczkę, jak wnet zapowiedział wesoło, nie przeczuwając smętnych niespodzianek.

Ponieważ znalazł się po raz pierwszy w katolickiej świątyni, rozglądał się po niej ze zrozumiałą ciekawością. Oświetlenie na razie było tu więcej niż wystarczające, gdyż przez okno i witraże wlewało się do kaplicy światło lamp zapalonych nad dziedzińcem parafialnym. Zmylony tą iluminacją z zewnątrz, zapomniał wikary zapalić w kaplicy choćby jeden z elektrycznych kandelabrow i żyrandoli; zresztą kontakty od nich znajdowały się dość daleko od bocznego wejścia, mianowicie jeden w zakrystii, drugi na niskim chórkowi za fisharmonią. Tuż przed odjazdem na Bleecker Street mały ministrant Jarosław, chcąc uniknąć zrzędzenia oszczędnej swej ciotki, zgasił wielkie łukowe lampy nad dziedzińcem, co natychmiast pogrzyżyło plac i kaplicę w egipskich ciemnościach!

— Co jest, Perez?

Odpowiedź Ramona, który właśnie ziewał i wyciągał się wygodnie na jednej z ławek, zagłuszył warkot potężnej maszyny packarda. Olbrzymie auto z miejsca ruszyło ostro, jak gdyby ksiądz Gourmet pragnął odrobić zwłokę spowodowaną przez ewakuację artystycznego dorobku malarzy z limuzyny. Kiedy zawracał na dziedzińcu swego zmotoryzowanego smoka, jego rozjarzone ślepia szybko omiotły oślepiającym światłem wnętrze „katakumb”, od katafalku po Klapperstorcha zaskoczonego koło fisharmonii, po czym zniknęły.

Po zniknięciu olśniewającego światła tym czarniejsze i straszniejsze wydały się mroki świątyni. Wreszcie rozbiegane spojrzenie unieruchomionego przestraczem malarza wypatrzyło hen, w oddali sła biutkie źródelko światła, różowego i jakby migotliwego. Zapatrzywszy się w tę zawieszoną blisko głównego ołtarza

„wieczystą lampę oliwną”, zaczął Klapperstorch iść ku niej przez środek kościoła między rzędami ławek, z których tylko jedna była obecnie zajęta przez zasypiającego czy już drzemającego Ramona. Jego nagle chrapanie sprawiło, iż marsz wysokiego malarza portrecisty od razu przeszedł w „kurzgalopp”, w cwał, skutkiem czego wnet nastąpiło bolesne zderzenie biegnącego człowieka z nieruchomą przeszkodą. W blasku zapalek, wciąż gasnących w rozdygotanej dłoni, twarda przeszkoda okazała się najprawdziwszym katafalkiem. Wówczas Klapperstorch poczuł, że jego piękne kędzierzawe włosy po raz pierwszy porzucają naturalną faliście ondulację i prostują się ku powale, stają dęba.

O włosach uczesanych dziwnie, tak jak gdyby stały dęba, była 20 minut później mowa na środkowym poziomie podziemnego dworca kolejek IRT, linii Lexington przy Bleeker Street, gdzie chwilowo umieszczono ofiarę zagadkowego wypadku, która ponoć nie przeżyłaby transportu nawet do najbliższego szpitala.

W rogu niskiej hali, podziurawionej kamiennymi klatkami schodowymi, wypełnionej ludźmi zmoczonymi deszczem i rozbrzmiewającej głuchym dudnieniem każdego przechodzącego pod nią pociągu, stały szpitalne nosze. Na nich leżała blada, chuda, zmizerozana blondyna, typowa narkomanka, błogo uśmiechnięta może dlatego, że niedawno dostała... po raz pierwszy legalnie... mnóstwo silnego narkotyku. Młody medyk, który hojnie uraczył ją białą trucizną, ażeby uśmierzyć jej potworne bóle, dziwił się tylko, że ona jeszcze żyje po „masakrze”, jaka ją tu spotkała pod kołami wbiegającego na stację pociągu kolejki podziemnej. Czyż siłą woli można przedłużyć sobie życie choć o kwadrans?

— Czasem można. Widziałem parę takich wypadków

na wojnie. A ta tutaj notoryczna grzesznica widać uparła się doczekać przybycia księdza — rzekł najstarszy z kilku policjantów, jacy tu odgradzili ofiarę wypadku od gapiów i dodał ciszej, że nowy wielebny kazał za długo tu czekać na siebie, bo aż 16 minut. — Przy następnej takiej okazji w naszym okręgu zatelefonuję do polskiego kościoła przy siódmej ulicy. Trzeba po kolei dać wszystkim okolicznym księżom równą szansę poprawienia rekordu szybkości w jeździe do konających.

Książd André Gourmet sam zdawał sobie sprawę z tego, że powinien był przybyć tutaj wcześniej o tych kilka minut, które stracił na ewakuację malarzy ze swego auta. Czując się winnym tej zwłoki, klęczał ofiarnie na zabłoconym betonie w najnowszych swych spodniach i, udzieliwszy nieszczęsnej Karen Cavatappi rozgrzeszenia in articulo mortis, przygotowywał ją do przekroczenia bez lęku mety życia z takim przejęciem, jak gdyby czynił to po raz pierwszy, a nie chyba setny, odkąd otrzymał święcenia kapłańskie.

Natomiast towarzyszący mu Jarosławek, pragnąc jak najprędzej wrócić do pełnych gonitw i strzelaniny widowisk telewizyjnych, nudził się tutaj. Zainteresowała go dopiero rozmowa, jaka potoczyła się obok, gdzie stali razem ów najstarszy z policjantów i medyk, i pomocnik adwokata kolejek IRT. Do tej trójcy bowiem właśnie przydreptał przepuszczony przez kordon, zdyszany, lecz tradycyjnie uśmiechnięty Chińczyk, który dopiero co wyszedł tu schodami z niższego poziomu dworca, a tam jeszcze dudnił odjeżdżający na północ pociąg.

— Good evening, officers! Wy oczywiście już wiecie... Ach, nasza nowojorska policja wie wszystko! — zaczął z emfazą, a oficerem tytułuje się policjanta, by

go udobruchać; jeśli mimo to wypisał mandat karny, automobilista na odjezdnym zwie go uszczypliwie platfusem albo łapaczem. — Wiecie, że to był zamach morderczy.

— Czyżby? A któż to panu powiedział?

— Moje skośne oczy. Widziały one, jak zepchnięto ją na szyny.

— Czemu nie przeszkodził pan temu lub nie zatrzymał zabójców?

— Nie śmiałbym wkraczać w kompetencje policji, oficerze — odparł kpiąco, choć z dobrze udanym resempektem. — Zresztą, byłem wtedy po drugiej stronie torów, na peronie zachodnim. I mój pociąg już ruszył, gdy dokonano zamachu na kobietę, którą obserwowałem.

— Dlaczego pan ją obserwował? Czy pan jest licencjonowanym detektywem prywatnym?

— Najprywatniejszym, bo tylko na własny użytek. Zawsze próbuję wydedukować z zachowania się każdej swej nowej klientki, jak duży napiwek od niej dostanę. Jestem bowiem damskim fryzjerem... Jako fryzjera zainteresowały mnie śliczne choć zmierzwione włosy tej chudej blondyny, gdy czekałem tu na swój pociąg. Wlokła się ona z trudem, uczepiona ramienia swego fatyganta. A on wiódł ją ku pustemu końcowi wschodniego peronu, by nie mieć świadków planowanej zbrodni.

— Skąd pan wie, że on jakąś zbrodnię planował?

— Rozum mi to mówi, bo widziałem jej wykonanie, oficerze. Wsiadłem do pierwszego wagonu i właśnie zerknąłem przez szybę ostatni raz na blondynkę, gdy on palnął kułakiem w jej czoło i cisnął ją jak piłkę w sam wylot tunelu. Dwie inne osoby obok mnie stojące także to widziały, ale cóż, nasz pociąg właśnie ruszył, a z przeciwnej strony już nadbiegał tamten pociąg, który

przejechał kobietę i zasłonił przed naszymi oczami ucieczkę mordercy. Wsiadłszy już przy Spring Street, powiedziałem tam dyżurnemu funkcjonariuszowi co zaszło, a on uprosił mnie, bym tam zaczekał, sam zaś natychmiast zatelefonował do kogoś...

— Do mnie. I mówił mi o pańskiej spostrzegawczości. Poleciałem mu zapisać pański adres i nakłonić pana do spotkania ze mną tutaj, gdzie przybyłem troszkę wcześniej. Oczywiście zapłacimy panu hojnie za stratę czasu i fatygę. Ach, jak to miło mieć do czynienia z tak inteligentnym świadkiem! — Narybek adwokacki nadskakiwał Chińczykowi, bo a nuż rodzina przejechanej wytoczy proces o duże odszkodowanie. — A jasno wynika z bezstronnych pańskich zeznań, że kolejki IRT nie mogą ponosić odpowiedzialności za uszkodzenie ciała osoby, która nie spadła na tor z winy motorniczego, lecz którą jakiś zbrodniarz rzucił pod koła nadbiegającego pociągu!

— O ile ją w ogóle ktoś zrzucił czy popchnął; mogła przecież spaść sama, pośliznąwszy się na skórcie z banana. Sceptycyzm policjanta brzmiał raczej szczerze.

— Jeżeli pan mi nie wierzy, proszę spytać ranną — rzekł Chińczyk zapatrzony w złote włosy spływające z noszy ku posadzce. — Ona jest teraz umysłowo dojrzała niż my wszyscy razem.

— Spróbuję — zadecydował stróż bezpieczeństwa publicznego, zaniepokojony często niebezpiecznymi konszachtami prawnika z medykiem. — Doktorze, czy można zadać pacjentce kilka pytań?

— Zadać można. Czy jednak ona odpowie na nie do rzeczy, za to medycyna ręczyć nie może.

Książd André Gourmet spojrział ze zgorzeleniem na

laików, usiłujących czymś tak nieskończenie błahym, jak sprawy świeckie zaprzętać umysł osoby niewątpliwie już konającej, ale zatwardziali laicy nawet nie poczuli chłosty jego karcących spojrzeń.

— Czy przyznaje pani — zaczął uroczyście sierżant policji, zerkając jednym okiem do rozpostartego notesu, który budził u naiwnych postrach i przekonanie, że wybiegi czy kłamstwa nie zdadzą się na nic wobec faktów już opisanych w tym notesie — że to był wypadek, czy może twierdzi pani, że ktoś zepchnął ją z peronu pod nadjeżdżający pociąg, a jeżeli tak, to dlaczego i po co?

Mimo zawilości stylu policyjnego, Karen zrozumiała sens pytania.

— Przebaczam mu... odpuszczam — odparła cicho.

— I odpuść nam nasze winy — modlił się wikary — jako i my odpuszczamy winowajcom naszym...

— Ale my nie odpuszczamy! — zaperzył się młody kauzyperda. — My nie możemy płacić za jej odcięte ręce, skoro winę ponosi...

— To się okaże, kto ponosi. Teraz ja mam głos! — ofuknął go właściciel groźnego notesu. — Czy pani zna osobnika, który bez jej zgody umieścił ją na szynach? Proszę mówić prawdę, samą prawdę, nic, tylko prawdę! — zacytował formułkę sądową i dodał srogo: — Kto ukrywa przestępcę lub jego identyczność; staje się współwinnym dokonanej zbrodni i jako taki karany będzie!... Zatem, zna go pani?

— Znam.

Zanim ona wykrztusiła to jedno słowo, przyszedł jurysta wyrecytował długie zdanie. — Musi go znać, skoro chodziła z nim czule pod pachę po peronie wschodnim,

jak zauważyli z zachodniego peronu wiarygodni i bardzo inteligentni świadkowie.

— Proszę o jego nazwisko i adres.

Zauważywszy, że ranna przeniosła mętniejący wzrok na wikarego, jak gdyby chciała go spytać o radę, policjant zażądał jego interwencji. — Niechże jej ksiądz wytłumaczy po swojemu, że przez ukrywanie prawdziwego winowajcy może ktoś niewinny być obwiniony ...i ukarany!

— I to racja — przyznał wikary, potakując głową.

Zanim jednak zdążył wygłosić stosowny apel, Karen Cavatappi dotarła do kresu swoich sił. — Oby mi... odpuszczono... moje winy... tak jak ja... cudze odpuszczam — wyszeptala urywanym, zamierającym głosem i znieruchomiła na zawsze.

Medyk po krótkich oględzinach stwierdził zgon, zerknął na zegarek i spojrzał na Karen z wymówką, że tyle mu czasu zabrała tak prostą funkcją fizjologiczną jak konanie. Prawnik odwrócił się do niej tyłem, aby sobą zasłonić ją przed wpatrzonym w jej włosy Chińczykiem; należało tego świadka obrobić, zaprosić dziś jeszcze do biura i uwiecznić jego świeże zeznania dźwiękowo, na metalowej taśmie, by go jutro rodzina zmarłej nie przekabaciła. Ksiądz modlił się jeszcze, acz już z szybkością jednostajnie przyśpieszoną, a jego mały adiutant znów ziewał. Pasażerowie wsiadający tutaj, przy Bleecker Street, otrzepywali z deszczu parasole, te zaś z nich, które wiatr im uszkodził, wyrzucali do drucianego kosza, tak że wyglądał on wnet jak wazon żałobnych kwiatów.

Starszy sierżant też narzekał na świeżą nieboszczkę do swych podwładnych; ileż fatygi byłaby oszczędziła policji, gdyby wymieniła adres osobnika, który jakoby zepchnął ją na szyny! I czemuż ten młody,

niedoświadczony wikary tyle czasu swego i cudzego marnuje dla niej? Według opinii doświadczonego policjanta, Irlandczyka i oczywiście katolika, tego rodzaju niewierna żona, rozwódka, narkomanka i ekskokota, jak znana w tej dzielnicy Karen Cavatappi, nie miała żadnej szansy dostać się nawet do czyścica.

Lecz ksiądz André Gourmet był innego zdania.

W Nowym Jorku prowadzenie wstępnych dochodzeń w sprawie morderstwa i zabójstwa w afekcie i także śmierci spowodowanej przez czyjąś nieostrożność należy do tego wydziału policji, który zwie się Homicide Squad. Jednakże przed zatelefonowaniem do tych podejrzliwych, zgryźliwych i nader wymagających detektywów wołał małą rangą i duchem policjant przygotować się na ich prawdopodobne pytanie o ryś opis przestępcy, którego nazwiska Karen Cavatappi nie chciała czy nie zdążyła wyjawić, niestety.

Po jej zgonie jedynym źródłem informacji pozostał ów chiński fryzjer i jego teraz niedawny sceptyk wziął na spytki energicznie. Ale uczynny Chińczyk, który przed tragedią na szynach obserwował głównie bujne włosy blondyny, a nie wygląd jej zdradzieckiego kompana, niewiele umiał o nim powiedzieć.

— Nie jest to młodziak, lecz facet dobrze po czterdziestce — podkreślił, bo napadów na kobiety dokonują w Nowym Jorku głównie opryszki młode — a druga jego cecha to pokaźny wzrost; parę cali ponad sześć stóp!

— Ho, ho, skoro tak wysoki, to na pewno nie Portorykanin, nie Meksykanin, nie Japończyk — wnioskuje policjant. — Blondyn to czy brunet?

— Rudy. Ma piękne, czerwone włosy i...?

— Pewnie ufarbowane. Odkąd wynaleziono kolorowe filmy, namnożyło się takich sztucznych rudzielców

i tycjanek jak królików! A naturalnych rudowłosych poznać po tym, że mają dużo piegów. Ten wysoki miał takowe?

— Nawet pańskie zawodowo bystre oczy, oficerze, nie dostrzegłyby piegów z jednego peronu na drugi, a cóż dopiero moje skośne, wąziutkie ślepie. Natomiast jako fryzjer zwróciłem uwagę na rzadkie u nas w Ameryce uczesanie tego drągala.

— To nam nie pomoże. Każdy może sobie zmienić fryzurę w mig.

— Nie taką, jaką on ma, oficerze. Nawet cała tubka brylantyny nie przerobi jego fryzury na gładką, ulizaną z rozdziałkiem w środku czy z boku.

— Zatem miał on tę krótką, żeglarską czuprynę crew-cut?

— Nie. Nie crew-cut, tylko jakby szczotkę włosów pionowo do góry sterczących. Jakby mu włosy dęba stały i stały permanentnie. Tego u nas nikt nie nosi, lecz widywaliśmy takie jeżowe czupryny na filmach o hitlerowcach.

— A jak był ubrany?

— Pan zamęcza naszego świadka — interweniował młody prawnik, widząc obfite krople potu na płaskiej twarzy Chińczyka. — Nawet rekrut policyjny potrafi odnaleźć mordercę, gdy będzie znał... jak pan teraz zna... jego wiek, kolor włosów, wysoki wzrost i rodzaj fryzury.

— Taką fryzurę mógłby nosić jakiś karzeł, aby sobie trochę wzrostu przyczynić — orzekł niewierny Tomasz policyjny — ale nigdy wielkolud mający przeszło sześć stóp. Takiego typu, jak świadek opisał, nie ma i być nie może.

— Jest! Rudy Goliat! Widziałem go! — pisnął 10-letni Jarosław Herudek, przypomniawszy sobie, przed kim drapnął dziś wieczór sprzed gabloty z fotosami

reklamującymi film o „nieśmiertelnym” Billym Kidzie.
— Na własne oczy widziałem.

— Kiedy? Gdzie? Z kim? Jego adres? Rysopis? Nazwisko?

Za szybki grad pytań nie wpłynął korzystnie na jasność odpowiedzi chłopca, zmieszanego już tym, że tak wiele oczu patrzyło nań teraz.

— Goliat. Tak jak go nazw... Był w kinie z Dawidkiem, z tym, co tak z procy celnie strzela, że w klasie zwiemy go Pedr... Na odwrót! Jemu jest Pedrito, a my go... wołamy Dawidem pogromcą Goliata. Więc dziś...

— Widziałeś biblijny film prawda, dziecko? — wtrącił prawnik.

— Czyżby naziści naśladowali fryzury biblijnych Izraelitów? — wątpił fryzjer chiński, a sierżant policji znów dosiadł swego konika.

— Ach, filmy i telewizja to plaga naszych czasów. Idź, chłopcze, nie utrudniaj władzy śledztwa — rzekł, nie przeczuwając, jak kolosalnie ułatwiłoby mu śledztwo cierpliwe wysłuchanie tego spostrzegawczego malca.

Zawiedziony Jarosław pospieszył z parasolem za odchodzącym wikarym. Po drodze do miejsca, gdzie czekał ich zaparkowany packard, streścił mu to, co mówił Chińczyk do policjanta i co on sam dziś zauważył przed kinem. Przymawiał się też gorąco, żeby teraz pojechali na Thompson Street do domu, w którym mieszka przy rodzicach Pedrito Perez i wydobyli od niego adres „rudego Goliata”, sprawcy strasznej śmierci pani Karen Cavatappi.

— Cavatappi! Nasz hojny parafianin Fortunato Cavatappi! Jego przede wszystkim muszę zawiadomić o zgonie żony, jeżeli policja tego jeszcze nie zrobiła. No i w jego restauracji odbywa się dziś uczta weselna, na

której powinienem być obecny już od dawna — przypomniał sobie książkę Gourmet, a równocześnie zapomniał o malarzach, których zamknął na klucz w dolnej kaplicy, bowiem często wysunięcie jakiejś szufladki wspomnień w ludzkim umyśle zasłania inną szufladkę ze wspomnieniami choćby znacznie świeższymi. — Drogi Jeff, nie można po nocy budzić twego rówieśnika i alarmować jego rodziców.

— Pedrito jeszcze nie śpi, ręczę. Przecież to początek wakacji!

— Tak, tak, ale dzieci w waszym wieku powinny spać o tej porze. Czy wiesz, że teraz jest już dobrze po dziesiątej? A kiedyż ja, nieszczęsny, przybędę do Cavatappiego, jeśli teraz muszę odwiedzić ciebie na plebanię?

— Po co odwozić! Czy ja nie trafię z zawiązanymi oczami? Czy ciotka nie powtarza, że co wieczór, zamiast patrzeć na telewizję, powinienem zrobić długi spacer?

— Hm, tak, oszczędziłoby mi to trochę czasu... ulewa zmalala... parasoli mamy w bród... zatem drogi Jeff, korzystam z twej oferty, daję ci sposobność odbicia spaceru dla zdrowia. — Przystanąwszy przy chodniku, żeby chłopca z auta wysadzić, upomniał go wikary jeszcze raz. — Tylko idź prosto do domu, Jeff, bez nowych przystanków przed kinami.

Jarosławek przyrzekł to z satysfakcją chłopca, któremu udaje się znowu nabić w butelkę starszych i skoro tylko księża landara ruszyła dalej, kierując się teraz ku pępkowi dzielnicy cyganerii, skręcił na południe ku Thompson Street. Chciał jeszcze dzisiaj dowiedzieć się od Pedrita adresu jego rudego „przyjaciela” olbrzyma i w kozi róg zapędzić policyjnych detektywów, którzy tak nieudolnie zabierali się do szukania mordercy Karen Cavatappi.

Fortunato Cavatappi zmartwił się po swojemu winą o nagłym zgonie Karen. Obchodziła go już znacznie mniej niż żarówka za 23 centy, jaką nieznanym wandal stłukł tu dziś po południu w damskiej toalecie, lecz zamożny kupiec musi dbać o swą dobrą opinię, gdyż konkurenci i zazdrośnicy tylko czyhają na okazję do obryzganego go błotem obmowy. Dla zatkania im plotkarskich paszcz musi zatem on, Fortunato, zafundować tzw. ostatnią posługę kobiecie, która wprowadziła była z nim formalnie rozwiedziona i zesłała na psy, lecz aż do śmierci nosiła jego szacowne nazwisko.

— A ten, kto raz zwał się Cavatappi, nie może nawet po zgonie być zrównanym z hołotą, która swymi zwłokami dostarcza eksperymentalnej padliny prosektorium!

Fortunato miał na myśli zapewne to, że prawie wszędzie na świecie zwłoki nędzarzy, za których pogrzeb nikt nie chce zapłacić, służą studentom medycyny do nauki, a potem, pokrajane i wypatroszone, zostają zakopane za najbiedniejszym cmentarzem. Miejsce pod grób na bliższych cmentarzach nowojorskich kosztuje przeciętnie 500 dolarów, pogrzeb od 350 do 5000 dolarów, zależnie od wymagań rodziny, a księdzu za wyprowadzenie zwłok i odprawienie nabożeństwa żałobnego wypada dać co najmniej 10 proc. tego, co wziął pogrzebowy.

— Ach, czemuż, niestety, nie ubezpieczyłem Karen choćby na dwadzieścia tysięcy dolarów! — żałował poniewczasie świeżo owdowiały przedsiębiorca. — Wprowadziła miesięczną składkę asekuracyjną od tego kosztowałyby mnie około pół setki, lecz płaciłbym ją tylko przez parę lat, bo tak lekkomyślna idiotka jak Karen musiała skrócić kark rychło... Zapomniałem o tym i teraz zamiast zarobić na niej choć raz w życiu,

muszę najmniej tysiączek wyrzucić jak w błoto. Corpo di Bacco! — zaklął. — Tysiąc dolarów za zakopanie w ziemi stu funtów ścierywa! A jest pono taka mądra sekta indyjska, która cały pochówek swoich nieboszczyków załatwia gratis, wynosząc ich na pożarcie sępom...

Pod nawałem tego rodzaju niecodziennych myśli rozboleła grubasa łysa mózgownica i wątroba, tak iż musiał położyć się natychmiast z grzałką elektryczną na brzuchu, a gumowym woreczkiem z lodem na łysinie. Leczył się tym domowym sposobem najpierw nad sklepem, w swej podręcznej garsonierze, w której dziś usiłował uwieść Amparę Perez... — hej, może to ona rozbiła mi żarówkę parasolką w odwet za moją zaczepkę?... lecz hałaśliwe odgłosy uczt weselnej odbywającej się tuż obok za cienką drewniana ścianką wypłoszyły go do mieszkania w Bay Ridge. Zanim tam jednak odjechał, zlecił swej nowej faworycie, Gertie, żeby wyręczyła go tu dzisiaj we wszystkich obrachunkach i innych wieczornych zajęciach aż do zamknięcia restauracji, sali bankietowej i baru, bo sklep delikatesów już zamknęli przedtem.

Pilnuj mi całego interesu, jakby swego własnego, my darling — dodał czule, gramoląc się do swego dodge'a zaparkowanego przed sklepem. — W nagrodę ubezpieczę cię na grubszą sumę zaraz po pogrzebie Karen, chcesz, dziecińo?

— Tobie nie potrafię odmówić niczego — odparła niby wzruszona, udając, iż zrozumiała jego propozycję wręcz na odwrót. — Jak to ładnie, kochany grubasiu, że chcesz mnie finansowo zabezpieczyć na wypadek swojego zgonu i zaasekurować na grubszą sumę siebie...

Gertie przepadała za chwilami nieobecności opasłego kochanka-chlebobawcy, gdyż mogła wówczas

rządzić się jak szara gęś i niby to w jego imieniu wydawać starszym od niej pracownikom liczne polecenia, podkreślane dumnym „ja jestem waszym szefem obecnie”, albo „ja tu rozkazuję teraz”. Oznajmiwszy to w kuchni i w prawie pustej już restauracji, poszła na górę do pełnej ludzi i zgiełku sali bankietowej, gdzie odbywało się huczne weselisko.

Właśnie przed chwilą „mistrz toastów” przy pomocy trzeźwiejszych drużbów zdołał uciszyć wrzawę, żeby ksiądz wikary mógł w zastępstwie nieobecnego proboszcza wygłosić spóźnione o parę godzin przemówienie. Było ono, jak zwykle, peanem pochwalnym na cześć jakoby bogobojnych, a z całą pewnością hojnych rodziców obojga nowożeńców i nawiązywało krasomówczo do biblijnych godów weselnych w Kanie Galilejskiej, ale zawierało też, według mody amerykańskiej, dużo dowcipów. One to podobały się słuchaczom najwięcej, wywoływały oklaski i salwy śmiechu.

Nie mogąc na sali dokuczyć nikomu z personelu, póki honorowy gość zabawiał swych słuchaczy, wymknęła się Gertie stąd rychło, wróciła do salki restauracyjnej, gdzie dziś Lubor zafundował obiad modelkom i tamtędy cicho wśliznęła się do baru, pogrążonego w półmroku jak zwykle. Już przez szparę w kotarze przy drzwiach zauważyła, że barmana nie ma za ladą, choć przy niej tkwiło ośmiu klientów, z tyłu wyglądających na tych wysokich taboretach jak nietoperze szeregami za dnia wiszące w gigantycznych grotach w stanie New Mexico. Ich szklanice były puste, jak dostrzegła w lustrze, a głowy mieli zadarte i wykręcone na prawo w skos, ku ekranowi telewizora umieszczonego tu za wysoko.

Spośród najrozmaitszych programów, jakich nowojorczanom dostarcza równocześnie 7 nadawczych stacji

TV (kiedyś ma ich być 13), bywalcy knajp najbardziej lubią boks, baseball i mocowanie. Także i tu gapiono się na odbywające się dzisiaj w chłodniejszym Chicago zapasy catch-as-catch-can. I właśnie zwinny jak pawian i trochę do niego podobny Antonino Roca z Argentyny obalił na wznak 320-funtowego Turka swym nie zrównanym skokiem w górę i potężnym kopnięciem oboma na raz stopami w twarz przeciwnika, na którego brzuchu i torsie zaraz wylądował, zanim tamten zdążył się poderwać z obu łopatek.

Ośmiu „gackom” przy ladzie baru tak spodobało się to szybkie zwycięstwo, że chcieli wypić zdrowie podskakującego po ringu Antonina; zastukali więc o blat lady, zabelkotali coś o marnej obsłudze we współczesnych knajpach, a mimo wszystko Patrick McCluskey nie wrócił na swój posterunek! Na taki pretekst Gertie właśnie czyhała, lecz gdzież ten dziadyga zaszył się obecnie? Nie było go w oszklonej budce telefonicznej, nie wyszedł też chyba na ulicę, gdyż deszcz padał teraz znów silniej niż przed kwadransiem, kiedy Fortunato Cavatappi stąd odjeżdżał do domu.

— Widocznie Pat przysiadł się do kogoś w jednej z łóż — odgadła nareszcie. — I pewnie znów popisuje się przed kimś lepieniem figurek albo humorystycznymi monologami, a tu interes cierpi! No, ja mu zepsuję ten jego słynny humor na dzisiaj!

Wyprzedził ją w tym jednak Maks Blink. Już samo jego zjawienie się tutaj zaniepokoiło ogromnie starego barmana, którego „kocie” oczy, świetnie widząc w półmroku, wypatrzyły wkrótce kontury pistoletu automatycznego pod cienkim materiałem tropikalnej marynarki przybyłego, nieźle pokropionego deszczem. A ponura mina dryblasza też źle wróżyła barmanowi kiedy

kazał mu usiąść naprzeciw, w łoży najbliższej od drzwi z ulicy i zażądał drugiej połowy przedartej studolarówki.

— Towar za setkę jest ściśnięty w tym — ciągnął dalej, kładąc na stole bardzo dużą okrągłą puderniczkę, po którą Pat zaraz wyciągnął dłonie. — Precz z chciwymi łapami! — warknął Maks. — Najpierw wysłucha pan nagany, jakiej szefowie udzielają panu przeze mnie. Zrozumiano?

— Tak jest, choć nie pojmuję, za co nagana ma...

— Milczeć! Głos mam ja! W naszej branży, do której pan chciałby wdrzeć się na starość, obowiązuje maksymalna ostrożność, karność i dyskrecja — mówił rudy dobitnie, choć cicho. — Moi szefowie karzą winnych bez litości! Godzinę temu rzucili pod pociąg Karen Cavatappi za to, że wskazała panu swego dostawcę! Ampara za lekkomyślność dostała chłostę... na razie! Ale winy tych kobiet błedną przy pańskiej winie: pan osmielił się śledzić po nocach mnie!

— Tylko dla nawiązania handlu z panem, przysięgam! Nie mogłem bowiem nabyć dosyć towaru, na który mam coraz więcej amatorów.

— Czy należy do nich Cavatappi i jego nowa kochanka? To byłaby zabawna nemezis, gdyby można właśnie im zaszcześcić nałóg, który pożarł Karen.

— To byłoby zabawne i zyskowne! Dziękuję za genialną radę. Ach, kapitanie, my dwaj jesteśmy z tej samej mąki wypieczeni i powinniśmy zostać współnikami koniecznie! Jeśli idzie o mnie, podejmuję się taką ilość towaru, jaką dziś zamówiłem na próbę, sprzedawać tu dzień w dzień!

— Komercjalnie brzmi to interesująco, lecz ja nie lubię zmieniać powziętych decyzji... chyba że się wyłoni nowy romans... A postanowiłem sobie po wyciśnięciu

prawdy od Ampary zrobić dzisiejszej nocy dwie rzeczy: opuścić Nowy Jork na dłużej, może na stałe, a przed wyjazdem stąd... zlikwidować osoby, których chciwość mogłaby narazić mnie na więzienie i deportację. Oto czemu wpadłem tutaj... uzbrojony! Nie zrywaj się, człeku, bo skrócisz sobie życie wściekle! Lufa mej spluwy pod stołem celuje w twój brzuch. W podbrzusze, he, he, he. A huk strzału zagłuszą te taneczne hałasy nad nami...

Przypuszczenia, że rudy drągal jest obłąkańcem albo narkomanem odurzonym silniejszą dawką białej trucizny i upajającym się swą chwilową tyrańską potęgą przez terroryzowanie kogoś rewolwerem, nie poprawiało sytuacji barmana. Bandytę można czasem przekupić lub odstraszyć dowodzeniem, iż po strzale nie zdoła uciec i zasiądzie na krześle elektrycznym nieuchronnie, lecz jak i czym odwieść od wykonania morderczego zamachu uzbrojonego wariata? Nie znajdując odpowiedzi na to nader dlań aktualne pytanie, siedział Patrick MacCluskey zgarbiony, przerażony i przygnębiony beznadziejnie.

Wtem obok jego kanapki pojawiła się Gertie i, ująwszy się pod boki, zaczęła mu wyliczać jego grzechy; przy ladzie ośmiu klientów czeka na nową kolejkę i chcą high-ball (wódkę z domieszką i z lodem), a nie tanie piwo! W łoży piątej parka czeka na pieniaący się gin-fizz. W łoży siódmej dwaj żeglarze żądają dla swoich dziewczynek cuba libre (rum z koką i sokiem cytrynowym), a dla siebie vodka (czystą bezbarwną wódkę). A w ostatniej łoży dwie parki całują się tak, iż trzeba je albo wyprosić za drzwi, albo namówić na jakiś droższy trunek. Wszystko to powinien barman sam wiedzieć i załatwić, tymczasem on próżnuje sobie tutaj. Zapewne

oklepanymi kawałami zabawia klienta, i to takiego, przed którym stoi tylko szklanka piwa, najtańszego napitku w tawernie.

— Jakie mam towarzystwo, taki piję trunek. Tym droższy wybiorę, im ładniejszą kobietę widzę naprzeciw — rzekł Maks Blink, sięgając do arsenału kompletów, z jakich sływał w Bawarii.

Na niego też Patrick patrzył pytająco, zamiast pospieszyć za ladę już po pierwszym zdaniu jej nagany. Oburzona tą niesubordynacją, wyłajała go ostrzej, groziła, że zażąda jego zwolnienia od swego „narzeczonego”, który jej niczego nie odmówi. W końcu zapytała „po raz ostatni”, czy Pat natychmiast wróci do roboty.

— Wróci, jeśli pani zastąpi go tutaj — rzekł Maks z zabójczym uśmiechem donżuana, powstając dla zademonstrowania swego wzrostu. — Barmanie, kim jest ta piękna młoda dama, która chce pozbawić kompanii samotnego Europejczyka?

— Pan jest z Europy? — ucieszyła się Gertie. — Ja też! Po wymowie poznaję, że pan jest narodowości niemieckiej. Ja także... po matce.

— Co za szczęście spotkać rodaczkę! I tak urocza! Ach, to trzeba oblać cocktailem szampańskim! Barmanie, umiecie go wypichcić? Zamawiam pełen shaker tego cocktailu, a pierwsze dwa kielichy proszę nam podać już natychmiast! I kilka papierosów... tych indyjskich!

Poklepawszy przyjaźnie Pata, zaskoczonego tą nagłą zmianą humoru u nieobliczalnego snadź szaleńca, przedstawił się Maks faworycie Cavatappiego według pompatycznej modły oficerów-junkrów, ze strzelaniem piętami, wtykaniem w oko monokla i kilkakrotnym pocałowaniem jej w rękę z przesadną rewerencją. Coś podobnego nie zdarzyło się Gertie w Ameryce dotychczas,

więc ujęło ją to ogromnie. Choć z reguły nie przysiadła się tu w barze do nieznanym, dla „wytwornego kapitana” zrobiła wyjątek i bez wahania usiadła na miejscu skwapliwie opróżnionym przez Patricka MacCluskey, który już spieszył ku ladzie.

— Ja wam zrobię cocktail mniej szampański niż szatański! — mruzczał, obmyślając jakie składniki powinien dołożyć do mieszaniny zwanej cocktailem szampańskim, aby jego konsumentom nieuchronnie wszczepić zarodki nałogu, który zgubił bezwolną Karen, ale na którym ludzie o silnej woli i bez skrupułów bogacą się najszybciej. — Ach, być bogatym choć przez rok życia! — westchnął Pat, lecz tak wzdychał od ćwierć wieku i na próżno.

Kiedy kwadrans później przyniósł do ich łoży drugą kolejkę świetnie przymrużonej mikstury szatańsko-szampańskiej, Gertie z rozkoszą paliła brunatnego rifiersa z marihuany, a Maks Blink, trajkoczący i przechwalający się jak narkoman po nowej dawce, opowiadał swej towarzyszce, jaki to olbrzymi, wspaniały i nieśmiertelny jej portret on namaluje w swoim studiu w ciągu sześciu dni, zaczynając od jutra.

— Zatem odłożył pan swój planowany wyjazd? — spytał Pat.

— Oczywiście! Po cóż bym opuszczał Nowy Jork teraz, gdy odkryłem w nim natchnienie i model dla mojej płomiennowłosej Mony Lizy! — Tu rudy Maks z czcią musnął ufarbowane loki Gertie i znów cmoknął ją w dłoń. — Mam obecnie całkiem nowe plany na najbliższą przyszłość.

Układanie wciąż nowych, często fantastycznych planów z wiarą w ich łatwe i rychle wykonanie towarzyszy uraczeniu się białą trucizną tak samo jak przygnębienie i skrajny pesymizm ogarnia jej ofiary czy niewolników, kiedy minie jej odurzające działanie.

Według najświeższego ze swoich planów zamierzał ekskapitan Blink stać się utrzymankiem Gertie, przyspieszyć jej ślub z zamożnym Cavatappim, wymóc przepisanie przezeń całego majątku na nią, a potem, podczas zgrabnie wyreżyserowanej wycieczki autem w góry, choćby w niedalekie Adirondax, zepchnąć grubasa w jakąś przepaść, jak ongiś zepchnął Ryszarda Velika, tak żeby to wyglądało na nieszczęśliwy wypadek.

Płonąc żądzą czynu, pragnął już dzisiaj zacząć szkicowanie portretu i uwodzenie portretowanej. Gertie jednak, mimo pierwszego zamętu w myślach, pamiętała jeszcze o swoich obowiązkach służbowych. Uparła się zostać tu i zrobić wieczorne obliczenia utargów za nieobecnego pracodawcę, a obejrzenie malarskiej pracowni rodaka z Europy odłożyć sobie do jutra. Co dzień po południu, gdy ruch w sklepie jest najslabszy, ma ona trzy godziny „wychodnego”, które spędza w kinie lub u fryzjera, albo zużywa na drzemkę. ,

— Świetnie! Jutro zdrzemnie się pani na tapczanie lub fotelu w moim studiu, podczas gdy ja będę panią szkicował — rzekł z ogromnym zapalem.

Nie zamierzał ograniczyć się do szkicowania podczas jej wizyty z drzemką czy bez, musiał zatem spławić żonę z domu na kilka godzin przed ową wizytą. Przede wszystkim zaś wypadało zrobić gruntowny porządek w sieni i w klatce schodowej kamienicy, gdzie mieszkał. Należało to do obowiązków Klapperstorcha, który jako dozorca domu dostawał od kamienicznika gratis mieszkanie z opalem, światłem i telefonem oraz kilkanaście dolarów na tydzień za łatwe funkcje nowojorskiego dozorca.

Aliści, choć Klapperstorch mawiał o sobie „miotła daje mi chleb, a pędzel przyjemność”, zmiatał on

regularnie tylko chodnik przed domem, aby nie dostać grzywny od policji miejskiej. Natomiast podwórko wyglądało jak śmietnik, sień mało co lepiej, jeśli Dalila nie spodziewała się gości, a stopnie klatki schodowej były już prawie czarne od brudu. Ich widok z pewnością odstraszyłby Gertie, która „promieniuje czystością i pachnie mydełkami jak Holenderki. Zatem sień i całe schody musi wyszorować Irena. Ażeby zaś zdążyła porządnie wykonać tę robotę, musi zabrać się do niej natychmiast!” — zdecydował Maks w myśli. — Która to godzina?

— Pół do dwunastej. Och, nie wiedziałam, że to już tak późno — spłoszyła się Gertie, zerknąwszy na swój kosztowny zegarek.

Choć uznała, że jest późno, nie miała nic przeciwko temu, iż w rogu mrocznej łoży świeżo poznany rodak przedłużył i powtórzył tradycyjny pożegnalny pocałunek i wyściskał, wymagłował ją trochę silnymi rękami.

— Żadna mi się nie oprze, żadna! — triumfował Maks, wracając do domu bez przeszkód zarówno ze strony policji, jak i burzy, bo deszcz znów przestał padać. — Czemuż ja w takim razie dręcę się tamtym wspomnieniem i obrazem? Czyż nie powinienem zniszczyć go raz na zawsze? Pociąć go nożem jeszcze dzisiaj, natychmiast? Pociąć czy może raczej... spalić go na tak olbrzymim stosie jak...

Olśniony nowym wandalskim planem przyspieszył kroku.

ROZDZIAŁ XXXVI

Niewiele brakowało, żeby Irena przenocowała na farmie u Lubora. Oboje mieli na to ogromną ochotę, lecz przeważył rozsądek; nie należało dostarczać Maksowi

żadnego pretekstu do skomplikowania lub przewleczenia sprawy rozwodowej, jaką uchwalili wszczęć w najbliższej przyszłości. Dlatego radzi — nieradzi przerwali czułości, przywdziali tę samą odzież, w której wyjechali z Nowego Jorku, a która już obeschła po mokrej przygodzie w Jones Beach i koło godziny pół do jedenastej wieczór wyruszyli w powrotną drogę do metropolii.

— Im później pojedziemy, tym mniejszy będzie ścisk, a ruch szybszy na drogach — pocieszał się przedtem, gdy wciąż opóźniali start.

I rzeczywiście, sfalowana małymi pagórkami Północna Autostrada, nieco węższa i bardziej kręta od Południowej, chociaż była dość szczelnie zapełniona autami, nie miała już „korków”, zatorów ani zalewów i pozwalała wozom sunąć bez żadnych przerw z niezłą jak na ścisk i noc chyżością 45 mil na godzinę.

Pozwoliwszy Irenie prowadzić starego chryslera, opowiadał jej o swoim życiu dawniejszym i teraźniejszym. Wyjaśnił też, czemu nie pozostał w swojej ojczyźnie, kiedy w 1946 roku zawinął do Gdyni brytyjski statek, na którym służył wówczas, po zatopieniu swego polskiego frachtowca przez nazistów podczas wojny.

— Byłbym został w Polsce, gdybym zastał tam moją rodzinę. Ale nie było jej w kraju, natomiast wszelkie poszlaki wskazywały, że podczas okupacji wywieziono ją na przymusowe roboty do Niemiec.

Nie wszyscy jednak Polacy wywiezieni do Niemiec lub rozproszeni po świecie przez wojnę powracali do swej ojczyzny. Zwłaszcza takich, którzy jak krewni Lubora, nie pochodzili z rodzin chłopskich albo robotniczych, usilnie odstręczano od powrotu do kraju różnymi alarmującymi pogłoskami, wśród których najczęściej pokutował straszak zsyłki na Sybir. Zimnym

tajgom i tundrom Sybiru przeciwstawiano gorące eldorado Ameryki Łacińskiej i bogate raje dla kobiet, sybarytów i spryciarzy w Ameryce Anglosaskiej. Cóż dziwnego, że na ład Kolumba pragnęła dostać się olbrzymia większość uchodźców wojennych i „dipisów”, wysiedleńców z ponazistowskich baraków w Europie zachodniej.

Józef Lubor wierzył, że jego rodzina, jeżeli była wywieziona do Niemiec, podążyła z główną falą wysiedleńców do Ameryki. Dlatego tylko do następnego rejsu, a nie na stałe został w Gdyni. Dlatego też, wróciwszy do Anglii, kombinował tak, aby pływać głównie na statkach zawijających do portów amerykańskich. Dlatego wreszcie przesiedlił się na zachodnią stronę Wielkiego Stawu, jak lekceważąco przezywają Atlantyk ci, którym jeszcze żaden jego jesienny huragan ani zimowy sztorm brzucha nie pohaustał, ducha nie wytrzymał.

Gdy konkurencja odbudowywanych flot handlowych europejskich zakotwiczyła nie wiadomo na ile lat wiele statków amerykańskich i pozbawiła pracy ich załogi, Lubor też musiał rozstać się z barwnym zawodem żeglarza i przedzierzgnął się w rolnika. Za sumę, jaką ze swoich oszczędności wydzielił sobie na kupno farmy, mógłby nabyć 5 do 30 razy więcej ziemi w tym czy innym spośród stanów środkowych albo południowych. Wolał jednak trochę przepłacić, a pozostać jak najbliżej Nowego Jorku, jako głównej bramy kraju dla nowych emigrantów oraz siedziby organizacji zajmujących się ofiarami wojny. Przez blisko 10 lat poszukiwał bezustannie swojej żony, matki i bratowej z dziećmi. Aż dzisiaj znalazł pierwszy ślad, ujrzał na ulicznej wystawie obrazów wykapany portret swej „Mazurki”.

— Czy dziwisz się, Irenko, że stanąłem jak wryty i tak

obcesowo zasypałem cię pytaniami o genezę twego obrazka?

— Nie, drogi Józiu. — Nieźle już wymawiała to polskie „Józiu”, ale gdy na farmie chciała je sobie zapisać w transkrypcji angielskiej, wyszło jej „you-shoe”, „ty trzewiku”, ku jego wesołości. — Twoje zdumienie było całkiem usprawiedliwione.

— Nie tylko zdumienie. Ja wręcz doznałem wstrząsu, wierz mi.

— Wierzę. I czeka cię drugi... gorszy wstrząs, gdy zobaczysz tamten obraz, o którym ci wspominałam. Jak to dobrze, że Maks wyjechał dokądś na kilka dni i mogę ci pokazać jego dziwne dzieło bez zwłoki...

Wszystkie chodniki po drodze były mokre, a jezdnie pełne płytkich bajerek używanych przez latarnie uliczne i reklamowe neony jako tandetne lusterka na jedną noc. Wszędzie roіło się od śladów niedawnej ulewy, lecz chwilowo deszcz znów nie padał, tylko gdzieś w oddali błyskało i grzmiało.

— Ta burza stosuje się do zwyczajów krajowych — żartował Lubor wysiadając z auta — przysyła tu chmury deszczowe na raty, ponieważ w Ameryce można na raty nabyć wszystko.

— Wszystko? Czy prawdziwą miłość także? — spytała Irena, zgasiwszy motor i podciągnąwszy ręczny hamulec.

Na szczęście dla jasnowłosego węsala, nie lubiącego tak kłopotliwych pytań, rozchyliły się już brudne firanki nad jego głową i zaskrzeczał zrzędlivy głos Dalili Klapperstorhowej.

— Dopiero teraz wracasz do chorowitej żony, ty wólczykiju? ...Oj, przepraszam pana, myślałam, że to mój mąż... Kogo także nie widzę w świetle latarni, kogo, jak nie kochaną panią Blink — wytrajkotała chyba jednym tchem. — Dobrze, że choć pani nareszcie

wróciła, gdyż nikogo nie ma z naszej artystycznej braci, prawie nikogo. Bo policzmy; mego kotka nie ma, to raz, męża nie ma, to dwa, Ramona Pereza nie ma, to trzy, a jego córki Jacinty, to cztery, kapitana Blinka też nie ma... Prawda, kapitan wyjechał na parę dni, ale co znaczy, że malarzy jeszcze nie widać? Powinni byli wrócić na łono rodzin koło dziewiątej, abstrahując od ulewy, która zaistniała cokolwiek potem. A dziesiąta minęła dwie i pół godziny temu, prawda? Zatem coś się musiało stać okropnego, przeczuwam...

— Jeśli pani ma złe przecucia, radzę zatelefonować do policji — rzekła Irena, nie chcąc przedłużać rozmowy z gadatliwą plotkarką. I wołała odpędzić ją od okna przed wprowadzeniem Lubora do swego mieszkania o godzinie trochę później na pierwszą wizytę, nawet w peryferii cyganerii. — Niech pani spieszy do telefonu natychmiast, pani Dalilo, aby policja zdążyła na ratunek.

Ale doświadczona Dalila przeniknęła chytre niewieście zamysły i postanowiła nie opuścić świetnego punktu obserwacyjnego teraz! Już sam powrót cnotliwej Ireny z jakimś nieznanym tu mężczyzną o takiej porze był lokalną sensacją, której ciągiem dalszym mogło być czułe pożegnanie w aucie.

— Ponieważ jest pan tak nieprzeciętnym wielbicielem talentu mego męża, muszę panu pokazać jego najlepsze dzieło — rzekła Irena nader oficjalnie i głośno ze względu na tę nieproszoną słuchaczkę w oknie. Niech pan zamknie swój samochód na klucz, bo roi się w naszej okolicy od psotników. I spieszymy na górę do studia.

— Spieszyć się tyle pięter tylko dla obejrzenia paru kiczów? — mruzczała sceptycznie Dalila, dążąc na inny swój posterunek podsłuchowy w rozdeptanych pantoflach

i bezszelestnych podeszwach z gąbczastej gumy. — Nic przyjemniejszego nie zaplanowano w repertuarze randki i na bis? A doświadczona Klapperstorchowa to naiwniaczek, osesek, bejbi, żeby zaraz uwierzyła?

Pomimo skąpego oświetlenia zauważył Lubor gryzmoły i odbicia brudnych rąk dzieciarni na ścianach klatki schodowej, a na jej ciemnych od starego kurzu czy tłustego błota stopniach dostrzegł porozrzucane ogryzki, skórki, łupiny owoców, niedopałki papierosów i strzępy papieru z zeszytów podartych zapewne dla uczczenia końca roku szkolnego lub początku dwumiesięcznych letnich wakacji.

Podobny nieporządek panował w sionkach przed mieszkaniami na każdym piętrze z wyjątkiem najwyższego. Na tym poddaszu bezdzietna Blinkowa i mająca starsze dzieci Ampara Perez najwidoczniej dbały o utrzymanie wzorowej czystości we wspólnym przed-sionku ich mieszkań, gdyż śmieci nie było tu na lekarstwo, a podłoga, szorowana snadź od czasu do czasu, wydawała się znacznie jaśniejsza niż na tamtych, niższych piętrach i niż w dużej sieni na parterze.

Po schludnie utrzymanym przedsionku tym gorzej zaprezentowało się Luborowi studio, obecnie wręcz usłane rozrzuconymi gazetami. Zapaliwszy elektrykę, zaczerwieniła się Irena na widok nieładu, jaki jej mąż-zonek pozostawił po sobie. Ażeby od tego odwrócić uwagę miłego gościa, co prędzej pokazała mu ów obraz, którego treści nie chciała opisać, ażeby nie osłabić ani nie uprzedzić własnej impresji i reakcji Lubora.

— Kompozycję tę Maks zatytułował „W objęciach śmierci”. Przyjrzyj się dokładnie każdemu szczegółowi, zaczynając od tła — rzekła zbierając i prostując pomięte płachty zadrukowanego papieru, części dzisiejszego

New York Times'a, którego niedzielne wydanie ze wszystkimi lokalnymi dodatkami miewa kilkaset stron.

Stosownie do jej rady Polak spojrział najpierw na tło. Przedstawiało ono niewątpliwie front jego Mazurki, podobnie jak obrazek, jaki dziś nabył. O ile jednak na tamtym niedużym obrazku Ireny widać było willę w całej jej wysokości, o tyle twórca tego płótna, o podstawie trzy razy szerszej, ograniczył się do pokazania tylko części parteru Mazurki, jej głównych drzwi i betonowego chodnika przed nią.

Na tym chodniku w pozie półleżącej, półsiedzącej spoczywała młoda kobieta w białym ślubnym stroju, a jej ramiona obejmowały najczulej za szyję podtrzymującego ją jedną ręką... kościotrupa! Duży ten szkielet, klęczący obok i pochylony nad nią, miał niewątpliwie przedstawiać odwiecznego dostawcę klienteli dla zakładów pogrzebowych i grabarzy, bowiem dzierżył w drugiej pischzelowej ręce kosę, od wieków symboliczne, a w malarstwie religijnym i w handlu dewocjonaliami okropnie oklepane narzędzie śmierci.

Cała kompozycja była więc banałem pozbawionym oryginalności i pomysłowości jak wszystkie płótna Maksa Blinka, a jej artystyczne wykonanie także pozostawiało dużo do życzenia. Pomino to obraz ten wywierał jakby hipnotyczny wpływ na swojego twórcę, przykuwał do siebie jego wzrok i myśli na kilka godzin niekiedy. Teraz zaś ten sam obraz czy bohomas od razu wpędził w smutną zadumę Józefa Lubora; patrząc na to płótno jak urzeczony, stał wężał długo w milczeniu, którego Irena przez delikatność nie chciała przerywać, choć jej ciekawość była wystawiona na ciężką próbę.

Cisza, jaka tak rychło nastąpiła w studiu Blinka

utwierdziła podsłuchującą na schodach Dalilę w przypuszczeniach, że cnotliwa mężatka Irena Blink nareszcie ma romans. Zbyt późna już była godzina na zakomunikowanie tej sensacji znajomym jeszcze dzisiaj, natomiast nigdy nie za późno na zawracanie głowy policji.

Tak rozumując, pospieszyła Dalila do gablotki, w której trzymała grube jak mszał tomy ze spisami nowojorskich abonentów telefonicznych, posegregowanych według dzielnic. Wybrała Telephone Directory dzielnicy Manhattan, księgę o 1936 stronicach, z których każda ma przeciętnie 500 nazwisk, adresów i numerów telefonicznych ściśniętych w kolumnach druku. Pod literą „N” przebiegła wzrokiem kilkustronicową grupę numerów biur i urzędów miasta New York City oraz stanu New York, wśród różnych wydziałów odszukała Police Department i, pomyliwszy się parę razy, dowiedziała się wreszcie, jaki numer telefonu ma jej komisariat. Zapisała sobie ten numer na bloczku przy aparacie telefonicznym, aby go po raz drugi nie szukać tak mozolnie w razie nagłej potrzeby, na przykład gdyby jakiś pijany włamywacz wziął jej starą lodówkę w sieni za ogniotrwałą kasę w banku Morgana. Podawszy swe nazwisko i adres, bo tego dyżurny policjant najpierw zażądał, uderzyła w ton melodramatyczny choć jej specjalnością była ongiś operetka.

— Help! Ratunku! — krzyknęła. — Mąż mi zaginął bez śladu!

— To nie mój resort. Szukaniem osób zaginionych zajmuje się nasze Missing Persons Bureau. Telefon: Canal sześć, dwa, o, o, o. Aż trzy „o”.

Znaczyło to, że na tarczy automatu telefonicznego należy nakręcić litery „C”, „A” i pięciocyfrowy numer 6-2000, gdyż Amerykanie mówią „o” na zero.

— Tam proszę zatelefonować i podać rysopis zaginionego, kolory jego ubrania i przypuszczalną datę zniknięcia — radził komisariat.

— Jak to przypuszczalną? Tu nie ma co przypuszczać, on mi się zgubił z całą pewnością dzisiaj! Czy dziś wieczór między dziewiątą godziną a dziesiątą nie zdarzył się jakiś nieszczęśliwy wypadek w naszym okręgu?

— Niejeden! Przy Bleecker Street pociąg odciął ręce i...

— Oj! Jak on biedak będzie mógł zamiatać chodnik bez rąk?

— ...i spowodował zgon w ciągu niespełna godz...

— Umarł? — wtrąciła znów popędliwa Dalila. — Przeczuwałam. Wdową mnie zrobił łobuz, nie zapłaciwszy raty za...

— Ależ, pani Klapperstorch — przerwał jej nawzajem dyżurny policjant — osoba przejechana nie może być pani mężem, bo była kobietą!

— Gdzie pewność? Jego wszyscy brali za starą pannę, jak się za takową przebrał na bal maskowy raz przed wojną światową. A najświeższym faktem jest, że nie ma go w domu, choć powinien był wrócić z wystawy malarskiej ze dwie godziny temu.

— Tylko dwie godziny? I pani śmie zawracać gitarę...

— Od czego w takim razie jest policja? I kto was utrzymuje, jak nie my, podatnicy? Więc jeśli raz na rok jeden z nas, ośmiu milionów nowojorczyków zaginie, powinniście...

— Jeden na rok? Ha, ha, ha — zaśmiał się gorzko policjant. — A jeden na godzinę nie łaska? Więc przyjm pani do wiadomości, że dziesięć tysięcy osób rocznie ginie w naszym mieście bez śladu! Dwa razy więcej odnajdujemy w końcu, a takich fałszywych alarmów

jak, nie wymawiając pani obecny, mamy ze sto dziennie!

— Dziesięć tysięcy zabitych, tak iż zwłok znaleźć nie można?

— Można, ale trudno, bo rzekome zwłoki, zwiawszy do innego stanu, zmieniają sobie nazwisko, kolor włosów, auto, czasem i zawód, a przede wszystkim kobietkę. Większość bowiem tych zaginionych to tacy niešťczęśni mężowie, którym żony dogryzały, wymawiały skromność zarobków albo wyliczały co do minuty czas na powrót z pracy do domu. I których, jeśli nieboracy zбочyli do knajpki, kompromitowały meldunkiem do policji: „mąż mi zaginał”. Tacy udręczeni mężowie znikają tu najczęściej, tworząc lwią część owych dziesięciu tysięcy nowojorczyków ginących co rok bez śladu. Tacy męczennicy wolą zbiec aż na zimną Alaskę niż nadal znosić tyranię swoich bab—jędz. Ja takich mężów wcale nie potępiam. Będąc w ich skórze, może... oh, prawie na pewno... zrobiłbym to samo.

Dyżurny sierżant policji prawdopodobnie miał w domu też taką sekutnicę dręczycielkę, skoro usprawiedliwiał dezercję mężów. Dezercję najzłośliwszą, gdyż uniemożliwiającą opuszczonej żonie na lat najmniej pięć realizację jego polis asekuracyjnych, wykonanie testamentu, sprzedaż nieruchomości, akcji, bonów i innych walorów, jakie były męża albo dwojga małżonków wspólną własnością. No i uniemożliwiającą jej zawarcie nowego małżeństwa pod groźbą popełnienia bigamii, bo zaginiony mąż może być żywy i najczęściej jest żywy, tylko żyje gdzie indziej i pod innym nazwiskiem.

Pomimo swej operetkowej przeszłości, Dalila Klapperstorch potrafiła niekiedy liczyć, kalkulować, jak wyrachowana kobieta interesu. Słuchając dydaktycznej

tyrady starego policjanta, wykombinowała sobie w lot logicznie, acz nieco makabrycznie, że dla niejednej małżonki korzystniejszy jest mąż nawet powieszony niż mąż zaginiony. Skoro zaś tak, to ona nie powinna mężowi podsuwać myśli o dezercji do innego stanu lub do Kanady czy Meksyku. A podsunęłaby mu taką myśl snadnie wiadomość o jej dzisiejszym zaniepokojeniu jego nieobecnością i o jej telefonie do policji.

— Ach, przepraszam pana, oficerze i proszę zapomnieć o mojej sprawie, dobrze? — poprosiła go z nagłą uprzejmością i łąła gładko jak z nut. — Przypomniałam sobie, że po zwinięciu swego stoiska mój mąż miał wziąć udział w pewnym rajdzie.

W rajdzie? W jakim i dokąd? — zaciękała się władza bezpieczeństwa, bo rzeczownik „ride” spolszczony na rajd, ma różne znaczenia, zaczynając od niewinnej przejażdżki, a kończąc na jeździe z gangsterami po śmierć i najeździe łupieskim wszelkiego kalibru.

Ale Dalila już przerwała połączenie i podreptała z powrotem ku klatce schodowej, której świetna akustyka pozwala jej dosłyszeć niejedno...

Zaraz po Dalili zatelefonowała do tegoż komisariatu policji gospodyni miejscowego proboszcza, zapytując ponownie, czy nie odnalazł się jeszcze jej 10-letni siostrzeniec, Jarosław Jeff Herudek. Tym razem jednak ciotka świeżo zaginionego „Herodka” wyszeptala do mikrofonu także drugą, bardziej alarmującą nowinę: złodzieje albo świętokradcy włamali się najwidoczniej do starej kaplicy pod kościołem parafialnym, gdyż migocą tam światła dwu świec wędrujących od witraża do witraża i echa bezbożnych wyrazów czy przekleństw dobiegają stamtąd aż do okien plebanii w krótkich momentach ciszy na hałaśliwej ulicy. Czy wobec tego

ma ona zbudzić starego proboszcza, skoro wikary jeszcze nie wrócił z tego weseliska u Cavatappiego, czy może...

— Niech pani zaniecha wszelkiej działalności, żeby mi włamywaczy nie spłoszyć — zalecił stróż tzw. bezpieczeństwa publicznego. — Radiotelefonem zaraz skieruję do was kilka patrolujących w naszej dzielnicy aut; ustawią się one naprzeciw wszystkich drzwi kościoła i przeszkodzą próbom ucieczki złoczyńców. Przez ten czas ja zbudzę szefa i zmobilizuję większe siły policyjne dla zorganizowania obławy zewnątrz i wewnątrz świątyni. Proszę zatem spać spokojnie.

Sierżant pamiętał również o własnej korzyści. Zatelefonował więc cichcem do tego z nowojorskich brukowców, które daje głośną reklamę na swoich łamach albo cichy napiwek w dolarach najwcześniejszemu dostawcy nowiny o jakiejś sensacji lokalnej, jeszcze nieznaney innym gazetom i radiostacjom.

Nowy Jork, jak każde wielkie miasto portowe, jest co dzień sceną przeróżnych zbrodni, zarówno pospolicznych jak i wyrafinowanych, ale włamanie do kościoła w celach rabunkowych czy profanacji zdarza się tutaj tylko raz na kilka lat, zatem jest sensacją dla prasy rzadką i cenną. Dlatego cała nocna ekipa redakcji brukowca została zelektryzowana telefoniczną wiadomością z Greenwich Village o włamywaczach jakoby już osaczonych przez policję w jednym z tamtejszych kościołów. W którym z nich? Dwa półwyścigowe auta pełne fotoreporterów natychmiast tam popędzą; i wielki wóz operatorów filmowych, i drugi z baterią potężnych reflektorów, bo brukowiec jest finansowo spokrewniony z jedną z lokalnych nadawczych stacji telewizji, która co dzień pokazuje skróty sensacji, obszernie opisanych, w bratnim organie.

Ale poufny informator od dawna już nie był żółtodziobem i ani myślał dać się ubiec wścibskim fotoreporterom. Kazał im przyjechać do siebie, skąd dalej pojedą w ogonie policyjnej ekspedycji. Tylko muszą dobrze pędzić, gdyż...

— Wyruszamy stąd za dziesięć minut! — zakończył z naciskiem.

W ciągu tych 10 minut było jeszcze parę telefonów, a ostatni z interesantów miał piskliwy głosik i obrażający policję sposób mówienia.

— Czy nakryliście już rudego Goliata, mordercę Karen Cavatappi? Figa z makiem! Guzik! Wy, marni łapacze, potrafcie tylko nam, automobilistom grzywny sypać, ale jego sami nie wytropicie do zakichanej śmierci. Za to ja go już wytropiłem! Rudy Goliat nazywa się kapitan Maks Blink i mieszka... czy masz ołówek w garści, ty platfusie i wiernie zapisujesz mój potrójnie tajny raport?

Indywidualizm, które anonimowo, telefonicznie lub listownie łaje urzędy albo kradnie ich czas fałszywymi alarmami czy donosami, w Ameryce zwie się „rozbitny garnek” lub „bzik”. Taki bzik, jeśli telefonuje, zwykle miewa namaszczonego głos fałszywego moralizatora lub obłudnej dewotki albo zachrypły bas baryton pijaka. Teraz jednak po raz pierwszy nękał policję bzik z głosikiem dzieciaka, który o tej porze powinien spać w swym łóżeczku od paru godzin. Marząc o zanuceniu kołysanki paskiem od spodni temu smarkaczowi, wdał się z nim sierżant w niby przyjazną pogawędkę telefoniczną, a równocześnie na leżącym przed nim bloczku kartek pisał szybko polecenia dla swego pomocnika. Pierwsze z nich brzmiało. „Dzwoni bzik. Sprawdź, skąd”. Sprawdzić to można z innego aparatu telefonicznego, dlatego że centrale automatów nie są wobec policji równie dyskretne, jak wobec zwykłych śmiertelników.

— Tak jest, potrójnie tajny informatorze. Wiernie zapisuję twój interesujący raport, choć dyktujesz mi go za szybko — rzekł do mikrotelefonu z podstępą popatliwością. — Najpierw jednak chciałbym wiedzieć, czy to dzwoni jakiś osobisty wróg tego tam Blinka alias Goliata... może jego uczeń szkolny, niezadowolony ze stopni na ostatnich świadectwach? ... czy jakiś zasługujący na zaufanie policji detektyw prywatny... jakiś drugi Sherlock Holmes... jakiś wielki mózg...

— Największy! — pochwalił się były hodowca homarów w chrzcielnicy, a od kilku godzin tropiciel morderców. — Bo ja odgadłem, kto był zabójcą pani Cavatappi już tam, na Bleecker Street, gdy ów Chińczyk wspomniał o rudym drągału.

— Eee, to ja miałem zaszczyt poznać łaskawcę! Właśnie tam, przy Bleecker. Zapomniałem tylko... a gazety będą o to dopytywały!... jak brzmi sławne od jutra nazwisko pańskie, drogi młody mistrzu.

— Jarosław Herudek, ale w szkole mnie wołają Jeff Herod.

— A skądże to wielki detektyw raczy do nas telefonować obecnie? Bo chcę wysłać po niego autopatrolkę z najzdolniejszymi moimi agentami, którzy naszego młodego geniusza zawiozą z honorami... dokąd należy.

Jarosław z dumą wymienił adres candy-store z ciastkami, lodami, papierosami i gazetami, gdzie w głębi sklepu było kilka budek z automatami telefonicznymi. Adres ten zgadzał się z adresem, jaki centrala telefoniczna już podała pomocnikowi sierżanta, który do niej zadzwonił z drugiego aparatu.

— Przywieź tego szczeniaka tutaj — polecił sierżant. — I napędź mu strachu, tak żeby mu się kpin z władzy odechciało na rok!

Radośnie oczekując przybycia honorowej świty policyjnej, stanął sobie Jarosławek w drzwiach sklepu, z którego telefonował. Mógł wyjść na ulicę, bo chwilowo znów nie padało, lecz pragnął, ażeby wszyscy obecni w sklepie byli świadkami wyróżnienia, jakie spotka go niebawem.

Właśnie wówczas, gdy ambitny Herudek ustawił się w drzwiach sklepu z miną cezara oczekującego na rydwan, którym rozpocznie triumfalny wjazd do swej stolicy, na drugim chodniku najbliższej przecznicy, a była nią Thompson Street, ukazał się Maks Blink. Wymachując rękami i usiłując odtworzyć krok paradny piechoty niemieckiej z kolanami sztywno wyprostowanymi, podśpiewywał sobie nawet niezbyt fałszywie drugą zwrotkę sławnego Horst Wessel Lied.

— Die Strasse frei den braunen Bataillonnen! Die Strasse frei dem Sturmabteilungsmann! Es schau'n aufs Hakenkreuz voll Hoffnung schon Millionen. Der Tag fuer Freiheit und fuer Brot bricht an...

Na brak wolności nie mógł narzekać, sikoro nikt tutaj nigdy nie zakazywał mu śpiewać po niemiecku nawet tego hymnu najkrwawszych zbirów, nazwanego imieniem Wessela, notorycznego sutenera zabitego w Berlinie przez kolegę po fachu. A co się tyczy chleba, to Maks Blink, nałogowy utrzymanek kobiet, właśnie dziś wieczór zwęszył nowy taki łatwy chleb u Gertie, przyszłej żony Cavatappiego, która już jutro obiecała odwiedzić go w studiu. Cóż dziwnego, że maszerował do domu pełen nadziei, rozdmuchiwaną działaniem narkotyków.

— Toć to rudy Goliat! — zemocjonował się Jarosławek. — Ach, czemuż policja tak się guzdrze! Mogłaby go przytrzasnąć na ulicy, zamiast potem zdobywać jego wysoką fortecę. Oby choć Pedrito mnie usłuchał, skoro policja zawodzi...

A mały Pedrito, posłyszawszy przed chwilą głos dobrej sąsiadki, właśnie wśliznął się do mieszkania i studia Maksa Blinka. Wszedł bez pukania, bo drzwi od wspólnego przedsionka pozostawiła Irena szeroko uchylone, zapewne dla podkreślenia wobec sąsiadów, że późna wizyta męska podczas nieobecności jej męża nie oznacza nic zdrożnego. Teraz, z grubym plikiem gazet w dłoniach, stała ona obok swego jasnowłosego gościa, który wpatrywał się wciąż w dziwny bohomas Blinka zatytułowany „W objęciach śmierci”. Oboje byli tyłem zwrócenii do drzwi, dlatego nie zauważyli wejścia synka Perezów.

— Wybacz, Józiu, że przerywam twą długą zadumę — przemówiła wreszcie Irena — czy to płótno budzi w tobie jakieś wspomnienia?

— Tttak. Niewątpliwie tak.

— Zacznijmy od tła. Czy poznajesz fragment domu, który...

— Ponieważ to tylko fragment, nie poznałbym go może, gdyby nie to, że dziś widziałem podobiznę całej Mazurki na twoim ślicznym obrazku.

— A kobieta na pierwszym planie, czy jest podobna do twojej żony?

— Czy podobna do mej zaginionej Aliny? — Tttak, dość podobna, uważam — mówił powoli, mrużąc oczy i usiłując przypomnieć sobie dokładniej rysy twarzy kobiety, którą wprawdzie bardzo kochał, ale którą po raz ostatni widział latem 1939, kiedy jego statek wyruszał z Gdyni do portów Ameryki Południowej i Afryki.

— Jaka szkoda, że nie ocalało choćby jedno jej zdjęcie.

Razem z tym statkiem, zatopionym przez Niemców koło brzegów Anglii w 1941, poszły na dno wszystkie oprawione w ramki fotografie Aliny, jakie zdobiły jego

kabinę i towarzyszyły mu w rejsach. Cóż dziwnego, że w tych warunkach jej rysy i kształty zacierały mu się w pamięci z roku na rok coraz więcej. Z całą pewnością pamiętał do dzisiaj tylko tyle, że Alina była ślicznie zbudowaną brunetką, że wolała sporty wodne niż wszelkie rozrywki, nie wyłączając balów i dancingów, choć tańczyła bardzo dobrze, że szczególnie lubiła skoki do wody z trampoliny, że każda skocznia była za niska na jej gust czy brawurę i że raz przestraszyła go, gdy z wysokości mostka kapitańskiego jego frachtowca dała susa do brudnej wody portowej w Gdyni. Wszystko to powiedział jeszcze u siebie na farmie, kiedy Irena poprosiła go o pokazanie jej jakichkolwiek, choćby najbardziej amatorskich zdjęć jego zaginionej żony.

— Och, nie słyszałam twego pukania — rzekła teraz, obejrawszy się na dźwięk niesmiałego chrząknięcia. — Czy chcesz czegoś, Pedrito?

— Tak. Żeby pani odwiedziła moją... biedną mamusię — odparł cicho.

Bezwiednie spojrzała w głąb studia, gdzie stał szeroki tapczan, zastępujący tu łożo małżeńskie. Pościel na nim była ułożona porządnie i nakryta kapą tak po portorykańsku, jak to nieraz widziała w mieszkaniu Perezów. Czyli Ampara była tutaj podczas jej nieobecności, ba, wolała sama zrobić porządek na tapczanie. Natomiast nie pokwapiała się wyręczyć przyjaciółki w podniesieniu z podłogi choć jednej z tyłu stronic gazety porzrzuconej przez Maksa ze zwykłą jego złośliwością. Tylko tapczan ją obchodził, tylko tym chciała zatrzeć ślady. Zatem musiało być coś prawdy w tym, co plotkarka Dalila zdążyła przez telefon wypaplać pod niewłaściwym adresem o romansie Ampary.

Po tylu latach upokorzeń, niewierności i ponieważ Irena nie była już ani trochę zazdrosna o swego

nikczemnego męża, lecz zabolą ją dzisiaj to, co miało wszelkie pozory obłudy i zdrady przyjaciółki. Nie kwapiła się więc do zobaczenia Ampary tak rychło i obojętnie przyjęła do wiadomości chaotyczne szczebiotanie Pedrita, że ani jego siostra Jacinta, ani tata jeszcze nie wrócili do domu, co zwiększało niepokój i zdenerwowanie mamy.

— Teraz mam gościa... klienta, który już kupił jeden obraz. Jako syn malarza, rozumiesz chyba, jak arcyważną osobą jest klient — tłumaczyła chłopcu cicho, pragnąc odciągnąć spotkanie z jego matką. — A gdy ten pan pójdzie, będzie już za późno na długie sąsiedzkie gawędy. Może zatem wpadnę do was jutro i...

— Nie jutro. Dziś! — wtrącił malec głośno. — Kapitan... pani mąż skrzywdził moją mamę dzisiaj i dziś trzeba to... naprawić! Tata jeszcze nic nie wie, ale jak wróci i jak mu kto powie, co pan Blink zrobił, to... to krew się poleje! Tak tata dziś obiecał przy tym panu — tu Perez-junior wskazał na Lubora.

— Pedrito, drogie dziecko, nie bardzo cię rozumiem. Skrzywdził...?

— No tak! Okradł mamę z pieniędzy do czysta! Świsnął nawet moją dwudziestkę, sam ją widziałem u niego. I zbił mamę po gołej skórze tym krótkim biczem, którym psa zawsze katował. Jak tata zobaczy te pręgi, nno!

— Olaboga, co mnie jeszcze spotka przez Maksa — wymamrotała Irena, nie śmiejąc podnieść oczu na swego miłego gościa. „Po cóż ja go przyprowadziłam tutaj!” — żałowała w duchu. — Przepraszam na chwilę. Zjrzę tylko do mej sąsiadki, by ją uspokoić i zapewnić, że nadal ma we mnie oddaną przyjaciółkę, która... jest wcieleniem bezsilności — kończyła z goryczą. — Pedrito, zostań tutaj, proszę: wolałabym porozmawiać z twoją mamą bez świadków, zwłaszcza tak

młodziutkich jak ty... To jest synek moich sąsiadów, Pedro Perez — przedstawiła go Polakowi i skierowała się ku drzwiom.

— My się już znamy, prawda, znakomity procarzu? — rzekł Lubor z przyjaznym uśmiechem i wyciągnął rękę tak jak do dorosłego człowieka.

Za sam ten gest, spotykający rzadko malca, zwykle protekcyjnie poklepywanego po kędzierzawej czuprynce, polubił Pedrito jasnowłosego wąsala serdeczniej niż lubił ciotkę Guadelupę, a nawet niż siostrę swą Jacintę; przynajmniej na dzisiaj.

Irena po drodze do jęczącej sąsiadki zamknęła tym razem dokładnie drzwi i od studia męża, i od mieszkania Perezów. Ze względu na prawdopodobną drastyczność zwierzeń wolałaby zamknąć szczelnie także okna, lecz wówczas nie do zniesienia stałaby się duszność w tych izbach na poddaszu.

Na widok przyjaciółki Ampara wybuchnęła płaczem *da capo al fine*. Po rozmowie z Patem i wypaleniu paru haszyszowych rifersów uwierzyła święcie, że będzie dużo zarabiała na łatwej roli łącznika—posłańca między dwoma handlarzami białą trucizną; w szarej rzeczywistości jednak już pierwsze jej pośrednictwo w tym kierunku dzisiaj skończyło się dla niej fiaskiem, stratą finansową i innymi porażkami; czemuż więc nie miała pochlipać i pobuczeć rzewnie nad swoim pechem do interesów.

Przygnębiało ją też to, że po raz pierwszy w życiu zdradziła swego dobrego męża, i to z mężem swej najlepszej przyjaciółki! Stało się to wprawdzie wbrew jej woli, lecz nie bez jej winy, gdyż lekkomyślnie sama weszła do jamy lwa albo raczej pytona, boa dusiciela, który zresztą „dusił” przyjemniej od chuderlawego Ramona, jak stwierdziła ze zgrozą.

Ponieważ zaś, kiedy przeminęło działanie marihuany, musiała przyjść wielka psychiczna depresja, przynębiało Amparę przesadnie nawet takie głupstwo, jak to, że zapomniała zdjąć i przynieść z dachu rozwieszoną bieliznę, którą ulewa z pewnością przemoczyła do cna. Wszystkie te smutki razem opisała już w pierwszej strofie swej jeremiady..

Strzępy jej narzekań dobiegały przez otwarte okna do studia po drugiej stronie małego podwórka, więc Lubor zaczął gorliwie zagadywać dziewięcioletniego Pedrita i wychwalać nadzwyczajną celność jego strzału z procy do tego dużego psa, który tarosił słabszego psiaka dziś po południu na Washington Square. Czyż jemu tylko udało się przypadkowo trafić do celu na tak dużą odległość, czy on zawsze strzela z procy tak bardzo celnie?

— Prawie zawsze — odparł malec, machinalnie wyjmując z kieszeni swoją procę. — W szkole przezywają mnie Dawidkiem-procarzem, odkąd ksiądz katecheta opowiadał nam tę historię o pojedynku Dawida z Goliatem.

Wtem... o wilku mowa... drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich zdyszany „rudy Goliat”, kapitan Maks Blink.

ROZDZIAŁ XXXVII

Kiedy parę minut temu Maks przydybał na dole w sieni Dalilę Klapperstorch nadsluchującą przy schodach, ta osłupiała na jego widok tak, iż przez chwilę nie mogła słowa wykrztusić... ona, która potrafiła przegadać i przekrzywić koalicję żon i cór wszystkich lokatorów!

Bo przecież Maks Blink, wychodząc z domu z jakimś pakunkiem dziś przed dziewiątą wieczór, powiedział

jej wyraźnie, że spieszy się na dworzec, bo właśnie wyjeżdża z Nowego Jorku na kilka dni. Tymczasem nie wyjechał, wrócił tutaj wkrótce potem, jak jego żona przyprowadziła sobie na noc jakiegoś gacha! Czyli niezawodnie Maks od dawna śledził tę parkę, zwabił ją tutaj podstępną pogłoską o swym rzekomym wyjeździe z miasta i teraz zamierzał skutecznie rzeź, której gazety popularne powinny poświęcić kilka stron opisów i z tuzin fotografii.

Takie myśli zatańczyły rock and rolla w siwej od dawna, acz niedawno znów ufarbowanej głowinie Dalili Klapperstorhowej, gdy błogo uśmiechnięty Maks Blink zażądał od niej klucza do piwnicy. Czyżby zamierzał zakopać tam przyszłe trupy? Nie. Raczej spalić. Wyznał bowiem, iż chce wziąć sobie worek wiór drzewnych na podpałkę. Postanowił spalić jeden swój obraz w takim ognisku, jakie dzieci bawiące się w Indian rozniecają czasem na ulicy, ku panice i irytacji automobilistów, którzy zaparkowali auta w pobliżu. Tylko on zbuduje swój wspaniały stos Siegfrieda hen, wysoko nad ulicą!

Żeby chłop pod pięćdziesiątkę bawił się jak dzieci i rozpałał ognisko na taki upał? Może Maks Blink to rzeczywiście wariat i piromaniak, jak mówią ci z góry lokatorzy, którzy zauważyli jego ogromne podniecenie na dźwięk syreny i dzwonu pędzącej do pożarów straży ogniowej? Lecz czy on wariat, czy nie wariat, Dalila nie zamierzała pozbawiać siebie rozkoszy reklamy w prasie i ujrzenia tam swojej dawnej fotki. Niech sobie szalenie podpala co chce później, byle najpierw zlikwidował swój trójkąt małżeński w sposób jak najbardziej zasługujący na długie opisy w popularnych gazetach. Wypuściwszy z objęć ulubionego kota, by mieć ręce wolne do gestykulacji, wykonała szybko pantominę

zapowiadając powierzenie Blinkowi szalenie frapującej tajemnicy.

— Czy pan wie, kto jest tam na górze w studiu z pańska śliczną małżonką? Obecny mężczyzna, przystojny blondyn! — zaczęła konspiracyjnym półszepem, po czym dorzuciła szczyptę piekającej ironii. — On pono rozkochał się tylko w pańskich obrazach, kapitanie. Wytrzymać nie mógł do jutra, koniecznie musiał jeszcze dziś obejrzeć pańską pracownię... w nocy! Widział pan przed naszym domem jego dużą czarną limuzynę? Irena ją prowadziła! A przyjechali tu razem czule o godzinie...

Lecz Maks jej ostatnich zdań wcale nie słuchał i nie słyszał. Popędził już na górę, skacząc po kilka schodów na raz, co w jego wieku i po tylu ekstrawagancjach dzisiejszych było nie lada wysiłkiem dla jego serca i płuc. Toteż mocno zdyszany dotarł do swoich drzwi, a przyłożywszy do nich ucho raczej odpoczywał niż podsłuchiwał.

Otworzywszy drzwi na oścież, nie ujrzał w studiu swej żony, lecz na niej zależało mu tyle, ile na niedopałku papierosa, odkąd upatrzył sobie Gertie na nową ofiarę swego pasożytnictwa.

Pogardliwym spojrzeniem, jakim zmierzyłby żonę, musnął Pedrita, choć ów wyświadczył mu dzisiaj dwie wielkie przysługi: wywabił z hoteliku dla nędzarzy z Bowery nieszczęsną Karen Cavatappi na jej ostatnią w życiu randkę i dotarł do lichwiarza Opermana, który do swego mieszkania nad lombardem nigdy by nie wpuścił Maksa.

Wbrew intencjom pociesznej intrygantki z parteru, to co miało rozjuszyc go i rozbestwić, napelniło go dumą i radością; uwielbiać, a nie zabijać pragnął owego pono przystojnego blondyna, który tu przyjechał z

Ireną, niezawodnie po to, żeby podziwiać jej męża, jego studio, jego dzieła, jego szkice, jego i jeszcze raz jego!

Już biegnąc po schodach odroczył Maks swój poprzedni wariacki plan rozpalenia ogniska na płaskim dachu sąsiadującej z tą kamienicą drewnianej rudery, w której znajdowała się fabryczka papierowych nieprzemakalnych pudełek na lody, mleko, maślankę i śmietankę. Znacznie pilniejszą dlań sprawą stało się poznanie i oczarowanie sobą tego jasnowłosego mecenasa sztuki, którego nocna wizyta nie wyglądała mu ani podejrzana, ani dziwna.

— Witam pana w skromnych progach mojej malarzkiej pracowni, tymczasowej oczywiście — zaczął z przymilnym uśmiechem. — Słyszałem przed chwilą, że jest pan najznakomitszym w Nowym Jorku znawcą nowoczesnego malarstwa. Wyjaśnia mi to, dlaczego na tej olbrzymiej wystawie ulicznej obrazów i bohomażów, jaka skończyła się dzisiaj, wyróżnił pan zaszczytnie tylko moje dzieła.

— Owszem, wyróżniają się pańskie płótna wśród innych, głównie swymi tematami — odparł Lubor, pamiętając opinie Ireny i Ramona.

Równocześnie zaczął oburącz manipulować bardzo pracowicie przy swej fajeczce. Palił ją rzadko, lecz wy-skrobywanie z niej popiołu za pomocą zmyślnego narzędzia zwanego piperake i nabijanie jej tytoniem świetnie usprawiedliwiała zajęcie obu dłoni i zignorowanie cudzej wyciągniętej łapy, której nie chciał uści-śnić.

— Ach, jak miło usłyszeć to z ust takiego autorytetu! Pozwoli pan, panie... profesorze, że się przedstawię. Jestem...

— Zbyteczne — wtrącił Lubor z głupia frant. — Wiem przecież dobrze, kim pan jest, a panu już także

powiedziano, kim ja jestem. Po cóż więc marnować czas na staroświeckie ceremonie, zamiast mówić o interesach. Ile pan żąda za ten obraz? — spytał, wskazując płótno pt. „W objęciach śmierci”, którego obejrzenie było głównym celem jego przyjścia na górę po odwiezieniu Ireny do domu.

— Hm, prawdę mówiąc, nie wyceniłem go jeszcze. — Prawdę mówiąc, kwadrans temu chciał spalić to płótno, czyli jego cena równała się zeru. Skoro jednak wielki znawca nowoczesnego malarstwa, jakim omyłkowo zamianował znawcę kalafiorów, ziemniaków i truskawek, wyraził chęć nabycia tego dzieła, należało z tego skorzystać zyskownie. — Czy nie odstraszy pana cena kilkuset dolarów? Bo nie znam pańskich finansowych możliwości...

— Są bardzo duże, mogę pana uspokoić — odparł Polak, uznawszy taktykę pokerowego bluffu za najwłaściwszą przy zamierzonej rozgrywce z takim typem, jak Blink. — Cena nie gra dla mnie żadnej roli jeżeli jakiś obiekt spodoba mi się naprawdę. Mam w swojej galerii niejeden taki obraz, który dobrowolnie przepłaciłem o kilka tysięcy...

— Kilka tysięcy! — powtórzył Maks w nagłym upojeniu.

— ...ale przepłaciłem go tylko dlatego, że zainteresowała mnie jego geneza, jego historia, jego przeszłość i prawdziwy przebieg zdarzenia, jaki posłużył malarzowi za natchnienie czy temat do stworzenia właśnie takiej, a nie innej kompozycji. Czy pan rozumie, o co mi idzie?

— Rozumiem, o co panu idzie, sir i zadowolę pana. Tylko... czy panu też jest tak duszno? — spytał, rozpinając swą mocno przepoconą koszulkę sportową i patrząc z podziwem na Lubora, który nie wachlował się nawet gazetą, choć miał na sobie zwykłą koszulkę z

jej kołnierzykiem zapiętym pod szyję i z krawatem dość ciasno zawiązanym. — Prawda, że ja dziś mnóstwo piłem, paliłem i kochałem. A szanowny mecenas sztuki, jak pański solidny wygląd wskazuje, żyje zawsze zapewne cnotliwie jak harcerz, co?

— Nnnie zawsze — mruknął Polak i po raz pierwszy trudno mu było spojrzeć prosto w oczy mężowi Ireny. Wolał przenieść wzrok na obraz. — Wracam do sprawy zamierzonej transakcji handlowej między nami. Jej drugim i dla mnie ważniejszym warunkiem jest to, czy ta tutaj kompozycja malarska przedstawia kompletną, wyimaginowaną przez pana fikcję... a fikcji w ogóle nie lubię poza powieścią i filmem... czy zdarzenie rzeczywiście, prawdziwe.

— Najprawdziwsze! Mein Ehrenwort!

— Czy pan o nim czytał albo słyszał od kogoś, co poniekąd osłabia wiarygodność wydarzeń, czy może był pan przypadkowo ich świadkiem naocznym? To drugie, jeśli poparte dowodami, wydatnie podnosi wartość obrazu dla mnie.

— Byłem nie tylko świadkiem, ale głównym bohaterem melodramatu, którego ostania lub raczej przedostatnią scenę uwieczniłem na tym płótnie — pochwalił się Maks, a równocześnie puszczał wodę z kranu nad zlewem, aby była zimniejsza i ocierał sobie nią twarz, skronie i kark. — Wszystko panu opowiem, byle w jakimś chłodniejszym miejscu niż te pseudo-mansardy, które upał zmienił w gorące szabaśniki! Nie pojmuję, jak ja mogłem tutaj wytrzymać we dnie. Teraz... pełnego tchu złapać nie mogę.

— Mnie obojętne, gdzie pogadamy. Najchłodniej jest w kafeteriach i barach, w tych oziębionych mechanicznie; czy jednak będzie pan mógł opowiadać tam swobodniej... i przyjąć należne wynagrodzenie, jeśli zapłata dojdzie do skutku już dzisiaj?

— Nie — przyznał Maks, jeszcze nie odgadując dwunaczników i intencji gościa ani jego nazwiska. — Przeszkadzano by nam w lokalach. Mam lepszy pomysł. Dopóki deszcz znów nie lunie, możemy gadać na dachu. Tam wentylacja jest najlepsza w nocy.

Dach był płaski i otoczony niskim murkiem, jak na większości budynków w Nowym Jorku, gdzie zimą śniegi padają rzadko i topnieją tak szybko, że dachy pochyłe byłyby niepotrzebnym wydatkiem, latem zaś pozbawiałyby lokatorów wspaniałych tarasów do leżakowania, flirtowania i słonecznych kąpiele, a także do suszenia bielizny. Ponad poziom dachu wystrzelał komin od dwóch kotłów w piwnicy; od tego, który zimą dostarcza centralnego ogrzewania i od tego, który przez cały rok zaopatruje w gorącą wodę kuchnie i łazienki lokatorów. Ponad komin wystrzelała antena telewizora Klapperstorchów.

Druga, niższa niż komin, za to szersza nadbudówka zakrywała kółka blokowe i szczyt szybu windy towarowej, którą lokatorzy wyciągają sobie na górę żywność przyniesioną lub przyslaną ze sklepów, a którą pod wieczór spuszczają do piwnicy odpadki, łupiny i inne śmieci, jakie parę razy na tydzień zbierają i wywożą ogromne kryte ciężarówki miejskiego Sanitation Department.

Trzecią, najszerszą nadbudówkę stanowił oczywiście górny wylot klatki schodowej z obitymi blachą „przeciwpożarowymi” drzwiami wyposażonymi w potężną sprężynę do automatycznego ich zamykania. Latem lokatorzy stale podpierali te ciężkie drzwi, tak aby były na oścież otwarte, choć miejski Fire Department ostatnio wiele drzwi w Nowym Jorku uraczył metalowymi tabliczkami z napisem: „Miej te drzwi zamknięte, jeśli ich nie używasz. To może ocalić ci życie w razie pożaru”. Bardziej sceptyczni tubylcy

podejrzewają jednak, że ktoś chciał dobrze zarobić na sfabrykowaniu takiej masy tabliczek i nadal nie chcą pozbawiać się rozkoszy przeciągów wyplaszających zaduch z mieszkań.

Oprócz tych trzech nadbudówek z cegły i drewnianych ram górnych okien wyciętych w sufitach pracowni malarskich, ostatnimi wypukłościami na obszernym płaskim dachu czynszówki były wysokie na dwa metry i ciężkie kozły, u szczytów zaopatrzone w haki. Pomiedzy nimi każda lokatorka rozpiniała swoje sznury, ilekroć świeżo wypraną bieliznę suszyła tutaj, a nie w swoim mieszkaniu ani w piwnicy obok automatycznej maszyny do prania, za której każde użycie płacono się dość słony haracz w połowie na rzecz gospodarza, a w połowie dozorca domu, Klapperstorcha.

Ponieważ zaś dzisiaj Ampara Perez, na skutek swej narkotycznie erotycznej przygody, zapomniała zdjąć i przynieść z dachu wypraną bieliznę własną i Ireny, ponieważ wszystko to, co tu rano rozwiesiły, ulewny deszcz wieczorem przemoczył do suchej nitki, tak że linki aż się powyginały w łuki miejscami, Józef Lubor i Maks Blink zastali niezwykle ekscentryczną dekorację do sceny ich walnej rozgrywki. Maks Blink przyniósł ze sobą dwa lekkie składane krzeselka i ustawił je przy murku odgradzającym dach-taras od strony Thompson Street. Pragnąc zadowolić domniemanego kolekcjonera-dziwaka i wydoić od niego jak najwięcej dolarów dopłaty za ciekawą historię obrazu pt. „W objęciach śmierci”, musiał poprzedzić ów tragiczny epizod wydarzeń, jakie doń doprowadziły, choć krótką charakterystyką jego głównych postaci. To zaś dawało mu szerokie pole do mówienia na temat ubóstwiany przez wszystkich egoistów i zarozumiałców: o sobie i to w superlatywach. Czym mógł się chwalić, czym odznaczył

się w życiu najwięcej? Niewątpliwie okrucieństwami wojennymi, lecz te zdołał popełniać tylko przez lat sześć, natomiast donżuaństwo uprawiał pięć razy dłużej, o nim więc postanowił mówić najpierw.

— Nie jestem już młody ani zamożny, nie mam wytwornej garsoniery, nie noszę munduru oficerskiego, który wywiera tak magnetyczny wpływ na płeć piękną, a jednak dzisiaj, dosłownie w dniu dzisiejszym zdobyłem względy dwóch kobiet, choć jednej z nich wczoraj w ogóle nie znałem — zaczął z dumą. — Łatwo zatem wyobrazić sobie, jak wspaniałym kobieciarzem byłem za młodu, jako student, jako żołnierz i wreszcie jako oficer, który wzrostem górował nad większością kolegów i zwierzchników. Apollinem bawarskim zwano mnie nawet w Berlinie i kobiety szalały za mną tak, że wręcz nie mogłem sobie wyobrazić takiej, która by mi się oparła.

Aż wreszcie znalazła się taka, która próbowała mu się oprzeć. Gdzie? Ach, oczywiście, w tej „zacofanej” Polsce, którą wojska hitlerowskie „militarnie zmiażdżyły” jesienią 1939, a którą prawdopodobnie jeszcze wcześniej „genialny” Fuehrer wybrał sobie za bazę wypadową do przyszłego najazdu na Rosję. W związku z tymi jego strategicznymi planami już w 1940 odkomenderowano do Polski niby to na urlopy rekonwalescencyjne wielu wyższych i niższych rangą „bohaterów” kampanii norweskiej, holenderskiej, belgijskiej i francuskiej. Wśród młodszych „rekonwalescentów” obarczonych sekretnymi zleceniami przygotowawczymi w portach i przystaniach rybackich nad Bałtykiem był Maks Blink.

Wałęsając się w wolnych chwilach po całym, krótkim wówczas polskim wybrzeżu, zauważył w jednym z tamtejszych lotnisk piękną i dobrze ubraną brunetkę,

która zmierzyła go nienawistnym wzrokiem, zanim weszła do budynku urzędu pocztowego, niosąc jakiś pakunek. Nie było nic niezwykłego w tym jej wrogim spojrzeniu; wszyscy Polacy spoglądali wówczas wilkiem na najeźdźców i Blink najmiłościwiej przebaczał takie afronty dzieciom i starcom, jeśli śpieszył się dokądś i nie miał czasu doraźnie obić szpicrutą „zuchwalców”.

Ale jako arcydonżuan nie mógł ścierpieć żadnego afrontu od kobiety ładnej i grzechu wartwej. Natychmiast więc wkroczył na pocztę, by nawiązać flirt z czupurną Polką, która jednak zignorowała jego uśmiechy, żarty, słowne „dość grzeczne” zaczepki i wyszła, nie przemówiwszy doń ani słowa! Urażony tym, zmusił urzędnika pocztowego do pokazania mu paczki, jaką ona stąd przed chwila wysłała, odpisał sobie adres nadawczyni i pod ten adres pojechał autem nazajutrz rano. Alina, tak bowiem było na imię zgrabnej brunetce, mieszkała z rodziną swego nieobecnego męża w wysokiej, choć wąskiej willi zbudowanej w uroczym leśnym ustroniu. Tam, prawem zwycięzcy, Maks Blink zarekwirował na kwatery dla wojska najlepsze pokoje, w których na razie sam ze swoim ordynansem zamieszkał i przystąpił do regularnego oblężenia twierdzy cnoty upartej polskiej słomianej wdówki.

Nie zakochał się w niej, gdyż zresztą nigdy w życiu nie kochał nikogo oprócz siebie, a przez jakiś czas także „wodza narodu” Hitlera. Zdawał też sobie sprawę, że w Gdańsku i w Gdyni znalazłby parę tuzinów kobiet ładniejszych niż Alina... jakżeż brzmiało jej polskie nazwisko? Lecz ona stała się dlań najponętniejszą kobietą na świecie właśnie dlatego, że nie zwracała żadnej uwagi na tak zwycięskiego uwodziciela jak on, że odrzucała jego zaproszenia, drobne prezenty i nawet

propozycje niby niewinnej wycieczki w okolice, że dawała mu najwyraźniej do zrozumienia, iż ani z nim ani z nikim nie zdradzi męża nigdy, choćby miała na jego powrót czekać dłużej niż Penelopa na Odyseusza.

To jej oświadczenie nasunęło mu myśl podstępu. Mając przyjaciela volksdeutscha w gdańskiej gazecie z łatwością uzyskał zamieszczenie fałszywej notatki, że statek polski, na którym z Gdyni odpłynął przed wybuchem wojny mąż Aliny, został storpedowany i zatonął z całutką załogą już wówczas, w 1940. Przekonawszy ją w ten sposób, że owdowiała, odczekał tydzień, a potem wysunął swoją ofertę matrymonialną i obiecał zawrzeć ślub według tamtejszego obrządku, choć oczywiście nie zamierzał dotrzymać żadnej ze swoich obietnic.

Posuwając się do aż tak „wspaniałomyślnej” propozycji nie musiał zdobywać żadnej kobiety przedtem, a ta Polka, zamiast okazać za to wyróżnienie maksimum niewieściej wdzięczności, cisnęła mu w twarz najgorszą obelgę. — Wolałabym umrzeć niż poślubić nazistę!

Kiedy o tej kompromitującej rekuzie opowiedział w gdańskiej knajpie swemu powiernikowi, ów volksdeutsch pocieszał go... krótkim wykładem o Polakach. Twierdził, że z Polakami trzeba postępować obcesowo, stanowczo i ostro, ignorując ich protesty, fумы, kaprysy...

Tak radził ekspert z Piątej Kolumny i sam zaofiarował się zagrać rolę urzędnika gdańskiego urzędu stanu cywilnego. Uradzili bowiem wyreżyserować sfalszowaną ceremonię ślubną, aby wobec krewnych i sąsiadów Aliny usprawiedliwić jej wyjazd... z mężem.

Na wykonanie obmyślonego planu wyznaczyli najbliższą sobotę po południu. Rano, wyjeżdżając z

„Mazurki”... Maks Blink oznajmił jej mieszkańcom, że już uczynił zadość wszelkim wymogom biurokracji, by Alina została uznana za wdowę i że poślubi ją najformalniej dzisiaj, o godzinie 5.00 po południu, po czym wyjadą w podróż poślubną. Niechże zatem panna młoda odprasuje sobie tę piękną ślubną suknię, którą widział w jej garderobie, gdy raz urządził rewizję wszystkich szaf i skrytek.

Zbladłszy jak kreda, spytała Alina, jakie represje grożą jej za niewykonanie rozkazu. Ach, w dziedzinie pogróżek i metod terroru Blink był specem, którego fachowej rady niejeden sadysta zasięgał. Kiedy więc zaczął z przyjemnością wymieniać swój program, Alina przerwała mu szybko zapewnieniem, że będzie już przed godziną 5.00 „gotowa na wszystko”.

Blink kazał więc bramę zamknąć na klucz, a uzbrojonemu ordynansowi polecił pilnować willi. — Gdyby ktoś z domowników próbował ucieczki przez okno, strzelaj najpierw na postrach, a potem mierz w kolana — polecił na odjezdnym.

Gdy wrócił punktualnie o 5.00, razem z uczynnym „urzędnikiem” gdańskim i jeszcze drugim godnym kompanem, grającym rolę družby i szofera, ordynans zameldował mu, że wszystko w porządku.

Blink zapytał „swoją narzeczoną”, czy przebrała się tak, jak kazał? Tak, przebrała się w śliczną białą suknię i wystrojona kompletnie jak panna młoda wychodziła kilka razy na swój ulubiony „mostek kapitański”. Co prawda spoglądała stamtąd tylko w dal ku morzu, a nie na leśną dróżkę, którą miał nadjechać oblubieniec...

Alina nazywała swoim „mostkiem kapitańskim” wąski ganeczek między ściętym okapem stromego dachu a jego poziomą rynną; wiódł on od masztu flagowego do dużego prawie tak jak drzwi balkonowe okna

mansardy, w której nocowała, zwykle zabarykadowana, odkąd bawarski Apollo zamieszkał w „Mazurce”. Z tego tarasu w ubiegłych latach nieraz wypatrywała mężowskiego statku, jeśli coś opóźniło zapowiedzianą datę jego powrotu do Gdyni.

*

Wysłuchawszy raportu ordynansa i wysiadłszy z samochodu ze swoją pijaną świtą, Maks Blink stanął przed „Mazurką” i frywolnymi okrzykami wzywał swoją „narzeczoną” do szybkiego zejścia do saloniku, gdzie miała odbyć się ceremonia ślubna.

Po chwili ukazała się na tarasie Alina, trzymając w dłoni jakieś barwne zawiniątko. Podbiegła do masztu flagowego, szybko przyczepiła je do linki i wyciągnęła na szczyt żerdki... polski sztandar!

Przykładne ukaranie tego wybryku odłożył sobie Blink na później. Na razie spragniony był wesołej zabawy. Zaczął więc żartobliwie i niby serdecznie prosić, ażeby panna młoda z podniebnych swych wyżyn raczyła wreszcie zstąpić na dół, w jego stęsknione objęcia.

— Wolę w objęcia śmierci! — odrzyknęła z góry.

Volksdeutsch nie wierzył w jej determinację i radził posłać ordynansa na górę.

Uznając słuszność tej rady, Blink dyskretnie otworzył bramę, kazał ordynansowi zdjąć buty, żeby mógł skradać się ciszej i wysłał go na górę z odpowiednimi instrukcjami.

*

Skoro tylko w oknie mansardy ukazał się żołnierz, Alina skoczyła w dół swobodnie, niczym z trampoliny do basenu pływackiego.

Nie krzyczała po drodze, nie koziołkowała, nawet oczu nie zamknęła. Dopiero blisko ziemi rozkrzyżowała ręce. Cudem nie zginęła na miejscu; jeszcze przez kilka minut żyła, leciuteńko poruszała wargami, jak gdyby się modliła...

— Dlatego zatytułowałem to nieduże formatem płótno „W objęciach śmierci”— zakończył Blink ze zwykłą swą zarozumiałością. W całym jego opowiadaniu ani razu nie zadźwięczała nuta skruchy, żalu albo współczucia dla Aliny, jej męża i krewnych...

— Dear sir, ja skończyłem — przypomniał po chwili ciszy spragniony poklasku narrator. — Musi pan przyznać, że niezwykle interesująca historia poprzedziła scenę, uwiecznioną w obrazie, który pan chce kupić.

— Scena ta była... przedostatnim epizodem... dramatu. Tak... słyszałem w studiu — odparł Lubor dziwnie słabym i urywanym głosem. — Przedostatnim!... Jakiż był... epizod ostatni?

— Przepiękny! Choć ta kobieta zrobiła mi zawód, postanowiłem być wspaniałomyślny. Przed pogrzebem sfotografowałem Alinę; w sukni ślubnej tam, gdzie zginęła, i w mieszkaniu. Nie chciała mi pozować za życia, musiała po śmierci; ja zawsze postawię na swoim, gdy idzie o kobiety!... Potem zaniósłem jej zwłoki do mansardy, którą tak lubiła, i oblałem je benzyną. Przez ten czas moi przyjaciele przywieźli spirytus i naftę z najbliższej miejsciny. Skropiliśmy tym meble i ściany na parterze „Mazurki”. Spieszyliśmy się, bo burza nadciągała, błyskało i grzmiało w oddali tak jak tu teraz i deszcz mógłby przedwcześnie ugasić mój wspaniały stos. Wreszcie, ustawivszy aparat fotograficzny we właściwym miejscu, dałem moim towarzyszom

znak podpalenia domu równocześnie z czterech stron i kolorowym filmem zdejmowałem różne fazy pożaru willi...

— A jej... inni... mieszkańcy?

— Spalili się na popiół, to jasne. Drewniana „Mazurka” po naszym prysznicu z łatwopalnych płynów zgorzała doszczętnie, a ponieważ miała dostarczać kwater, spisaliśmy śliczny protokolik, że spłonęła od pioruna podczas owej sobotniej burzy. Ileż zatem tysięcy dolarów jest wart obraz z tak bogatą przeszłością i najprawdziwszą historią? Proszę wypowiedzieć swą szczerą opinię...

ROZDZIAŁ XXXVIII

Maks Blink nie bał się opisywać szczegółowo swych zbrodni wobec obcego człowieka. Był więc niewątpliwie obłąkany, a prawdopodobnie także i odurzony jakąś kombinacją narkotyków.

Lubor czuł, że ani cienia litości nie ma dla tego łotra, który zamordował mu żonę i spalił żywcem jego matkę i bratową wraz z dziećmi. Przeciwnie, wydawało mu się, że z całą rozkoszą, jaką daje wykonywanie zemsty na krzywdzicielu, potrafiłby ukłęknać na pierśiach Maksa, zacisnąć dłonie dookoła jego szyi i dławić w nim dech powoli, powoluteńku, żeby jak najdłużej cierpiał przedśmiertną trwozę.

Przelotnie nawiedziła go refleksja. Uczono go: — „Zemsta jest moją, mówi Pan”. — A czemuż to Pan dotychczas nie ukarał Maksa? Czy mało miał czasu i okazji przez prawie 16 lat, jakie upłynęły od zgonu Aliny? Ba, ale gdyby Maks za karę skręcił kark przed dzisiejszym wieczorem, on, Lubor, nie dowiedziałby się już nigdy w życiu, co stało się z jego żoną i matką! Zatem Pan dobrze zrobił, iż się nie pośpieszył... Ale teraz,

gdy tajemnica zagłady „Mazurki” została wyjaśniona, jej podpalacz powinien być unieszkodliwiony bezwzględnie, aby ślicznej Ireny nie zgładził tak jak jej brata. Dla jej bezpieczeństwa postanowił teraz Polak jednak wyręczyć cierpliwego Pana Boga i sądy ziemskie w ukaraniu arcyzbrodniarza.

— Niech no najpierw skończy opowieść — mrucał pod wąsem, ilekroć zagrzmiało bliżej i grom zapraszał żądne odwetu pięści do wymierzenia pierwszych ciosów. — Skoro tylko skończy gadać, powiem mu, kim jestem i runę do ataku. A potem będę drania dusił na raty... dusił... aż zaduszę na śmierć!

Lecz kiedy rudy samochwał kończył swą makabryczną opowieść, dusił się właśnie jego słuchacz! Atak nerwowej astmy, jakiego Polak doznał dziś na swojej farmie, powtórzył się teraz. Przedtem tylko przypuszczał, że podczas pożaru „Mazurki” mógł zginąć ktoś z najdroższych mu osób na świecie, teraz zaś dowiedział się, że zginęła tam cała jego rodzina.

Pod wpływem tego psychicznego wstrząsu ostra duszność napadła Lubora. Choć jeszcze siedział na krześle, wydało mu się, że leży na wznak. Dusił się gorzej niż kiedykolwiek w przeszłości, a zdawał sobie sprawę, że ten atak zaskakuje go w okolicznościach najbardziej niepożądanych. Miał wprawdzie w kieszeni pudełeczko apteczne z pastylkami, które, jeśli rychło użyte, przynosiły mu szybką ulgę, lecz nigdy w życiu nie potrafił przełykać żadnych pastylek na sucho, bez wody. Czyż miał prosić o przyniesienie mu szklanki wody tego łotra? Nie. Przed nim musiał zataić to chwilowe niedomaganie. A zatem musi także odpowiadać do rzeczy na jego obłąkańcze pytania.

— Sir, czy pan zamyślił się, czy nie dosłyszał moich

słów? Ha, może zagłuszył je piorun. Powtarzam więc: na ile tysięcy dolarów szacuje pan to płótno?

— Bujda!... Alinę... zepchnięto — odparł Polak cicho, za to oddech jego stał się głośny i świszczący.

— Zepchnięto?

Już kilkanaście minut temu zauważył Lubor w świetle błyskawicy, że ktoś stanął za przybudówką zakrywającą górny wylot klatki schodowej. Zapewne, ktoś z lokatorów, nie mogąc zasnąć z powodu gorąca, wyszedł na taras, aby ochłodzić się trochę i, zafrapowany przypadkowo dosłyszonym fragmentem makabrycznego monologu, zaczął nadśluchiwać z ciekawością. Przed swym atakiem astmy zamierzał Lubor wypłoszyć tego niepożądanego świadka, teraz, gdy dusił się i rozpaczliwie łaknął pomocy, wołał o nią prosić kogokolwiek innego, tylko nie Maksa.

— Wody... proszę... prędko! — zawołał, raczej zacharzał, zwracając się w tamtym kierunku. Przyczajona za murkiem postać zniknęła natychmiast.

Maks nie zauważył niczego niezwykłego nawet w zmienionym brzmieniu głosu swego słuchacza. Irytowała go tylko flegma i lakoniczność wąsala.

— Któżby mógł ją zepchnąć? — powtórzył. — Mój ordynans nie mógł z okna mansardy nawet miotłą dosięgnąć masztu, przy którym stała Alina. Jeśli zatem pan odrzuca koncepcję samobójstwa, to kto byłby sprawcą przedwczesnego zgonu Polki?

— Ten, kto... żywcem palił... ludzi w „Mazurce” — wykrztusił Lubor, czując, że mówi to niepotrzebnie, a równocześnie już nie panując nad językiem. Pod wpływem wzrastającej duszności wydawało mu się, że za chwilę umrze, więc przedtem powinien choć słownie napiętnować zbrodniarza. — I ten kto... w Bawarii zabił... Hildę Aumayer... i Ryszarda Velika!... A tu psa, Dicka... i chciał zrzucić stąd... Ramona Pereza... I kto

dziś... Amparę... oooch wody!

— Skąd pan zna te nazwiska? I kto panu płaci za to szpiclowanie? — spytał Maks ze złowrogim spokojem, kiedy ochłonął ze zdumienia, a to trwało dłuższą chwilę. Potem, ponieważ wątpliwą ciszę tej nowojorskiej nocy, przerywanej dudnieniem piorunów i gromów, zaczęło dodatkowo zakłócać miauczenie syreny auta policyjnego albo szpitalnego ambulansu, Blink wrzasnął głośniej: — Kim pan jest naprawdę?

— Mścicielem... twoich ofiar... ty zbrod... — zabełkotał Lubor, zrywając się ostatnim wysiłkiem i zaraz upadł jak długi między krzesła.

W kilka sekund później przybiegła na taras Irena, ona to bowiem była tą lokatorką, która przedtem stała przyczajona u szczytu klatki schodowej. Zrozumiała też w lot, że miły jej sercu Polak dostał znowu ataku nerwowej astmy pod obuchem hiobowych wieści o swej rodzinie. I wiedziała, że nie potrafi bez wody połknąć owych zbawczych pigulek.

Popędziła więc do mieszkania, porwała z kredensu szklankę, z lodówki litrową butelkę wody sodowej i odszukała zarzucony przez Maksa żelazny „otwieracz” do puszek z sokami. Potem pobiegła z powrotem na dach, którego jedynie mały wycinek pod podpartymi drzwiami od klatki schodowej był jako tako oświetlony.

Dwaj mężczyźni siedzieli przedtem po drugiej stronie nadbudówki w mrokach przerywanych tylko błyskawicami, więc Irena podążyła w tamtym kierunku na oślep. Zastała jednak oba krzesła puste, a Maks pochylił się nad leżącym na wznak Luborem. „Zamordował go!” pomyślała ze zgrozą i nagły przyływ oburzenia przerwał tamę jej dotychczasowego strachu przed brutalnym.

— Och, ty krwawy zbirze! — krzyknęła. — Nie dość, żeś najokrutniej zgładził jego matkę i żonę, toś i jemu nie przepuścił? Ale przebrałeś miarkę! Jeszcze dziś pójdziesz za kraty!

— To mąż Aliny? — zdumiał się Maks. — Nie łiesz? No to powiedz jego nazwisko, jeżeli jesteś pewna, że...

— Józef Lubor! Właściciel willi „Mazurka”, którą ty spaliłeś nieludzko wraz z całą jego rodziną! A teraz zamordowałaś jego!

— Badania wykażą, żeś go ani nie tknęła. Sam zdechł ...he, he, he...

Irena padła na kolana przy nieruchomo leżącym Luborze, szybko rozpięła mu kołnierzyk, wsunęła dłoń pod koszulę i wyczuła bicie jego serca. Więc żył! Dzięki Bogu! Natychmiast rozpuściła w szklance wody kilka pastylek, które trzymał w zaciśniętej dłoni i ostrożnie wlewała mu to lekarstwo do ust, podtrzymując jego głowę drugą ręką.

Równocześnie z tymi czynnościami przemawiała, doń spokojnym, kojącym głosem, że skończyła się jego niepewność co do losu Aliny i krewnych, niepewność, jaka dręczyła go kilkanaście lat i komplikowała mu życie. Teraz dowiedział się nareszcie, gdzie, jak i kiedy zmarła cała jego biedna rodzina. Zna już także mordercę i może oddać go w ręce sprawiedliwości, a ona także zezna w sądzie, co tu dziś słyszała.

Maks ze swego krzesła czujnie łowił każde słowo. Nie był ani trochę zazdrosny o żonę, nie dbał, czy miała kochanków, wątpił, aby odważyła się ich mieć kiedykolwiek, pamiętał jak w tym roku taktownie zahamowała umizgi Ramona, lecz nie mógł ścierpieć jej buntu...

— A w którym sądzie, mein Schatz? — spytał ze

złowieszczą uprzejmością, jaka zwykle zwiastowała Irenie chłostę. — W amerykańskim, w niemieckim czy w polskim?

— Nie przedawniły się z pewnością twoje zbrodnie powojenne w Bawarii! — rzuciła Irena przez ramię, ani na chwilę nie przerywając nacierania dłonią piersi swego pacjenta; przypuszczała, że taki masaż może od biedy zastąpić gorący kompres zalecany przy niektórych napadach astmy, gdy nie ma pod ręką lekarza.

— Cóż ja takiego przeszkrobałem w Bawarii? — w głosie Maksa zabulgotało szyderstwo. — Ach, prawda! Przepłoszyłem swoich licznych rywali amerykańskich dyskretnym lansowaniem pogłoski, że ty bynajmniej nie jesteś rodzoną siostrą majora Velika...

— Ty kanalio! Gdybym przeczuła ...gdyby Ryś wiedział...

— Twój brat wiedział o tym i nie zakazał mi tej propagandy.

— Łatwo oczerniać zmarłych. Ale ciebie oskarżono w Rosenheim za życia, doraźnie, niemal publicznie!

— I co mi się stało? Nic! Nie dostarczono żadnego dowodu mojej winy w sprawach zagadkowych zgonów eksnarzeczonej i twojego brata. Gdyby władze amerykańskie znalazły najmniejszą skazę na mej przeszłości, czyż wpuściłyby mnie tutaj na stały pobyt?

— Wpuściły cię jako męża rodowitej Amerykanki i szwagra dwóch poległych oficerów amerykańskich. Tylko dlatego zmusiłeś mnie do tego oszukańczego małżeństwa, żeby się tu dostać! Ale mimo to będziesz deportowany, gdy wyjdą na jaw twoje przestępstwa tutejsze — krzyczała Irena coraz głośniejszym głosem. A przed deportacją posiedzisz z dziesięć lat w Sing Sing za skrzywdzenie Ampary i za handel narkotykami!

Dopiero ostatnie jej słowa przeraziły go i rozwścieczyły.

— Ciszej mów! Ciszej, ostrzegam! — zasyczał. — Pólszeptem powtórz każde słowo, jakie Ampara śmiała rzec o mnie.

— Usłyszysz to i więcej jutro rano. U prokuratora!

— U prokur... Ta Mulatka chce zrobić donos?

— Jasne. Przekonałam ją, że inne twoje łotrostwa może przemilczeć, jeśli chce, lecz nigdy tego trucia ludzi heroiną!

— O, to bardzo cenna dla mnie nowina!

Zapalił zapalną, tę długą, kuchenną, jakiej lubią używać palacze fajki. Zapalał właśnie papierosa, gdy prawe oko zabolalo go tak wściekle, że wrzasnął i wypuścił z ust papierosa, a z dłoni zapalną.

— Odprysk zapalną sparzył mi oko. Zmocz chustką wodą! — krzyknął.

— Zimną wodą nie należy dotykać oparzeń i...

— Milcz! Zrób, jak kazałem! — wtrącił władczo, jak zawsze.

Wykonała rozkaz, gdyż brutalnie ścisnął jej ramię, którym podtrzymywała Lubora.

Zimny okład przyniósł ulgę w pierwszych sekundach, potem ból stał się dolegliwy, świdrujący i utrudniający Maksowi nawet podniesienie powieki:

— Nie, to nie iskra, to jakieś twarde ziarenko ugodziło mnie w oko. Czyżby spadło z tego samolotu? — zastanawiał się, zadzierając głowę do góry, skąd dobiegało warczenie czterech potężnych silników. Zdrowym okiem dojrzał hen, wysoko światelko jednego z dużych pasażerskich samolotów, które za dnia co minutę, a w nocy rzadziej startują i lądują na lotniskach nowojorskich. — Nawet ziarenko pieprzu, jeśli spada z takich

wyżyn, może nabrać impetu kuli — sądził, wydłubując z kącika prawego oka małą kuleczkę. Chcąc wyrzucić na niej gniew za krwawienie i ból, jaki mu sprawiła, chciał ją rozgnieść w palcach na miazgę, lecz nie zdołał. — Śrut? Do licha, to naprawdę jest śrut! — stwierdził w świetle nowej zapałki. A zanim ona zgasła, drugi śrut palnął go w nos.

To już nie mogło być dziełem przypadku, to raczej przypominało Maksowi opisywaną w prasie plagę północnej dzielnicy sprzed kilku lat. Grasował tam wówczas wieczorami po dachach taki młody narwaniec, który z bardzo silnej wiatrówki, strzelał śrutem do przechodniów ulicznych i kilku z nich okaleczył, zanim go złapano. Być może zatem, że dzisiaj znalazł sobie naśladowcę w południowej części Manhattanu, w dzielnicy cyganerii, w której roi się przecież od ekscentryków; a czyż na dziwactwa, wariactwa i różne ekstrawagancje muszą mieć monopol dorośli?

— Auuu, znowu! — zawył Maks, gdy trzeci śrut uderzył go w ucho boleśniej niż drugi w nos. — Ireneo, czy ciebie też uderzyło kilka śrutów?

— Tylko kilka kropel deszczu — odparła, pomagając Luíbrowi zmienić pozycję z leżącej na siedzącą i ciesząc się, że to idzie tak łatwo.

— Więc czemuż ten przekłety strzela tylko do mnie?

Pedrito, który spoza komina bombardował z procy Maksa śrutem przez niego ufundowanym, pęczniał z dumy.

— Dlatego, kapitanie, żeś zabił panią Karen Cavatappi! — zawołał, daremnie usiłując przerobić swój piskliwy sopranik na bohaterski baryton, choć szeroki mulacki nos wcisnął sobie w widełki procy. — I chcesz zabić moją mamę! I panią Irene! Tudzież skradłeś moją dwudziestkę!...

— Ach, to ten mały kinomaniak! — rzekł Maks niby lekceważąco. W rzeczywistości był zaalarmowany gorzej niż kiedy Irena wspomniała o narkotykach.

Skoro Pedrito już wiedział o śmierci Karen, więc śledził go i widział z daleka scenę rzucenia narkomanki na szyny, pod koła nadbiegającego pociągu. Jako zabójczo niebezpieczny świadek musi być zlikwidowany natychmiast! Podobnie jak jego matka, Irena i Lubor.

Dla zbira czy wariata, który już nie pamiętał, ile niewinnych osób wymordował podczas wojny, nie istniały żadne skrupuły ani refleksje, prócz strachu o własną skórę. Jak dla własnego bezpieczeństwa sprzątnął trochę niedyskretną Karen, teraz postanowił sprzątnąć doraźnie tych czworo. Czy tylko zdoła ich zgładzić w swój ulubiony sposób? Najtrudniej będzie zapewne z Pedritem, bo taki chłopak potrafi nie tylko szybko zmykać, ale jeszcze szybciej zjeżdżać po poręczy schodów. Należało więc zacząć od niego, a przede wszystkim zamknąć te ciężkie drzwi od klatki schodowej.

W trzewikach płóciennych na gumowych podszwach Maks oddalił się od żony i Lubora bezszelestnie, tak że nie zauważyli jego odejścia w ciemnościach. Wtem okute z obu stron blachą drzwi zatrzasnęły się z łoskotem i trójkąt mdłego światła zniknął. Dach-taras zaległy teraz kompletne mroki, które tylko błyskawice rozjaśniały w kapryśnie nieregularnych odstępach.

— Pedrito, drogi chłopcze, bądźmy znów przyjaciółmi — zabrzmiał koło głównej nadbudówki głos Maksa, zdradziecko słodki i uprzejmy, co źle wróżyło, jak Irena wiedziała z wielu własnych doświadczeń. — Oto zwracam ci tę dwudziestkę i dokładam dolara na lody z kremem. Masz, weź sobie te pieniądze i...

— Nie! Nie wierz mu, Pedrito! — krzyknęła. — Uciekaj, chłopcze!

— Ty zmij! Czekaj, spadniesz ty na łeb, także, jak tylko z nim skończę — zawarczał z nietajoną już złością i znów głos podniósł: — Pedro, gdzie jesteś? Wyłaż z nory!

W odpowiedzi dostał dalsze dwa śruty w tył głowy, więc odwrócił się na pięcie i posunął w tamtym kierunku. Nastąpiwszy na coś małego, podniósł to, obmacał i rozpoznał kształt sandałków. A więc Pedrito zdjął je tutaj, aby na bosaka móc ciszej wykonywać strategiczne odwroty.

Sznury w roli lian, nie do przerwania bez maczety lub fojisy, wyraźnie sprzyjały słabszemu; malutki procarz mógł przemykać się pod nimi bez schylenia głowy, podczas gdy wielkolud Maks musiał łamać się w pół przy tej samej wyprawie i pozrzucałby z lin wszystkie piżamy i koszule, gdyby wśród nich jego własnych nie było. Poprzesuwał niektóre sztuki bielizny, a inne podwinął, tak że Pedrito musiał wycofać się na uprzednio przygotowane pozycje za wulkanem, to jest za kominem.

I tam ujrzał kapitana Blinka z bliska, lecz jakże innego niż kilka godzin temu, kiedy ów czekał nań przed kinem i lody gościnnie mu fundował! Czysty, pachnący elegant zmienił się w spoconego brudasa, którego prawy policzek i obie dłonie były umazane krwią, a odzież spryskana nią hojnie. Jego wyraz twarzy zdradzał gniew i żądzę mordu. I ten monokl! Nadał on dziś przed kinem tak groźny wygląd „rudemu Goliatowi”, że Jarosławek pierzchnął przed nim, ale nie zapomniał go bynajmniej. Gdy przyszedł tu później do kolegi, radził mu usilnie celować z procy tylko w oczy, zwłaszcza w to za monoklem, o ile by doszło do orężnego spotkania

zanim on, detektyw-amator Jarosław Jeff Herudek, przyprowadzi tutaj policję.

— Mam cię, łobuzie! — mściwie ucieszył się Maks.

Już sprężył się do skoku, już łapy wyciągnął po zdobycz, gdy gumy procy pstryknęły dźwięcznie, śrut wystrzelił z niej prosto dokąd mistrz mu nakazał i trafił w sam środek monokla. Okrągłe szkiełko rozprysnęło się na okruchy. Maks zaczął wyć i ryczeć, jak gdyby obdzierano go żywcem ze skóry i solono. Nagle wyjął swój pamiątkowy pistolet wojenny, który dziś wykupił od lichwiarza, i wymierzył na oślep tam, gdzie stał ten przekłęcie celny, choć maleńki przeciwnik.

— Za moje oko — pienił się, strzelając — giń, czarny karle!

— Zabił to dzielne dziecko, zabił! — rozpaczła Irena.

— Teraz już najdrożsi adwokaci — dodał Lubor, dźwigając się na nogi — nie wybawią go od krzesła elektrycznego!

— Ale wy zdechniecie wcześniej! Zaraz! Natychmiast!!! — wołał koło głównej nadbudówki Maks i zaczął strzelać w ich kierunku.

Nie wiedzieli, ile razy wypalił, gdy grom huknął bliżej, niemal równocześnie z pierwszym strzałem, i zagłuszył detonacje broni palnej. Ale jedna kula brzękła metalicznie w blaszane oparcie składanego krzeselka, z którego Polak wstał przed chwileczką, a druga trafiła w środek wysokości litrowej butelki z wodą sodową, którą Irena tu przyniosła. Przypadkowo kula rozłupała kruchą flaszkę podobnie jak na plaży w Jones Beach zapalczywy Dżim przepołowił butelkę od piwa, ażeby zdobyć broń, która masakruje twarze. Za jego wzorem

Lubor chwycił teraz szyjkę górnego kikuta rozbitej flaszki i pokazał go Irenie.

— Nie jesteście już bezbronni — rzekł szeptem, a skoro tylko błyskawica zgasła, posunął się o kilka kroków w bok, pociągając za sobą towarzyszkę dzisiejszych przygód. — Musimy chować się i cicho zmieniać kryjówki, póki drab nie wystrzela swej amunicji lub sąsiedzi nie przywołają policji!

Na sąsiadów trudno było liczyć w obecnych warunkach, gdyż coraz głośniejsze salwy piorunów zagłuszyłyby gorszą strzelaninę od tej, jaką Maks urządził.

A najbliższy komisariat policji jeszcze rozbrzmiewał telefonicznymi reprymendami zwierzchników i wymówkami redaktorów z powodu rzekomego włamania się rabusiów do kościoła. Urojonymi włamywaczami okazali się dwaj miejscowi malarze, Klapperstorch i Perez, których pomocnik proboszcza osobiście tam zaprosił, wprowadził i „tylko przez roztargnienie” zamknął na klucz, gdy nagle wezwano go do konającego.

Zaszła więc drobna omyłka spowodowana fałszywym alarmem gospodyni proboszcza. Wina dyżurnego sierżanta policji polegała głównie na tym, iż bez stwierdzenia prawdziwości niewieściego doniesienia z plebanii, zorganizował tak dużą obławę i zawiadomił prasę. Powinien był zapewne najpierw sam wejść do kościoła i zapytać przez megafon: — „Przepraszam, jeśli przeszkadzam, ale moi szefowie i reporterzy pragnęliby wiedzieć, czy panowie bawią tu w nocy z nadmiaru pobożności, czy dla obrabowania świątyni, bo w tym drugim wypadku będę zmuszony zmobilizować odpowiednio liczny oddział policji i położyć kres prywatnej inicjatywie tudzież nieopodatkowanej działalności szanownych panów”.

Mniej więcej w ten sposób „odszczękał się” nie-szczęśny policjant dziennikarzom, bo nie śmiał zwierzchnikom, a jedni i drudzy jakoś nie chcieli zrozumieć, że nader łatwo o fałszywy alarm i pomyłkę policyjną w mieście, w którym prawdziwa zbrodnia zdarza się przeciętnie co dwie minuty!

Nie jest to następstwem jakichś złych instynktów nowojorczan, ale ogromu i położenia ich metropolii. Bowiem do ośmiu milionów jej mieszkańców stałych trzeba doliczyć najmniej cztery miliony interesantów podmiejskich, zamiejscowych turystów, świeżych imigrantów z Europy, pasażerów transoceanicznych kolosów i członków załóg tysięcy statków ze wszystkich stron świata, które zawijają do tego portu, największego na zachodniej półkuli.

Cóż dziwnego, że w tych warunkach liczba zatargów z kodeksem karnym była i jest w Nowym Jorku tak pokaźna. I że będzie nadal wzrastała proporcjonalnie do wzrostu ludności. Podczas gdy w roku 1955 popełniono w Nowym Jorku 294861 zbrodni i 201952 mniejszych przestępstw, w roku 1956 liczby te podskoczyły już do 322149 i do 230926, czyli wzrost wyniósł około 10 proc.

Czyż przy takich obrotach, przy takim ruchu w interesie przepracowana policja miejska nie może pomylić się niekiedy i postrzelić biegnącego ku przystankowi autobusów śpiocha, sądząc, że to uciekający rozpruwacz kas ogniotrwałych? Może. A przecież tych dwóch malarzy nie postrzelono ani nawet nie ogłuszono pałkami gumowymi, jeszcze dano im gratis kolosalne możliwości reklamy prasowej, pozwalając reporterom fotografować ich dowolnie...

— Tak, ale skutych kajdankami — nadmienił kwaśno Klapperstorch, który częściej od zgnębnego kolegi przerywał wywody sierżanta.

Istotnie, już w kościele nałożono im na ręce kajdanki,

gdyż od tej ceremonii zaczyna się w Nowym Jorku każde aresztowanie. I przywieziono ich policyjnym autem tutaj, do właściwego komisariatu, gdzie zdjęto im te metalowe bransolety dopiero wówczas, gdy ksiądz André Gourmet uroczyście potwierdził niewinność ich wkroczenia w poświęcane progi.

Dla udobruchania malarzy, odgrażających się, że pytają adwokata, czy nie należy im się odszkodowanie za zamknięcie ich na klucz, czyli niekonstytucyjne pozbawienie wolności i swobody ruchów przez kilka godzin, wikary zrobił u nich większe zamówienie na roboty malarskie w kościele. Czyli jeszcze zarobek im się kroi nieoczekiwany, czemuż więc u licha ciskają się tu nadal i zrzędzą, jak gdyby on, sierżant dyżurny, nie miał dość własnych kłopotów z szefami i prasą? O co im idzie teraz?

— Moja biedna żona może tam już kona ze strachu, że do Kanady zwiąłem — odparł Ramon i jak zwykle w chwilach cięższych wzruszeń wymownym ruchem dłoni wskazał aparat telefoniczny na wysokim pulpicie dyżurnych.

— No, to zadzwońcie stąd do swoich żon — pozwolił sierżant dla przypieczętowania świeżutkiej zgody. — Tylko gadajcie krótko. Nie mogę długimi prywatnymi rozmowami blokować służbowej linii.

— Pozwólcie, kolego, że ja odezwę się pierwszy — rzekł Klapperstorch do Pereza. — Gdyby moja Dalila usłyszała wasz głos o tej porze, pomyślałaby, że właśnie została wdową. Po co robić jej zawód?

— Hm, wasza lubi trajkotać jak reklama radiowa.

— Która nie lubi? Ale dziś ja ją przegadam, zobaczycie, usłyszycie! Wszyscy słuchajcie, co ja jej powiem! — rzekł do paru obecnych policjantów, a równocześnie chudym palcem nakręcił swój numer telefoniczny.

— Dalciu, nie ziewaj, wiem, że to ty i że ja jestem cokolwiek spóźniony — zaczął żartobliwie. — Gdzie byłem? Jak powiem, że ostatnie cztery godziny spędziłem w kościele tête à tête z katafalkiem i z Perezem, to uwierzysz? Nie? Wiedziałem, że nie! A jak powiem, żeśmy obaj pili w knajpie? W to uwierzyłaś galopem! — tu zwrócił się do lokalnego audytorium. — Czy warto mówić prawdę naszym żonom? Nie warto jak panów właśnie naukowo przekonałem.

W specjalnie rezonansowej słuchawce policyjnej głos Dalili rechotał tak donośnie, że wszyscy mogli dosłyszeć jej słowa, jeżeli słuchawka nie była przyciśnięta do ucha albo zasłonięta dłonią.

— Co ona mówi o strzelaniu na dachu? — zainteresował się ktoś ze słuchaczy zawodowo wrażliwych na zakłócenie spokoju publicznego, zwłaszcza za pomocą broni palnej.

— Pewnie smarkacze, fabrykują żabki.

Dzień Niepodległości, na pamiątkę uchwalenia Deklaracji Niepodległości w roku 1776, jest jednym z największych świąt narodowych Stanów Zjednoczonych i obchodzi się go uroczyście co rok w dniu 4 lipca. Ryzykownym dodatkiem do uroczystości jest dzienna i nocna kanonada petard, żabek i innych hałaśliwych bombek, przy których chałupniczym wyrobie wielu chłopców doznało oparzeń, okaleczeń i utraty wzroku. Dlatego w niektórych stanach sport ten został zakazany i policja ma dodatkowe zajęcie, z szukaniem sprawców detonacji, jakie rozlegają się mimo zakazów.

— Czy to żabki, Dalciu, czy strzały, a jeśli tak, to gdzie, kiedy i dlaczego? — spytał rzeczowo Klapperstorch, przyswoiwszy sobie już trochę styl urzędowy na skutek świeżych doświadczeń. — ...Przyłapał żonę z

wąsatym fatygantem na... uczynku... na dachu? Więc na czym przyłapał? Mów wolniej, Dalcu, bo myślą nie nadażam za twoim jęzor... języczkiem... Aha, strzela! Zastrzelili? Tylko raz ją przyłapał i od razu zrobił bum, bum, bum? No, to ile razy ja powinienem był zakatrupić ciebie za młodu? A czy się ceni moją anielską wyrozumiałość?... Och, tu mi niewyrozumiale przerywają... Czy Ampara Perez zdrowa? Oooo? Ją też?... Może później opowiesz, bo jej mąż tu stoi i pozdrawia ją plus resztę rodziny. A teraz nasz komisariat policji chce ciebie przesłuchać w sprawie znanych ci tylko ze słyszenia strzałów...

Właśnie gdy Klapperstorch podawał sierżantowi słuchawkę telefoniczną, zabrzmiał w niej przeraźliwy krzyk trwogi i urwał się nagle raptownie, tak jak gdyby ktoś nożycami przeciął druty telefonu. Nie! Nikt ich nie przeciął, skoro wnet w słuchawce znowu zatrajkotał dźwięczny głos Dalili Klapperstorch.

— Czy to pani tak krzyczy, a jeśli nie, to...

— Proszę nie obrażać moich strun głosowych! — zachnęła się była diva operetkowa i zaprodukowała kilka trudnych treli z dawnego swego repertuaru.

— Pani, ja pytam, kto krzyczał, gdzie i dlaczego?

— Zdaje się, że ze strachu, bo spadł z dachu na nasze ciemne podwórko... Dobrze, że nie na moje kociątko, które dopiero co stamtąd, wróciło. Ach, jak się ono przestraszyło tego niemuzykalnego wrzasku... Teraz zaś, jakby dla odmiany, jęczy. Nie kot mój, oczywiście, tylko ta osoba, która spadła lub raczej którą Maks na łeb zrzucił...

— Jaki Maks? — ryknął sierżant, któremu dziś to imię wbijano do głowy tyle razy, że zapisał je na bloczku wraz z nazwiskiem. — Czy nie Blink?

— Jasne, że Blink. To on właśnie zdybał żonę z...

Huknął nowy piorun i hałasował tak długo, że sierżant odłożył słuchawkę na widełki, rezygnując z dalszych rewelacji Dalili... Przedtem nie wierzył w zapewnienia małego Jarosława Herudka, a po kompromitacji z rzekomym rabunkiem kościoła bał się narazić na drugą omyłkę. Dlatego postanowił dopiero jutro zaprosić tutaj owego Maksa Blinka pod jakimś niewinnym pretekstem i zgrabnie skonfrontować go z chińskim fryzjerem, który widział okrutny zamach na Karen Cavatappi.

Skoro jednak Maks Blink zakłócał porządek publiczny strzelając w nocy, skoro strącił z dachu swoją żonę, jej amanta czy ich oboje, to jednak należało zawrzeć z nim urzędową znajomość natychmiast! A jeśli Dalila Klapperstorch była przesadną alarmistką, podobnie jak ciotka odnalezionego Herudka, to sierżant będzie mógł zbujać gładko, że udał się tam, gdzie Maks Blink mieszka, tylko w celu odwiezienia do domu ofiar dzisiejszej policyjnej omyłki. Nawet sam burmistrz Wagner i główny komendant policji miejskiej komendy musieliby przyznać, że tym dwom malarzom należała się jakaś satysfakcja za przykrości dziś przez nich doznane.

— Postanowiłem odstawić panów do ich mieszkań — rzekł uprzejmie do Pereza i Klapperstorcha, a swoim podwładnym pokazać dyskretnie trzy palce.

To ostatnie znaczyło w ich szyfrze, że trzech policjanci, którzy pojedą drugim autem, mają zabrać ze sobą granaty wywołujące łzawienie i kaszel. Nie lada więc wyprawa wyruszała w stronę najgorszych ruder Thompson Street, aby obezwładnić i aresztować Maksa Blinka. Lecz wyruszyła za późno.

Irena i Lubor nie mogli kluczyć i kryć się przed Maksem tak długo, jak to czynił na bosaka mały, żwawy, zgrabny Pedrito. Irenie jakoś nie przyszło na myśl, żeby zdjąć sandały, a jeszcze głośniej od niej stąpał jej

niedawny pacjent w swoich ciężkich farmerskich butach. Odgłosy ich kroków Maks łowił chciwie uchem w każdej przerwie pomiędzy piorunami i bezszelestnie ścigał ich dzięki gumowym podeszwowom.

Znacznie mniej od słuchu był mu pomocny wzrok. Na lewe oko nic nie widział. Nawet nie próbował go otworzyć, bo sprawiało mu przenikliwy ból. Tylko prawe mógł otworzyć od biedy, i to z przerwami.

Już parę razy skorzystał z błyskawic. W ich świetle dojrzał zbiegów, wymierzył, wypalił prawie na pewniaka i... chybił. Poznał, że chybił, po odgłosie ich czających się kroków, ich ostrożnych stąpań na palcach.

Specjalnie znienawidził teraz żonę za to, że przed jego podstępem ostrzegła Pedrita, który zdążył ranić go w drugie oko. Przynajmniej ten szczeniak dostał za swoje! Uciął od razu po drugim strzale. Czy po trzecim? — Maks nie pamiętał dokładnie, ile nabojów już wystrzelał, nie wiedział, ile mu ich zostało w magazynku. Może on jeszcze żyje? Mulaci są pono twardzi do zabicia jak koty... Skręcił w stronę komina, gdzie przedtem śrut strzaskał mu monokl. Tu powinien leżeć. Gdzież podział się ten bachor?

Wtem usłyszał ciche kroki w pobliżu głównej nadbudówki. Natychmiast zaświtało mu podejrzenie, że Irena i jej polski przyjaciel chcą uciec, ba, odciąć go tutaj, gdyż te ciężkie, blachą okute drzwi u szczytu klatki schodowej mają skobel do zamykania tylko od wewnątrz.

Nie wydał żadnego okrzyku, by ich nie spłoszyć, nie czekał na najbliższą błyskawicę, tylko na przełaj pospieszył w tamtą stronę bezszelestnie i... przy narożniku przybudówki dosłownie zderzył się z blondynem.

Obydwaj odskoczyli nieco, by móc użyć broni, a Lubor jakby instynktownie wykonał szybki półobrót w prawo, by plecami zatrzymać i zasłonić Irenę, która szła tuż za nim.

Maks wypalił, mierząc na oślep tam, gdzie powinien znajdować się środek twarzy przeciwnika i tym razem trafił aż w dwa cele. Kula, gwizdnąwszy Polakowi tuż pod nosem, w dalszym swoim locie rozbiła szybkę w oknie na szóstym piętrze po drugiej stronie ulicy, co od razu wywołało soczyste wypowiedzi poszkodowanych lokatorów przy dźwięcznym akompaniamencie spadającego na bruk szkła. Ha, gdyby nie ten przezorny półobrót, wilczyca Kleopatra na farmie nie doczekałaby się już nigdy powrotu dobrego pana.

Błysk strzału zdradził położenie pistoletu i trzymającej go ręki, więc w nią czy w jej przegub rąbnął Lubor na chybił trafił kikutem rozbitej butelki ze wszystkich sił, jakie mu pozostały po tyłu dzisiejszych emocjach. Skutek ciosu był jednak zadowalający. Maks wypuścił broń i od razu przeszedł do defensywy urozmaiconej przekleństwami, okrzykami bólu i bezczelnymi żądaniem, żeby jego niedoszłe ofiary przywołały... pomoc lekarską, gdyż on sam nie może zatamować upływu krwi.

Dopiero w świetle najbliższej błyskawicy przekonali się wszyscy, jak obficie krew bluzgała ze zmasakrowanej szkłem ręki... Przypomniało to Irenie rozdartą stopę czarnego Dżima na plaży i z miejsca nawiedziło ją podejrzenie, że ten dziwny Polak może znów odczuć nieodpartą ochotę odegrania roli miłosiernego Samarytanina wobec swojego wroga. Wciąż bowiem troszczył się więcej o innych niż o siebie; teraz na przykład, chociaż sam chwiał się na nogach po tak niedawnym ataku nerwowej astmy i oddech miał nienormalny,

chciał natychmiast zacząć szukać Pedrita, bo a nuż dzielny chłopiec żyje jeszcze i może być uratowany?

— Jesteś bardzo osłabiony, poznaję to po twoim oddechu... Odpocznij sobie trochę na krześle — prosiła go cicho i prowadziła pod ramię ku krzesłom. — Rozbroiłeś Maksa i unieszkodliwiłeś, to było najtrudniejsze. Resztę już ja sama gładko załatwię...

— To ładnie — pochwalił ją i usiadł z przyjemnością — to bardzo ładnie, że mimo wszystkich krzywd chcesz mu opatrzeć ranę i...

— Tak, tak, już ja go opatrzę jak należy! — wtrąciła, odchodząc.

— Bądź jednak ostrożna. Gdyby coś... zawołaj mnie!

— Nie obawiaj się! — zawołała z ciemności. — Podniosłam broń, którą wypuścił po twoim ciosie. On sam nauczył mnie strzelać jeszcze w Bawarii, a ja nie zapominam tego, czego się raz nauczyłam. Ani w ogóle niczego! Ja mam pamięć słonia!

Słowa te, choć wyrzeczone tonem obojętnym ze względu na Lubora, zabrzmiały Maksowi jak pogróżka, jak zapowiedź krwawego załatwienia starych porachunków, jak wyrok śmierci! Znów łowił uchem odgłosy kroków żony, znowu stukanie jej sandałów służyło mu za fonetyczny drogowskaz w mroku, tylko przedtem ścigał uciekającą, a teraz on sam uciekał. Cofał się skwapliwie o krok przed każdym znajomym stuknięciem. Gdy błysnęło, zobaczył, iż żona mierzy prostu w niego i zadygotał z przerażenia.

— Idiotko, skieruj lufę w boki — wykrztusił. — Tyle razy cię uczyłem, jak obchodzić się z bronią! To przecież może wypalić!

— Niech wypali. Sądzisz, że uronię choć łzę po tobie?

— Nie uronisz — przyznał zgodnie, by ją udobruchać i cofał się dalej, choć ktoś odważniejszy na jego miejscu byłby właśnie skoczył naprzód w mrokach, by rozbroić lub samym impetem obalić wątłą Irenę. Ale co zyskasz, jeśli strzelisz? Czego właściwie chcesz?

— Wiedzieć, jak zginął mój brat. Opisz to, pokaż, tyś tam był!

— Oszalałaś? Krew mi uchodzi! To nie pora na opisy i...

— To jedyna pora skończyć z tobą, morderco! Czekam tylko na błyskawicę, żeby nie chybić...

— Och, gdyby nie ta spluwa, jedną ręką bym cię z dachu zrzucił! — wymamrotał z nienawiścią i zdreptał, bo w krótkiej ciszy między piorunami posłyszał złowrogi, metaliczny odgłos przesunięcia twardego bezpiecznika. Kilka razy to zrobiła, jakby na dowód, że potrafi przygotować broń do strzału, że nie zapomniiała...

Gdy błysnęło, ujrzał lufę tak blisko przed sobą, że zdrową dłonią mógł ją podbić Irenie, lecz na taki zryw odwagi czy desperacji nie stać już było Maksa. On wołał wrzasnąć tchórzliwie i dać susa wstecz...

W pół drogi tego skoku półmetrowy ochronny mur dachu palnął go z tyłu w nogi i osadził je w miejscu, podczas gdy rozpędzony tułów w mig znalazł się na zewnątrz murku, poza nim, nad przepaścią... Maks zamachał ramionami rozpaczliwie. Czując, że bez ratunku zanurza się plecami w czarną otchłań podwórza, wrzasnął nieludzko. I krzyczał tak jednym ciągiem, jak przy podobnych upadkach krzyczały w przedśmiertnej trwodze wszystkie jego ofiary.

Krzyczał przeszywającym, zmienionym głosem, dopóki nie trzasnął grzbietem o betonowe dno przepaści...

Falsetowy ten śpiew strąconego do piekieł demona

słyszała przez otwarte okno swej kuchni Dalila Klapperstorch. Ponieważ zaś właśnie rozmawiała z biurem policyjnym, gdzie aparat telefoniczny miał jakiś wzmacniacz dźwiękowy, krzyk Maksa Blinka słyszeli także dwaj niewinnie dziś posądzeni malarze i pechowy sierżant policji, i członkowie jego nowej policyjnej obławy, która tym razem spóźniła się nieco.

— Co się stało? — spytał Lubor. Zaniepokojony wrzaskiem, pospieszył do Ireny i objął ją, bo teraz ona słała się na nogach. — Gdzie on?

— Spadł z dachu — odparła, siląc się na spokojny ton. — Weź to narzędzie mordu. Za ciężkie na moją dłoń, zmęczyło ją... i moje nerwy także...

Słowa te omal nie wskrzesiły jego niedawno pogrzebanej skłonności do posądzeń... Może Irena strzeliła do męża, a huk gromu zagłuszył detonację? Może ona wpadnie w zły nałóg strzelania do osób jej niewygodnych, których grono mógłby powiększyć jej... tfu, na psa urok!... następny mąż?

— Sam spadł? Przy tych piorunach strzały mogły ująć uwagi sąsiadów, ale kula nie ujdzie uwagi lekarzy podczas sekcji zwłok. Toteż Ireno, jeśli w samoobronie musiałaś kropnąć do niego, niech to lepiej pójdzie na mój rachunek. Tylko we Francji opinia sympatyzuje z żoną, która z romantycznych powodów ukatrupiła własnego męża.

— Och, ty sądzisz, że ja...? Nie! Nie! Przysięgam! Chciałam go tylko nastraszyć, jak on straszył mnie i innych! Nawet gdyby Maks rzucił się na mnie, strzeliłabym najpierw na postrach, potem w uda... A swoją drogą ciekawam, ile kul miałam do dyspozycji.

Okazało się, że żadnej, ani w magazynku, ani w lufce! Maks sam wystrzelał wszystkie naboje i nie wiedział o tym. Nie odgadł, nie przeczuł tego i później, w

przeciwnym bowiem razie wyrwałby żonie pistolet i, zanim Lubor zdążyłby do nich dobiec, strąciłby ją z dachu z pewnością! Zamiast Maksa, ona spadłaby w czarną otchłań brudnego podwórka, gdzie nocami wiewcowały szczury chyba z całej dzielnicy.

Na myśl, iż tak łatwo mogłoby ją spotkać to, co słusznie spotkało jej zbrodniczego męża, zaczęła Irena drżeć jak bosa na śniegu, choć noc nadal była parna, gorąca. Nie przyniosła bowiem jeszcze upragnionej ochłody ta spóźniona burza, jaka od paru godzin hałasowała nad Nowym Jorkiem, i pokropiła go tylko krótkim ciepłym deszczem importowanym z tropików. Za to na migotliwą iluminację dachów i wież błyskawicami zmarnowała już chyba więcej elektryki z chmur niż zużywa jej co noc Wielka Biała Droga, jak z powodu rozrzutności świateł reklamowych nazwano środkową część manhattańskiego Broadwayu, pępek dzielnicy rozrywek metropolii.

Choć dziś kolorowe neony są tam liczniejsze od zwykłej żarówki, dla szybujących wysoko lotników Broadway nadal wygląda jak Biała Droga, jasna przekątna stu ulicznych szachownic Manhattanu.

— Powinniśmy, uważam, przygotować Amparę na hiobową wieść o jej synku — rzekł Lubor, odciągając Irenę od miejsca jej ostatniej przeprawy z Maksem.

— Masz rację... Chodźmy do niej... Żał mi obojga Perezów i Jacinty, ale najbardziej żał mi tego dzielnego chłopca. Biedny, biedny Pedrito!

— Racja, że biedny — odezwał się znajomy głosik z daszku klatki schodowej, ku której szli. Straciłem dwudziestkę, potem sandałki, wreszcie procki

— Pedrito, ty żyjesz? Zejdźże na dół, niech cię uściskam! — wołała ucieszona Irena, a nie mniej od niej uradowany Lubor chciał zaraz wiedzieć, jak to się stało,

że chłopiec wyszedł cało. — Lękałem się, że jedna z kul Maksa... trafiła...

— Trafiły wszystkie trzy! Dwie w komin, a trzecia w moją procę, którą nieuważnie wysunąłem poza mur komina — odparł Pedrito niefrasobliwie.

Będąc bezbronny, gdy kula ścięła mu widelki procy o cal nad jego dłonią, nie mógł walczyć nadal z olbrzymim Goliatem i schronił się na szczyt tarasu głównej nadbudówki, zakrywającej klatkę schodową domu. Tam wyciągnięty na brzuszku, był niewidoczny, póki się nie ruszał, za to on widział wszystkich, ilekroć błysnęło i tuż u jego stóp odbył się pojedynek między Luborem a Blinkiem.

Krótkie sprawozdanie chłopca przerywały coraz głośniejsze miauczenia syren aut nowojorskiej policji. Najbardziej niestrudzony z jej sierżantów odwoził na łono rodziny dwie ofiary swej niedawnej omyłki. Odwoził je z fanfarami, które o tak późnej porze obudziłyby i przerażyły niejedną prowincjonalną mieścinę. Lecz nawykli do zgiełku nowojorczycki po stoicku znoszą wszelkie nocne hałasy, a ryk pędzącej syreny daje im miłe samopoczucie, że ich podatki nie idą na marne, skoro policja i straż ogniowa czuwają nad ich miemieniem także w nocy.

Tylko paru nieszczęśników, cierpiących na bezsenność rzeczywistą, a nie tę pokerową, brydżową lub trunkową, pofatygowało się z łózek do okien, ażeby zbadać, czy przeraźliwe miauczenie kilku syren oznacza honorową eskortę jakiegoś dygnitarza, czy pościg za małoletnimi złodziejami samochodów. Toteż nie wywołał przy ulicy Thompsona specjalnej sensacji niezwykle spóźniony powrót solidnego taty, Ramona Pereza i najwyrozumialszego z mężów Raphaela de Klapperstorcha, specjalisty od kolorowych portretów, którego głównym zmartwieniem obecnie było, czy

ksiądz wikary zdoła wytrzasnąć fotografie dwunastu apostołów.

Dalila chciała już przez okno wyładować część swoich nowin i domysłów, ale przybyli woleli najpierw wejść do kamienicy i schronić się pod solidny dach. Bowiem nowy szkwał właśnie docierał do Greenwich Village, a deszcz znów szybko przechodził w gwałtowną burzę. Zmywała ona krew z dachu i z ran dogorywającego w męczarniach Maksa. Jęki zagłuszał raz piorun, raz klaksony i syreny, a w końcu donośny duet Klapperstorchów, których Ramon Perez z trudem przekrzyczył swym sarkastycznym pytaniem pod adresem policji:

— Czy mogę iść do swej rodziny sam, czy i tam muszę mieć honorową asystę panów? — zawołał donośnie.

Na dźwięk jego głosu Pedrito zjechał jedno piętro po poręczy schodów i wjechał w ubranku pod kapę na swoim łóżeczku, gdzie dopiero zaczął rozbierać się gorączkowo i dyskretnie, z powiekami prawie zaciśniętymi na czarnych oczkach. No cóż, staromodny tata na dobitkę był po portorykańsku krewki i mógł paskiem obić znakomitego procarza, zanim ów zacząłby wyjaśniać, z jak ważnych przyczyn jeszcze nie śpi.

Irena i Lubor, wypłoszeni przez deszcz na dachu tarasu pod daszek klatki schodowej, nie zamknęli za sobą ciężkich drzwi, przeciwnie, podparli je tak, aby były szeroko otwarte mimo sprężyny i by nie hamowały chłodzącego przeciągu. Stojąc tak blisko obok siebie, spoglądali ukośnie w górę, gdzie co noc wisi różowa luna, refleks milionowych światel metropolii.

Obecnie miejsce tego różowego tiulu zajął ciężki czarny aksamit chmur, ale burza malowała na nim błyskawicznie coraz to nowe esy floresy, zygzaki, egzotyczne liany, fantastyczne orchidee, złote, srebrne,

błękitne, seledynowe... Najwięcej tych nietrwałych śmiercionośnych rysunków wykwiłało dokoła gromochronów na drapaczach chmur i antenach nadawczych telewizji, a najpiękniej na tle tej iluminacji zafundowanej przez przyrodę wychodziły kontury nowoczesnych niebotyków i wieżowców i niższe od nich wieże kościołów.

Coraz częstsze salwy piorunów, coraz gęstsza ulewa i coraz melodyjniejsze poświsty wichru wskazywały, że letnia burza nad Nowym Jorkiem dopiero zaczyna się na dobre. Lecz Irena Blink i Józef Lubor mieli takie radosne uczucie czy przeczucie, że najgorsze burze ich życia skończyły się właśnie dzisiaj i że nareszcie zawijają do spokojnej przystani szczęścia.

Koniec

Nowy Jork 1957

NOTA O AUTORZE

Antoni Marczyński, ur. w roku 1899 w Poznaniu, prawnik z wykształcenia (doktorat prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim), podróżnik po Afryce, Azji i Ameryce. Od 1938 roku zamieszkały w USA. Pisarz i dziennikarz z temperamentu, autor wielu artykułów, wykorzystujący aktualne wydarzenia społeczno-polityczne jako oś konstrukcyjną swoich książek (około 50 powieści w ciągu 13 lat). Walka Stanów Zjednoczonych z żółtym najeźdźcą (*Rok 1947*), wojna w Maroku (*Siostra Carmen*), niebezpieczeństwa faszyzmu, obrona praw człowieka (*Pokolenie Kaina*) — to niektóre tematy ówczesnych dni, które trafiły na karty powieści Marczyńskiego.

Sentymentalna love story stanowiła na ogół tło sensacyjnych, ekscytujących wydarzeń (*Niewolnice z Long Island*, *Burza nad Nowym Jorkiem*, *Aloha*). Żywe i barwne dialogi, dobre tempo, pełen ekspresji język — to charakterystyczne cechy powieści tego autora.

Po 1956 roku Antoni Marczyński dwukrotnie odwiedził Polskę. Zmarł w Nowym Jorku w 1968 roku.